

Nowa  
fantastyka

**JACK McDEVITT**

**Brzegi  
zapomnianego  
morza**

Prószyński i S-ka

# Jack McDevitt

# Brzegi zapomnianego morza

Przełożył



# **Spis treści**

[Strona tytułowa](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)  
[8](#)  
[9](#)  
[10](#)  
[11](#)  
[12](#)  
[13](#)  
[14](#)  
[15](#)  
[16](#)  
[17](#)  
[18](#)  
[19](#)  
[20](#)  
[21](#)  
[22](#)  
[23](#)  
[24](#)  
[25](#)  
[26](#)  
[27](#)  
[28](#)  
[29](#)  
[30](#)  
[31](#)  
[32](#)  
[33](#)

*Dla Roseanne i Eda Garrity,  
Z którymi zawsze mogłem się dzielić swoimi myślami*

*Zamknięte w bursztynie formy różnorakie*

*Włosy, liście, trawy, muchy i robaki*

*Rzeczy całkiem zwykłe, i duże i małe*

*Ciekaw jestem tylko, jak się tam dostały*

**Alexander Pope, „List do doktora Arbuthnota”**

- A COŻ TO MOŻE BYĆ, DO DIABŁA!? - zdumiał się Tom Lasker, przekrzykując wycie wiatru. Will odłożył na moment łopatę, by zobaczyć, co przyciągnęło uwagę jego ojca.

Z ziemi wystawała trójkątna płytką, przypominająca kształtem płetwę rekina. Była twarda, prawdopodobnie metalowa, choć nieskorodowana.

Obaj mężczyźni znajdowali się na grzbiecie górskim, który wyznaczał zachodnią granicę farmy. Było już późno, pracowali więc przy świetle kilku żarówek, starając się zamontować na wzniesieniu system rur, którymi płynęłaby woda pompowana ze studni. Lasker oświetlił latarką dziwny przedmiot, a Will dotknął go czubkiem buta. Nocne powietrze niesło ze sobą zapach zbliżającej się zimy. Chłodny wiatr smagał zbocze i kołysał żarówkami zawieszonymi na kablu. Lasker przyklęknął i nie zdejmując rękawic, odgarnął ziemię dłońmi. Trójkątna płytką była czerwona. Gładka i twarda. Kiedy próbował ją wyciągnąć, nawet nie drgnęła.

Ćwierć mili od tego miejsca znajdował się ich dom, piętrowy budynek otoczony gęstym szpalerem drzew. Okna domu jarzyły się ciepłym, wesołym blaskiem.

Metalowa płetwa połączona była z prętem o tej samej barwie i strukturze, przechylonym o jakieś trzydzieści stopni w stosunku do gruntu. Will wsunął pod niego szpadel i razem próbowali go przeważać. Pręt poddał się odrobinę, ale ponownie wrócił na swoje miejsce.

- Na trzy - powiedział Lasker.

Odliczył do trzech, po czym obaj z całych sił natarli na trzonek łopaty, stracili równowagę i przewrócili się na siebie, śmiejąc się głośno.

- Wystarczy na dzisiaj, tato - powiedział Will. - Chodźmy coś zjeść.

Pasma górskie zwane Pembina Escarpment widoczne było z okien sypialni domu Toma Laskera. Tworzyły je okrągłe wzgórza i grzbiety, zwieńczone ostrymi skałkami. Na tle płaskiego jak stół krajobrazu wyglądały naprawdę imponująco. Dziesięć tysięcy lat wcześniej był to zachodni brzeg śródlądowego morza, pokrywającego wielkie obszary ziemi na terenie kilku stanów: Dakoty, Minnesoty, Manitoby i Saskatchewan. Miejsce, w którym stał obecnie dom Laskera, wówczas znajdowało się kilkaset stóp pod powierzchnią wody.

Lasker był dużym, odrobinę niezgrabnym mężczyzną o rzednących już ciemnych włosach i szerokich ramionach. Ostre, surowe rysy jego twarzy wyrzeźbione zostały przez zbyt liczne, bezlitosne zimy. Całe swe dotychczasowe życie spędził w okolicach Fort Moxie. Uważał, że jest mało interesującym człowiekiem, zwykłym farmerem, który ciężko pracuje, nie szuka towarzystwa i dba o swoją rodzinę. Ożenił się szczęśliwie, miał dwóch dorastających synów, którzy nie sprawiali mu żadnych kłopotów, i uwielbiał latanie. Jak wielu miejscowych farmerów miał licencję pilota i swój samolot, Katana DY-20. Prócz tego jednak posiadał maszynę z czasów drugiej wojny światowej, Navy Avengersa, i należał do Konfederacji Sił Powietrznych - grupy entuzjastów, których pasją było odnawianie starych samolotów wojskowych.

Wczesnym rankiem następnego dnia Lasker i Will powrócili na wzgórze. Październik na

północnych równinach zazwyczaj jest zimny i szary. Ten dzień był typowy. Lasker pracował w kurtce puchowej, nie rozgrzawszy się jeszcze dość, by zrzucić wierzchnią warstwę odzieży.

Płetwa wystawała kilka cali nad ziemię. Podtrzymał ją pręt o grubości dwóch cali. Lasker pomyślał, ile szkód mogłyby wyrządzić te metalowe śmiecie, gdyby najechał na nie traktorem.

Will wbił łopatę w ziemię.

- No dobra - westchnął. - Pozbądźmy się tego. Odrzucił na bok fragment gleby, która nawet o tej porze roku była ciężka i słodka.

Powietrze stało nieruchomo. Na płocie siedziała niebieska sójka, przyglądając się pracy mężczyzn. Lasker był w pogodnym nastroju. Metalowa płetwa intrygowała go coraz bardziej. Nie potrafił sobie wyobrazić, czym jest, ani jak znalazła się na terenie, który od ponad sześćdziesięciu lat należał do jego rodziny. Co ważniejsze, stanowiła problem, który pozwalał mu dłużej przebywać z synem i zbliżał go do niego.

Jak głęboko sięgał metalowy palik? Odmierzył kilka stóp w linii prostej od miejsca, w którym wbity był pręt i zaczął metodycznie wybierać ziemię. Will przyłączył się do niego i już po chwili ostrza ich łopat uderzyły o metal. Palik był długi co najmniej na sześć stóp. Kopali razem do chwili, gdy Will musiał pójść do szkoły. Lasker wrócił wtedy do domu, napił się kawy, zjadł tost i zabrał się ponownie do pracy. Przerwał ją dopiero po południu, kiedy Ginny zawołała go na lunch.

Po posiłku wybrała się z nim na pole, by zobaczyć, co sprawia mu tyle kłopotu. Ginny była wysoką, inteligentną kobietą, urodzoną i wychowaną w Chicago. Przyjechała do Północnej Dakoty jako inspektor celny, by wyrwać się z miejskiego życia. Szybko zakochała się w tym małym farmerze, który z kolei zaczął regularnie podróżować do Kanady, licząc po cichu na to, że zostanie przez nią zatrzymany na granicy. Czasami kupował w tym celu jakieś rzeczy, artykuły, za które musiał płacić cło. Ginny pamiętała dobrze pierwszą z takich podróży Toma; pojechał wtedy do Winnipeg i wydał tam ponad trzydzieści dolarów na książkę o historii lotnictwa. Był mocno rozczarowany, kiedy kazała mu jechać dalej, gdyż okazało się, że książki zwolnione są od cła.

Przyjaciele starali się zniechęcić go do Ginny. „Przestraszy się mroźnych zim”, powtarzali. „Szybko znudzi jej się życie w małym miasteczku. W końcu wróci do Chicago”. Mówili o Chicago takim tonem, jakby leżało ono gdzieś na Plutonie. Minęło jednak dwadzieścia lat, a Ginny wciąż tutaj była. Mroźne noce, śnieżyce i ciche wieczory przy kominku służyły jej równie dobrze jak Tomowi.

- Czy to rzeczywiście taki wielki problem? - spytała, zakłopotana, stojąc na krawędzi dołu, który Lasker wykopał wokół żerdzi. Dół miał już sześć stóp głębokości i Tom musiał schodzić na dno po drabinie.

- Właściwie nie.

- Więc dlaczego aż tak się przejmujesz? Przecież wcale nie musisz wyciągać tego z ziemi, prawda? Utnij to i po kłopotcie.

- Hej, nie chcesz się zabawić w poszukiwacza przygód? - spytał, uciekając się do argumentu, którego Ginny używała czasem przeciw niemu. - Naprawdę nie chcesz wiedzieć, co to jest?

Ginny uśmiechnęła się lekko.

- Wiem, co to jest. Palik.

- A skąd się tutaj wziął? Ginny zajrzała do wykopu.

- Tam coś jest - powiedziała. - Na dnie.

Był to fragment jakiejś tkaniny. Lasker zszedł do dołu i okopał materiał, a potem próbował go wyciągnąć.

- Jest przywiązany do palika - oświadczył po kilku nieudanych próbach.

- Zdaje się, że niepotrzebnie przysparzasz sobie pracy.



- Ale tego nie powinno tutaj być.
  - Zgoda. Tyle że mamy jeszcze dzisiaj inne rzeczy do zrobienia.
- Tom skrzywił się tylko i wbił łopatę w miękką ziemię.

\*\*\*

Wyglądało to jak maszt. Cały maszt razem z żaglem.

Przymocowany do pokładu.

Lasker poprosił do pomocy sąsiadów i wszyscy zaczęli odkopywać dziwne znalezisko.

Pokład stanowił część jachtu. A jacht był całkiem spory.

Odsłanianie go stopniowo podczas tygodniowych robót prowadzonych przez coraz większą grupę przyjaciół, dzieciaków ze szkoły średniej, a nawet przypadkowych przechodniów. Metalowa płetwa rekina była w rzeczywistości elementem dekoracyjnym, osadzonym na szczycie jednego z dwóch masztów.

Sam jacht stanowił okazały przykład marynistycznej architektury, mieścił w sobie kilka kabin i kabinę sternika, a takielunek pozostawał najwyraźniej w nienaruszonym stanie. Wspólnymi siłami wyciągnęli go z ziemi i położyli na boku, podpierając burtę betonowymi blokami. Młodszy syn Laskera, Jerry, obmył jacht strumieniem wody z gumowego węża. Spod warstwy błota wyrzała jasnioletowa farba, kremowe panele pokrywające burtę od wewnątrz i jaskrawozielony pokład. Strumień wody uderzając o twardą powierzchnię rozpryskiwał się i tworzył delikatną mgiełkę. Na sterburcie, przy dziobie i rufie wisiały grube liny. Prawdopodobnie liny do cumowania.

Tłum zgromadzony wokół jachtu rósł z każdą godziną.

Betty Kausner dotknęła stępki raz i drugi, ostrożnie, jakby mogła się sparzyć.

- To chyba włókno szklane - powiedział jej mąż, Phil.

Jack Wendell podszedł bliżej do jachtu, oparł dłonie na biodrach i przyjrzał mu się uważnie.

- Nie sądzę - pokręcił głową. Jack służył kiedyś w marynarce. - Włókno szklane jest inne w dotyku.

- Tom - Betty Kausner spojrzała w oczy Laskera. - Czyja to łódź?

Lasker nie miał pojęcia. Jacht był wspaniały. Lśnił w blasku jesiennego słońca Dakoty.

Co kilka minut ktoś pytał go, czy to nie żart.

Lasker znał tylko jeden powód, dla którego ktoś mógłby zakopywać taką łódź, a tym powodem były narkotyki. Spodziewał się znaleźć w niej ciała i kiedy weszli do wnętrza, z ociąganiem zaglądał do kolejnych kabin.

Po chwili z zadowoleniem stwierdził, że jego obawy były bezpodstawne.

Jacht nie przypominał niczego, co Lasker widział kiedykolwiek w życiu, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego nabrał takiego przekonania. Być może sprawiło to dziwne światło, przebijające się między chmurami pierwszego ranka, kiedy zobaczył łódź. Być może winne były temu dziwne proporcje dzioba i rufy, rumpla i głównego masztu. Może jakieś nieuchwytnie, ale znaczące elementy kadłuba, czy jego kształt.

Will spojrzał na wschód, tam gdzie płynęła Czerwona Rzeka Północy.

- Daleko stąd do jakiejś większej wody - powiedział.

- Jest chyba w całkiem dobrym stanie. - Ray Hammond, farmer, do którego należały ziemie na wschód od drogi numer 11, podrapał się po głowie. - Wygląda tak, jakbyś mógł wypłynąć nim jutro na pełne morze. - Czubkiem buta dotknął brudnych żagli. - Choć tutaj przydałoby się trochę mydła i wody.

Na podjeździe zatrzymał się jakiś samochód. Wsiadł z niego Ed Patterson, jego żona i pięcioro dzieci. Ed prowadził sklep z narzędziami w Walhalla. Przyglądał się łodzi, kręcąc głową, a jego

żona patrzyła na Laskera tak, jakby ten skrywał przed wszystkimi jakieś ponure tajemnice rodzinne, które właśnie teraz wyszły wreszcie na jaw. Dzieci zaczęły ścigać się przy podjeździe.

Kausner poszedł na chwilę do swojego auta i powrócił z taśmą mierniczą w dłoni. Oznaczył ziemię na wysokości dzioba i rufy, po czym zmierzył tę odległość.

- Czterdzieści siedem stóp i pięć cali - oznajmił.

Gdyby wśród zgromadzonych obok farmerów był ktoś, kto zna się na okrętach, rozpoznałby w jachcie kecz. Łódź miała pełny kil, szeroką pokładnicę (prawie na siedemnaście stóp) i pełny kadłub o wdzięcznych krągłościach. Pokład otaczały sięgające pasa parapety, które zwięzały się przy dziobie. Na jachcie znajdowały się dwa koła sterownicze, jedno w kokpicie, a drugie w budce sternika, tuż za pokładnicą. Na obu burtach umieszczono także chwyty powietrza.

Jedynym uszkodzonym elementem całej łodzi była śruba, od której oderwała się jedna płytką.

Laskerowie zdjęli żagle, wyprali je i rozwiesili w piwnicy. Tom ściągnął także liny cumownicze, oczyścił i złożył w szopie.

Kolejne dwa dni zajęło im czyszczenie pomieszczeń pod pokładem.

Znajdowały się tam dwie kajuty, kuchnia i łazienka.

Kajuty wyglądały całkiem zwyczajnie. Każda wyposażona w stół, kilka krzeseł i dwie koje. W ściankach między kabinami pasażerów osadzone były niewielkie szafki.

W kuchni znajdowała się lodówka, kilka urządzeń przypominających kuchenki mikrofalowe i dozowniki płynów. Jednak symbole i znaki na kuchenkach oraz lodówce były całkiem obce. Wyposażenie łazienki stanowiły prysznic, wanienka do prania i najdziwniejsza toaleta, jaką Lasker kiedykolwiek widział; niska i przysadzista, nie miała ani miejsca do siedzenia ani pokrywy. Tutaj także odnaleźli napisy, których nikt nie potrafił odcyfrować.

- To jest jakieś dziwne. Niesamowite - powiedział Tom do Ginny pierwszego wieczora po tym, jak zeszli pod pokład. Tłumek ciekawskich rozszedł się już do domów, zostawiając Laskera sam na sam z pytaniem, skąd łódź wzięła się na zboczu wzgórza. Jak to określił Will? „Daleko stąd do jakiejś większej wody”.

Po kolacji przyglądał się jachtowi przez okno w kuchni. Okręt błyszczał w świetle księżyca.

- Wszystko w porządku? - spytała Ginny.

- Chciałbym wiedzieć, co to jest. Skąd się tu wzięło. Ginny podała mu kawałek cytrynowej bezy.

- Zapewne sprawka twojego ojca - powiedziała. - Kto inny mógłby to zrobić?

Później, kiedy czytała, Lasker założył kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

Fort Moxie egzystowało poza czasem. Nie przeprowadzano tu żadnych prac renowacyjnych, coraz to nowocześniejsza technika nie wywoływała wielkich zmian kulturowych, obcy rzadko zapuszczali się w te okolice, a mieszkańcy nie próbowali ulepszać czegokolwiek w swym małym światku. Miasteczko i otaczające je ogromne połacie prerii zamknięte były jakby w pętli czasowej. Tutaj Harry Truman wciąż pozostawał prezydentem. Tutaj ludzie lubili się nawzajem, a przestępczość była zjawiskiem zupełnie nieznanym. Ostatniego czynu karalnego dokonano tu w 1934 roku, kiedy to Bugsy Morgan przedarł się siłą przez granicę.

Ogólnie rzecz biorąc, było to dobre miejsce do życia i dobre miejsce do wychowywania dzieci.

Równina ciągnęła się w nieskończoność. Kiedyś stanowiła basen jeziora Agassiz, śródlądowego morza, którego powierzchnia była większa od łącznej powierzchni wszystkich Wielkich Jezior.

Agassiz.

Dawno temu. Lasker spojrział na zachód, w stronę grzbietu górskiego, który niegdyś tworzył linię

brzegową jeziora. Pasma wzgórz wydawało się zaledwie maleńką zmarszczką na tle ogromnej powierzchni prerii. Niepozorna kreska. Wiele razy przelatywał nad nią i pokazywał swoim synom. Pragnął, by kochali to miejsce tak mocno, jak on.

## **Program „Ben at Ten”, KLMR-TV, Grand Forks, 10:26 p.m.**

### **18 października**

MARKEY: Cześć Julie, mamy dzisiaj dziwną wiadomość z Fort Moxie. Znaleźli tam jacht na polu pszenicy.

HAWKINS: (Uśmiecha się). Jacht na polu pszenicy?

(Na ekranie pojawia się obraz Fort Moxie; kamera wędruje przez prerię, zbliżenie na drzewa i zabudowania gospodarcze)

MARKEY: Czy ktoś z państwa nie zgubił jachtu? Pewien farmer znad granicy nie może otrząsnąć się ze zdumienia po tym, co zobaczył na swoim polu. Na miejscu jest Carole Jensen.

(Na ekranie pojawia się jacht, kamera pokazuje tłum gapiów; zbliżenie na Jensen)

JENSEN: Ben, tu Carole Jensen. Jestem na farmie Toma Laskera w okręgu Cavalier.

(Zbliżenie na Laskera)

To piękny jacht, panie Lasker. Czy naprawdę chce nam pan powiedzieć, że ktoś zakopał go na pańskiej farmie?

LASKER: Tak, pani Jensen. Dokładnie w tym miejscu (wskazuje ręką). Przez ostatnie lata nie uprawiałem nic na tej ziemi. Chcieliśmy zasiać tutaj pszenicę na wiosnę. Ale potrzebowałem do tego systemu nawadniającego, który pompowałby wodę na zbocze. Kopaliśmy z synem rowy pod rury, no i wtedy znaleźliśmy to.

JENSEN: Jacht?

LASKER: Tak.

(Ujęcie z boku, dla podkreślenia rozmiarów łodzi)

JENSEN: Czy jacht był zakopany w całości, czy w kilku częściach?

LASKER: W całości.

JENSEN: Panie Lasker, kto mógł zostawić coś takiego na pańskiej ziemi?

LASKER: Nie mam pojęcia.

JENSEN: (Odwraca się do kamery). Oto i cała historia, Ben. Ciekawa jestem, co jeszcze kryje się w pobliżu Doliny Czerwonej Rzeki. Być może powinniśmy być nieco ostrożniejsi, sadząc wiosną begonie na działkach. Dla programu „Ben at Ten” z farmy pana Laskera przy Fort Moxie mówiła Carole Jensen.

(Obraz ze studia)

MARKEY: To chyba prawdziwa gratka dla waszego zespołu reporterów. Dobranoc, Julie.

HAWKINS: Dobranoc Ben. (Odwraca się do kamery). Dobranoc państwu. Zobaczymy się ponownie jutro o dziesiątej. Następne wiadomości w nocnym wydaniu dziennika.

Po wieczornym programie, w którym pokazany został jacht Laskera, liczba gości odwiedzających jego farmę znacznie wzrosła. W pobliżu łodzi zawsze kręciło się co najmniej pięć, sześć osób, a czasami nawet około dwudziestu. Dzieciaki zaczęły sprzedawać kawę i słodkie ciasteczka, ciągnąc z całej tej historii całkiem spore korzyści.

Po południu pojawił się na farmie Hal Riordan, właściciel składu drzewnego w Fort Moxie. Przechadzał się pod pokładem statku, zaglądał do kabin, gdzie Lasker zamontował elektryczny grzejnik. Przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie masztom i kadłubowi jachtu, wreszcie zszedł z niego i zapukał do drzwi Laskera.

- Musisz coś zobaczyć - powiedział, prowadząc go w stronę łodzi. Kiedy Lasker chodził do szkoły, Hal nie należał już do młodzików. Jego włosy, wówczas szpakowate, teraz były srebrne. Wysoki, skrupulatny i metodyczny, należał do szczególnego typu ludzi, którzy nie pójdą do łazienki bez zastanowienia.

- To jest bardzo dziwne, Tom - oświadczył.

- O czym mówisz? - spytał Lasker.

- Przyjrzyj się dobrze łączeniu masztu z dachem kabiny. Lasker przyjrzał się.

- No i co?

- To jedna całość. Maszt powinien być wykonany oddzielnie, przynajmniej tak mi się wydaje. A potem zamocowany w kadłubie. Tutaj wszystko wygląda tak, jakby wykonane zostało z jednego odlewów.

Riordan miał rację; na statku nie było żadnych mocowań, śrub czy gwoździ. Lasker odchrząknął, nie wiedząc, co powiedzieć.

\*\*\*

Rankiem Tom wypożyczył przyczepę i sprowadził robotników z Grand Forks. Chciał umieścić jacht na przyczepie i przeciągnąć go bliżej szopy.

Tłum rósł z każdym dniem.

- Powinieneś wprowadzić jakieś opłaty - zasugerował Frank Moll, były burmistrz i emerytowany celnik. - Ludzie przyjeżdżają tutaj aż z Fargo. - Moll był niskim, brodatym, potężnie umięśnionym mężczyzną. Nigdy nie opuszczał go dobry nastrój. Od wielu lat należał do kręgu najbliższych znajomych Laskera, z którym wychylił niejedną kufel piwa.

- Co o tym myślisz, Frank? - spytał go Tom. Stali na podjeździe, przyglądając się Ginny i żonie Molla, Peg, które próbowały jakoś uporządkować ruch.

Moll spojrzał na niego, potem na jacht.

- Naprawdę nie wiesz, skąd się to tutaj wzięło, Tom? - W jego głosie krył się oskarżycielski ton.

- Nie - odparł Lasker z irytacją. - Naprawdę nie wiem. Moll pokręcił głową.

- Gdyby to był ktokolwiek inny, powiedziałbym, że zrobił głupi kawał.

- To nie jest kawał.

- W porządku. W takim razie nie mam pojęcia, co o tym sądzić. Łajba jest w bardzo dobrym stanie. Ktoś musiał zakopać ją całkiem niedawno. Kiedy to mogło się stać?

- Nie wiem. Żeby zakopać coś takiego, musieli używać koparki. - Tom przysłonił oczy dłonią i patrzył przez chwilę na zbocze. - Nie wiem, jak to mogło się stać.

- Jedno pytanie dręczy mnie jeszcze bardziej - mówił Moll. - Dlaczego. Dlaczego ktoś miałby zakopywać taki jacht? Musi być warty z pół miliona dolarów. - Splótł ręce na piersiach i przyglądał się łodzi. Teraz znajdowała się ona blisko domu, tuż obok podjazdu, umocowana na platformie. - Jestem pewien, że to domowa robota.

- Skąd wiesz?

- To oczywiste. - Wskazał na rufę. - Na kadłubie nie ma żadnych numerów identyfikacyjnych. Każda łódź powinna mieć takie numery, tak jak każdy samochód. - Wzruszył ramionami. - A tutaj tego nie ma.

- Może została zbudowana, nim jeszcze wprowadzono numery identyfikacyjne.

- Ten przepis obowiązuje od bardzo dawna.

Obmyli wodą z węża żagle i rozwiesili w szopie. Lśniły najczystszą bielą, bielą, która razi gdy

patrzeć na nią w pełnym słońcu. Wcale nie wyglądały tak, jakby kiedykolwiek zakopane były w ziemi.

Lasker ukrył się przed wiatrem we wnętrzu szopy i stał tam z rękami w kieszeniach, przyglądając się śnieżnobiałym płótnom. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jest właścicielem w pełni sprawnego jachtu. Dotychczas przez cały czas zakładał, że pojawi się ktoś, kto zażąda jego zwrotu. Lecz teraz, w tę cichą, szarą i zimną niedzielę, prawie po dwóch tygodniach od dnia, gdy wyciągnęli łódź z ziemi, po raz pierwszy poczuł się jej właścicielem. Na dobre i na złe.

Lasker nigdy nie żeglował, prócz kilku nielicznych okazji, kiedy to znajomi zabrali go na krótki rejs. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak sunie powoli z Ginn wzdłuż niskich pagórków na brzegu jeziora Winnipeg, w blasku zachodzącego letniego słońca.

Kiedy jednak wszedł na wzgórze i spojrzał na dół, z którego wyciągnęli jacht, zajrzał do tej otwartej rany po zachodniej stronie posiadłości i kiedy znów zadał sobie pytanie, kto mógł umieścić tutaj tak wielką łódź, nagle jego duszę jakby owionął zimny wiatr.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Bał się.

Reling rufowy wspierał się na kilkunastu podporach. One także nie były w żaden sposób przymocowane do pokładu, lecz stanowiły jego integralną część. Kiedy w przeddzień Halloween jakiś łowca pamiątek postanowił ukraść jedną, musiał ją odpiłować. Nikt nie widział, kiedy to się stało, jednak od tego czasu Tom wciągał łódź na noc do szopy i zamykał drzwi na kłódkę.

W połowie listopada Lasker miał polecieć swoim Avengerem do Oklahoma City na pokazy lotnicze. Ginny zazwyczaj towarzyszyła mu w takich podróżach, zajmując miejsce strzelca pokładowego. Na razie jednak miała dość nowych wrażeń i oświadczyła, że tym razem zostanie w domu. Dobrze wiedziała, że jacht wart jest sporo pieniędzy, i nie chciała zostawiać go zamkniętego tylko w zwykłej szopie.

- Cały świat wie, że on jest tutaj - powiedziała mężowi. Tom roześmiał się i przypomniał jej, iż większość ludzi zostawia jachty na podjeździe i jakoś nikt ich nie kradnie.

- No wiesz, przecież to nie samochód.

Obserwowała jego samolot, kiedy w piątek po południu wyleciał do Oklahoma. Pokiwał jej skrzydłami, a ona pomachała mu na pożegnanie - choć wiedziała, że i tak jej nie widzi - a potem wróciła do domu, by zająć się praniem.

Sześć godzin później odpoczywała na sofie, oglądając jakiś stary odcinek „Columbo” i wsłuchując się w wycie wiatru. Will gdzieś wyszedł, a Jerry siedział w swoim pokoju i grał na komputerze. Elektroniczne popiskiwanie i trzaski, dochodzące z jego pokoju, działały na nią kojąco, podobnie jak równomierny oddech śpiących dzieci, czy warkot miksera, w którym chłopcy robili sobie koktajle mleczne po powrocie ze szkoły.

Wstała podczas reklam, żeby przynieść sobie trochę popcornu. I wyjrzała za okno.

Choć księżyc nie świecił tej nocy, na zewnątrz było dziwnie jasno. Przybliżyła twarz do szyby, ponieważ okna zamknięte były na stałe z powodu zimnego, północnego klimatu. Nie otwierali ich nawet podczas krótkiego miejscowego lata. Szopa znajdowała się na zboczu, nieco poniżej domu.

Spomiędzy desek tworzących ścianę budynku wydobywał się delikatny, zielony blask.

Ktoś był w środku.

*Och, Hedy Lamarr to piękna dziewczyna,  
Madeleine Carroll też nie brak niczego,  
ale każdy pilot bez wahania powie,  
że za jedną rzecz oddałby je obie.  
Bo najładniejszy widok po tej stronie nieba,  
o którym piosenki śpiewać wszyscy chcą,  
to nie piękne buzie z Hollywood ślicznotek  
ale w zwartym szyku P-38.*

Autor nieznan, „Eskadra P-38”

SAMOLOT MYŚLIWSKI LOCKHEED „Grom” lśnił w blasku popołudniowego słońca. Był to żywy eksponat, część ogromnej maszyny wojennej wymierzonej przeciw Hitlerowi, drapieźny ptak, który wciąż mógł wlatywać pod niebo, wciąż wydawał się groźny. Podwójna belka ogonowa, wąski, klinowaty kokpit i szerokie smukłe skrzydła szeptały wciąż o potędze. Lufy karabinów maszynowych umieszczone na dziobie pluły kiedyś potężną wiązką ognia. Siła rażenia tego myśliwca była większa i znacznie bardziej precyzyjna niż moc rozmieszczonych wzdłuż skrzydeł karabinów innych samolotów z tego okresu. Nikt nie chciałby się znaleźć na celowniku tej maszyny.

- Nie lata się nim łatwo - powiedział Max. P-38 była maszyną z charakterem; potrzebowała pilota, który gotów byłby połączyć się z jej geometrią. Pilota takiego jak Max. Pilota, który wyczuwałby przestrzeń poprzez skrzydła samolotu, jego lotki, zastrzały i kable.

- To nie ma znaczenia - odparł Kerr, wyciągając książeczkę czekową. - Nie zamierzam nim latać.

Kerr był wysokim, postawnym mężczyzną o zniszczonej, lecz interesującej twarzy. Wyglądał jak Bronco Adams, nieustraszony bohater jego własnych książek. Fikcyjny Bronco latał swym „Gromem” nad całymi Chinami podczas drugiej wojny światowej. Jego mroźące krew w żyłach przygody i liczne romanse wypełniały niemal bez reszty powieści autorstwa Kerra. Kerr pisał stylem, który lubił określać jako przynależny do szkoły literatury zwanej „jedna heca po drugiej”. Nic więc dziwnego, że chciał mieć na własność jeden z nielicznych P-38, jakie pozostały jeszcze na świecie.

- Nie zamierza pan nim latać? - spytał Max, podejrzewając, że się przesłyszał. - Przecież on jest w doskonałym stanie.

Kerr był znudzony.

- Ja w ogóle nie latam - oświadczył.

Max czytał trzy jego powieści: „Żółtą nawałnicę”, „Noc w Szanghaju” i „Niebo nad Birmą”. Ogromnie mu się podobały. Przeczytał je jednym tchem, a szczególne wrażenie wywarły na nim dokładne i wiarygodne opisy lotów i walk powietrznych.

- To prawda - pokiwał głową Kerr. - Wymyślam wszystko. To całkiem łatwe.

Max wpatrywał się oglupiałym wzrokiem w swojego rozmówcę. Za jego plecami widniała wielka biało-niebieska gwiazda, wymalowana starannie na kadłubie samolotu. Cały myśliwiec został niedawno pomalowany w zielono-brunatne barwy ochronne. W pobliżu kokpitu znajdowało się także wyrysowane starannie oznaczenie „K-9122”, powyżej zaś nazwa maszyny, „Biały Grom”, i wizerunek butelki whisky. W 1943 ten właśnie samolot stanowił część wyposażenia dywizjonu współpracującego z RAF-em i patrolował niebo nad Londynem. Później eskortował bombowce

podczas nalotów na Niemcy; ze względu na wyjątkowo duży zasięg i siłę rażenia doskonale nadawał się do tego typu zadań. W 1944 roku przeniesiony został nad Pacyfik.

Późniejsze losy „Białego Gromu” były dość zmatwane. Max odszukał go, badając dokładnie dokumenty Sił Powietrznych amerykańskiej armii, potem przeprowadzał wywiady z pilotami i personelem naziemnym. Wszystkie informacje zgromadził w komputerze i zapisał na dyskietce, którą teraz podał Kerrowi.

- Tutaj jest wszystko, co udało mi się znaleźć. Piloci. Kampanie. Zwycięstwa. Osiem strąconych myśliwców. I dwa bombowce „Heinkel”.

- Dobra. - Kerr zbył tę informację machnięciem ręki. - Nie będę tego potrzebował. - Wyciągnął z kieszonki złote pióro i rozejrzał się dokoła, szukając jakiegoś prowizorycznego pulpitu. Lewa belka ogonowa. - Kto ma być odbiorcą tych pieniędzy? Pan?

- Firma Sundown Aviation. - Firma Maksa, która zajmowała się wyszukiwaniem i renowacją samolotów z czasów drugiej wojny światowej.

Kerr wypisał czek. Czteryście tysięcy. Zysk firmy wyniesie sto dwadzieścia pięć. Całkiem niezłe. Czek był zielony. Przedstawiał wizerunek P-38 Bronco Adama w locie. Max złożył cenny paperek na pół i włożył do kieszeni na piersiach.

- Chce pan wstawić go do muzeum? - spytał. Kerr był zaskoczony tym pytaniem.

- Nie - odparł. - Nie oddam go do muzeum. Będzie stał na trawniku przed moim domem.

Max poczuł dziwny kłucie w brzuchu.

- Na trawniku? Panie Kerr, na świecie jest tylko sześć egzemplarzy tego samolotu. Ten jest całkowicie sprawny. Nie może pan tak po prostu postawić go na trawniku.

Kerr wyglądał na szczerze ubawionego.

- Wydaje mi się - odparł z uśmiechem - że mogę z nim zrobić, co tylko zechcę. Czy możemy powrócić do interesów i zamknąć już tę sprawę? - Spojrzał na plik dokumentów, które trzymał w dłoni Max.

Bohater książek Kerra był sympatycznym, dowcipnym i bardzo zwyczajnym człowiekiem. Pokochały go miliony czytelników, którzy twierdzili zgodnie, że pisarz wyniósł powieści o lotnictwie na całkiem nowy poziom. Teraz Max zrozumiał, że ten sam człowiek jest idiotą. Jak to było możliwe?

- Jeśli postawi go pan na trawniku - zaczął powoli - będzie mókł na deszczu. Zardzewieje. - W rzeczywistości chciał powiedzieć, że taki samolot zasługiwał na lepszy los, że nie powinien być tylko ozdobą w ogrodzie jakiegoś bogacza.

- Jeśli rzeczywiście tak się stanie, zadzwonię do pana i poproszę, żeby pan go odremontował - odpowiedział Kerr. - A teraz jeśli pan pozwoli, dobijemy targu i pożegnamy się. Mam jeszcze sporo pracy na dzisiaj.

Jakiś samolot pasażerski okrążył lotnisko, szykując się do lądowania. Białoczerwony kadłub maszyny był doskonale widoczny na tle błękitnego nieba.

- Nie - oświadczył nagle Max, wyciągając czek z kieszeni. Podał go Kerrowi. - Nie sądzę.

- Słucham? - zmarszczył brwi Kerr.

- Nie sądzę, byśmy dobili targu. Nie sprzedam panu tego samolotu.

Dwaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Kerr wzruszył ramionami.

- No cóż, może ma pan rację, panie Collingwood - powiedział. - Janie i tak nie podobał się ten pomysł.

Pisarz obrócił się na pięcie, przeszedł po żwirowej ścieżce i zniknął we wnętrzu terminalu, nie spoglądając nawet na Maksa. Ten mógł się tylko domyślać, kim jest Janie.

Max pochodził z rodziny pilotów wojskowych. Collingwoodowie latali nad Bagdadem i nad Hanoi. Byli na USS „Hornet” na Pacyfiku i walczyli wspólnie z RAF-em wiosną 1940. Nazwisko Collingwood widniało na liście pilotów dywizjonu „Ringed Hat” z 1918 roku.

Max był jednak wyjątkiem. Nie pociągał go żywot żołnierza ani perspektywa śmierci na polu walki. Jego ojciec, pułkownik (w stanie spoczynku) Maxwell E. Collingwood z Sił Powietrznych USA, starał się ukryć rozczarowanie, jakie sprawił mu jedyny syn. Max jednak wiedział, co odczuwa ojciec, i nie raz słyszał, jak ów głośno rozważał czy całe to bajdurzenie o genach ma sens.

Młody Max powinien był wyssać miłość do wojaczki i bohaterskich czynów z mlekiem swej matki, Molly Gregory, będącej niegdyś pilotem izraelskiego helikoptera. Podczas wojny sześciodniowej koledzy nadali jej przydomek Molly Glory, po tym jak ostrzelała baterie artylerii przybrzeżnej, eskortując uszkodzony okręt.

Molly zachęcała go, by trzymał się z dala od wojska. Max wiedział, że chodzi jej głównie o jego bezpieczeństwo i dlatego właśnie, paradoksalnie, czuł się zraniony jej aprobatą. Mimo to w pełni cieszył się życiem. Uwielbiał grę zmysłów, towarzystwo atrakcyjnych kobiet, nauczył się też doceniać piękno zachodów słońca czy burz śnieżnych. Wiedział, że tylko raz dano mu szansę posmakowania wszystkich tych przyjemności, i nie zamierzał jej utracić wyłącznie dlatego, by spełnić czyjeś oczekiwania. Max potrafił zadbać o siebie.

Jeśli kiedykolwiek wątpił w siłę swojego charakteru, to podejrzenia owe znalazły potwierdzenie pewnego jesienno dnia w Fort Collins, kiedy miał dwadzieścia dwa lata. Pracował jako pilot w liniach lotniczych Wildcat Airlines. Przewoził towary i pasażerów do Denver i Colorado Springs. Było to zimne, listopadowe popołudnie, Max przeprowadzał przegląd techniczny swojego dwusilnikowego Arapaho. Stał właśnie pod skrzydłem, kiedy do lądowania zaczął podchodzić samolot pasażerski. Nigdy nie potrafił zrozumieć, co przyciągnęło wtedy jego uwagę, stanął jednak w bezruchu i obserwował lądowanie maszyny. Słońce wisiało jeszcze nad górami. Błękitno-biały dwusilnikowy „Bolo” obniżył lot i przysiadł miękko na pasie. Max dojrzał w oknie po prawej stronie kadłuba uśmiechniętą twarz dziewczynki o ciemnych kręconych włosach. Samolot zwolnił i zbliżał się już do terminalu, kiedy nagle nad lewym skrzydłem pojawiła się smużka dymu. Po kilku sekundach cały lewy silnik stanął w płomieniach.

Przerażony Max ruszył naprzód. Ogień musiał też dostać się do przewodu paliwowego, gdyż płomienie przecięły skrzydło na pół i objęły kokpit pilota, nim ten zdążył zareagować. Mała uśmiechnięta dziewczynka nie wiedziała nawet, co dzieje się za jej plecami.

Jakiś człowiek w białej koszuli i poluzowanym krawacie wypadł z terminalu i ruszył biegiem do samolotu. Był jednak za daleko. Ogień huczał już nad zbiornikami z paliwem. Max zrobił tylko kilka kroków i zatrzymał się, zrozumiał, że nie ma żadnych szans. Stał nieruchomo, czekając na eksplozję, wiedząc, że jest już za późno, niemal błagając w myślach, by już nadeszło to ostateczne uderzenie.

Dziewczynka obserwowała go przez cały czas. W końcu i ona dostrzegła ogień. Uśmiech zniknął z jej twarzy i ponownie spojrzała na Maksa.

Nigdy już nie mógł zapomnieć tych oczu. Potem przemknął obok niego mężczyzna w białej koszuli, stukając butami o betonowy pas. Max krzyknął doń, że nie zdąży, że zginie w płomieniach. Mężczyzna dopadł do samolotu, otworzył drzwi jednym szarpnięciem i wskoczył do środka. Dziewczynka wciąż patrzyła na Maksa. Potem czyjeś ręce oderwały ją od okna.

I wtedy nadeszła ta chwila.

Samolot zamienił się w ogniastą kulę. Fala rozpalonego powietrza ogarnęła Maksa, kiedy ten



rzucił się twarzą na ziemię.

Od tej chwili wiedział już, kim jest.

Ludzie zazwyczaj dopiero z perspektywy czasu rozumieją, jakie wydarzenia odegrały w ich życiu znaczącą rolę. Krótki spacer do księgarni w śródmieściu owocuje spotkaniem, które kończy się przed ołtarzem. Jedyna taksówka w środku nocy zmusza cię do podróży z nieznajomym, który staje się przyjacielem, a po dwóch latach oferuje niezwykłą karierę. Nigdy nie wiadomo.

Max dotarł do takiego punktu zwrotnego wkrótce po wypadku w Fort Collins, kiedy zaplanowany weekend z uroczą kobietą nie doszedł do skutku. Przyjaciele namówili go, by nie marnował pięknej niedzieli i wybrał się z nimi na pokaz samolotów z drugiej wojny światowej. Właśnie tam Max poznał Toma Laskera i jego szturmowiec „Avenger”.

Lasker był pilotem i farmerem, właścicielem kilku tysięcy arów położonych przy granicy z Kanadą. Właśnie kupił na aukcji „Avengera” i zaczynał tego żałować, kiedy natknął się nań Max. Zobaczył najpierw samolot, a potem wielkiego ogorzałego mężczyznę, który siedział na krześle obok maszyny i wpatrywał się w nią uporczywie z ponurym grymasem na twarzy.

„Avenger” rzeczywiście nie był w najlepszym stanie. Kołysał się lekko na uszkodzonym podwoziu, farba odpadała zeń wielkimi płatami. Jednak w jakiś nieokreślony sposób wzruszał Maksa. W głębi serca młody Collingwood był romantykiem, a „Avenger” wydawał mu się prawdziwym okrucieństwem historii, niebezpiecznym, pięknym i zagrożonym. To było pierwsze spotkanie Maksa ze starym samolotem. I to właśnie spotkanie już na zawsze odmieniło jego życie.

- Przydałoby się go trochę podreperować - powiedział do Laskera.

- Zdaje się, że nieco mnie poniosło - odparł ten, nie odwracając się od samolotu.

W ten właśnie sposób Max zajął się odnawianiem starych samolotów. Podpisał z Laskerem umowę i kilka następnych tygodni poświęcił renowacji „Avengera”. Porozumiał się ponownie z Laskerem i podpisał osobny kontrakt na wymianę silnika i hydrauliki. Zainstalował najnowocześniejszy system elektroniczny, odmalował cały samolot i zaopatrzył go w nowe insygnia. Na kadłubie i skrzydłach „Avengera” błyszczały dumnie białe gwiazdy. Kiedy Max przyleciał do Fort Moxie, by oddać samolot właścicielowi, ściągnął cały tłum gapiów.

Z zalem rozstawał się ze swym pierwszym dziełem. Lasker był zadowolony z rezultatu i obdarzył go hojnym napiwkami. Jego żona, Ginny, przyszła z nim na lotnisko i wpadła w zachwyty, kiedy zobaczyła, czego dokonał Max. To zapewniło jej stałe miejsce w sercu młodego pilota. Ginny pozowała do zdjęć na tle samolotu, a potem koniecznie chciała wybrać się na krótką przejażdżkę. Lasker uległ jej i zabrał na półgodzinny lot nad miastem, podczas gdy Max czekał na nich w biurze. Kiedy wylądowali, wrócili na farmę, gdzie Ginny podjęła ich wspianiałą kolacją. Pili i rozmawiali do późnej nocy. Max spał potem w pokoju gościnnym, tak jak miał to czynić jeszcze wiele razy.

Od tego czasu zajmował się odrestaurowywaniem starych samolotów.

Pułkownik i Molly Glory zaaprobowali ten wybór.

\*\*\*

Max leciał przez grubą warstwę chmur, zmierzając w stronę lotniska Chellis Field przy Fargo. Powoli zapadał już zmrok. P-38 wydawał mu się cudowną maszyną, maszyną spoza tego świata. Wiedział jednak, że stracił właśnie duże pieniądze, i że jego firma będzie musiała zaczynać od nowa proces sprzedaży. Nie przypuszczał, by inny kontrahent zaoferował równie korzystne warunki.

Max uważał się jednak bardziej za artystę niż biznesmena. Jego sztuka w równej mierze łączyła się z potęgą latania i wolnością, jak i wystrojem kokpitu czy kształtem znaków rozpoznawczych.

Samoloty z Sundown nie były przeznaczone do powolnej śmierci na czyimś trawniku. (Nie przepadał też za muzeami, ale tam przynajmniej ludzie mogli podziwiać stare maszyny i ich dokonania).

A niech tam, do diabła. Może nie rozegrał tego najlepiej, ale przynajmniej owego wieczora jeszcze raz zasiadł za sterami „Gromu”.

Oczywiście zainstalował nowoczesny system nawigacyjny, dzięki czemu już na kilka mil przed lotniskiem mógł ustawić się dokładnie wzdłuż pasa. Przy znaku trzymilowym samolot leciał na wysokości pięciuset stóp. Max przymknął przepustnicę i wypuścił klapy. Migotanie lampki na desce przyrządów poinformowało go, że podwozie jest już wysunięte. Światła lotniska zbliżały się doń coraz szybciej. Delikatnie pchnął drążek do przodu. Tuż nad ziemią całkowicie zamknął dopływ paliwa i poderwał dziób do góry. Samolot zawisł na moment w powietrzu, a potem koła delikatnie dotknęły płyty lotniska.

Firma Sundown Aviation posiadała własny hangar, w którym mieściły się także biura. Max podkołował pod hangar, otworzył zdalnie sterowane drzwi i wjechał do środka. We wnętrzu stały jeszcze dwa samoloty, nad którymi pracowała obecnie firma; północnoamerykański Mustang P-51 i P-57 Thunderbolt. Thunderbolt należał do dyrektora stacji telewizyjnej w Arizonie.

Max zamknął hangar i wyskoczył z samolotu, uśmiechając się pod nosem. Wyobrażał sobie, jak zareaguje jego mechanik, kiedy wejdzie rankiem do hangaru i zobaczy tam „Groma”. Po chwili był już w biurze. Stella nie wyłączyła ekspresu, więc Max nalał sobie filiżankę i rozsiadł się wygodnie za biurkiem.

Odsłuchiwał dwa telefony z automatycznej sekretarki. Najpierw nagrał się dostawca części zamiennych, potem dzwoniła Ginny Lasker.

- Max - mówiła do niego z głośnika - proszę zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz mógł.

Jej głos wydawał się dziwnie niespokojny. Nawet wyczuwał w nim strach. Podniósł słuchawkę, odłożył ją jednak na miejsce, kiedy usłyszał trzask otwieranych drzwi.

Ceil Braddock uśmiechnęła się doń od progu.

- Cześć, Max - powitała go i spojrzała nań z zaciekawieniem. - Co się stało? Nie dogadałeś się z tym pisarzem?

Ceil była właścicielką i jedynym pilotem przedsiębiorstwa transportowego Thor Air Cargo, które także korzystało z lotniska Chellis. Miała piękne niebieskie oczy, gęste ciemne włosy, olśniewający uśmiech i narzeczonego, nawigatora TWA z St. Paul. Max próbował z nią szczęścia, ale Ceil trzymała go na dystans. Potrafili nawet czasami żartować na ten temat. „Ty nie kochasz mnie”, mawiała Ceil, „kochasz Betsy”. Właśnie tak Max nazywał samolot C-47, który sprzedał Ceil trzy lata wcześniej. „Betsy” została okrętem flagowym Thor Air Cargo i rozwoziła towary po całych Stanach i Kanadzie. Ceil posiadała już w swej flocie trzy samoloty i starała się o czwarty.

Od czasu do czasu latała „Betsy” na pokazy lotnicze, a kiedyś nawet wraz z Maksym dokonali tym samolotem heroicznego wyczynu. W Nowy Rok okolice Fargo nawiedziła potężna burza śnieżna. Służby medyczne nie nadążały do licznych wezwań, a na pewnej odległej farmie chłopiec uciął sobie rękę piłą elektryczną. Potrzebna była natychmiastowa pomoc. Max i Ceil przymocowali do podwozia „Betsy” płozy i polecili nią do Pelican Rapids. Wylądowali na północ od miasteczka, na powierzchni zamrożonego jeziora, odebrali chłopca i przetransportowali go do Fargo, gdzie lekarze przyszyli mu rękę. Max uśmiechnął się do niej.

- „Grom” był dla niego za dobry - powiedział.

Ceil wyglądała na zadowoloną. Wiedział, że ojcowska wręcz opiekuńczość, jaką darzył swe samoloty, znajdowała szczególne uznanie w jej oczach.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu mi się nie podobał.

Ceil podniosła dzbanek i napełniła drugą filiżankę.

- Rozmawiamy o dużych pieniądzach. Musiał być jeszcze jakiś inny powód.

- Właśnie, że nie - wzruszył ramionami Max. - Posłuchaj, na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy daliby się zabić, byle tylko mieć ten samolot. Nie muszę korzystać z pierwszej oferty.

- Nie sądzę, by którykolwiek z tych ludzi miał tyle pieniędzy co Kerr.

Czasami wydawało mu się, że ma u niej spore szansę. Przestał próbować jakiś rok temu.

- Może i nie - westchnął. - Prawdopodobnie nie.

Usiadła po drugiej stronie biurka, spróbowała kawy i skrzywiła się z niesmakiem.

- Powinieneś zaparzyć świeżą kawę. Max spojrzał na nią.

- Długo pracujesz.

- Lecę jutro do Jacksonville.

Max przypomniał sobie, że następnego dnia rozpoczynają się wielkie pokazy lotnicze na lotnisku Cecil Field. Domyślił się, że Ceil sprawdzała C-47.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Na piątkę. - Wstała z krzesła i odstawiała filiżankę na blat biurka. - Muszę iść.

Max skinął głową.

- Do zobaczenia kiedyś tam.

Ceil patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem wyszła. Słyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Cholera.

Nacisnął guzik, pod którym zakodowany był numer Laskerów i czekał na sygnał. Po kilku sekundach Ginny podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć Ginny. Co się dzieje? Nic ci nie jest?

- Nie. Dziękuję, że dzwonisz Max. - W jej głosie wciąż było napięcie. - Jestem cała i zdrowa. -

Zawahała się na moment. - Jednak dzieje się tutaj coś dziwnego.

- Co?

- Nie zawracałabym ci głowy, ale Tom poleciał do Titusville i nie mogę się z nim skontaktować.

- Dlaczego chcesz się z nim skontaktować? Co się dzieje?

- Słyszałeś już o łodzi, którą tu znaleźliśmy?

- O łodzi? Nie. Gdzie ją znaleźliście?

- Tutaj. Na farmie.

Max przywołał w myślach obraz farmy Laskera, ogromne połacie suchego łądu.

- Przepraszam cię Ginny, ale chyba nie całkiem cię zrozumiałem.

- Znaleźliśmy łódź, Max. Wykopaliśmy ją. Była zakopana, ukryta pod ziemią.

- Żartujesz.

- Max, nie mówię o zwykłej łodzi wiosłowej. To jest jacht. Pokazywali go w telewizji.

- Zdaje się, że dość rzadko oglądam ostatnio telewizję.

- Dziś wieczorem wyjrzałam przez okno i zobaczyłam światło w szopie. To ten jacht.

- Jacht jest oświetlony?

- Tak. Jacht jest oświetlony.

- Więc ktoś wszedł do szopy i włączył światło? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- Szopa jest zamknięta. Nie przypuszczam, by ktokolwiek nawet dotknął tej łodzi. Wydaje mi

się, że światła włączyły się same. To jakieś dziwne lampy, długie, zielone, osadzone w dziobie.

Max wciąż nie był pewien, czy dobrze zrozumiał Ginny.

- Kto zakopał ten jacht?

- Nie wiemy. O ile nam wiadomo, nikt nie mógł tego zrobić. Przynajmniej ostatnio. - Głos Ginny drżał.

- Chcesz, żebym tam przyleciał? - Zawahała się na moment i to było już wystarczającą odpowiedzią. - Już wychodzę - powiedział.

- Dzięki - odetchnęła Ginny z ulgą. - Will będzie czekał na ciebie na lotnisku.

*Tutaj, na cichym krańcu świata.*

Alfred Tennyson, „Tithonus”

PRZYNAJMNIEMIAŁ JAKĄŚ wymówkę, by znów przelecieć się „Gromem”.

Fort Moxie znajduje się jakieś sto pięćdziesiąt mil na północ od Fargo. Niebo pokryte było chmurami, a na tle ciemnego krajobrazu migotały tylko światła rozrzuconych po równinie domów czy odległych samochodów.

Siedząc w kabinie samolotu, Max czuł się jakby odłączony od swego normalnego życia. Zdawało się, że wszystkie codzienne sprawy i problemy w rzeczywistości służyły tylko temu, by mógł choć na chwilę oderwać się od ziemi. Jednostajny pomruk silników wypełniał noc. Max myślał o tym, co czuł pilot prowadzący tę maszynę nad grupą bombowców podczas nalotu na niemieckie miasta. Wyobrażał sobie, jak naciska guziki spustowe karabinów, naprowadza pociski smugowe na ME-109, który po kilku sekundach zamienia się w ognistą kulę.

Uśmiechał się do siebie, kiedy wylądował na lotnisku międzynarodowym w Fort Moxie. Will Lasker czekał na niego w czarnym fordzie kombi. Chłopiec miał na sobie kurtkę z symbolem jakiejś drużyny futbolowej. Wydawał się mocno zakłopotany.

- Przykro mi, że musiałeś lecieć taki kawał drogi, Max - powiedział. - Sam chyba rozumiesz, że nie boimy się światła, ale wiesz, jakie są kobiety.

Max skinął głową i wrzucił swoją torbę do bagażnika.

Will opowiedział mu po drodze, jak znaleźli łódź, opisał ją dokładnie, wspominał o dziesiątkach gości, którzy przyjeżdżali codziennie na ich farmę.

- Sporo ludzi myśli, że to my zakopaliśmy jacht.

- Chyba wiem, dlaczego tak myślą - mruknął Max.

Will bardziej pochylił się nad kierownicą. Samochód opuścił już Fort Moxie i sunął przez ciemną prerię.

- Ciekawe, skąd im to przyszło do głowy - mówił Will, jakby nie słyszał słów Maksa. - Przecież gdybyśmy mieli taką łódź, wywieźlibyśmy ją nad jezioro, a nie zakopywali.

Max nie bardzo wiedział, czego się spodziewać po przybyciu na farmę. Podejrzewał, że zobaczy tam jakąś przegniłą łajbę, obwieszoną zielonymi latarenkami. Dlatego też nie był zupełnie przygotowany na widok, jaki ukazał się jego oczom, kiedy Ginny otworzyła wrota szopy.

- Mój Boże - wyszeptał. - To chyba jakiś żart.

Nawet w świetle zwykłych żarówek jacht wyglądał imponująco. Will miał rację; jego miejsce było na jeziorze Winnipeg, a nie w starej szopie pod Fort Moxie.

Ginny jakby czytała w jego myślach.

- Nie mamy pojęcia, skąd się tutaj wziął - powiedziała. - Najmniejszego.

Jacht ustawiony był na platformie. Główny maszt, zaopatrzony w zawiasy, został złożony. Pod ścianą leżały zwoje śnieżnobiałego płótna.

- To żagle - wyjaśniła Ginny, śledząc jego spojrzenie.

Do nozdrzy Maksa dotarł wilgotny, zwierzęcy zapach. Dopiero teraz zorientował się, że w zagrodach z tyłu budynku stoją konie. Dostrzegł też podłużną lampę przypominającą kształtem kroplę wody, zawieszoną na dziobie jachtu. Jednak ani ta lampa, ani jakakolwiek inna część łodzi nie świeciła. Szeroki i gruby kil biegł wzdłuż całej długości kadłuba. Na rufie umieszczone zostało koło

sterownicze. Max przypuszczał, że drugie znajduje się w kabinie sternika, tuż przed kokpitem. Na dziobie, pod lampą widniały czarne, pajęczaste znaki, nie przypominające żadnych liter, jakie kiedykolwiek widział w życiu.

- Wyłączyłaś je? - zapytał. - Te lampy?

- Nie całkiem - odparła Ginny i zgasiła żarówki oświetlające łódź.

Szopę ogarnęły ciemności; nieprzeniknione, całkowite, niemal namacalne. Konie parskały, zaniepokojone.

- Ginny? - spytał, nie rozumiejąc.

- Czekaj.

Nagle dostrzegł jakiś słaby blask. Dziwny, fosforyzujący, rozproszony i jakby posrebrzany, podobny nieco do światła księżyca skrytego za cienką warstwą chmur. Blask przybierał na intensywności. Był zielony, świeżą zielenią trawnika po wiosennym deszczu, oceanu tuż pod powierzchnią wody, gdzie załamuje się słoneczne światło. Tajemnicza poświata przenikała zagrody, oświetlała widły i motyki, rzucała cienie traktora i żłobów na przeciwległą ścianę. Max wpatrywał się w to światło jak oglupiały, zrozumiałwszy wreszcie, dlaczego Ginny była taka wystraszona.

- Po drugiej stronie jest jeszcze jedno. Białe.

- Światła pozycyjne - pokiwał głową Max. - Ale coś mi nie pasuje. To jest lewa burta. Światło powinno być czerwone.

- Nie wiem.

- Jasne. Czerwone na lewej, zielone po prawej. - Przeszedł na drugą stronę i spojrzał na białe światło. - Białego w ogóle nie powinno tu być. - Dotknął dzioba. Był miły w dotyku, niczym rzeźbiony mahoń albo skóra. Odwrócił się do Ginny. - Czy to jest bardzo stare?

Kobieta wyrzuciła ręce do góry w geście irytacji.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Max skrzyżował ręce na piersiach i obszedł łódź dokoła. Pytanie zasadnicze brzmiało według niego następująco: Dlaczego ktokolwiek chciałby zakopać taki jacht?

- Nikt się do niego nie przyznaje? - Nie.

- Jest w idealnym stanie. - Przyglądał się w milczeniu błyszczącej powierzchni kadłuba, wypolerowanym masztom i jaskrawozielonemu pokładowi. Podeszedł do półek, na których leżały zwinięte żagle. Dotknął ich ostrożnie. Nie przypominały zwykłego płótna żaglowego.

- Wyflukaliśmy je - powiedziała Ginny.

- Nie mogły leżeć w ziemi zbyt długo.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, by ktokolwiek zakopał je tutaj, odkąd ja zamieszkałam na farmie.

Max spojrzał na nią z niedowierzaniem. Ginny sprowadziła się do Fort Moxie przed kilkunastu laty.

- Co jest w środku? Znaleźliście jakieś ciała?

- Myśleliśmy o tym samym. Nie, nie znaleźliśmy żadnych ciał ani żadnych narkotyków.

- A co z numerem identyfikacyjnym? Powinno być coś, co mogłoby was zaprowadzić do poprzednich właścicieli.

- Jeśli rzeczywiście jest coś takiego, to nie udało nam się jeszcze tego odnaleźć. - Stała obok niego. - Max - mówiła przytłumionym głosem - ta łódź nie ma też silnika.

- Niemożliwe. Przecież jest śruba. - Zauważył, że jeden płat jest odłamany. - Przynajmniej była.

- Wiem. Śruba przymocowana jest do małej zielonej skrzynki. Nie możemy jej otworzyć, ale tak czy siak wcale nie wygląda to na silnik.

Ponownie włączyła światło. Max przyłożył dłonie do zielonej lampy i obserwował słabnący z każdą sekundą blask.

- Nie wiem dlaczego, ale trochę się boję - powiedziała Ginny. Skrzyżowała ręce na piersiach. - Max, co to jest?

Nie przypominało to żadnej łodzi, jaką kiedykolwiek widział.

- Wracajmy do domu - odparł.

Z prawdziwą ulgą oddalił się od niesamowitego jachtu i schronił w ciepłym, zwyczajnym domu. Ginny uparła się, by obaj jej synowie spali tej nocy na parterze, w salonie. Jerry przyjął tę propozycję z radością, zwłaszcza że sam był nieco przestraszony. Will zżymał się nieco, choć w rzeczywistości nie miał nic przeciwko.

- Zrób matce tę przyjemność - powiedział Max, nie wychodząc z roli twardziela, którą Will narzucił mu jeszcze na lotnisku.

Dzieciaki zgodziły się w końcu i wszyscy przygotowali sobie posłania w salonie. Ginny zostawiła zapalone światła w całym domu.

*Sunie przez mgliste oceany obarczony ładunkiem czasu i przestrzeni...*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

MAX NIE SPAŁ DOBRZE TEJ NOCY. Oczywiście przybrał maskę dobrotliwego rozbawienia i udawał, że nie przejmuje się wcale obawami Ginny, która zachowywała się tak, jakby jakiś demon zszedł z równiny i nawiedził jej dom. Jednak Max zaproponował, by zostawić na zewnątrz zapalone latarnie. Uważał, iż lepiej, by światło padające przez okna pochodziło z sześćdziesięciowatowych żarówek niż z jakiegoś cudacznego jachtu. Jednocześnie czuł się dumny, że Ginny właśnie do niego zwróciła się po pomoc.

Ale to nie obecność tajemniczego jachtu w szopie tak źle wpływała na jego sen. Było to raczej poczucie domu, rodziny jednoczącej się w potrzebie. Zznał tej atmosfery w czasach dzieciństwa, ale już nigdy jako dorosły. Lasker czasami pokpiwał sobie z jego kawalerskiego, pełnego przyjemności życia. Nigdy dwa razy z tą samą kobietą. Max dostosowywał się do tego tonu, bo właśnie takie były oczekiwania. Ale oddałby to wszystko, byle znaleźć sobie jakąś Ginny.

Rano udało im się wreszcie skontaktować z Tomem. Obawy i niepokoje z poprzedniego wieczora teraz wydawały im się wyolbrzymione. Ginny nie całkiem potrafiła wyjaśnić, dlaczego właściwie wezwała pomoc, ale Max czuł się jeszcze bardziej nieswojo w opuszczonym przez gospodarza domu.

- Nie chcę, byś pomyślał sobie, że się bałam - mówiła przez telefon do męża. - Ale naprawdę wyglądało to przerażająco. Najlepiej, gdybyśmy pozbyli się tej przeklętej łodzi.

Ginny przełączyła rozmowę na zewnętrzny głośnik, więc Max słyszał każde słowo Laskera. Tom nie mógł uwierzyć, że światła zapaliły się same, i kilkakrotnie pytał Ginny, czy jest tego pewna. Wreszcie dał za wygraną, choć Max był pewien, że nadal nie wierzy swej żonie - i nie uwierzy, dopóki nie zobaczy tego na własne oczy. Nie zamierzał też natychmiast pozbywać się jachtu.

- Nie należy podejmować pochopnych decyzji - mówił. - Najpierw musimy się dowiedzieć, co to właściwie jest. Możemy przykryć jacht płótnem, jeśli chcesz. Wtedy nie będziesz musiała na niego patrzeć.

Ginny spojrzała na Maksa.

- Nie sądzę, by to w czymś pomogło, Tom.

- Max - zwrócił się do niego Lasker. - Co o tym sądzisz? Domyślasz się, co to może być?

- Nie - odparł Max. - Nie mam pojęcia. Ale powiem ci jedno: łódź nie mogła długo leżeć w ziemi.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- W porządku - przemówił wreszcie Tom. - Słuchaj, mam tu jeszcze coś do zrobienia. Uwinę się jak najszybciej, a potem przylecę. Bądź w domu po południu.

Był to zimny, szary i ponury dzień, niosący zapowiedź deszczu, a może nawet śniegu. Kiedy jedli śniadanie, na farmę przybyło kilku gości, którzy dobijali się natarczywie do drzwi. Czy mogliby zobaczyć jacht? Ginny bez słowa sprzeciwu otworzyła szopę, podpięła przyczepę do traktora i wyciągnęła ją na zewnątrz. Tabliczki umieszczone na platformie ostrzegały oglądających, by niczego nie dotykali.

- Czemu się tak przejmujesz? - spytał Max, którego uwagę zajmował niemal bez reszty talerz z naleśnikami i bekonem. - Zamknij łajbę w szopie i będziesz miała spokój.



- Chętnie bym tak zrobiła - odparła Ginny. - Ale Tom uważa, że to byłoby nieuprzejme. Mówi, że jeśli ludzie przyjeżdżają tutaj aż z Fargo, żeby zobaczyć łódź, to powinni ją zobaczyć. - Wzruszyła ramionami. - Przyznaję mu rację, ale też zaczynam już mieć tego dość. Kiedy Max kończył jedzenie, na podjeździe pojawiły się kolejne samochody. - Pozostaje nadzieja, że w końcu ludzie się znudzą. Albo będzie za zimno, żeby wybierać się w taką długą drogę. Wszystko jedno. - Podniósł głowę i spojrzął w chłodne, niebieskie oczy Ginny. Wciąż była wystraszona, nawet w biały dzień.

- Max, bardzo chciałabym się tego pozbyć.

- Więc to sprzedaj. - Wiedział, że Ginny potrafi wpłynąć na swego męża.

- Tak pewnie zrobimy. Ale to zajmie sporo czasu. Nie wiem nawet, czy możemy uważać jacht za swoją własność.

Max skończył wreszcie naleśniki i sięgnął po następne. Zazwyczaj starał się zbytnio nie objadać, ale Ginny gotowała tak dobrze, że nie mógł oprzeć się pokusie.

- Zastanawiam się - mówił, krając naleśnik - czy tam jest zakopane coś jeszcze.

Ginny drgnęła, zaniepokojona.

- Mam nadzieję, że nie.

Max starał się ułożyć w myślach jakiś scenariusz, który tłumaczyłby całą tę historię. Wciąż myślał o mafii. Kto inny mógłby zrobić coś równie dziwnego? Może owa łódź była dowodem obciążającym winnych w jakimś procesie o morderstwo?

Ktoś zastukał do drzwi kuchennych.

Ginny wstała od stołu i otworzyła. Za progiem stała kobieta w średnim wieku, otulona w grube futro. Towarzyszył jej siwowłósy szofer.

- Pani Lasker? - spytała nieznajoma. Ginny skinęła głową.

Kobieta weszła do środka, rozpięła futro i dostrzegła Maksa.

- Dzień dobry, panie Lasker - powiedziała.

- Nazywam się Collingwood - odparł.

Kobieta uniosła tylko lekko brwi i odwróciła się do Ginny.

- Jestem Emma McCarthy - oświadczyła. Miała ostre, surowe rysy twarzy. Wyglądała na kogoś, kto lubi pochopnie osądzać bliźnich. - Chciałabym zapytać, droga pani, czy państwa jacht jest na sprzedaż. - Zamknęła za sobą drzwi, zostawiając szofera na zewnątrz.

- Och, nie sędzę - odparła Ginny. - Mój mąż bardzo go polubił. Chcielibyśmy trochę na nim popływać w przyszłym roku.

McCarthy skinęła głową i usiadła na najbliższym krześle. Gestem poprosiła Maksa, by nalał jej kawy.

- Doskonale to rozumiem. Myślałam o tym samym. Rzeczywiście łódź jest piękna.

Ginny napełniła filiżankę i podała ją gościowi.

- Na pewno chciałaby pani poznać też inne oferty - kontynuowała kobieta - ale mogę panią zapewnić, że nikt nie zaproponuje lepszej ceny. Może byłaby pani tak miła i pozwoliła mi obejrzeć ją z bliska. Chciałabym zobaczyć kabiny. I silnik.

Ginny usiadła po przeciwnej stronie stołu.

- Szczerze mówiąc, panno McCarthy...

- Pani - poprawiła ją nieznajoma. - Mój mąż, George, niech go Bóg ma w swej opiece, byłby ogromnie nieszczęśliwy, gdybym o nim zapomniała.

- Pani McCarthy - uśmiechnęła się lekko Ginny. - Z przyjemnością pokażę pani jacht. Jednak nie mogę jeszcze rozważyć pani oferty.

McCarthy zsunęła futro z ramion i pozwoliła, by opadło na poręcz krzesła. „Porozmawiajmy

teraz poważnie”, mówiła jej mina.

Max przeprosił obie panie i poszedł się pakować. Pomyślał, że czas już wracać do Fargo. Nie sądził, by byłby tu jeszcze potrzebny, skoro po południu miał wrócić Tom, a przed domem kręciło się mnóstwo ludzi. Z okien salonu widział kolejne samochody parkujące na podjeździe. Zaczynał padać deszcz. Pola otaczające zabudowania wydawały się szare i posępne. Ciągnęły się aż po sam horyzont.

Skąd wziął się tutaj ten jacht?

Żadnego numeru identyfikacyjnego. Żadnych tabliczek.

Żagle, które przebywały w ziemi ponad dwadzieścia lat, jak twierdziła Ginny. Czyste wariactwo. Wiedział, że to nie może być prawdą.

Postawił torbę przy drzwiach frontowych i wyszedł do szopy, by spojrzeć raz jeszcze na żagle. Leżały opakowane w foliowe pokrowce. Otworzył jeden z nich i wysunął kawałek płótna. Było śnieżnobiałe. I delikatne. Tkanina raczej nadawała się na miękką koszulę.

Kiedy wróciła Ginny, nie musiał jej nawet pytać, jak poszło. Była cała rozpromieniona.

- Ona zajmuje się tym samym co ty, Max - powiedziała. - Czy to nie zaskakujące? Tyle że odnawia łodzie, nie samoloty. - Podała mu wizytówkę. „Pequod, Inc.”, głosił napis. „Pani George McCarthy, dyrektor. Łodzie i jachty ze starych dobrych czasów”.

- Złożyła ci konkretną propozycję? Ginny otworzyła szerzej oczy.

- Tak! - wykrzyknęła, a jej głos przeszedł niemal w pisk. - Sześćset tysięcy dolarów! - Pochwyciła Maksa i uściśkała go tak mocno, że omal nie stracił równowagi.

Na podjeździe zatrzymała się furgonetka. Ktoś otworzył drzwi, odsłaniając grupę starszych ludzi, prawdopodobnie emerytów. Ci wahali się jednak, nie wiedząc, czy powinni wychodzić na deszcz.

Max pokręcił głową.

- Nie spiesz się zbytnio - powiedział.

- Co? Dlaczego nie?

- Bo prawdopodobnie to jest warte znacznie więcej. Posłuchaj Ginny, łodzie to nie moja specjalność. Ale nigdy nie należy spieszyć się w takich sprawach. - Wykrzywił twarz w ponurym grymasie. Nie miał pojęcia, jak traktować całą tę historię. - Nie sądzę, żebyś mogła wiele stracić, wstrzymując się z ostateczną decyzją. A być może, jeśli poczekaasz, wiele jeszcze zyskasz.

Ginny założyła kurtkę i oboje wyszli na werandę, gdzie stało już kilku turystów. Deszcz ledwie siąpił, ale było dość zimno.

- Ginny, masz jakieś zdjęcia? - spytał Max. - Zdjęcia jachtu?

- Pewnie.

- Mógłbym dostać kilka? I jeszcze jedno; chciałbym zabrać kawałek żagla, dobrze?

Spojrzała na niego niepewnie.

- Dobrze - odparła. - Ale po co?

- Chciałbym się dowiedzieć, z jakiego materiału są zrobione.

- Wyglądają na lniane.

- Też tak przypuszczam. Uśmiechnęła się do niego.

- Jasne, weź sobie kawałek. I powiedz mi, czego się dowiedziałeś. - Od zachodu nadciągała ciemna ściana deszczu.

Ginny zeskoczyła z werandy, podbiegła do traktora i uruchomiła silnik. Większość gości, widząc nadciągające chmury, postanowiła póki czas schronić się w samochodach.

Musiała wycofać przyczepę, by ponownie schować ją w szopie. Siedziała odwrócona w fotelu i

próbowała utrafić dokładnie między końskie zagrody, kiedy zatrzymała się nagle w pół drogi, wpatrzona w jakiś punkt.

- Max - przywołała go gestem. - Spójrz na to.

- Ale tam leje - zaprotestował.

Ginny jednak czekała na niego. Max westchnął, wbił ręce w kieszenie i przeszedł przez mokry, śliski trawnik.

- Co? - spytał, zniecierpliwiony. Ulewa przybierała na sile, uderzała weń, odpychała, zapierała dech w piersiach.

Ginny wskazywała na dziób, jakby w ogóle nie zauważała strug deszczu.

- Popatrz.

Posłusznie spojrział na łódź.

- Nie widzę niczego szczególnego.

- Nie wydaje mi się - mówiła szeptem Ginny - żeby ona w ogóle mokła.

Wokół jachtu unosiła się delikatna mgiełka, podobna do tej, jaka tworzy się nad powierzchnią ulicy w czasie deszczu. Max wzruszył ramionami.

- O co ci chodzi?

- Popatrz na traktor. Żadnej mgiełki.

No, może odrobina. Traktor został niedawno wypolerowany. Po błyszczącej powierzchni spływały wielkie woskowate krople.

Co innego z łodzią. Deszcz odbijał się od kadłuba, tworząc kolorową fontannę. Wyglądało to tak, jakby woda była odrzucana od łodzi.

\*\*\*

Godzinę później P-38J oderwał się od pasa startowego lotniska w Fort Moxie i wzbił w szare, wilgotne niebo. Max patrzył, jak małe lotnisko znika pod skrzydłami samolotu. Rękaw zawieszony nad jedynym hangarem wskazywał, że wiatr wiejący z południowego wschodu osiąga prędkość dwudziestu węzłów. Na północ od lotniska ciągnęła się mozaika niebrukowanych ulic, trawników i kęp drzew, poprzecinana drewnianymi płotami i przetykana bryłami domków jednorodzinnych. Ponad dachami domostw wznosiła się dumnie wieża ciśnień, ozdobiona nazwą miasteczka i mottem: „Dobre miejsce do dobrego życia”. Niedaleko toczyła swe zimne wody Czerwona Rzeka.

Leciał wzdłuż drogi numer 11 na zachód, prosto w deszcz, przelatywał nad ogromnymi polami zwiędłych słoneczników, które wkrótce miały zniknąć pod skibami zaoranej ziemi. Tylko jakaś ciężarówka i stado gęsi zmierzających na południe ożywiało ten nieruchomy krajobraz. Po chwili minął farmę Toma. Podjazd przed domem wydawał się już prawie pusty, a szopa zamknięta. Skręcił na południe.

Deszcz bił o poszycie samolotu. Niebo było szare i ciężkie od chmur. Spojrział do tyłu na prawą belkę ogonową, prozaiczną i solidną. Urządzenie napędowe składało się z dwóch chłodzonych cieczą silników Allison o mocy 1425 koni mechanicznych, „Biały Grom” został wyprodukowany sześćdziesiąt lat wcześniej przez Lockheed Aircraft Corporation z Seattle. On też był magiczny, jak ta łódź. Ale była to inna, rzeczywista magia, utrzymywana w powietrzu przez prawa fizyki. Na jednym i tym samym świecie nie było miejsca dla P-38J i zakopanego jachtu z działającymi światłami.

Na pewno nie.

Wzbił się na wysokość siedemnastu tysięcy stóp i obrał kurs na Fargo.

Max zostawił próbkę zagła w laboratoriach Colson Labs. Poprosił, by zbadano skład materiału

i, jeśli to możliwe, określono, gdzie został wyprodukowany. Pracownicy laboratorium obiecali mu, że otrzyma wyniki w przeciągu tygodnia.

Stell Weatherspoon pełniła w firmie Maksa obowiązki zastępcy dyrektora. Była to kobieta w średnim wieku, z lekką nadwagą i trójką dzieci. Miała bystre, niebieskie oczy i nieustannie kłóciła się ze swym byłym mężem, który co miesiąc zalegał z alimentami. W Sundown Aviation zajmowała się przede wszystkim prawną i administracyjną stroną wszystkich transakcji. Sporządzała kontrakty, grafiki pracy, wyszukiwała i zatrudniała podwykonawców. Była także zatwardziałą konserwatystką, która doskonale rozumiała różnicę pomiędzy ryzykiem a hazardem, i która starała się zawsze utemperować nieco kapryśny charakter Maksa. Gdyby brała osobiście udział w tej transakcji, Kerr byłby już właścicielem „Białego Gromu”. „Nie angażuj się emocjonalnie w interesy”, ostrzegała swego szefa od czasu do czasu. „Samoloty to maszyny, nie kobiety”.

Kiedy Max wszedł do biura Sundown, przywitała go ponurym spojrzeniem.

- Cześć, Max.

- On nie nadawał się na właściciela P-38. Stell przewróciła oczami.

- Naszym zadaniem jest renowacja i sprzedaż samolotów. Nie wyszukiwanie im domów.

- To był dureń - odparł Max. - Z takich pieniędzy nie przychodzi nic dobrego.

- Jasne. Posłuchaj, Max, świat pełen jest durniów. Wykluczając ich z grona naszych klientów, eliminujemy większość populacji.

- Męskiej populacji - poprawił ją Max.

- Ty to powiedziałaś.

Max zaczął przeglądać korespondencję.

- Byłem wczoraj przy granicy.

- Naprawdę? Po co?

- Właściwie sam nie wiem. Tom Lasker wykopał jacht na swojej farmie.

- Widziałam to w telewizji - skinęła głową Stell. - To farma Laskera? Nie wiedziałam.

- Tak. Spędziłem tam noc. - Max przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. - Potrzebuję twojej pomocy, Stell. - Otworzył swoją walizkę. - Ginny dała mi kilka zdjęć. - Podał jej sześć dużych fotografii.

- Jest w świetnym stanie - mruknęła Stell, przeglądając zdjęcia. - Biorąc pod uwagę, że leżał przez jakiś czas w ziemi... ,

- Też to zauważyłaś, co? Posłuchaj, chciałbym, żebyś dowiedziała się, kto to zrobił. Na kadłubie nie ma żadnych znaków identyfikacyjnych. Roześlij do różnych miejsc, do wytwórców, sprzedawców, importerów. I do Straży Przybrzeżnej. Ktoś na pewno będzie coś o tym wiedział.

- Dlaczego właściwie mamy się tym zajmować? - spytała.

- Bo jesteśmy ciekawscy. Bo twój szef chciałby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Zgoda?

- Jasne. Na kiedy chcesz to mieć?

- Jak najszybciej. Daj mi znać, kiedy uda ci się coś znaleźć. Max przeszedł do swojego biura i próbował skontaktować się z Morleyem Clarkem z Moorhead State.

- Profesor Clark jest obecnie na zajęciach - poinformował go nagrany na sekretarce głos. - Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

- Mówi Max Collingwood. Morley, prześlę ci faksem kilka zdjęć. Chodzi o dziwne napisy na kadłubie pewnego jachtu. Byłbym wdzięczny, gdybyś zidentyfikował ten język, a jeszcze lepiej przetłumaczył cały napis. Dzięki.

Eyrett Crandall wyszedł ze swego biura i osobiście zaprosił Laskera do środka.

- Widziałem wczoraj tę twoją łódź, Tom. Jesteś prawdziwym! szczęściarzem. - Ev był zawsze w mniejszym lub większym stopniu wymiętoszony; on sam i jego ubrania.

- Właśnie dlatego tutaj przyszedłem.

- Co się dzieje? Do kogo należy ta łódź?

- Nie wiem.

- Daj spokój Tom, musisz coś podejrzewać.

Biuro Eva zapchane było starymi książkami i kodeksami, na ścianach wisiały oprawione w drewno dyplomy i zdjęcia, z których większość wykonana została w czasie, gdy Ev pełnił obowiązki prokuratora okręgowego. Poczesne miejsce zajmowała wśród nich wspólna fotografia Eva i senatora Byrona Glassa z ostatnich obchodów Święta Niepodległości.

Lasker usiadł przy biurku.

- Ev - zaczął. - Mam już kupca.

- Na łódź?

- Tak. Czy mogę ją sprzedać?

Ev skinął głową, ale jego ciemne oczy mówiły „nie”. Zdjął okulary i zaczął przecierać je pomiętą chusteczką.

- Trudno powiedzieć - oświadczył.

- Znalazłem ją na moim terenie, więc powinna być moja, prawda?

Ev złożył ręce na kolanach i spojrzał na nie.

- Tom, gdybym zostawił samochód na twoim terenie, uznałbyś, że jest twój?

- Nie wiem - odparł Tom. - Pewnie nie.

- Czy ktoś próbował się już z tobą skontaktować? To znaczy, czy ktoś rości sobie prawa do tego jachtu?

- Nie. Nikt.

- Czy wykorzystałeś już wszystkie środki i sposoby, by ustalić, kto może być właścicielem?

- Ja mam to robić?

- A któż by inny? Posłuchaj, nie wiemy, czy łódź nie jest kradziona. Złodzieje ukryli ją w twojej ziemi. Nieważne z jakiego powodu. W takim wypadku musiałbyś zwrócić ją prawowitemu właścicielowi. - Ev był człowiekiem ostrożnym, wręcz wzorem ostrożności. Z dumą podkreślał, że nigdy nie podejmuje ostatecznych decyzji, dopóki nie pozna wszystkich faktów. Co oznaczało, że nigdy nie opowiadał się po którejś ze stron sporu.

- Jeśli dobrze rozumiem - ciągnął - chodzi tutaj przede wszystkim o intencje. Czy ten przedmiot został porzucony? Jeśli tak, mógłbyś uznać go za swoją własność. Wydaje mi się, że wówczas też mógłbyś bronić tego prawa w sądzie. Gdyby ktoś zechciał cię pozwać.

- Kto miałby mnie pozwać?

- Och, trudno powiedzieć. Na przykład krewny właściciela, który twierdziłby, że ten nie był w pełni władz umysłowych, kiedy porzucił łódź. Fakt, że została zakopana, mógłby stanowić silny argument dla poparcia takiego twierdzenia.

- Więc jak mam to ustalić?

- Zajmę się wszystkim, ale musisz dać mi trochę czasu. Tymczasem spróbuj ustalić, skąd ta łódź wzięła się na twoim polu.

*Antyki to pozostałości historii, które przypadkiem ocalały z wraków czasu.*

Francis Bacon, „O postępie nauki, II”

STELL ZAJMOWAŁA SIĘ poszukiwaniami przez trzy dni. Nikt nie potrafił zidentyfikować producenta. Znalazła dwa lub trzy podobne modele jachtów, jednak w niczym nie zmieniło to sytuacji. Max kazał jej poprzestać na tym, czego już się dowiedziała. Morley Clark nie miał pojęcia, co oznaczają symbole wymalowane na dziobie. Max nie zdołał go nawet przekonać, że sprawa jest poważna.

- Te litery - mówił Clark - nie należą do języka żadnego z uprzemysłowionych społeczeństw.

Napis składał się z jedenastu symboli, prawdopodobnie była to nazwa jachtu. Napisane zostały kursywą, co jeszcze bardziej utrudniało ustalenie właściwego ich kształtu. Max rozpoznał „o”, lecz nic poza tym.

Siedzieli w biurze Clarka, w kampusie Moorhead State. Na zewnątrz świeciło słońce, temperatura wahała się w granicach kilku stopni powyżej zera.

- To niemożliwe, Morley - powiedział Max. - Musiałeś coś przeoczyć.

Clark uśmiechnął się wyrozumiale. Był wysoki i szczupły, miał szerokie, umięśnione ramiona. Wyglądał raczej na atletę niż na naukowca.

- Zgadza się z tobą, Max. Tyle że nie bardzo wiem, co mogłem tu przeoczyć. Może wbrew opinii naukowców banki danych nie są jeszcze całkiem kompletne. Ale generalnie rzecz biorąc, sprawdziłem wszystko, czym obecnie dysponujemy. Ten twój napis nie ma żadnego odpowiednika. Kilka symboli może i dałoby się przyporządkować do różnych języków. Jeden przypomina pismo hinduskie, inny cyrylicę. Co oznacza, że to czysty przypadek. Jeśli połączysz razem kilka kresek i zakrętasów, zawsze wyjdzie ci z tego jakaś litera. - Spojrzał jeszcze raz na zdjęcia leżące na jego biurku. - Max, to jakiś żart.

Max podziękował Clarkowi i powrócił do Chellis Field, zastanawiając się, kto jest żartownisiem, a kto ofiarą żartu. Opanowywały go na przemian irytacja i lęk. To musiała być sprawka jakiegoś gangu. Na pewno.

Jechał drogą I-29, kiedy Stell zadzwoniła doń przez telefon komórkowy.

- Dzwonią do ciebie z laboratorium Colson. Mam połączyć? Już? Minęły dopiero dwa dni.

- Dobrze - zgodził się. - Dawaj ich. -Max?

-Tak?

- Zdaje się, że to coś bardzo ważnego. Telefon kliknął cicho.

- Pan Collingwood? - Głos kobiety. Stell miała rację: nieznajoma mówiła tak, jakby wbiegła właśnie po schodach na drugie piętro.

- Tak, przy telefonie. W czym mogę pani pomóc?

- Nazywam się Cannon. Dzwonię z laboratorium Colson. W związku z tymi próbkami, które zostawił pan u nas przedwczoraj.

-Tak?

- Przypuszczam, że w tej chwili nie jest pan w biurze?

- Będę tam za dziesięć minut - odparł Max. - Co ciekawego pani odkryła?

- Czy możemy się tam spotkać? - odpowiedziała pytaniem nieznajoma.

Była szczupłą Murzynką po trzydziestce. Z wizytówki wynikało, że jest dyrektorem jednego z laboratoriów w Colson. Miała miły uśmiech i wysokie kości policzkowe; otaczała ją aura z trudem skrywanego podniecenia. Ubrana była w granatowy kostium, a w dłoni trzymała skórzaną walizkę.

- Miło mi pana poznać, panie Collingwood - powiedziała, podając mu dłoń. - Jestem April Cannon.

Max wziął od niej płaszcz.

- Nie przypuszczałem, że tak szybko przekażą mi państwo rezultaty badań.

Jej uśmiech mówił, że łączy ich jakiś sekret. Usiadła po drugiej stronie biurka, trzymając walizkę na kolanach, i przyjrzała mu się badawczo.

- Przyznaję, że zazwyczaj nie dostarczam wyników osobiście - powiedziała. - Ale oboje wiemy, że ma pan tutaj coś niezwykłego.

Max skinął głową, jakby rzeczywiście doskonale o tym wiedział.

April spojrzała mu prosto w oczy.

- Skąd pan to ma?

Max zastanawiał się przez chwilę, czy powinien zachować tę wiadomość w tajemnicy. Ale, co tam, do diabła, przecież pokazywali jacht w telewizji.

- Leżało zakopane w ziemi, w pobliżu granicy.

- Mówi pan o jachcie? Tym, który znaleźli na farmie? Max przytaknął.

- Jacht. A niech mnie... - Jej spojrzenie nagle złagodniało. - Mogłabym go zobaczyć? - spytała.

- Oczywiście - odparł. - Wszyscy już tam byli. - Wydawało mu się, że jego nowa znajoma myślami jest w całkiem innym miejscu. - Co właściwie chciała mi pani powiedzieć?

- Pozwoli pan, że o coś zapytam - przemówiła nagle, jakby wcale go nie słyszała. - Czy zostawił pan te próbki w jakimś innym laboratorium?

-Nie.

- Świetnie. - Otworzyła walizeczkę, wyjęła z niej folder i podała Maksowi. - Zna się pan na chemii?

- Bardzo słabo.

- W porządku. Panie Collingwood...

- Myślę, że pójdzie nam znacznie szybciej, jeśli będzie mi pani mówić po prostu Max.

- Zgoda, Max. - Uśmiechnęła się, nie patrząc na niego. - Colson to mały ośrodek. Wykonałam wszystkie badania sama. Prócz mnie nikt o tym nie wie.

- Nie wie o czym?

W milczeniu wskazała na folder.

Max otworzył go i spojrzał na rząd niezrozumiałych symboli.

- Może zechciałabyś mi wytłumaczyć, co to znaczy. April rozejrzała się po biurze.

- Czy ktoś może podsłuchać naszą rozmowę? Tym razem Max naprawdę się zaniepokoił. -Nie.

- Dobrze. Ten materiał to sztuczne włókno. Jest bardzo cienkie, plecione. - Zniżyła głos niemal do szeptu. - Liczba atomowa pierwiastka, z którego zostało wykonane, wynosi sto sześćdziesiąt jeden. To pierwiastek transuranowy.

- Co to jest „pierwiastek transuranowy”?

- Sztucznie wytworzony.

- Czy to stanowi jakiś problem?

- Max, tutaj są tego ogromne ilości. Niedawno stworzyliśmy nowy pierwiastek transuranowy, tak nowy, że nie ma jeszcze nazwy. Jego liczba atomowa wynosi sto dwanaście. To szczyt naszych

obecnych możliwości. Ale ten materiał... - Pokręciła głową. - W ogóle nie powinien istnieć.

- Więc co to właściwie oznacza?

Na twarzy April malowało się ogromne napięcie.

- Nikt nie potrafi wyprodukować takiego materiału. A gdyby nawet ktoś miał takie możliwości i na tyle zaawansowaną technologię, by to wykonać, ów pierwiastek powinien być niestabilny. I bardzo gorący.

- Gorący? Chcesz powiedzieć, że jest radioaktywny? - Max zaczął się zastanawiać, ile czasu spędził w pobliżu żagli.

- Tak. Powinien być radioaktywny. - Wyjęła z walizki resztki próbki i przystawiła ją do lampy.

- Ale nie jest. Może na tych poziomach pierwiastki nie są już radioaktywne. Nie wiem. Nikt tego nie wie.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Tak. Oczywiście, że jestem pewna.

Max wstał i podszedł do okna. Jakaś cessa dotykała właśnie kołami pasa.

- Chyba nie rozumiem do końca, co chcesz mi powiedzieć. April milczała przez długą chwilę.

- Ktoś - powiedziała wreszcie - gdzieś dokonał technologicznego skoku. Ogromnego skoku.

- Dobrze - zgodził się Max. - Czy to takie ważne?

- Max, nie mówię o zwyczajnym postępie. Mówię o latach świetlnych. To w ogóle nie powinno być możliwe.

Max wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej jednak jest.

April znów odbiegła gdzieś myślami.

- Najwyraźniej - powiedziała cicho.

- Jakie więc mogą być tego konsekwencje? Czy to może mieć wartość handlową?

- Och, bez wątpienia. Te elektrony są niezwykle stabilne. Niezwykle. Zrobiłam już kilka testów.

Pierwiastek nie współoddziałuje z innymi.

- Nadal nie rozumiem.

- Ów materiał jest praktycznie niezniszczalny. W to Max nie mógł już uwierzyć.

- Niemożliwe. Przecież odciąłem kawałek żagla zwykłymi nożyczkami.

April pokręciła głową.

- Miałam na myśli co innego. Oczywiście, że można je przeciąć czy zgnieść. Ale nie będą niszczyć. Nie rozpadną się same z siebie. - Przyglądała mu się bacznie, próbując ocenić, czy wie więcej, niż jej mówi. - Myślisz, że gdybym tam dzisiaj pojechała, pozwoliliby mi obejrzeć jacht?

- Jasne - odparł. - Jeśli chcesz, mogę do nich zadzwonić. - Pewna myśl, która błędziła gdzieś w jego umyśle, nagle nabrała konkretnych form. - Powiedziałaś, że to nie niszczy? Ile lat może mieć ta próbka?

- Nie wiem, jak można to sprawdzić - odparła. - Nie w przypadku takiego materiału. Nie wiem, czy w ogóle da się to określić. - Podniosła się z krzesła.

- Czy to mogłoby się zużyć? - spytał Max.

- Pewnie. Wszystko kiedyś się zużywa. Ale ten materiał jest nieprawdopodobnie wytrzymały. I łatwo go oczyścić, bo inne pierwiastki nie przywierają do niego.

Max pomyślał o mgiełce i tęczowych barwach.

- A może polecimy tam razem? - zaproponował.

Jasnoniebieski rządowy samochód wjechał na podjazd przed domem Laskera, zawrócił na



żwirowej pętli, przejechał obok dwóch zaparkowanych wozów i zatrzymał się. Wsiadł z niego otyły mężczyzna w średnim wieku. Wyjął z bagażnika czarną skórzaną walizeczkę, szybko rozejrzał się dokoła i podszedł do domu.

- Jeffrey Armbruster - przedstawił się, gdy Lasker otworzył drzwi. - Urząd Kontroli Skarbowej.

- Pokazał legitymację tak szybko, jakby wyciągał ją z rękawa.

Lasker ciężko odetchnął.

- Mam jakieś kłopoty? - spytał niepewnie.

- Nie, nie - odparł szybko Armbruster. - Żadnych kłopotów. Lasker odsunął się od drzwi, a inspektor podziękował mu i wszedł do środka.

- Zimno - powiedział Tom, choć jak na tę porę roku wcale nie było zimno.

- Tak, tak, zimno. - Armbruster rozpiął płaszcz. - Rozumiem, że miał pan ostatnio sporo szczęścia, panie Lasker?

Problemy podatkowe. W ogóle o tym nie myślał.

- Ma pan na myśli jacht? - upewnił się.

- Tak - skinął głową Armbruster. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Lasker pomyślał, że ten człowiek nie lubi chyba swojej pracy. - Tak, właśnie o to chodzi. O ile wiem, stara się pan uzyskać prawo własności do tej łodzi.

Lasker posadził gościa przy stoliku do kawy.

- To prawda.

- Musi pan być świadom, panie Lasker, że jeśli do tego dojdzie, jacht zostanie opodatkowany jak zwykły dochód.

-Ile?

- Naprawdę, nie potrafię jeszcze tego określić. Pierwszym etapem całego procesu będzie uzyskanie oficjalnej aprobaty. - Armbruster otworzył swoją walizeczkę. - Powinien pan wypełnić te dokumenty. - Szurnął po stole jakiś formularz.

Lasker spojrzał na niego z niepewną miną.

- Nie ma pośpiechu - zapewniał go inspektor. - Jeśli jednak rzeczywiście uzyska pan tytuł prawny do łodzi, musi pan zapłacić podatek. - Podał Laskerowi wizytówkę. - Proszę zadzwonić do mnie, jeśli będzie pan miał jakieś pytania. Z przyjemnością służę pomocą.

Ginny włączyła pralkę w przyległym do pokoju pomieszczeniu i cały dom zaczął drgać.

- Jestem zaskoczony, że tak szybko się pan tym zajął. Nawet nie pomyślałem jeszcze o podatkach.

- To mój zawód, panie Lasker. - Armbruster zamknął walizkę i podniósł się z krzesła.

W jego ruchach widoczny był smutek. Lasker zastanawiał się, jak można wykonywać pracę, która wymaga nieustannej konfrontacji.

- Może kawy? - zaproponował. Armbruster wyraźnie ucieszył się z zaproszenia.

- Chętnie - powiedział. - Jeśli ma pan już gotową. Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot.

Inspektor poszedł za nim do kuchni, a po chwili dołączyła do nich Ginny. Zaparzyła świeżej kawy i pokroiła ciasto z wiśniami. Armbruster powiedział, że ogromnie podoba mu się ich dom.

- Mój ojciec go zbudował - oświadczył z dumą Lasker. - Miałem wtedy dwanaście lat.

Był to przestronny budynek o solidnych, drewnianych podłogach, otoczony szeroką werandą. W większości pomieszczeń leżały grube dywany, które Ginny kupiła w St. Paul. Sufit w salonie oparty był na odsłoniętych, ozdobnych belkach, co stanowiło rzadkość w tym surowym klimacie. Siedzieli przy kawie niemal całą godzinę, rozmawiając o jachcie. Armbruster uważał, że nieprzypadkowo

znaleźli go zaledwie o milę od granicy.

- Ktoś starał się coś ukryć - mówił. Nie potrafił jednak wyjaśnić, co takiego mógł ukrywać ów ktoś.

W końcu rozmowa przeszła na temat pracy Armbrustera.

- Ludzie zazwyczaj stają się nerwowi, kiedy mówię im, gdzie pracuję - zauważył inspektor. - Moja żona nawet nie mówi nikomu, co robię. - Uśmiechnął się.

Poborcy podatkowi nie mają żadnych przyjaciół, pomyślał Lasker. Prócz innych poborców.

- Chyba nie ma ludzi równie nie lubianych jak poborcy podatkowi - kontynuował Armbruster. - Zawsze tak było. Ale, na Boga, to właśnie oni stworzyli potęgę Rzymu. I każdego innego miejsca, które miało jakieś znaczenie w historii.

Nagle przerwał, jakby zakłopotany tą tyradą. Podziękował im obojgu, wziął walizkę i płaszcz, po czym pożegnawszy się, szybko wyszedł.

Kilka minut później Will przywiózł na farmę Maksa i April Cannon. Max przedstawił ją Laskerom, ale April nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy łódź.

- Chciałaby pani przyjrzeć jej się bliżej, doktor Cannon? - spytała Ginny.

- Tak, chętnie. I proszę nazywać mnie April.

- Co się dzieje? - niepokoił się Lasker. - Znaleźliście coś ciekawego?

Max, który jak większość ludzi uwielbiał dzielić się z innymi tajemnicą, zaproponował, by Ginny pokazała April jacht, a sam poszedł z Tomem do domu, chcąc przekazać mu najnowsze wieści. Mężczyźni usiedli przy kominku i dorzucili drewno do ognia.

Kobiety wróciły dopiero po godzinie, zmarznięte na kość. Lasker poczęstował wszystkich brandy.

- No i jak, April - zaczął Max. - Co o tym sądzisz? Kobieta powoli sęczyła alkohol.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie przypuszczam, by ktoś mógł zbudować ten jacht.

Max słuchał trzaskania ognia i obserwował April, która zmagала się z własnymi myślami.

- Wiem, że to dziwnie brzmi - westchnęła po chwili.

- Co właściwie masz na myśli? - spytał Max.

- To przerasta naszą technikę. O czym wiedziałam, zanim tu przyjechałam.

- Naszą technikę? - powtórzył Lasker. - I to dalece.

- Więc, co by to znaczyło? - dopytywał się Max. - Że jacht został zbudowany w Japonii? Czy na Marsie?

- Może na Marsie. Albo tutaj, przez starszą od Indian, super-rozwiniętą cywilizację z Północnej Dakoty.

Max spojrzał na Ginny, ciekaw jej reakcji. Była sceptyczna, ale nie zaskoczona. Zapewne rozmawiała już o tym wcześniej, przy łodzi.

- To wariactwo - stwierdził Lasker.

- Wariactwo czy nie, faktem jest, że nikt nie potrafiłby dzisiaj skopiować materiałów, z których wykonany jest jacht. - Dopijała swoją brandy. - Ja też w to nie wierzę.

- Moim zdaniem, wygląda to na całkiem zwykły jacht - powiedziała Ginny.

- Wiem. Może gdyby nie wyglądał tak zwyczajnie... - Pokręciła głową.

- April - przemawiał powoli Max. - Zastanów się nad tym. Naprawdę wierzysz, że ktoś budował takie łodzie na Marsie?

- Bardzo przyjemny ten kominek. - Przysunęła krzesło bliżej ognia. Wielka gałąź pękła na pół, rozsiewając dokoła iskry. - Posłuchaj, nie ma znaczenia to, czy łódź powstała na Ziemi, Marsie, czy

na Alfa Centauri. Liczba modeli jachtów jest ograniczona. Ktoś, gdzieś zbudował ten, i mogę cię zapewnić, że nie był to nikt, o kim kiedykolwiek słyszeliśmy.

Wiatr kołysał koronami drzew. Na zewnątrz ktoś zapalił silnik samochodu.

- Szkoda, że nie widziałam tej łodzi, nim wyciągnęliście ją z ziemi - powiedziała April. - I zanim ją umyliście.

- Dlaczego? - zdziwił się Lasker.

- Moglibyśmy zbadać glinę, w której leżała. Ale może to nie będzie miało znaczenia. - Wyjęła z kieszeni białą kopertę.

- To z lin cumowniczych - wyjaśniła Ginny Maksowi i swemu mężowi. - Znalazłyśmy kilka drzazg.

- A co to da? - spytał Max.

April ponownie napełniła sobie kieliszek.

- Zazwyczaj nie piję tak dużo - powiedziała. - Ale dzisiaj chyba mogę sobie pozwolić. - Zwróciła się do Maksa: - Każda z lin zakończona jest z jednej strony pętlą, a z drugiej zaciskiem. Notabene zacisk wciąż działa. Nie znam się specjalnie na jachtach, ale to akurat jest całkiem proste. Kiedy cumujesz, zakładasz pętlę na kołek. Drugi koniec, ten z zaciskiem, przywiązujesz do nabrzeża.

- I co nam to daje? - dopytywał się uparcie Max.

- Dzięki temu będziemy mogli dowiedzieć się, do czego przymocowana była lina. A wtedy być może odgadniemy, skąd wziął się tutaj jacht. - Schowała kopertę do kieszeni i spojrzała na Laskera. - Tom, czy jacht stał prosto, kiedy go znaleźliście?

- Nie. Leżał na prawej burcie. Kadłub ustawiony był pod kątem, dziobem do góry.

- Pod jakim kątem?

- Och, nie wiem. Może ze trzydzieści stopni.

- Dobrze. - April wyglądała na zadowoloną. - Pochyłość zbocza też wynosi jakieś trzydzieści stopni.

- I co to znaczy? - dociekał Max.

- Pewnie nic - odparła. - A być może właśnie tutaj zatrzymała się łódź.

- Zatrzymała? - Lasker nie całkiem nadążał za tokiem rozmowy.

- Tak - skinęła głową April. - Kiedy zatoneła.

*Gdzie leży ta ostatnia przystań, skąd nie wypłyniemy już więcej?*

Herman Melville, „Moby Dick”

APRIL OMAL NIE ZREZYGNOWAŁA z podróży, kiedy Max pokazał jej samolot, którym mieli polecieć na farmę. Chodził zaprojektowany jako jednoosobowy myśliwiec, „Grom” mógł pomieścić jeszcze drugie siedzenie, za pilotem. Wiele spośród samolotów zakupionych przez kolekcjonerów po drugiej wojnie zostało zmodyfikowanych w ten sposób.

Teraz, w drodze powrotnej, była zbyt podekscytowana, by myśleć o samolocie, więc bez słowa protestu zajęła miejsce za plecami pilota. Max wyprowadził samolot na pas startowy, rozmawiając z Jakem Thoraldsonem, który był jednocześnie zarządcą lotniska i kontrolerem ruchu powietrznego. Jake pracował poza swoim biurem.

- Max? - odezwała się April. Max ustawił samolot pod wiatr. - Tak, April?

- Chciałabym coś obejrzeć. Możemy przelecieć nad farmą Laskera?

- Jasne. - Max skontaktował się ponownie z Jakem. W najbliższym czasie nie zaplanowano żadnych lotów nad miastem. - Co takiego chciałaś zobaczyć?

- Nie jestem jeszcze całkiem pewna.

Kiedy wzbili się już w powietrze, Max wyrównał lot na wysokości trzech tysięcy stóp i skierował samolot na zachód. Niebo zasnuwane było chmurami. Wiał silny przeciwny wiatr, a prognozy pogody zapowiadały kolejne opady deszczu w południe, a może nawet śniegu z deszczem. Max przypuszczał, że wzdłuż granicy będzie padał deszcz, a bardziej na południe śnieg, jak co roku o tej porze.

Pola były puste i jednostajnie szare. Właściciele opuścili je na zimę, by ukryć się w bardziej gościnnych okolicach albo zająć się jakąś sezonową pracą.

Max nie potrafił określić, gdzie zaczyna się posiadłość Laskera.

- Co najmniej kilkanaście mil ziemi na północ od autostrady należy do niego - wyjaśnił swej towarzyszce. Zazwyczaj domy farmerów znajdowały się mniej więcej pośrodku tak ogromnych posiadłości. Jednak kiedy ojciec Laskera budował dom, wolał postawić go na południowo-zachodnim krańcu swych włości, w pobliżu autostrady i w cieniu pasma górskiego, na którym Tom znalazł jacht. Chciał wykorzystać góry jako naturalną zasłonę przed lodowatymi wiatrami, które zimą smagały prerię.

Za grzbietem teren znów stawał się płaski i ciągnął się tak przez kilkanaście mil, aż do Pembina Escarpment.

To pasmo górskie tworzył główny masyw skalny oraz otaczające go pomniejsze wzgórza i pagórki. W odróżnieniu od ciągnących się dokoła równin, zbocza gór były prawie nieuprawiane. Pokryte śniegiem szczyty tworzyły nieregularną, długą ścianę. Na stokach porzucane były pojedyncze domostwa, powiązane siecią wąskich błotnistych dróg, które łączyły je także z drogą numer 32, biegnącą równoległe do łańcucha górskiego, po jego wschodniej stronie.

- Dziesięć tysięcy lat temu - powiedziała April - lecieliśmy nad wodą. Nad jeziorem Agassiz.

Na jej prośbę Max zakręcił i leciał wzdłuż pasma na południe. April spoglądała na góry, to znów na równinę, która ciągnęła się aż po horyzont.

- Gdzie był drugi koniec? - zainteresował się Max. - Wschodni brzeg?

- W pobliżu Jeziora Leśnego - odparła. - Daleko stąd.

Max próbował sobie wyobrazić, jak wyglądał wtedy świat. Nic prócz ciszy i wody. I kanadyjskich gęsi.

- To trwało tylko około tysiąca lat - kontynuowała April. - Co w dziejach świata stanowi zaledwie krótką chwilę, mgnienie oka. Ale jednak było tu. Równina pod nami to dno jeziora. Dlatego właśnie Tom może uprawiać najlepszą na świecie pszenicę.

- Co się z nim stało? - spytał Max.

- Lodowce, które utworzyły jezioro, zaczęły się cofać. Wreszcie dotarły do miejsca, gdzie odblokowały północny koniec. - Wzruszyła ramionami. - Woda po prostu wypłynęła.

Na szybie kokpitu pojawiły się pierwsze kropelki deszczu.

- Część nadal tam jest - ciągnęła. - Jezioro Leśne to pozostałość tamtej epoki. I jeziora Winnipeg i Manitoba. I spora część jezior w Minnesocie.

Wyobraźnia Maksa wypełniła prerię wodą, zatopiła Fort Moxie i Noyes na północy, Hallock przy drodze 75 i Grand Forks, wodospady Thief River i Fargo na południu.

- W ziemi można znaleźć mnóstwo pozostałości z tego okresu. Resztki krabów, planktonu, wszystko. - Znów odbiegła gdzieś myślami. - Przypuszczam, że to się jeszcze powtórzy. W czasie następnej epoki lodowcowej.

Nagle Max zrozumiał, do czego zmierza ta rozmowa.

- Myślisz, że jacht związany jest z tym jeziorem, tak? Kobieta milczała.

April wróciła do laboratorium Colson późnym popołudniem. W drzwiach natknęła się na grupę pracowników, którzy wychodzili właśnie z budynku.

- Chodźmy - powiedział Jack Smith, biorąc ją pod ramię i obracając w miejscu. - Może cię podwieźć?

Podwieźć? Gdzie? Dopiero po dłuższej chwili przypomniła sobie o pożegnalnym przyjęciu Harveya Kecka.

Lubiła Harveya, ale nie chciała tam iść. W tej chwili obchodziły ją jedynie próbki. Mogła powiedzieć, że ma jakieś pilne zlecenie. Że nie czuje się najlepiej. Ale zawdzięczała Harveyowi tak wiele.

Do diabła.

Zamknęła próbki w szafie, wmawiając sobie, że równie dobrze może zająć się nimi rano, kiedy będzie wypoczęta, po czym zeszła do samochodu. Czterdzieści minut później zaparkowała przed „Pucharem”.

Wszystkie firmowe uroczystości i przyjęcia odbywały się w knajpie Colsona. Kiedy podpisano jakiś duży kontrakt, gdy ktoś zdobył ważną nagrodę, dokonał jakiegoś odkrycia, świętowali to właśnie tutaj. „Puchar”, niedroga restauracja rodzinna z dobrze zaopatrzonym barkiem, był tradycyjnym miejscem takich spotkań. Nazywali ją „Zachodnim Colsonem” i przy każdej ważniejszej okazji obwieszali firmowymi znaczkami i chorągiewkami, tym razem za pulpitem ustawiono transparent, na którym wielkimi literami wypisane zostało najważniejsze hasło filozofii zarządzania Kecka; odchodzący dyrektor twierdził zawsze, że należy w równym stopniu dbać o pracownika, jak i klienta. Salę ozdabiała także ulubione drzewko kauczukowe Kecka w glinianej doniczce i wieszak na kapelusze. Wisiał na nim wysłużony stetson, który dyrektor nosił na głowie o każdej porze roku przez ostatnie trzy dekady.

Większość pracowników była na miejscu, kiedy przybyła tam April, a spora ich część zdążyła już poprawić sobie humor szklaneczką dzinu czy brandy.

April zamówiła rum z colą i usiadła z grupką przyjaciół. Jednak typowe rozmowy o dzieciach, kłótniach z szefem, czy problemach z wyszukaniem podwykonawców, wydawały jej się tego wieczora wyjątkowo nużące. Stała u progu wielkiej tajemnicy, i tylko ona zajmowała teraz jej myśli.

Wszyscy lubili Harveya. Zdawało się, że cała załoga laboratoriów Colson przyszła się z nim pożegnać. Harvey opuszczał stanowisko zastępcy dyrektora, do którego przymierzała się już April. Wiedziała jednak, że nie może jeszcze na to liczyć. Nowym zastępcą miał na jakiś czas zostać Bert Coda, który także zbliżał się już do emerytury. April spodziewała się więc, że zajmie to stanowisko po jego odejściu. Gdyby tak się stało, jej zarobki wzrosłyby o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie, a byłaby jeszcze dość młoda, by walczyć o stanowisko głównego dyrektora. Nieźle jak na dzieciaka, który zaczynał od zmywania naczyń.

Jednak tego wieczora wcale o tym nie myślała. W porównaniu z tym, co miała w sejfie, awans był czymś trywialnym. Miała ochotę wskoczyć na mównicę i powiedzieć wszystkim o swoim odkryciu. „Hej, posłuchajcie. Byli u nas goście z kosmosu. Mam na to dowód!”

Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Dakoty, jako studentka Uniwersytetu Stanowego Północnej Dakoty, chciała wybrać się samochodem na kilkudniową wycieczkę, obejmującą również wzgórza Black Hills. Jednak zachodnie stany są znacznie większe od tych na wschodzie, szybko więc straciła cierpliwość do niekończących się autostrad. Zawróciła, a w drodze powrotnej trafiła do rezerwatu Siuksów przy zachodnim wybrzeżu Diabelskiego Jeziora. (Na północnym wybrzeżu rozciągało się bogate miasteczko noszące tę samą nazwę co jezioro).

Wkrótce zainteresowała się historią tego szczepu, nawiązała liczne przyjaźnie, a po jakimś czasie nauczyła się czegoś, co lubiła określać mianem indiańskiej perspektywy: „Chcę zamieszkać tam, gdzie niebo jest otwarte, gdzie nie ma żadnych murów, gdzie Duch stąpa po ziemi”.

Jedną z jej przyjaciółek została Andrea Hawk, prowadząca talk-show w miejscowej rozgłośni radiowej. Andrea potrafiła przejmująco opowiadać o losach ludzi podobnych do niej, ludzi ominiętych przez historię. April ogarniał ogromny smutek, kiedy widziała biedę panującą w rezerwacie i frustrację Andrei. „Żyjemy na koszt białych” mówiła jej Andrea. „Zapomnieliśmy jak zarabiać na sobie”. Andrea zauważyła, że indiańscy mężczyźni umierają tak młodo - jako ofiary narkotyków, chorób i przemocy - iż najlepiej prosperującymi firmami w większości rezerwatów są domy pogrzebowe.

April czuła, że jej własne życie także jest ograniczone. Miała za sobą nieudane małżeństwo. Chciała utrzymać rodzinę i robić karierę, ale nie potrafiła pogodzić ze sobą długich godzin, jakie spędzała w pracy, i potrzeb męża. Miała teraz trzydzieści pięć lat i nie czuła żadnej satysfakcji z tego, co robiła. Owszem, spotykała się z wyrazami uznania. Gdyby jednak umarła tej nocy, bilans jej życia byłby równy zeru. Nie zostawiłaby po sobie nic.

Tak przynajmniej czuła się, badając próbkę dostarczoną przez Maksa Collingwooda. Co ciekawe, nie zdawała sobie sprawy z tego dręczącego poczucia niespełnienia, dopóki nie zrozumiała, co trzyma w rękach.

Tymczasem w restauracji odbywała się już uroczystość na cześć Kecka. Kilka osób opowiadało kolejno o tym, jak dobrze pracowało im się z Harveyem, jak ich inspirował, dlaczego był takim dobrym szefem. Dwaj byli pracownicy Colsona, którzy zdołali osiągnąć wymierny sukces w swej branży, przypisywali ów sukces inspiracji swego byłego dyrektora. Pierwsza zasada jego credo, powiedział jeden z nich, towarzyszyła mu przez wiele lat i pomagała w trudnych chwilach: „Rób, co do ciebie należy, bez względu na konsekwencje”. Była to Mary Embry, która później została dyrektorem innego ośrodka badawczego.

- Nie zawsze prowadzi to do awansu - mówiła. - Ale dzięki temu zdałam sobie sprawę, że

najpierw muszą zasłużyć sobie na szacunek dla samej siebie, jeśli chcą, by inni także mnie szanowali.  
- Uśmiechnęła się do Harveya, który najwyraźniej czuł się zakłopotany jej przemówieniem.

Dyrektor dodał kilka pochwał od siebie.

- Czterdzieści lat to kawał czasu - zaczął. - Harvey zawsze mówił to, co myślał. Czasami wcale nie chciałem tego słyszeć. - Śmiech. - A czasami naprawdę nie chciałem tego słyszeć. - Głośniejszy śmiech. - Ale nigdy nie robiłeś uników, Harvey. I jestem ci za to wdzięczny. - Oklaski. - Dam jeszcze dobrą radę wszystkim, którzy chcą być menedżerami: szukajcie w swoich zespołach kogoś takiego jak Harvey, kogoś, kto powie wam to, co powinniście usłyszeć. Traktujcie go dobrze. Niech będzie waszym sumieniem.

Wszyscy bili brawo. Harvey wstał ze swego miejsca, a April dojrzała w oczach siedzących obok niej ludzi łzy wzruszenia. Odchodzący dyrektor promieniał wprost z radości. Kiedy w sali ucichło, odsunął na bok mównicę (jego niechęć do korzystania z mównicy stała się już legendą). Podziękował swoim współpracownikom za uprzejmość i jak zawsze mówił do nich o nich samych.

- W pewnym sensie - zaczął - jest to najwspanialsza chwila mojego życia. Chciałbym wierzyć, że laboratoria Colson stoją teraz na solidniejszych fundamentach niż w chwili, gdy zaczynałem tu pracę, i że zarówno nasi pracownicy, jak i klienci mają się lepiej. Jeśli rzeczywiście taka jest prawda, i jeśli mam w tym swój udział, będę uważał lata spędzone tutaj za owocne.

April pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała go w tak radosnym nastroju. Nie przez te dwanaście lat, które spędziła już w laboratoriach. I pomyślała, że to bardzo smutne.

Zastępca dyrektora poświęcił swe życie dla sukcesu firmy i jej pracowników. Uznawał tylko najwyższą jakość wszystkich produktów i działań. Teraz, zwracając się do swych kolegów owego pożegnane wieczora, znów o tym mówił:

- Nigdy nie mieszajcie perfekcji z produkcją. Ludzie, którzy się nie myślą, nie robią niczego.

Jego podwładni naprawdę go kochali.

Obserwowała w milczeniu, kiedy dziękował szeregowym pracownikom firmy. Odchodził w ciemność. Po zakończeniu uroczystości wróci jeszcze na tydzień do biura, a potem będzie już koniec.

„W pewnym sensie, jest to najwspanialsza chwila mojego życia”.

Mój Boże, więc na tym wszystko miało się skończyć? Kilkudziesięciu ludzi na pożegnane przyjęciu i łzy wzruszenia, o których wkrótce mieli zapomnieć? Jutro powrócą do normalnego życia i zostawią Harveya Kecka własnemu losowi.

Ukradkiem otarła oczy.

Nic podobnego nie mogło przydarzyć się jej. Dołoży starań, by jej życie znaczyło coś więcej, by jej jedynym osiągnięciem nie było kilkadziesiąt lat bezowocnej pracy i sympatia podwładnych. A tajemniczy jacht Toma Laskera miał być jej paszportem.

Walter Asqaith, „Brzegi zapomnianego morza”

LASKER PRACOWAŁ CAŁY ranek przy traktorze, wymieniając dziurawy bak i pasek klinowy. Wrócił właśnie do domu i szedł pod prysznic, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszli Charlie Lindquist i Floyd Rickett.

Charlie był potężnym mężczyzną, mierzył ponad sześć stóp i trzy cale wzrostu, a ważył około trzysta funtów. Miał przyjacielski stosunek do całego świata i uważał, że aby odnieść sukces wystarczy mówić ludziom dokładnie to, co chcieliby usłyszeć. Właściwie niewiele mijał się z prawdą i dzięki swej filozofii życiowej radził sobie całkiem nieźle. Prowadził w Fort Moxie liczne interesy, był właścicielem wypożyczalni filmów „Intown Video”, wytwórni lodów (która oczywiście została zamknięta na zimę) i czterech domów w pobliżu biblioteki. Charlie był prezesem Stowarzyszenia Miłośników Fort Moxie i przewodniczącym rady miejskiej.

Floyd także zasiadał w tych szacownych zgromadzeniach. Był wysoki i szczupły, miał ostre, jakby ściągnięte w nerwowym grymasie rysy twarzy. Pracował jako urzędnik pocztowy. Miał zawsze jednoznaczne, sprecyzowane opinie i silne poczucie własnej wartości. „Zawsze trzeba dotrzeć do sedna”, mawiał, dźgając powietrze trzema palcami. Floyd uwielbiał dźgać, atakować i wypychać się tam, gdzie nie zawsze mile go widziano; wtrącał się do rozmowy, nacierał na przedstawicieli opozycji w radzie miejskiej, atakował przeciwstawne opinie. „Życie jest krótkie. Nie ma czasu do stracenia. Idź na całość”. Na poczcie specjalizował się w rozwiązywaniu różnorodnych problemów i niejasności. Z dezaprobatą wyrażał się o ludziach, którzy niedbale pakują przesyłki, mają brzydkie pismo czy nie zamieszczają na kopertach kodu pocztowego.

Nic dziwnego, że Charlie i Floyd nie przepadali za sobą.

Obaj uścisnęli dłoń Laskerowi, serdecznie Charlie, krótko i oszczędnie Floyd.

- Widzę, że ludzie ciągle przyjeżdżają oglądać ten jacht - zauważył Charlie, starając się mówić obojętnym tonem. Uważał się za człowieka wielce taktownego.

- Ano przyjeżdża ich trochę. Zależy od pogody. - Zaprowadził ich do salonu i posadził przy stoliku do kawy. - Myślę, że znaleźliście już się trochę opatrzyło.

- Poza tym robi się zimno - powiedział Floyd, machając ręką dla podkreślenia wagi swych słów.

- Zauważyliśmy to również w mieście - dodał Charlie. - Nie przyjeżdża teraz tyle ludzi co dawniej. - Pokręcił głową. - Szkoda, że to nie stało się wiosną.

- Ja nie żałuję - wzruszył ramionami Tom. - I tak mamy już tego dość. Znudziło mi się wyciągać co rano tę łajbę z szopy i chować wieczorem. Niedługo zamknę ją całkiem i na tym koniec.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił, Tom - powiedział Charlie tonem, który sugerował, że to kiepski i egoistyczny pomysł.

Floyd pokiwał głową.

- Popsułyś wielu ludziom interesy - powiedział. - Większość turystów stołuje się w mieście. Robią tam też zakupy, niektórzy nawet zostają na noc. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu i założył nogę na nogę. - Uważamy, że moglibyśmy to wykorzystać w jeszcze większym stopniu.

- Musisz zrozumieć - kontynuował Charlie - że wielu ludzi w mieście liczy na ciebie.

- Charlie - westchnął Tom. - To tylko łódź.

- Mylisz się - wtrącił Floyd. - To sensacyjne wydarzenie, cały kraj patrzy teraz właśnie na nas,



na Fort Moxie.

- To nie jest żadna sensacja - upierał się Lasker. - Pokazali nas tylko w lokalnej telewizji, jeden jedyny raz. Zresztą większość ludzi, którzy przyjeżdżają, uważa, że ja sam zakopałem tę łódź. Myślą, że to jedna wielka bujda.

Floyd był zszokowany.

- Ale chyba to nieprawda, co, Tom?

Lasker obdarzył Floyda spojrzeniem, które natychmiast rozwiało wszystkie jego wątpliwości.

- Posłuchaj - rozpoczął Charlie wielkodusznie. - Wszystko to nie ma większego znaczenia.

Najważniejsze, że na tej łodzi można zbić całkiem niezłe pieniądze, a ty jak dotąd nie miałeś z niej żadnego pożytku. Proponujemy ci więc profesjonalne zorganizowanie tego.

- Co masz na myśli?

- Po pierwsze - przejął inicjatywę Floyd - trzeba zdjąć eksponat z przyczepy. Nie obraż się, ale wygląda to tak, jakbyś chciał sprzedać starą, niepotrzebną łajbę. Nic dziwnego, że wielu ludzi nie traktuje tego poważnie.

- Eksponat? - powtórzył Tom z niedowierzaniem. - Więc to jest teraz eksponat?

- Bez urazy, Tom. - Charlie poprawił się na krześle. - Pomyśleliśmy, że jacht wyglądałby znacznie lepiej na specjalnym podestacie.

- Ed zgodził się wykonać taki podest. - Floyd mówił zapewne o Edzie Grange'u, który zajmował się zwykle przygotowaniami do różnych uroczystości i parad. - Na pewno świetnie sobie z tym poradzi, nie martw się.

- Rozstawimy nad nim namiot - dodał Charlie - i zainstalujemy w środku grzejniki.

Lasker skrzywił się.

- Nie chcę żadnych namiotów na moim trawniku - powiedział.

- Wiemy o tym. - Dobrotliwy uśmiech na twarzy Charliego oznaczał, że znalazł już radę na wszystkie problemy. - Nie chcielibyśmy robić ci takiego kłopotu, Tom. Pomyśleliśmy, że jacht i tak wyglądałby lepiej w miejscu, w którym go wykopałeś. - Nagle w jego oczach pojawił się niepokój. - Nie zasypałeś chyba tej dziury, co?

- Pewnie, że ją zasypałem. Tego samego dnia, kiedy wyciągnęliśmy tę cholerną łódź z ziemi.

- Niedobrze - pokręcił głową Floyd. - Nie powinieneś być tego robić.

- Dlaczego? Dół miał trzydzieści stóp głębokości. Gdyby ktoś tam wpadł, mógłby się mocno poturbować.

- No cóż, i tak jest już po fakcie - westchnął Charlie. - Szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym od razu. - Postukał palcami o blat stolika. - Tak czy inaczej, postawimy tam namiot. Wiemy, gdzie można dostać stary namiot cyrkowy. Stary, ale w dobrym stanie. Nie martw się, to tylko tymczasowe rozwiązanie.

- Co znaczy „tymczasowe”?

- Chodzi o to - mówił Floyd - że jeśli dobrze rozegramy całą sprawę, możemy czerpać z tego stały dochód. Powinniśmy już teraz myśleć o muzeum.

Lasker czuł, że coraz mocniej boli go głowa.

- Oczywiście, nie od razu - wtrącił Charlie. - Słuchaj, chcemy to rozreklamować. Zaczniemy sprzedawać bilety. Oczywiście będziesz miał w tym swój udział. Wtedy przekonamy się, czy można rozkręcić interes na większą skalę.

- Poczekaj moment. Przecież nie możesz kazać ludziom płacić za takie coś.

- Dlaczego nie? - Charlie był mocno przekonany do swego pomysłu. - Jeśli chcesz, żeby ludzie traktowali coś poważnie, musisz kazać im za to płacić. Niedużo, ale jednak. Założę się/że po

pierwszym tygodniu będzie tu przyjeżdżać dwa razy tyle turystów, co dotychczas. Uważamy, że powinieneś dostać trzydzieści procent, reszta poszłaby do kasy miejskiej. Zgoda? To będzie dla ciebie czysty zysk. Żadnych nakładów z twojej strony. - Skinął głową na Floyda, który przytaknął. - Miasto zapłaci za wszystko. Popatrz, mamy już projekty koszulek. Pozwól, że ci pokażę...

Spojrzał na Floyda, a ten wyciągnął teczkę z rysunkami. Na wszystkich projektach centralne miejsce zajmował wizerunek łodzi, widzianej z różnych perspektyw. Poza tym na niektórych znajdowały się też napisy. „Diabelski jacht”, głosił jeden z nich. „Byłem w Fort Moxie i kupiłem tam tę okropną koszulkę”, informował kolejny. Jeszcze inny przedstawiał mapę okolic Fort Mo-xie z wyraźnie zaznaczonym miejscem, w którym znaleziono „diabelski jacht”.

- Co to za historia z tym „diabelskim jachtem”? - spytał Lasker.

- To pomysł Marge'a - odparł Charlie. Marge Peterson był urzędnikiem miejskim. - Część kampanii reklamowej.

- Wydaje mi się, że to lekka przesada.

- Posłuchaj, Tom - tłumaczył cierpliwie Charlie. - Ludzie uwielbiają takie rzeczy. A cała sprawa ma posmak niezłego horroru, prawda?

- Słyszałem, że ten jacht sam się oświecła - wtrącił Floyd. - Nie znalazłeś jeszcze źródła energii? Lasker pokręcił głową.

- Świetnie. Nieznane źródło energii. Musimy to wykorzystać, J Charlie. I owe dziwne litery. Te litery też są niezłe.

- Tak. - Charlie sięgnął po swój płaszcz. - Miło się z tobą gawędziło, Tom. Zaczęliśmy już rozkręcać ten interes. Kilku chłopaków będzie od jutra zajmować się tylko tą sprawą. Możesz być spokojny. Nie musisz niczego robić, usiądziesz sobie tylko wygodnie i będziesz patrzył, jak pieniądze spływają do twojej kieszeni.

Obaj goście wstali i ruszyli do drzwi.

- Aha, jeszcze jedno. - Charlie zatrzymał się nagle, a Floyd omal się nie przewrócił. - Pokój wypoczynkowy. Będziemy potrzebowali pokoju wypoczynkowego.

- Nie - odparł krótko Lasker.

- W porządku. Postawimy coś na zewnątrz. Gdzieś między drzewami, dyskretnie.

Uścisnęli sobie dłonie, otworzyli drzwi i wyjrzel na zewnątrz. Wokół łodzi stało co najmniej dwadzieścia osób, kolejne dwa samochody zatrzymały się właśnie na podjeździe.

- Rozumiesz teraz, o co nam chodzi? - powiedział Charlie.

\*\*\*

April trzymała woreczek przy oknie, tak by przeświecało przezeń światło słoneczne.

- Mamy tutaj kilka kawałków drewna wydobytych z lin cumowniczych - oświadczyła. - Teraz wiem już, że to drewno świerkowe. - Podała małą torebkę Maksowi.

Ten przyjrzał jej się podejrzliwie.

- I co nam to mówi? W tej okolicy raczej nie rosną świerki.

- Teraz już nie. Ale kiedyś rosły. Właściwie było ich nawet dużo.

- Kiedy?

- W czasie, gdy było tutaj jezioro.

Siedzieli przy stoliku w restauracji. Max wsłuchiwał się w gwar rozmów, szcęk sztucców.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

Poczuł, że boli go brzuch. Kiedy podeszła do nich kelnerka, zamówił sałatkę cesarską a nie

kanapkę, jak zamierzał jeszcze przed chwilą.

- Więc chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z jachtem sprzed dziesięciu tysięcy lat?

April skrzywiła się lekko.

- Nie wyciągałabym wniosków zbyt pochopnie, Max. Trzymajmy się faktów. Po pierwsze, łódź nie będzie gnić, rdzewieć, ani rozkładać się przez bardzo długi okres. Po drugie, liny cumownicze, które znajdują się teraz w szopie Laskera, były kiedyś przywiązane do kołków sporządzonych z drewna świerkowego. Drzewo, z którego pochodzą te drzazgi, żyło dziesięć tysięcy lat temu.

- Ale łódź jest nowa - jęknął cicho Max.

- Ta łódź zawsze będzie wyglądać na nową, Max. Mógłbyś wsadzić ją z powrotem do ziemi i odkopać na swoje sześćdziesiąte urodziny, a ona wyglądałaby dokładnie tak jak dzisiaj.

- Prawdę mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć.

- Wiem - skinęła głową April. - To wykracza poza nasze doświadczenie, ale wcale nie znaczy, że jest irracjonalne. - Przyciszyła nieco głos. - Nie mam pojęcia, czy istnieje jakieś inne wyjaśnienie, które pasowałoby do tych faktów. Wiek owych kawałków drewna nie podlega dyskusji. Tak samo zresztą, jak skład oryginalnych próbek. Myślę, że ktoś tutaj był. Dawno temu ktoś, kto dysponował dalece zaawansowaną techniką, żeglował po jeziorze Agassiz. Potem przycumował do nabrzeża albo bezpośrednio do drzewa.

- Więc kim był ten ktoś? Mówimy o UFO? Czy o czymś innym?

- Nie wiem. Ale warto zadać sobie to pytanie.

Kelnerka przyniosła zamówione napoje. Max pociągnął łyk coli, starając się zebrać rozproszone myśli.

- Bez sensu - powiedział wreszcie. - Załóżmy, że masz rację. Wynikałoby z tego, że jakieś istoty przyleciały na Ziemię, żeby sobie popływać? Naprawdę bierzemy pod uwagę taką możliwość?

- Nie jest to niemożliwe. Popatrz z innej perspektywy, Max. Chodzi mi o naprawdę wielką perspektywę. Hę jezior znajdziesz w promieniu, powiedzmy dwudziestu lat świetlnych? Agassiz mogło być wielką atrakcją turystyczną. - Uśmiechnęła się. - Posłuchaj, dajmy na razie spokój spekulacjom i skupmy się na faktach. Wiemy, że mamy do czynienia ze sztucznie wytworzonym przedmiotem, jedynym tego rodzaju przedmiotem na świecie.

- Skąd możemy to wiedzieć?

- Gwarantuję ci to.

- Gwarantujesz. Bez urazy, April, ale jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem, że na świecie żyje ktoś taki jak ty. Nie możesz wykluczyć, że się pomyliłaś.

- Może i nie mogę. Ale pomyśl tylko: jeśli jednak mam rację, to łódź jest dosłownie bezcenna. - Zdała sobie sprawę, że mówi za głośno. Pochyliła się więc i zniżyła głos. - Posłuchaj, chcesz pewnie, by próbki zbadał ktoś jeszcze. Ja wiem, że tego nie potrzebujemy. Pozyskanie drugiej opinii znaczy jednak, że musimy dopuścić do tajemnicy jeszcze jedną osobę. Wolalabym, by do tego nie doszło. Jesteśmy blisko monumentalnego odkrycia, być może wkrótce wszyscy znajdziemy się na okładce „Time'a”. Ty. Ja. Laskerowie. - Jej ciemne oczy błyszczały z podniecenia. - Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy to na razie zachować w ścisłej tajemnicy.

- Co to za powód? - spytał Max.

- Tam może być coś jeszcze.

Lisa Yarborough rozpoczęła swą karierę jako nauczycielka fizyki w prywatnej szkole w pobliżu Aleksandrii, w stanie Virginia. Już wtedy była jednak niezwykle piękną kobietą, która uwielbiała seks. Za dnia rozprawiała o energii i oporze, a po zmierzchu prezentowała ogromne ilości pierwszej z tych cech i praktycznie żadnych drugiej.

Lisa szybko odkryła, że może czerpać dodatkowe korzyści ze swego hobby. Oczywiście nigdy nie zniżyła się do tego, by ustalać taryfy, jednak mężczyźni zawsze starali się okazać jej swą wdzięczność. Co więcej, jeśli tylko młoda, bystra i utalentowana kobieta nie ograniczała się jakimiś głupimi uprzedzeniami czy naiwnym poczuciem fairplay, mogła wynieść z różnorodnych znajomości inne, mniej wymierne korzyści. Lisa zrezygnowała ze swojej posady w połowie roku i w atmosferze skandalu wyjechała z Aleksandrii, by zająć lukratywną pozycję w firmie, która prowadziła interesy z Pentagonem. Szef tejże firmy miał nadzieję, że jego nowa pracownica będzie mogła wpłynąć na decyzje oficerów, którzy zajmowali się kupnem broni. Stosując różnorakie środki, Lisa odniosła na tym polu wielki sukces i szybko pięła się w górę po szczeblach kariery. To prawda, że w pewnym sensie wyspała sobie drogę na szczyt, niemniej starała się nie romansować z podwładnymi, co pozwoliło jej zachować szacunek dla samej siebie.

Wreszcie zaczęła się interesować polityką i zajęła stanowisko asystentki pewnego senatora ze środkowego zachodu, który dwa razy bezskutecznie próbował zostać przewodniczącym swej partii. Potem zajęła się lobbingsiem i przyczyniła w znacznym stopniu do sukcesów przemysłu tytoniowego oraz Narodowego Stowarzyszenia Edukacji. Jako pracownik firmy prawniczej Barlow&Biggs starała się wpływać na decyzje kilkudziesięciu kongresmenów. Wkrótce objęła stanowisko polityczne i przez krótki okres pracowała w ministerstwie rolnictwa. Wreszcie została dyrektorem konserwatywnego zespołu ekspertów.

To właśnie podczas pełnienia tej ostatniej funkcji odkryła w sobie talent pisarski. Odkąd skończyła dwanaście lat prowadziła skrupulatnie dziennik; robiła to od chwili, gdy po raz pierwszy znalazła się z Jimmym Proctorem na tylnym siedzeniu samochodu swojego taty. Jimmy był jej pierwszym związkim, jeśli można to tak określić. Doświadczenie owo Lisa przyjęła z prawdziwym entuzjazmem i chciała się podzielić swą radością z kimś innym. Jednak jej koleżanki ze szkoły w Chester Arthur nie dorosły jeszcze do tego, a jej rodzice byli baptystami.

Lisa także powinna była zostać baptystką. Brała udział we wszystkich przejawach życia religijnego. Chodziła na spotkania religijnych grup młodzieżowych we wtorki i czwartki, a w środy i niedziele uczestniczyła w nabożeństwach. Nim jednak przeszła do ostatniej klasy, spała już z co drugim chłopcem z chóru.

Kiedy pracowała w zespole ekspertów, starając się nie dopuścić Dukakisa do władzy, postanowiła wykorzystać swe pamiętniki i napisać autobiografię. Obietnica szczegółowych i smakowitych opisów miłosnych podbojów, jakie poczyniła w kręgach prominentnych polityków, zaowocowała siedmiocyfrową zaliczką. Ekspersi natychmiast zwolnili ją ze stanowiska, gdyż nie ograniczyła się wyłącznie do demokratów.

Dawno zapomniani kochankowie i ofiary jednodniowych przygód przychodzili do niej całymi tabunami i błagali o selektywną amnezję. Kiedy nie działały prośby ani łapówki, uciekali się do łez i gróźb. Jednak Lisa była nieugięta.

- Cóż pomyślą o mnie ludzie, jeśli nie ujawnię całej prawdy? - powiedziała podczas jednego z talk-showów.

Książka nosiła tytuł „Miłość w Capitolu”. Oczywiście natychmiast stała się bestsellerem, przerobionym potem na film telewizyjny. Za część honorarium Lisa zakupiła sieć sklepów z częściami zamiennymi do samochodów. Reszta, jak powiadają, jest historią.

April poznała Lisę, kiedy ta pracowała jeszcze w ministerstwie rolnictwa. Obie zostały zaproszone na kolację wydaną przez grupę ekologów. Jednym z przemawiających był ówczesny kochanek Lisy, wysoki przystojny samiec, przekonany, że lasy zostały już zniszczone do tego stopnia, iż nic nie może ich uratować. Mężczyzna ów był także przeświadczony, że żadna kobieta, a Lisa w

szczególności, nie potrafi oprzeć się jego urokowi. Lisa, która zamierzała spędzić ten wieczór podobnie jak spędzała większość wieczorów w swym życiu, zmieniła nagle zdanie. April także nie była zachwycona jej znajomym, obie więc uciekły z przyjęcia i wybrały się na poszukiwanie przygód do miasta.

Od tego czasu były bliskimi przyjaciółkami.

Lisa nie była więc zaskoczona, kiedy April zadzwoniła do niej i poprosiła o spotkanie. Zainteresowała się tym bardziej dopiero wtedy, gdy przyjaciółka nie chciała powiedzieć o co chodzi.

Następnego dnia April pojawiła się w jej mieszkaniu z jakimś nieznanym osobnikiem.

- Liso, to jest Max Collingwood - przedstawiła go chemiczka.

Obie kobiety znały się zbyt dobrze, by tracić czas na wymianę zwyczajowych grzeczności. April opowiedziała Lisie o wszystkim, co zdarzyło się na farmie Toma Laskera. Kiedy skończyła, w pokoju na długą chwilę zapadła cisza.

- Jesteś tego pewna? - spytała wreszcie Lisa. - Może to jakieś oszustwo?

- Nie mam żadnych wątpliwości. O oszustwie nie może być tutaj mowy. - April położyła na stole dużą kopertę, otworzyła ją i wyjęła kilka fotografii. Były to zdjęcia jachtu. Wnętrze. Widok z zewnątrz. Żagle. Zbliżenia wsporników i relingu. Oraz tajemnicze litery.

- Rzeczywiście, wyglądają dość dziwnie - przyznała Lisa. - Mówisz, że nie pasują do żadnego języka?

- Do żadnego ze znanych nam języków - odparła April.

Lisa przeglądała zdjęcia, myślała jednak o swej przyjaciółce. To, co usłyszała przed chwilą, było tak nieprawdopodobne, że nie wiedziała, czy nie powinna zmienić zdania o April. Domyślała się już, co było celem jej wizyty i pytała samą siebie, czy April nie próbuje jej oszukać. Nie, ona na pewno by tego nie zrobiła. Jednak czy to samo można było powiedzieć o tym Collingwoodzie?

- Więc jak brzmi twoja hipoteza? Skąd pochodzi łódź i kawałki drewna?

April uśmiechnęła się niepewnie.

- Wszystko poza tym, co ci pokazaliśmy, to tylko domysły. Nie mam żadnego konwencjonalnego wytłumaczenia.

- A masz jakieś niekonwencjonalne?

- Myślę, że twoje byłoby równie dobre jak każde inne - odparła wymijająco April.

Lisa skinęła głową, podeszła do biurka i wyciągnęła z szuflady książeczkę czekową.

- Co zamierzacie teraz zrobić?

- Chcemy przyjrzeć się lepiej tej okolicy. Sprawdzić, czy pod ziemią nie ma czegoś jeszcze.

- Co jest wam do tego potrzebne?

- Radar. Moglibyśmy wynająć go po rozsądnej cenie.

- Ale co moglibyście tam znaleźć? Następną łódź?

- Może - odparł Max.

- Macie już jedną. Rozumiem, że co dwie to nie jedna, ale czy uzyskalibyście w ten sposób jakiegokolwiek nowe informacje?

- Może byłyby tam jakieś pozostałości? - podsunęła April.

- Po dziesięciu tysiącach lat? I to w wodzie? Nie sądzę. Lepiej zastanówcie się, gdzie ci ludzie mogli kupować hot-dogi.

April pochyliła się niżej, patrząc w oczy swej przyjaciółki.

- Liso, oni musieli się tu jakoś dostać. Być może nigdy nie wrócili do domu.

Lisa słyszała własny oddech.

- Ile potrzebujecie?

Kiedy na farmie Laskera pojawił się radar wynajęty do poszukiwań podziemnych, był tam także Max. Zarówno on jak i Laskerowie zakładali, że jeśli rzeczywiście w ziemi tkwi jeszcze coś ważnego, znajdą to od razu, jeśli nie, sprawa będzie zamknięta.

Max nie chciał, by wiązano go z poszukiwaniami UFO. Nie przyniosłoby to korzyści jego firmie, postanowił więc trzymać się z boku. Jednak gdyby udało im się zainteresować świat tym odkryciem, być może stałby się gwiazdą i zarobił mnóstwo pieniędzy.

Grupa obsługująca radar firmy „GeoTech” składała się z trzech osób. Funkcję szefa pełniła energiczna i zdyscyplinowana młoda kobieta. Nazywała się Peggy Moore, a rozmowę z Mak-sem zaczęła od pytania, czego właściwie mają szukać.

- Opis zadania jest w tym punkcie dość nieprecyzyjny - dodała.

- Interesuje nas wszystko, co może wydawać się niezwykle - odparł enigmatycznie Max.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała Peggy. Miała jasne oczy, wyraziste usta i terminarz zbyt napięty, by tracić czas na rozmowę z kimś, kto próbuje sobie z niej żartować.

- Proszę spróbować jeszcze raz - powiedziała ostrym, niemal wrogim tonem.

- Właściwie nie wiemy jeszcze dobrze, czego szukamy - wyjaśnił Max. - Przypuszczamy, że mogą być tutaj zakopane jakieś stare przedmioty. Chcielibyśmy, by to właśnie pani powiedziała nam, co jest pod ziemią. Jeśli cokolwiek tam jest.

- Co pan ma na myśli, panie Collingwood? Broń? Stare cmentarzysko Indian? Puszki po oleju? Powinniśmy to wiedzieć, bo zależy od tego procedura poszukiwań.

- W zeszłym miesiącu wykopano tutaj łódź.

- Widziałam to w telewizji. Właśnie w tym miejscu, tak?

- Tak. Chciałbym wiedzieć, czy pod ziemią jest coś jeszcze.

- W porządku. To mi na razie wystarczy. Jeśli jednak będzie pan wiedział coś więcej, proszę mi powiedzieć.

- Dobrze - zgodził się Max.

- Znaleźliśmy już grabie, gdy ustawialiśmy radar.

W furgonetce znajdowały się komputery, drukarki, monitory i urządzenia komunikacyjne. Sam radar ustawiony był na małym traktorze.

- Obrazy przekazywane są do furgonetki przez łącza radiowe - wyjaśniła Moore. - Pojawiają się na głównym ekranie. Będziemy szukać cieni, plam o dziwnym zabarwieniu, wszystkiego, co nie wygląda na naturalny twór.

Minęła już połowa listopada i dzień, w którym ekipa radarowa zaczęła poszukiwania, był okropnie zimny; nad prerią wisały ciężkie chmury, choć na ziemię spadło zaledwie kilka płatków śniegu.

Oprócz Peggy Moore załogę radaru tworzyła dwójka techników: Charlie Ramirez, ponury mężczyzna, który prowadził traktor i obsługiwał radar, oraz Sara Winebarger, specjalistka od łączności. Sara była chuda jak patyk i miała długie blond włosy.

Ze względu na paskudną pogodę Moore i Charlie mieli prowadzić traktor na zmianę. Charlie nie lubił zimna i bez przerwy opowiadał o Nevadzie.

- Jestem tutaj tylko dlatego, że chwilowo zamknęli naszą placówkę przy południowej granicy. Gdy tylko ją otworzą, natychmiast tam wrócę.

Max nie mógł oprzeć się ciekawości i spytał, czy mógłby obserwować poszukiwania we wnętrzu furgonetki.

- To niezgodne z przepisami - odparła szefowa.

- Nie robiłbym wam żadnych problemów.

- Jestem tego pewna, panie Collingwood. Jednak w grę wchodzi przepisy ubezpieczeniowe - mówiła lodowatym tonem Peggy Moore. - Mam nadzieję, że pan to zrozumie.

Kiedy ułożyli już szczegółowy plan poszukiwań, Charlie zajął miejsce na traktorze i ruszył w górę zbocza. Wspiął się na sam szczyt i w odległości około stu jardów od miejsca, w którym spoczywał jacht, zakręcił ostro w prawo. Po chwili objechał pierwszy z serii zachodzących na siebie prostokątów.

Max wrócił do domu Laskerów i usiadł w salonie, obok okna. Na zewnątrz terkotał miarowo silnik traktora.

*To pradawne wybrzeże  
Obmywane falą czasu...*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

TEGO POPOŁUDNIA ZAŁOGA „GeoTech” nie znalazła niczego ciekawego. Kiedy zakończyli pracę, Max pożegnał się z Laskerami i poleciał do domu. Drugi dzień poszukiwań, piątek, także nie przyniósł żadnych rezultatów, a członkowie obsługi radaru rozjechali się do domów na weekend.

April namawiała Maksa i Laskerów, by w miarę możliwości omijali temat jachtu i nie zdradzali żadnych istotnych informacji. Sama też dostosowała się do tego zalecenia i nie powiedziała o swym odkryciu kolegom z laboratorium. Potrzebowała jednak kogoś, z kim mogłaby rozmawiać na ten temat. Entuzjazm Maksa pasował także do jej nastroju, więc przez kolejne dni, kiedy radar bez skutku przeszukiwał pole Laskera, spotykali się oboje popołudniami i toczyli długie rozmowy.

Właśnie dzięki tym spotkaniom umocnili się w swych nadziejach i stworzyli nieformalne przymierze. Rzadko jednak mówili otwarcie o tym, czego spodziewają się po niezwykłym odkryciu. Ona wierzyła, że ludzkość opanuje technologię transuranową; on miał nadzieję, że na Ziemi naprawdę wylądowały istoty z innego świata, i że dowód na to leży w ich zasięgu. Max podejrzewał jednak, że w końcu pojawi się inne, bardziej prozaiczne wyjaśnienie; obawiał się wciąż, że April coś przeoczyła. Zazwyczaj jednak przy pizzy i piwie chemiczka potrafiła rozwiać te wątpliwości. Na jakiś czas.

Ona sama nie miała się na kim oprzeć. Uważała się za osobę solidną, którą nie rządzą emocje, i która nie da się zaślepić wybujałym ambicjom. Jednak wolałaby poznać opinię kogoś innego, otrzymać jakieś potwierdzenie od eksperta w tej dziedzinie. Lecz stawka była zbyt wysoka. April wiedziała dobrze, czym mogłaby zakończyć się taka próba; do gry włączyłyby się grube ryby, a ona zostałaby zepchnięta na boczny tor.

Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby o tym pogadać. Laskero-wie niemal dosłownie siedzieli na czymś, co mogło okazać się najważniejszym odkryciem w historii ludzkości, jednak podchodzili do całej sprawy ze spokojem, który działał jej na nerwy. Owszem, byli zainteresowani, intrygowały ich różne możliwości, brakowało im jednak prawdziwego ognia. April miała wrażenie, że gdyby Tom Lasker dowiedział się, iż na jego ziemi wylądował statek UFO, poszedłby go obejrzeć, ale dopiero po nakarmieniu koni.

Max był inny. W tym trudnym okresie stał się dla niej najlepszym partnerem do rozmowy.

Czasami próbowali pośrednio opisać swe marzenia, żartując na ich temat. April mówiła, że widzi już oczami wyobraźni zdjęcie Maksa na okładce „Time'a”; wychodzi z kokpitu „Groma” w niedbale rozpiętej kurtce. Człowiek Roku. On zaś rozmyślał głośno o Noblu dla kobiety, która dała światu dożywną gwarancję na samochód.

Tymczasem upływały kolejne dni, a poszukiwania na farmie Laskerów nie przynosiły żadnych rezultatów. Max znów zaczął powątpiewać w sukces całego przedsięwzięcia i powtarzał, że byłoby to zbyt piękne, by mogło stać się prawdą. April zauważyła, że nawet jeśli nie uda im się odnaleźć czegoś ciekawego, wciąż będą w posiadaniu jachtu o nieoszacowanej wartości.

- Nic już nie będzie takie samo - powiedziała, dodając, że napisała artykuł o swoim odkryciu. - Nie opublikuję go, dopóki nie będę miała całkowitej pewności, że tam już nie ma niczego cennego.



Nie chciałabym ściągać tu tłumów poszukiwaczy skarbów.

- Słusznie - zgodził się Max. Siedzieli w małej restauracji przy centrum handlowym, obok skrzyżowania dwóch autostrad stanowych w Fargo. Oboje jedli pizzę pepperoni. - Jak myślisz, jeśli tam naprawdę coś jest, jakie mamy szansę na odnalezienie tego czegoś?

April zamknęła na moment oczy.

- Prawie żadnych. Dno jeziora to zbyt wielki teren. - Wsyłała słodzik do kawy i zamieszała ją energicznie. - Mówimy o wielkich obszarach na terenie Stanów i Kanady. Właściwie moglibyśmy szukać nawet tutaj - wskazała palcem na podłogę. - Teren obecnego Fargo też znajdował się przez jakiś czas pod wodą. Kto wie? Max odruchowo spojrzał na płytki podłogowe.

- Ciekawe, ile wart jest ten jacht.

- Jeśli nasze przypuszczenia są prawdziwe, Max, jacht jest dosłownie bezcenny. - Przez moment obserwowała jakąś matkę, która starała się zapanować nad płaczącym dzieckiem i całą górą zakupów. - Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć odpowiedzi chociaż na część pytań. Boję się jednak, że być może staniemy przed zagadką, której nikt i nigdy nie zdoła rozwiązać.

- Dobrze byłoby znaleźć coś, co wyjaśniłoby nam, do kogo należała ta łódź - westchnął Max.

- Pozostałości - powiedziała z naciskiem April. - Potrzebujemy jakichś pozostałości z tamtego okresu. - Na jej twarzy malowała się taka determinacja, że przechodzące obok dzieci spojrzały na nią ze zdumieniem. - Pomyśl tylko. Zostawili łódź. To znaczy, że zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Burza. Może zostali zaatakowani przez tubylców.

- Albo po prostu nigdy po nią nie wrócili - zasugerował Max.

- To ładna łódź - pokręciła głową April. - Na pewno zabrałabym ją ze sobą, wracając do domu. Nie zostawiłabym jej na pastwę losu. Nie, myślę, że przydarzyło im się coś złego. - Jej głos przycichł nagle, stał się dziwnie odległy. - Och, nie wiem, Max. Nienawidzę spekulować na ten temat. - Ugryzła kawałek pizzy i żuła ją przez chwilę; po czym dodała: - Jeśli rzeczywiście stało im się coś złego, istnieje spore prawdopodobieństwo, że na Ziemi wciąż jest ich środek transportu.

Max powinien być zadowolony. Muzeum Yickers w South Bend otrzymało sporą dotację; pieniądze, które otwierały przed jego firmą poważne możliwości. W dodatku do biura wpłynęły dwie dobre oferty sprzedaży latającej łodzi „Catalina”, do której kupna Max przymierzał się już od dawna, a redakcja magazynu „Popular Aviation” poinformowała go, że chce zamieścić artykuł na temat Sundown. Firma była w tak korzystnej sytuacji, że Max zastanawiał się po cichu, czy nie zostawić sobie „Białego Gromu”.

Mimo tych dobrych wieści, wciąż był niespokojny. Radar zbliżał się już do zachodnich krańców farmy Laskera i nic nie wskazywało na to, by poszukiwania zakończyły się sukcesem. April przypuszczała, że mogą odnaleźć jakiś pojazd. Może szukali w złym miejscu. Przecież pojazd kosmiczny nie lądowałby na jeziorze.

Może nie przemyśleli tego do końca. Co takiego powiedziała Lisa Yarborough? „Zastanówcie się, gdzie kupowali hot-dogi”.

Na dworze nadal było zimno. Od jakiegoś czasu Max oglądał co wieczór program „Ben at Ten”, nadawany z Grand Forks. Historia łodzi z Fort Moxie stanowiła swego rodzaju miły przerywnik, z którego prowadzący korzystali w każdym niemal wydaniu. Najpierw pokazywano koszulki z „diabelską łodzią”. Potem nadano krótką relację z Fort Moxie, gdzie rozszłoszczeni obywatele ostrzegali radę miejską, że ów „diabeł” raczej odstraszy niż przyciągnie turystów. Wścibscy dziennikarze rozmawiali także z człowiekiem, który twierdził, że wykopał w swym skalnym ogródku w Drayton chevroleta z 1937 roku w idealnym stanie. Przeprowadzali sondaż wśród turystów;

oczywiście były na ten temat przeróżne teorie; niektórzy twierdzili na przykład, że to znak rychłego końca świata; inni uważali, że łódź wypadła z samolotu; że był to chwyt reklamowy jakiegoś producenta jachtów; że rząd Stanów Zjednoczonych próbuje w ten sposób przyciągnąć kanadyjskich turystów.

Tom skarżył się Maksowi przez telefon, że namiot śmierdzi zwierzętami, i że po raz pierwszy w życiu cieszy się, iż wiatr tak rzadko wieje z południa. April była wściekła, że łódź nie jest porządnie zabezpieczona, i że w ogóle dopuszcza się do niej tyle ludzi, jednak Tom czuł się zobowiązany wobec swoich sąsiadów i nie zamierzał ich rozczarować. Przesłał także broszurę i koszulkę z rysunkiem łodzi oraz napisem „Bawiłem się jak diabli w Fort Moxie”. Oprawa całej broszurki była całkiem niezła. Przedstawiona na okładce łódź leżała na zboczu góry, oświetlona światłem księżycy, otoczona aurą niesamowitości. Historia odkrycia opowiedziana została w kilku suchych zdaniach, a ważniejszy od niej był wytłuszczony gotycki napis głoszący, iż „naukowcy są bezradni”. Wewnątrz książki zamieszczono także zdjęcia domu Laskerów i ważniejszych obiektów w miasteczku.

Max nie mógł uwolnić się od myśli, że szukają w złym miejscu. W dniu, w którym otrzymał przesyłkę z koszulką i broszurą, postanowił zbadać tę sprawę.

Główna biblioteka miejska w Fargo znajduje się w centrum i miasta, przy skrzyżowaniu Pierwszej Alei i Trzeciej Ulicy. Jest to kwadratowy, piętrowy budynek, wciśnięty pomiędzy stare gmazyska z cegły i kamienia. Od ulicy oddzielają go drzewa i nieliczne krzewy.

Po południu, tuż przed godziną szczytu, Max przejechał obok posterunku policji i zatrzymał się na parkingu przed centrum usługowym. Temperatura wyraźnie się podniosła, śnieg, który padał od wczesnego popołudnia, zamienił się w deszcz, asfalt błyszczał w wilgotnej mgle. Choć nie zapadł jeszcze zmrok, zapalono już latarnie, wokół których tworzyły się świetlne kręgi. Ciężkie chmury sunęły tuż nad miastem, niemal zawadzając brzuchami o dachy. Max wysiadł z samochodu, owinął się szczelniej kurtką i biegiem pokonał kilkadziesiąt metrów dzielących go od biblioteki.

Większość miejsc była zajęta przez dzieciaki ze średniej szkoły. W powietrzu wisiał zapach wilgotnej bawełny. Max przeszedł do działu geografii, wyciągnął wszystkie atlasy, jakie udało mu się znaleźć, i zaniósł je na stół.

Jezioro Agassiz było największym spośród wszystkich plej-stocieńskich jezior Ameryki Północnej. Właściwie było to morze o powierzchni stu dziesięciu tysięcy mil kwadratowych. Utworzyły je wody spływające z kontynentalnego lodowca pod koniec ostatniej epoki lodowcowej. Jednak po kilku tysiącach lat ten sam lodowiec, cofając się na północ, odkrył połączenie z Zatoką Hudsona i wody jeziora spłynęły do morza.

Na terenie północnych stanów wciąż istniały pozostałości tamtego wielkiego morza: jezioro Leśne, rzeka Assiniboine, jezioro Deszczowe, jezioro Czerwone w Minnesocie, Czerwona Rzeka Północy, jezioro Winnipeg. Jednak w dniach swej świetności jezioro Agassiz miało ponad trzysta stóp głębokości.

Max sprawdził też, kiedy na tym terenie pojawili się Indianie. Byli tu dość wcześnie, by zobaczyć Agassiz. Co jeszcze widzieli?

Świerkowe drzazgi w linach cumowniczych świadczyły o tym, że łódź została przymocowana do nabrzeża, a nie zakotwiczona. To z kolei oznaczało, że na brzegu jeziora istniała jakaś przystań. Gdzie mogła znajdować się taka osłonięta przystań?

Gdzie nieznani żeglarze zbudowali molo?

Rozmiary linii brzegowej były imponujące. Ciągnęła się od środkowo-północnej części Saskatchewan do wodospadów św. Antoniego w Minneapolis. Prawdopodobnie około dziesięć tysięcy mil. Beznadziejne zadanie. Istniała jednak i taka możliwość, że przycumowana do nabrzeża

Łódź zerwała się w czasie sztormu i wkrótce potem utonąła. Nie była to może najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń, ale nie była też całkiem absurdalna. W takim przypadku przystań musiałaby leżeć gdzieś w pobliżu. Może gdzieś przy zachodnim wybrzeżu, między Fargo i Winnipeg.

Przez długi czas przyglądał się mapom.

Jakie warunki musiała spełniać taka przystań? Przede wszystkim woda powinna znajdować się na odpowiednim poziomie. Powstawał więc problem wysokości. W porządku, mógł to sprawdzić. Przystań powinna być też zapewniać schronienie przed wiatrem i prądami morskimi. Musiała także być dość głęboka, by łodzie nie osiadały na dnie podczas odpływu. Należało więc brać pod uwagę tylko strome zbocza. Takich miejsc nie było chyba zbyt wiele.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Max oderwał się od płyty lotniska, wzbił na odpowiedni pułap i zakręcił na zachód, wypatrując linii brzegowej. Nie odnalazł jej. Dolina Czerwonej Rzeki wznosi się na południu, a pasmo Pembina Escarpment, tak wyraźne przy granicy, tutaj staje się praktycznie niewidoczne. Gdyby spoglądał nań z powierzchni jeziora, brzeg wydawałby mu się całkiem płaski. Jezioro musiało być tutaj bardzo płytkie, nikt więc nie budowałby przystani w tym miejscu.

Zawrócił na północ i leciał nad pokrytymi śniegiem polami. Mijał wielkie spichlerze i miasteczka, połączone cichymi dwupasmowymi drogami. Dopiero po kilkunastu minutach lotu, gdy przekroczył granicę okręgu Cavalier, zobaczył starą Unię brzegową.

Obok zapory Herzog droga numer 5 biegnie przez jakiś czas wzdłuż grzbietu urwiska. Max obniżył lat do czterech tysięcy stóp, by przyjrzeć się temu dokładniej. Pola uprawne leżały odłogiem, porzucone na czas zimy, a jedynym ruchomym punktem w śnieżnym krajobrazie była samotna ciężarówka, nadjeżdżająca od wschodu. Być może na tym urwisku istniała kiedyś przystań. Max przeleciał nad nim kilka razy, lecz nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków. Jeśli nawet tutaj znajdował się cel jego poszukiwań, niewiele już z niego zostało. Max zrobił kilka zdjęć i poleciał dalej.

Znalazł jeszcze jedno miejsce, które spełniało wszystkie warunki, na południe od Walhalla, przy drodze 32.

I jeszcze jedno w Kanadzie. Razem trzy możliwości.

Walhalla leżało najbliżej farmy Laskera. Zaczniemy od tego, pomyślał, zakręcając na wschód.

Zadzwoił do April z samolotu.

- To nic wielkiego - mówił - ale być może uda nam się coś znaleźć.

- Jasne. - April nie odnosiła się do tego projektu z wielkim entuzjazmem. - Może powiesz nam się lepiej niż na farmie Toma. Do kogo należy ta ziemia?

- Mogę się dowiedzieć, jeśli chcesz, żebym robił to dalej.

- Tak. Zajmij się tym. Trzeba załatwić pozwolenie na prowadzenie poszukiwań w tym miejscu.

Tom spotkał się z nim w Fort Moxie. On także nie był zachwycony pomysłem, ale wzruszył tylko ramionami, uznając, że i tak nie mają nic lepszego do roboty.

- Możemy pojechać tam już teraz, jeśli chcesz - powiedział. Ruszyli drogą numer 11 na zachód, minęli farmę, a potem wjechali na Pembina Escarpment, gdzie skręcili na południe, na drogę 32. Wzgórza i pagórki po zachodniej stronie drogi tworzyły solidny łańcuch. Większość szczytów porastały lasy, a u podnóża wznosiły się pojedyncze skały czy grupy głazów. Właśnie w tej okolicy znajdowało się Walhalla, bogate miasteczko, którego mieszkańcy trudnili się głównie handlem drewnem i artykułami spożywczymi.

Dziesięć mil na południe od miasteczka kończył się las, a droga wychodziła na wielki kanion w kształcie końskiej podkowy.

- To Johnson's Ridge - powiedział Lasker.

Południowe i zachodnie ściany kanionu były bardzo strome i niemal całkowicie pozbawione roślinności. Północne zbocze wznosiło się łagodniej i podobnie jak dno doliny porastały je drzewa.

Kanion miał dwieście jardów szerokości i prawie dwa razy tyle głębokości. Przy przeciwległej ścianie zwężał się mniej więcej o jedną trzecią. Droga dojazdowa odbijała od autostrady, ginęła między drzewami i pięła się na północne zbocze całą serią serpentyn.

Lasker podjechał na skraj kanionu i zatrzymał samochód. Słońce zniżało się już nad zachodnią krawędzią, niższą o jakieś pięćdziesiąt do stu stóp niż szczyty po obu stronach.

- Na jakiej wysokości znajdowała się powierzchnia wody? - spytał.

- To zależy od okresu. Nigdy nie była dość wysoko, by południowy brzeg mógł służyć za przystań. Ale przez długi czas mógłbyś podpływać pod tamtą krawędź - wskazał na przeciwległą ścianę - przycumować tam łódź i spokojnie zejść suchą stopą na ziemię.

Lasker przymrużył powieki, chroniąc oczy przed blaskiem słońca. Dojrzał stado jakichś ptaków, przelatujących nad szczytem góry.

- Może i tak było - westchnął. - Zdaje się, że ta ziemia należy do Indian - dodał.

Biuro prawne Arky Redferna znajdowało się w budynku na przedmieściach Cavalier, siedziby władz okręgu. Otaczały je gabinety ortodontów i doradców podatkowych. Sam budynek pokryty był szarymi kamiennymi płytami. Lasker zatrzymał się na niewielkim parkingu, obok miejsca przeznaczonego dla niepełnosprawnych kierowców.

We wnętrzu powitała ich młoda, energiczna kobieta, która przeglądała właśnie jakieś informacje w komputerze.

- Dzień dobry panom. Czym mogę służyć?

Zapisała ich nazwiska i podniosła słuchawkę telefonu. Piętnaście minut później weszli do Redferna. Naprzeciw drzwi stało mahoniowe biurko, obok niego komplet skórzanych mebli oraz przeszklone regały na książki. Ściany obwieszane były dyplomami i fotografiami; poczesne miejsce na ścianie za biurkiem zajmował łuk i pięć strzał.

Arky Redfern był szczupłym młodym mężczyzną, ubranym w szarą tweedową marynarkę. Dość wysoki, miał ciemne, nieprzeniknione oczy, skórę barwy miedzi i gęste czarne włosy. Prosto ze studiów, pomyślał Max. Redfern wszedł do biura bocznymi drzwiami, przywitał się serdecznie z Laskerem, wypytując go o rodzinę, i uścisnął dłoń Maksa.

- No dobrze - zaczął, kiedy już usiedli i przeszli do interesów. - Co właściwie chcielibyście panowie robić na Johnson's Ridge?

Zgodnie z tym, co ustalili przed wejściem do biura, Lasker wziął na siebie ciężar rozmowy.

- Chcielibyśmy uzyskać pozwolenie na przeprowadzenie podziemnych poszukiwań radarowych. Szukamy starych przedmiotów.

Prawnik przechylił głowę na bok, jakby nie dosłyszał słów Laskera.

- Naprawdę? Dlaczego? Co chcecie tam znaleźć?

- To ogólne badanie - wyjaśnił Tom. - Chcemy przekonać się, czy tam w ogóle coś jest. Oczywiście nie ruszalibyśmy niczego bez pozwolenia.

Redfern wyjął z kieszeni marynarki okulary i ostrożnie założył je na nos.

- Dlaczego nie powiecie mi wprost, co was interesuje? Czy tam jest jeszcze jeden jacht, Tom?

Lasker spojrzał na Maksa.

- Sprawdzamy różne miejsca na tym terenie, panie Redfern - powiedział Max, - Nigdy nie wiadomo, gdzie można znaleźć coś ciekawego.

Lasker poruszył bezgłośnie ustami. „Zaufaj mi”, odczytał Max i westchnął cicho. Zaufać prawnikowi? Złamałby wtedy jedną ze swych najważniejszych zasad.

Redfern najwyraźniej nie był zadowolony z odpowiedzi Maksa. Zachowywał się tak, jakby nadal czekał na wyjaśnienia.

- Przypuszczamy, że mogą tam być zakopane jakieś przedmioty z okresu paleolitu - dodał Max po chwili.

Prawnik przymrużył oczy i zwrócił się do Laskera.

- To jest związane z twoją łodzią, Tom, prawda?

- Tak - przyznał Lasker. - Istnieje taka możliwość, tylko możliwość, że na szczycie Johnson's Ridge może być zakopane coś ważnego. Ale to tylko nasze przypuszczenia.

Redfern skinął głową.

- Może powiecie mi wprost, co wiecie na temat tego jachtu?

- Wszystko zostało opisane w gazetach - odrzekł Max.

- Nic nie zostało opisane w gazetach. Stara łódź wykopana na farmie Toma Laskera. Jest w doskonałym stanie, co wskazywałoby na to, że nie przebywała w ziemi dłużej niż tydzień. W nocy zapalają się na niej jakieś światła. - Przez chwilę spoglądał w milczeniu na swoich gości. - Chcecie mieć wstęp na Johnson's Ridge? Więc powiedzcie mi, co tu się dzieje.

- Czy możemy być pewni, że te informacje zostaną zachowane w tajemnicy? - spytał Lasker.

- Chciałbym w razie potrzeby skonsultować się z przewodniczącym rady szczepu, mogę jednak zagwarantować, że nie dowie się o tym nikt więcej.

- Kto jest tym przewodniczącym? - zainteresował się Max.

- Szef miejscowych Siuksów - odparł Lasker. - Nazywa się James Walker.

- Szef Siuksów jest przewodniczącym?

- Filmowi Indianie mają wodzów - wzruszył ramionami Redfern. - Teraz powiedzcie mi, co wiecie o łodzi.

Max skinął głową.

- Być może jest o wiele starsza, niż przypuszczamy - zaczął. W pobliżu przejechała wielka ciężarówka, wprawiając budynek w drżenie. Max opisał pokrótce odkrycie April, obserwując cały czas reakcję Redferna. Obawiał się, że lada moment zostanie uznany za wariata i wyrzucony za drzwi.

Prawnik wysłuchał jednak jego opowieści w skupieniu, nie komentując jej ani nie zdradzając własnej opinii. Kiedy Max skończył, w pokoju zapadła cisza.

- Sugeruje pan więc, że ktoś zeglował tym jachtem po jeziorze Agassiz? - odezwał się po chwili Redfern.

Ujęta w ten sposób teoria Maksa brzmiała dość idiotycznie.

- Nie jesteśmy tego pewni - odparł spokojnie Max. - Ale wydaje się to możliwe.

- W porządku. - Redfern otworzył szufladę i wyciągnął z niej notes. - Ile jesteście gotowi zapłacić za ten przywilej?

Lasker poruszył się nerwowo na swoim krześle.

- Nie zamierzamy w żaden sposób niszczyć waszej ziemi, Arky, myślałem więc, że po prostu pozwolisz nam się rozejrzeć po okolicy.

Redfern skinął głową.

- Oczywiście. Mam nadzieję, iż zrozumiesz, Tom, że gdyby zależało to ode mnie, bez wahania

powiedziałbym tak. Jednak rada plemienia ma swoje zasady, a ja muszę się im podporządkowywać. - Spojrzał wymownie na swoich gości.

- Myślę, że gotowi bylibyśmy zapłacić sto - powiedział Max. Redfern znowu skinął głową, nie odnosiło się to jednak do oferty, lecz do jego myśli.

- W jaki sposób chcecie prowadzić poszukiwania?

- Za pomocą radaru.

Redfern robił jakieś notatki. Zmarszczył brwi, potem dopisał coś jeszcze. Wreszcie podniósł wzrok na gości.

- Nie wyobrażam sobie, bym mógł zaakceptować kwotę mniejszą niż tysiąc.

- To absurdalne - Max poderwał się z miejsca.

- Normalna stawka - odparł Redfern. Pozwolił, by owo stwierdzenie zawisło w powietrzu, jakby jego zasadność była oczywista; Max zastanowił się. Brał pod uwagę jeszcze dwa miejsca, ale Johnson's Ridge wydawało się idealną przystanią. Jeśli łódź rzeczywiście cumowała gdzieś na tym obszarze, to na pewno właśnie tutaj.

- Nie stać nas na tysiąc - powiedział. - Proszę jednak wziąć pod uwagę fakt, że jeśli rzeczywiście coś znajdziemy, skorzystają na tym wszyscy.

- Jestem o tym przekonany - odparł Redfern. Westchnął. -Dobrze. Powiem wam, co z tym zrobię. Porozmawiam z przewodniczącym. Być może zrobi dla was wyjątek i zgodzi się zmniejszyć opłatę ze względu na nietypowy cel poszukiwań. Jaką sumę mogę mu zaoferować? - Uśmiechnął się uprzejmie do Maksa.

- Może pięćset?

Redfern przymknął na moment oczy.

- Podejrzewam, że przewodniczący uzna ją za niewystarczającą. Ale spróbuję. - Znow zapisał coś w notesie. - Przygotuję kontrakt. - Uśmiechnął się. - Rozumiecie panowie chyba, że wszelkie przedmioty należące kiedyś do Indian, jakie znajdziecie podczas badań, pozostaną własnością plemienia. Inne wartościowe przedmioty będziemy dzielić według zwykłych warunków.

- Jakie to warunki? - spytał Max. Redfern wyjął z szuflady kartkę papieru.

- W tym wypadku będziemy stosować się do punktu czwartego. - Podał dokument Laskerowi. - To standardowe przepisy, dotyczą każdego, kto chce prowadzić prace archeologiczne na naszym terenie.

- Myślę, że będziemy potrzebować prawnika - mruknął Max. Redfern wyglądał na rozbawionego.

- Zawsze twierdzę, że każdy kto bierze udział w poważnej transakcji, powinien korzystać z opinii prawnika. Kontrakt będzie gotowy po południu, możecie więc panowie zaglądnąć tu jeszcze dzisiaj i od razu go podpisać. - Wstał z miejsca, uznawszy sprawę za zamkniętą. - Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

Max podziwiał łuk zawieszony na przeciwległej ścianie.

- Używał pan go kiedyś?

- Należał do mojego ojca - odrzekł Redfern, jakby była to oczywista odpowiedź na pytanie Maksa.

Peggy Moore dorastała w Plymouth, w stanie New Hampshi-re, w cieniu Gór Białych. Uczęszczała do szkoły w Nowym Jorku, miała za sobą trzy nieudane małżeństwa, nie miała zaś cierpliwości do ludzi, którzy stawali na jej drodze. W „GeoTech” pełniła rozliczne obowiązki, jednak najbardziej lubiła pracę z radarowym zespołem poszukiwawczym. Nie dlatego, że stanowiła

ona spore wyzwanie, lecz dlatego, że mogła przynieść najbardziej zadowalające rezultaty. Nic nie było porównywalne z tymi chwilami, kiedy siedziała przed monitorem i odkrywała formacje skalne, pod którymi kryła się ropa. Może tylko znalezisko z Nebraski, będące szczytowym osiągnięciem w jej karierze: kości mastodonta.

Dotychczas była przekonana, że celem poszukiwań prowadzonych na farmie Laskera jest jeszcze jedna łódź. Jednak teraz, bez słowa wyjaśnienia, jej zespół został przeniesiony na szczyt Johnson's Ridge. Czego, do diabła, mieli szukać?

Pytanie to nie dawało jej spać po nocach. Moore podejrzewała, że w grę wchodzi jakieś nieczyste interesy. Tylko to mogło tłumaczyć atmosferę tajemniczości, niemal konspiracji. Jednak Max (który przypominał jej pierwszego męża) wydawał się zbyt ostrożny jak na kryminalistę, a nikt przy zdrowych zmysłach nie posądzałby dobrodusznym Laskerów o zbrodnicze zamiary. Nie miała takiej pewności co do April Cannon, z którą spędziła zbyt mało czasu. Cannon wyglądała na kobietę, która potrafi być bezwzględna, i która nie cofnęłaby się przed złamaniem prawa, gdyby miała ku temu ważny powód. To jednak wciąż nie pomagało jej w rozwiązaniu zagadki. Czego szukali? Ukrytych skarbów? Zakopanych narkotyków? Zagubionego pojemnika z gazem paralizującym?

Obserwowała przez chwilę Sarę, która czuwała przy monitorze radarowym. Pogoda nieco się uspokoiła, zrobiło się cieplej, Charlie mógł więc bez dłuższych przerw prowadzić traktor po zboczach góry. Przekazywane z radaru obrazy pojawiały się na monitorze jako formacje skalne i pokłady ziemi.

Przez kilka dni na dworze było niezwykle ciepło, jak na tę porę roku. Pokrywa śnieżna całkiem stopniała, odsłaniając wilgotną i miękką ziemię. Moore prowadziła więc poszukiwania bardzo ostrożnie, wyznaczając trasę objazdu z dala od krawędzi urwiska. Obserwowała uważnie poczynania Charliego i od czasu do czasu nakazywała mu zboczyć z trasy, poświęcając precyzję na rzecz bezpieczeństwa.

Radar ukazywał w miarę dokładnie, co kryje się pod powierzchnią ziemi do głębokości trzydziestu stóp. Dla celów archeologicznych - zakładając, że taki był rzeczywisty powód, dla którego ściągnięto ich tutaj - był to wystarczająco głęboki pomiar.

Zachodnia część Johnson's Ridge, czyli wierzchołek tylnej ściany, była płaska, porośnięta trawą i krzewami. Ten niewielki płaskowyż miał około dwa tysiące jardów długości z północy na południe i jakieś tysiąc pięćset ze wschodu na zachód. Na południu głęboka rozpadlina oddzielała go od pobliskich wzgórz. Północna strona kończyła się ścianą drzew.

- Przede wszystkim zbadajcie krawędź - mówił im Max.

- Wolniej - przykazała Charliemu, który wciąż posuwał się niebezpiecznie blisko brzegu urwiska.

- Tak jest - odparł Charlie. Miał na sobie obszerny roboczy kombinezon i wełnianą czapkę z nausznikami.

Moore chciała coś znaleźć. Nie tylko dlatego, by dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, lecz przede wszystkim dlatego, że była profesjonalistką i chciała zadowolić swego klienta, nawet jeśli ten postawił przed nią niesłychanie trudne zadanie. Mimo to irytował ją brak zaufania ze strony Maksa i jego znajomych. Nikt przecież nie zamierzał ukraść im tych strzał i dzid, czy czego tam szukali. To znów był kolejny argument, który wskazywałby raczej na motyw geologiczny; ci ludzie nie wyglądali na maniaków, których interesują tylko stare kości i naczynia. Peggy tłumaczyła im już od początku, że jeśli chcą znaleźć na przykład złoto, muszą powiedzieć jej o tym, a wtedy łatwiej będzie o jakiś rezultat.

Siedziała wygodnie z nogami opartymi o blat stołu i popijała kawę, kiedy w rogu jednego z

ekranów pojawił się bardzo dziwny kształt.

- Sukinsyn - szepnęła, zatrzymując obraz na swoim monitorze.



*Bo tam, gdzie kiedyś rozbrzmiewał ludzki śmiech, zostały tylko przegniłe kości...*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

MAX BYŁ W TUSCON, gdzie prowadził negocjacje w sprawie zakupu bombowca typu Halifax, kiedy zadzwonił telefon.

- Zdaje się, że nareszcie coś mamy - mówiła April przyciszonym głosem. - Jakiś przedmiot zakopany jest na skraju urwiska.

- Co? Następna łódź? - Max stał przy oknie w terminalu małego prywatnego lotniska. Halifax stał na pasie startowym, otoczony przez grupkę potencjalnych kupców.

- Nie. To jest o wiele większe. Ponad sto pięćdziesiąt stóp. Leży dokładnie w tym miejscu, które kazałeś przeszukać. Na skraju wierzchołka.

- Cholera.

- Max - ponownie odezwała się April. - To jest okrągłe. -Co?

- Słyszałeś, co powiedziałam.

Po obu stronach zapadła długa i głęboka cisza.

\*\*\*

Na wydrukach komputerowych tajemniczy przedmiot wyglądał jak okrągły budynek przykryty wielką kopułą.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek widziałam coś podobnego - powiedziała Moore.

- Nie jest to leśniczówka ani spichlerz. Na pewno nie jest to też wiejska chata. - Spojrzała podejrzliwie na Maksa. - Przypuszczam, że pan wie, co to jest.

Max wiedział, jakie są jego nadzieje. Jednak przedstawiony na wydruku obiekt nie miał aerodynamicznych kształtów. Pokręcił więc tylko głową.

- Co jeszcze może pani z tego odczytać? - spytała April.

- Nic. Nada. To po prostu duży, okrągły budynek. Około pięćset stóp w obwodzie.

- Ile wynosi wysokość?

- Jakies dwadzieścia stóp przy zewnętrznej krawędzi i trzydzieści na środku kopuły. - Siedzieli w furgonetce „GeoTechu”, zaparkowanej niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska, dokładnie nad tajemniczym obiektem. Wiatr uderzał w bok samochodu, kołysząc nim lekko. - Jest tutaj jeszcze jedna dziwna rzecz - powiedziała Moore. - Wierzchołek zbudowany jest głównie ze skały, przykryty tylko cienką warstwą ziemi. Ale to coś wbudowane jest wewnątrz ogromnego wycięcia w powierzchni skały. Widzicie te cienie? To wszystko jest granit.

April poprosiła ją, by powiększyła obraz.

- Wycięcie także jest okrągłe - kontynuowała Moore. - Powiedziałabym nawet, że zostało wykonane specjalnie dla tego budynku.

Max i April wymienili spojrzenia.

- A tutaj mam coś jeszcze. - Moore wskazała na ciemne plamy pod obiektem i obok niego, od strony krawędzi urwiska. -To jest kanał wycięty w skale. - Ciemny pasek biegł spod okrągłej struktury prosto do brzegu klifu.

- Z czego zrobiona jest ta rotunda? - chciała wiedzieć April.

- Nie wiem. Mogę was jednak zapewnić, że to nie skała.

- Skąd pani to wie?

- Jakość odbicia. Niemal porównywalna ze szkłem. - Moore stukała palcami o blat biurka. - Nie mam pojęcia, co to może być i skąd się tu wzięło. Gdybyśmy znajdowali się teraz na równinie, pomyślałabym, że to jakiś porzucony magazyn. To coś jest wystarczająco duże. Ale dlaczego ktoś miałby budować magazyn tutaj, na szczycie urwiska? Wygląda to raczej jak miejsce, do którego ludzie przychodzili odpocząć, usiąść na werandzie i popatrzeć sobie w dolinę. Prawda? - Obdarzyła Maksa przenikliwym spojrzeniem. - Ale to coś nie ma żadnej werandy.

Max skurczył się odruchowo, wyczuwając jej irytację, i przez chwilę miał ochotę wyrzucić z siebie wszystko. Ale cóż mógł jej powiedzieć? Że zgodnie z jego przypuszczeniami znaleźli właśnie latający talerz?

Wyszli z furgonetki i stanęli nieruchomo, wpatrując się w grunt, jakby siłą woli mogli przeniknąć warstwę ziemi i dowiedzieć się, co leży pod ich stopami. Poprzedniej nocy padał śnieg, ale silny wiatr dokładnie oczyścił wierzchołek urwiska. Słońce właśnie zaszło za horyzont, a temperatura zaczęła się gwałtownie obniżać.

Traktor z radarem krążył w oddali, szukając innych przedmiotów. Terkotanie silnika było jedynym dźwiękiem, jaki mącił wieczorną ciszę. Daleko pod nimi jakiś samochód sunął powoli drogą 32, a w kilku domach paliły się światła. Ziemia niknęła powoli w ciemnościach, zacierały się granice pomiędzy poszczególnymi elementami krajobrazu.

April zaskoczyła go. Wzięła go pod rękę i zaprowadziła na skraj urwiska, z dala od Moore.

- Ten kanał - powiedziała. - Myślisz o tym samym, co ja? Skinął głową.

- Kanał przeznaczony był dla jachtu. April drżała z podniecenia.

- Myślę, że trafiliśmy w dziesiątkę.

- Też tak sądzę.

Przez długą chwilę oboje milczeli. Max starał się określić swe uczucia.

- Jak myślisz - przemówiła w końcu April - Siuksowie pozwolą nam rozkopać ten teren?

- Jasne. Oni też mogą mieć z tego zysk.

Odwrócili się plecami do wiatru i spojrzeli na tonącą w ciemnościach dolinę.

- Nie chciałabym myśleć o tym w kategoriach zysków i strat - powiedziała April. - Najchętniej wśliznęłabym się tam ukradkiem i zrobiła co trzeba, nikomu nic nie mówiąc. Ale teraz chodzi już o poważne przedsięwzięcie.

- Niełatwo będzie to wykopać - zgodził się Max. - Jest o wiele większe od jachtu. - Zmarznięta ziemia skrzypiała pod jego nogami. - Zastanawiam się, czy nie powinniśmy poczekać do wiosny.

- Nie. - April mocno zacisnęła zęby. - Nie zamierzam siedzieć bezczynnie przez pół roku. Myślę, że bez trudu ściągniemy tutaj całą armię ochotników. Jestem pewna, że kiedy pokażemy Lisie, co znaleźliśmy, da nam dodatkowe pieniądze. Nie powinniśmy mieć z tym żadnych problemów. - Otuliła się szczelniej płaszczem. - Możemy też rozwiesić ogłoszenia na uniwersytecie i ściągnąć do pracy studentów. W Fort Moxie, Cavalier i Walhal-la jest mnóstwo ludzi, którzy mają niewiele do roboty o tej porze roku. Jestem przekonana, że bez trudu zgromadzimy odpowiednią siłę roboczą. Najpierw musimy jednak ściągnąć tu porządną koparkę. - Jej oczy błyszczały w mroku. - Jak myślisz, Max? Mamy go?

Była bardzo podekscytowana. Podobnie jak Max, nie chciała wiązać ze znaleziskiem zbyt dużych nadziei, dopóki nie uzyska całkowitej pewności.

- Nie wiem - odparł.

Spojrzeli jeszcze raz na wschód. Dolina Czerwonej Rzeki ciągnęła się aż po horyzont, do

gwiazd.

Lisa Yarborough spędziła miły wieczór, oglądając w towarzystwie kilku przyjaciół „Catsa”. Potem wszyscy wybrali się do tajskiej restauracji. O wpół do drugiej w nocy zaparkowała samochód w swoim garażu. Weszła do domu, zamknęła drzwi i od-słuchała wiadomości z sekretarki.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz mogła - mówiła April. Zastanawiała się, czy nie powinna zaczekać do rana, jednak nuta podniecenia w głosie przyjaciółki rozbudziła jej ciekawość. April podniosła słuchawkę już po drugim dzwonku.

- Macie coś? - spytała Lisa.

- Przy krawędzi urwiska jest jakiś obiekt. Nie wiemy jeszcze co to, ale na pewno nie powinno go tam być.

- Czy to jest coś związanego z łodzią?

- Nie dowiemy się, dopóki tego nie odkopimy. Nie chcę składać obietnic. Może po prostu ktoś zaczął budować tam spichlerz. Nie wiem. Ale to jest duże. I okrągłe. Liso, teraz nie jestem już obiektywna, ale obecni właściciele twierdzą, że nie powinno tam nic być. Ta ziemia należy do nich od 1920 roku.

- Dobrze. Ile potrzebujesz?

Szybko nauczyli się wynajdywać całkiem prozaiczne wyjaśnienia dla obecności owej okrągłej struktury w ziemi. W końcu mogła być to jedna z wielu zwyczajnych rzeczy. Sanatorium dla ludzi, którzy chcieli uciec od cywilizacji. Rządowy obiekt, służący do przeprowadzania jakichś testów. Zapomniany ośrodek treningowy Gwardii Narodowej. Istniała jednak ogromna różnica między tym, co mówili, a tym, co myśleli.

Max zajął się sprowadzeniem na miejsce parowej koparki. W przeddzień rozpoczęcia prac, wykonywanych przez firmę budowlaną Northern Queen Construction Company, Max, April i Laskerowie zgromadzili się wieczorem przy choince w restauracji „Szkuner Prerii”, gdzie obchodzili małą uroczystość. Miała ona wiązać się przede wszystkim z nadchodzącymi świętami, jednak w pewien sposób dotyczyła także zwieńczonych sukcesem poszukiwań przystani. Max poddawał się wciąż zmiennym nastrojom, żył między uniesieniem a całkowitym zwątpieniem. Nie zmieniły tego nawet gratulacje przewodniczącego rady plemiennej, które przekazał mu Redfern.

Siedzieli przy stoliku w rogu i obserwowali pary oświetlone blaskiem elektrycznych świateł, poruszające się powoli w takt piosenki Bucka Claytona. Max poddał się sentymentalnej melodii, czuł się samotny i szczęśliwy. Za dużo wina, pomyślał.

Jakiś mężczyzna, którego nie widział nigdy przedtem, zaprosił April do tańca. Uśmiechnęła się i wyszła z nim na parkiet. Nieznajomy był przystojnym blondynem, miał jakieś trzydzieści lat.

- Nazywa się Jack - powiedział Lasker. - Pracuje w magazynie.

Max z irytacją stwierdził, że April dobrze się bawi.

Najważniejsze, mówiła kilka minut później, że bez względu na to, co znajdą na górze, wciąż mają jacht. Uważała, że to niepodważalny dowód na obecność zaawansowanej technicznie cywilizacji.

- Jednak nie mogę doczekać się chwili, kiedy zobaczę tę rotundę - dodała. Jej oczy błyszczały z podniecenia.

Kiedy Max zapytał od niechcenia Toma, co zamierza zrobić z łodzią, ten spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Sprzedam ją, gdy tylko dowiem się, ile naprawdę jest warta - odparł.

- Jest bezcenna - oświadczyła April.

- Nie na długo - pokręcił głową Lasker. - Chciałbym jak najszybciej jej się pozbyć.

April była zszokowana.

- Dlaczego?

- Bo mam już dość namiotu cyrkowego i głupich koszulek. Nie chcę już wysłuchiwać, że wciąż robię za mało dla miasta. Nie, na pewno zamienię ją na gotówkę przy pierwszej rozsądnej propozycji.

Max rozkoszował się perspektywą sławy i bogactwa, które z pewnością nie ominęłyby go, gdyby rzeczywiście odnaleźli UFO. Wyobrażał sobie, jak zaprasza prezydenta na pokład statku kosmicznego. „To jest przypuszczalnie system nawigacyjny, panie prezydencie. A tu, po prawej, włącznik systemu holowniczego”. Nie, tam nie byłoby żadnego systemu holowniczego. Cóż mogłoby to być? Napęd hiperświatłny? Kwantowy? „Podróż do Alfa Centaur! zajmuje około jedenastu dni”. Tak. Właśnie w takiej roli widziałby się najchętniej.

Oczywiście, nie zabrakłoby także serialu telewizyjnego opartego na tych wydarzeniach. Zastanawiał się, kto grałby Maksa Collingwooda. Najlepiej, by był to ktoś wrażliwy, a jednocześnie twardy i zdecydowany. Widział siebie wśród najbardziej pożądanych kawalerów opisywanych w kobiecych czasopismach. Udzielał wywiadu Larry'emu Kingowi. (Zastanawiał się, czy będzie bardzo zdenerwowany, kiedy przyjdzie mu stanąć przed kamerami). Postanowił też, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, zatrzyma „Groma” i wybuduje muzeum lotnictwa, w którym ten właśnie samolot zajmie najważniejsze miejsce.

Muzeum Lotnictwa Maksa Collingwooda.

Starali się nie ściągać na siebie uwagi, ale w miarę jak opróżniali kolejne kieliszki, stawało się to coraz trudniejsze. Pili za swoje zdrowie, za Lisę Yarborough, za załogę radaru, za jezioro Agassiz i za Fort Moxie („najważniejsze centrum kultury amerykańskiej na zachód od Missisipi”).

- Myślę, że potrzebujemy archeologa - oświadczył Max. - Wydaje mi się, że moglibyśmy nająć kogoś, kto pokierowałby pracą. Będziemy wtedy mieli pewność, że sami niczego nie sknocimy.

- Nie zgadzam się - powiedziała April.

- Słucham?

- Nie potrzebujemy archeologa. - Przyglądała się winu, trzymając kieliszek pod światło. - Nie chcemy wciągać w to innych ludzi, dopóki nie znajdzie taka konieczność. Jeśli sprowadzimy archeologa, zaraz powie nam, że jesteśmy amatorami i będzie chciał przejąć inicjatywę. W końcu to on zgarnie wszystko. - Jej mina mówiła, że zna się całkiem nieźle na tego typu pracach, i że Max powinien jej zaufać. - Musisz zrozumieć, że naukowcy wcale nie są tacy niewinni, na jakich wyglądają. Większość z nich to drapieżniki. Muszą jakoś zaistnieć w swoim światku, żeby przetrwać. Dasz im palec, a oni zjedzą całą rękę. - Wzięła głęboki oddech. - Powiedzmy sobie otwarcie: to nie są zwykłe prace wykopaliskowe. Nikt nie wie więcej na temat tego obiektu niż my sami.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś jedynym naukowcem związanym z tą sprawą i chcesz, żeby tak już zostało? - spytał Max.

April przewróciła oczami.

- Max, to nasze dziecko. Chcesz sprowadzić jakichś ważniaków z uczelni? Zrób to, a zobaczysz, jak szybko stracimy nad wszystkim kontrolę.

Northern Queen Construction Company dostarczyła koparkę parową wraz z obsługą. Kierowca koparki miał pewne problemy z wjazdem na stronie zbocze góry, kiedy jednak stanął już na miejscu, maszyna natychmiast przystąpiła do pracy.

- Jesteście panowie pewni, że nie zniszczycie tego przedmiotu? - upewnił się Max.

- Będziemy ostrożni - odparł szef załogi, siwowłosy, krępy mężczyzna opatulony w gruby płaszcz. Max powiedział mu, że odkopywany obiekt to stary magazyn, w którym znajdują się prawdopodobnie cenne dzieła sztuki. - Oczywiście, musi pan zrozumieć, że my wykonamy tylko grubszą robotę - mówił dalej majster. - Potem zostanie jeszcze mnóstwo kopania, ale to już pańskie zmartwienie.

Robotnicy oznaczyli teren prac za pomocą palików i sznurka, do którego przywiązane były kawałki białego materiału. Peggy Moore stała przed furgonetką, trzymając skrzyżowane ramiona na kurtce z symbolem drużyny Boston Red Sox (na dworze znów zrobiło się cieplej), kiedy obsługa koparki zajęła swe miejsce. Charli obserwował ich z traktora, który ustawił kilka jardów dalej.

W furgonetce panowała napięta atmosfera. April zajęła pozycję przy głównym monitorze (zasada, zgodnie z którą ludzie spoza firmy „GeoTech” nie mogli przebywać w furgonetce, została już dawno zapomniana), skąd kierowała pracą koparki. Max znów tracił wiarę w sukces całego przedsięwzięcia i nabierał coraz większego przekonania, że odkopią jakiś zrujnowany silos albo zapomnianą indiańską wioskę. Marsjanie April znów wydawali mu się odlegli o setki lat świetlnych.

Koparka podjechała do oznaczonego półkola i zatrzymała się tuż przy jego krawędzi. Mężczyzna w kabine maszyny spojrział na plan, porozmawiał ze swoim szefem przez walkie-talkie i podjechał jeszcze kilka jardów. Wielkie żelazne szczęki uniosły się, rozwarły i zatrzymały na sekundę. Potem wbiły się w ziemię, która zadrżała pod potężnym uderzeniem.

Operator przesunął dźwignie. Zaciśnięte szczęki znów powędrowały do góry, gubiąc po drodze drobne kamyki i grudki, skierowały się na bok i zrzuciły pierwszą porcję ziemi. Potem wróciły na miejsce. Zgodnie z planem maszyna miała wykopać szeroki rów wokół oznaczonego półokręgu. Następnie do pracy przystępowali zebrani przez April ochotnicy, w większości okoliczni farmerzy, którzy nie mieli nic do roboty o tej porze roku. Z zachmurzonego nieba spadały pojedyncze płatki śniegu. Peggy Moore wyciągnęła z torby kamerę i filmowała pracę koparki. Ta kobieta miała głowę na karku. Max zdał sobie sprawę, że sam powinien być o tym pomyśleć. Być może po zakończeniu prac taka kasetka będzie warta majątek.

Właściwie i tak wkrótce zamierzali zwołać konferencję prasową i ujawnić wszystko. Ile dni minie, nim media zorientują się, że na Johnson's Ridge trwają jakieś prace wykopaliskowe? Z drugiej jednak strony Max nie miał pojęcia, jak poprowadzić konferencję prasową. Co powinien im powiedzieć? Miałby się z pyszna, gdyby zamiast zapowiadanego statku kosmicznego odkopali stary magazyn.

Przed zachodem słońca koparka zakończyła pracę. Szeroki na dwanaście i głęboki na trzydzieści stóp wykop, podobnie jak kanion, miał kształt podkowy i obejmował obszar nieco większy, niż zaobserwowany na monitorach radarowych obiekt. Wynajęci przez Maksa robotnicy zamocowali przy ścianach wykopu drabiny i przerzucili w kilku miejscach drewniane kładki.

- Musicie być ostrożni - przestrzegał ich szef grupy. - Być może są tutaj jakieś jaskinie. Jeśli będziecie kopać dalej w pobliżu tych kładek, a pewnie będziecie, musicie zrobić jeszcze dodatkowe umocnienia. Proponuję, żebyście ściągnęli jakiegoś specjalistę, kogoś kto zna się na takiej robocie.

- Dzięki - powiedziała April. - Będziemy uważać. Mężczyzna podał jej dokument do podpisania. April spojrzała nań, zaskoczona.

- Tutaj wymienione są wszystkie zagrożenia i środki ostrożności - wyjaśnił robotnik.

- Widzę, że to też poświadczenie wykonania zlecenia.

- Tak, to też.

April przeczytała szybko dokument i złożyła na nim swój podpis. Szef robotników dał jej kopię,

którą April starannie złożyła i wsunęła do kieszeni.

Koparka zawróciła i zaczęła oddalać się powoli od wykopu. Na hałdy wilgotnej ziemi padał coraz gęstszy śnieg. Siwowłosa mężczyzna z satysfakcją przyglądał się swojemu dziełu.

- Dobrej nocy - powiedział wreszcie. - Uważajcie.

Kiedy wszyscy robotnicy zniknęli już w ciemnościach, Max i April obeszlą powoli wykop, oświetlając go latarkami.

- Przed nami ogrom pracy - westchnął Max. April skinęła głową.

- Mamy mnóstwo ludzi.

*Studenci, sklepikarze, farmerzy, urzędnicy,  
Zwykli mężczyźni i zwykłe kobiety,  
Poszli tam, by już na zawsze odmienić swe życie.*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

RANKIEM w GŁÓWNEJ SALI ratusza Fort Moxie zebrała się rzesza ochotników. Prasę reprezentował Jim Stuyvesant, szara eminencja miasteczka, edytor i wydawca tygodnika „Wiadomości z Fort Moxie”. Stuyvesant właściwie nie wiedział, co takiego mają odkopywać wszyscy ci ludzie, jednak w miasteczku, w którym życie toczyło się zawsze niezwykle powoli, był to materiał na pierwszą stronę.

Dokładnie o ósmej April postukała w mikrofon, poczekała aż zgromadzony tłum ucichnie i podziękowała wszystkim za przybycie.

- Nie wiemy zbyt wiele o tym obiekcie - mówiła. - Nie wiemy jak bardzo jest wytrzymały, nie wiemy też, ile jest wart. Proszę, uważajcie panowie, by niczego nie uszkodzić. Nie spieszymy się. - Stuyvesant, który był także własnym fotoreporterem, zrobił kilka zdjęć. - Jeśli znajdziecie cokolwiek, co nie jest ziemią ani kamieniem, proszę wezwijcie kogoś z nadzoru.

- Czy to jakieś indiańskie skarby? - spytał mężczyzna w czerwonej, kraciastej kurtce.

- Nie wiemy, co to jest - uśmiechnęła się April. - Ale dowiemy się, jeśli zechcecie nam pomóc. Proszę, nie odłączajcie się od swojej grupy. Jutro możecie stawić się od razu na stanowisku pracy. Możecie też przyjść tutaj, jeśli wolicie. Od ósmej rano do drugiej po południu co godzinę będzie odjeżdżał stąd autobus. Kończymy pracę o wpół do piątej. Oczywiście wy, panowie, możecie kończyć, o której zechcecie, proszę tylko ustalić to wcześniej z kierownikiem grupy. Chyba, że nie obchodzi was, czy dostaniecie wypłatę.

Zebrani roześmiali się głośno. Wszyscy byli w dobrym humorze; trafiła im się okazja dodatkowego zarobku przed świętami, a na dworze panowała piękna jesienna jeszcze pogoda.

- Jakież pytania?

- Tak. Czy na miejscu otrzymamy jakieś gorące napoje? - chciał się dowiedzieć jeden ze studentów.

- Codziennie będzie dojeżdżała furgonetka z gorącą kawą, czekoladą, kanapkami i hamburgerami. Kawa i czekolada są darmowe. Proszę też uważać na śmieci. Rozstawimy pojemniki, więc proszę ich używać. Jeśli ktoś zostanie przyłapany na zaśmiecaniu terenu wykopalisk, zostanie wyproszony. Coś jeszcze?

Ludzie zaczęli zapinać kurtki i przepychać się do drzwi. Po wyjściu z ratusza zajmowali miejsca w autobusach, samochodach i ciężarówkach. Stuyvesant zrobił jeszcze kilka zdjęć i poczekał na April.

- Doktor Cannon, co właściwie jest zakopane na tej górze?

- Jim, naprawdę nie wiem i nie chcę na ten temat spekulować - odparła April. - Być może jest to tylko jakiś stary magazyn z początku wieku. Daj mi kilka dni, a sam będziesz mógł się przekonać.

Stuyvesant skinął głową. „Wiadomości z Fort Moxie” tradycyjnie zamieszczały informacje, które ludzie chcieli tam przeczytać: ich własne relacje z podróży po stanach, opowieści rodzinne, opisy lokalnych uroczystości. Dlatego też nieczęsto spotykał się z ludźmi, unikającymi odpowiedzi na jego pytania. Miał też dodatkowy problem, z którym nie musiały borykać się dzienniki; od momentu

złożenia gazety do jej wydania miały aż trzy dni. Już w tej chwili kolejny numer był sporo opóźniony.

- Nie chce mi się wierzyć, by ktokolwiek budował magazyn na szczycie góry. Trochę niewygodne, nie uważa pani?

- Jim, naprawdę muszę już iść.

- Proszę poświęcić mi jeszcze minutkę, doktor Cannon. Pani jest chemikiem, prawda?

-Tak.

- Dlaczego chemik interesuje się wykopaliskami archeologicznymi?

April nie spodziewała się takiej natarczywości ze strony miejscowego dziennikarza.

- To moje hobby - odparła.

- Czy na miejscu jest jakiś archeolog? Prawdziwy? Jakiś specjalista, który kierowałby pracą?

- Właściwie... nie. Nie całkiem.

- Doktor Cannon, kilka tygodni temu ktoś wykopał jacht na tym terenie. Czy ów projekt związany jest właśnie z tym jachtem?

- Nie wiem - odparła April, świadoma, że lada chwila może palnąć jakąś gafę. - Jim, przykro mi, ale muszę już iść. - Zobaczyła Maksa, pomachała do niego i ruszyła w jego stronę.

Jednak Stuyvesant nie dawał za wygraną.

- Krążą plotki, że to UFO - powiedział.

Zatrzymała się raptownie. Wiedziała, że powinna się zastanowić, nim cokolwiek odpowie. Nie zrobiła tego.

- Bez komentarza - wyrzuciła z siebie.

Oczywiście była to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogła powiedzieć w tej sytuacji.

Wynajęli trzy furgonetki: jedna służyła za kuchnię, w drugiej urządzili centrum dowodzenia, trzecia stanowiła schronienie dla zziębniętych i zmęczonych. Postawili także namiot, w którym przechowywali sprzęt.

Max zamieszkał w Fort Moxie, w motelu „Gwiazda Północy”. Zadzwoił do Stell i powiedział jej, że zostanie tam co najmniej na kilka dni. Poprosił ją też, by dostarczyła mu jakoś samochód.

Lasker zgodził się zająć administracyjną stronę całego przedsięwzięcia. Sporządził ogólny plan, wyznaczył członków nadzoru, podzielił pracowników na grupy i wyznaczył im poszczególne zadania oraz ułożył szczegółowy grafik robót w taki sposób, by każdy z pracowników mógł spędzać niemal tyle samo czasu w miejscach osłoniętych przed wiatrem i śniegiem, jak i tam, gdzie warunki były znacznie gorsze.

Sam także od czasu do czasu przerzucał łopatą ziemię. Jego podejście mobilizowało wszystkich do pracy, szczególnie, gdy przyłączali się doń Max i April. Roboty postępowały więc dość szybko. A tego samego dnia, gdy w kioskach pojawiły się „Wiadomości z Fort Moxie” z artykułem o UFO, Lem Hardin, na co dzień handlarz drewnem, dokopał się do twardej, zielonej powierzchni.

## UFO NA JOHNSON'S RIDGE? NAUKOWCY MÓWIĄ:

### BEZ KOMENTARZA

Jim Stuyvesant

*fort Moxie, 17 grudnia*

*Doktor April Cannon, która prowadzi prace wykopaliskowe na Johnson's Ridge, nie zaprzeczyła pogłoskom Roszącym, że znalazła latający talerz.*

*Cannon kieruje pracą ponad dwustu robotników, którzy próbują odkopać tajemniczy obiekt*



*odnaleziony niedawno podczas intensywnych badań radarowych tego terenu. Archeologowie z Uniwersytetu Stanowego Północnej Dakoty twierdzą, że mało prawdopodobne jest, by właśnie w tym miejscu znajdowały się przedmioty należące niegdyś do Indian. Nie potrafią wyjaśnić, jakie przyczyny stoją za inicjatywą doktor Cannon.*

Wszystkie ważniejsze gazety oraz stacje radiowe i telewizyjne natychmiast włączyły tę informację do swoich serwisów.

Pierwszy zwiastun sukcesu dotarł do Maksa, kiedy ten siedział przy biurku w furgonetce. Słyszac dobiegające z dala krzyki, wstał i sięgnął po płaszcz. Nie zdążył go jeszcze nałożyć, kiedy zadzwonił telefon.

- Dach - rzucił tylko Lasker.

Sensacyjna informacja szybko obiegła cały teren wykopalisk. Ludzie rzucali łopaty i taczki, wspinali się na drabiny i biegli co sił w nogach, by zobaczyć znalezisko na własne oczy. Jeśli udało im się tam dopchać, widzieli niewielki szmaragdowy fragment, skrawek dachu, wystający spod ziemi na dnie wykopu.

Kiedy Max dotarł na miejsce, April już tam była. Klęczała na ziemi i gołymi rękami dotykała znaleziska. Max przykucnął obok niej.

- Przypomina szkło - powiedziała. - Zdaje się, że mogę zajrzeć do środka. - Wyjęła latarkę, włączyła ją i przyłożyła do szmaragdowej powierzchni. Jednak słońce świeciło zbyt mocno. Niezadowolona, ściągnęła kurtkę i rozłożyła ją tak, by rzucała cień.

- Co to jest? - spytał jeden z robotników.

- Jeszcze nie wiemy. - April spojrzała na Maksa. - Światło przenika do środka.

- Zażębisz się - powiedział Max. Ale i on włożył głowę pod kurtkę. Rzeczywiście, strumień światła przenikał przez wierzchnią warstwę tajemniczej struktury.

April wyciągnęła z kieszeni kopertę i wrzuciła do niej okruchy szklanej kopuły. Potem podniosła głowę i dostrzegła Laskera.

- Musimy uważać - powiedziała. - Niech nikt nie zbliża się do tego z łopata. Nieważne, czy zajmie nam to miesiąc czy rok. Nie wolno nam tego zniszczyć. - Założyła kurtkę i rękawiczki, po czym wyszła z wykopu. - Nie wiem, co o tym sądzić, ale nie wygląda to na dach szopy. Może naprawdę znaleźliśmy coś cennego. - Zakleiła kopertę i schowała ją do kieszeni.

- Max, wyświadczysz mi przysługę?

- Jasne, powiedz tylko o co chodzi.

- Polecisz ze mną do Colson?

- Przecież teraz najważniejsze sprawy dzieją się tutaj. April potrząsnęła głową.

- Później tak będzie. Ale dziś po południu najistotniejsze informacje uzyskamy w laboratorium.

April nie miała pojęcia, jak media dowiedziały się o znalezisku tak szybko. Nim jeszcze dotarli do samochodu, obkoczyła ich ekipa programu „Ben at Ten” i kilku reporterów z gazet.

- Nie - powiedziała krótko. - Nie wiem nic o żadnym UFO. Stwierdziła, iż nie ma pojęcia, kto wymyślił całą tę historię,

że nie szukają jakiegoś konkretnego przedmiotu, a wiedzą tylko, iż na szczycie góry zakopany jest jakiś obiekt, i że znaleźli w ziemi jakieś grube szkło.

- To wszystko - zakończyła. - Na razie nie mogę państwu powiedzieć nic więcej.

Carole Jensen z „Ben at Ten” domagała się konkretów.

- Może umówimy się na jutro rano? - zaproponowała April. -Zgoda? Powiedzmy, na dziewiątą. To da nam czas na zebranie wszystkich informacji. Ale proszę nie oczekiwać jakichś sensacyjnych wiadomości.

Max wziął ją do samolotu i poleciał do Fargo. April nie traciła czasu na długie pożegnania i niemal biegiem dopadła samochodu. Oczywiście nie przyjęła też zaproszenia na lunch.

- Zadzwońię do ciebie, gdy tylko będę miała coś konkretnego - obiecała na odchodnym.

Max sprawdził, co dzieje się w jego biurze, zamówił pizzę i włączył telewizor, czekając na południowe wydanie wiadomości. I niepotrzebnie. Zobaczył tam siebie, stojącego z głupkowatą miną obok April, która zrećcznie uchylała się od odpowiedzi na pytania dziennikarzy. Co gorsza, reporter zidentyfikował go jako właściciela „Sundown Aviation”.

Główny prowadzący wspomniał o licznych przypadkach niewyjaśnionych zjawisk i pseudonaukowych dowodach na istnienie UFO, odniósł się także do wydarzenia sprzed dwóch tygodni, kiedy to grupa fanatyków oczekiwała na szczycie góry w Idaho przybycia nieziemskich gości.

- Czy znalezisko z Fort Moxie to kolejna z serii podobnych ciekawostek? - pytał na koniec. - Wkrótce się o tym przekonamy.

Po południu migawki z Johnson's Ridge pojawiły się w CNN, gdzie połączono je w jedną całość z innymi wiadomościami o niezwykłych i niezbyt wiarygodnych zjawiskach. W tym samym bloku pokazano więc wywiad z jakimś nawiedzonym studentem, który twierdził, że w Pembina Escarpment znajduje się źródło mocy, pozwalającej dotrzeć ludziom do ich prawdziwego jestestwa. W Minnesocie grupa farmerów widziała podobno jakiś dziwny, lśniący pojazd, który wylądował w lasach obok Sauk Centre. Obcy pojawili się również w Pensylwanii i Missisipi. A jakiś pijany kierowca, który wjechał na stojący przy drodze buldożer, przysięgał, że ścigało go UFO.

- Max, jesteś gwiazdą - powiedziała Ceil. Nie zauważył, kiedy weszła do biura. Miała na sobie idealnie wyprasowaną marynarkę Thor Air Cargo, ciemnoniebieską ze złotymi paskami na brzegach. Długie do ramion włosy okryły jej twarz niczym złoty wachlarz, kiedy obróciła się, by zamknąć drzwi.

Max westchnął z rezygnacją.

- Tak, wkrótce będę sławny i bogaty. Usiadła naprzeciwko.

- Mam nadzieję, że ci się uda. - Spojrzała na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Oglądałam dzisiaj wiadomości z Fargo.

-I co?

- Jeśli rzeczywiście macie tam UFO, cała reszta to przy tym małe piwo.

Max uśmiechnął się szeroko.

- Na twoim miejscu nie postawiłbym na to całego majątku.

- Nie zrobię tego, Max. - Ona także uśmiechnęła się do niego. Czuł, jak ogarnia go fala ciepła. - Posłuchaj, lecę do Winnipeg. Jesteś zajęty?

Pokręcił głową.

- Czekam tylko na telefon. Długo tam będziesz?

- Nie, wyląduję skrzynki z jakimiś częściami do telefonów i wracam. - Nagle spoważniała. - Max, tam naprawdę coś jest?

- Wątpię - odparł. Wyglądała na rozczarowaną.

- Szkoda. To jak, polecisz ze mną? Mógłbyś pokazać mi, gdzie kopiecie.

Max widział oczyma wyobraźni, jak wychodzi ze studia w Waszyngtonie, udzieliwszy wywiadu Larry'emu Kingowi. Ceil czekała tam już na niego, ale on zbył ją machnięciem ręki. „Porozmawiam z

tobą później”, mówił. „Muszę teraz jechać na następny talk-show”.

-Max?

- Tak, jasne, że polecę. - Naprawdę chciał poznać rezultaty badań April, gdy tylko ta skończy pracę. - Którym samolotem?

- „Betsy”.

- Świetnie. Załatwię tylko jedną sprawę i spotkam się z tobą na zewnątrz.

Zadzwoił do April. Kiedy odpowiedziała mu automatyczna sekretarka, nagrał informację, gdzie jest i jak można się z nim skontaktować. Potem zostawił wiadomość dla Stell (która wyszła właśnie na lunch), założył kurtkę i wyszedł na lotnisko.

Ceil czekała już na niego w samolocie. Widział, jak siedzi w kokpicie i przegląda listę ładunku. C-47 wciąż miał na sobie oryginalne oznakowanie. O jego współczesnej roli świadczył jedynie napis „Thor Air Cargo” umieszczony na ogonie.

Max wszedł do samolotu przez ładownię, zapchaną niemal w całości skrzynkami. Kiedy precyzyjnie się do kokpitu, Ceil rozmawiała właśnie z wieżą. Uniosła dłoń, witając go na pokładzie, a Max zajął miejsce drugiego pilota.

Silniki pracowały na niskich obrotach.

- Skąd taki pośpiech z tymi telefonami? - spytał. Zazwyczaj podobne ładunki przewożono drogą lądową.

- Ktoś coś zawałił. Produkcja czeka. Więc dostałam zlecenie. Większość mojej pracy to naprawianie czyichś błędów. - Uśmiechnęła się. - Dlatego nigdy nie będę bezrobotna.

Skierowała samolot na północny pas startowy. Na niebie pojawiły się pojedyncze chmury. Będzie padać, pomyślał Max. Lubił latać C-47. Był niezwykle wytrzymały i stabilny. Jeśli ktoś już musiał ciągnąć ładunek przez nieprzyjazne niebo, właśnie ów samolot nadawał się do tego najlepiej.

- No więc lecimy - powiedziała Ceil. Zwiększyła obroty, C-47 poderwał się gwałtownie do przodu i już po chwili był nad ziemią.

Max przekonał się już w zeszłym roku, że nie może liczyć na romans z Ceil. Dopiero wtedy odkrył, że bardzo lubi z nią rozmawiać. Była dobrym słuchaczem, potrafiła też zachować absolutną dyskrecję.

- Przeraza mnie - mówił do niej - że sprawa stała się taka głośna. Cały kraj myśli teraz, że my sądzimy, iż tam może być UFO. Biorą nas za bandę wariatów.

- A co ty myślisz?

- Że coś tam będzie.

- Więc dlaczego tak mocno się w to angażujesz? Max zastanowił się chwilę.

- Istnieje jedna szansa na milion... Roześmiała się głośno, przerywając mu w pół słowa.

- Widzisz? Więc jednak jesteście wariatami. Tak czy siak, ja bym się tym zbytnio nie przejmowała. Nikt nie będzie tak o was myślał, jeśli rzeczywiście znajdziecie UFO. - W kabinie zrobiło się zimno, więc włączyła ogrzewanie. - Max, jeśli to tam jest, chciałabym się tym przelecieć. - Spojrzała na niego, a on roześmiał się i pokazał jej wyprostowane kciuki.

Wspięła się na pułap czternastu tysięcy stóp i zakręciła na północ. Życie wydawało się cudowne w kabinie C-47, gdzie świeciło piękne słońce, a ciszę mącił jedynie pomruk silników.

- Kto byłby jego właścicielem?

- Podejrzewam, że Siuksowie.

- Siuksowie?

- To ich ziemia. - Myśl o tym, że Siuksowie przejęliby najnowocześniejszy obiekt latający na Ziemi wydała mu się bardzo zabawna. - Ciekawe, co powiedziałyby na to Biuro do spraw Indian.

- Mogę się założyć o każdą sumę, że nie pozwoliliby im tego zatrzymać - powiedziała Ceil.

Nadal lecieli na północ, wzdłuż rzeki Mapie River. Kiedy znaleźli się nad doliną Pleasant Valley, zadzwonił telefon. Ceil podniosła słuchawkę, przyłożyła ją na moment do ucha, a potem podała Maksowi.

Dzwoniła April. Zdawało się, że nie może złapać tchu z podniecenia.

- Sto sześćdziesiąt jeden, Max - powiedziała.

- Tak samo jak jacht? - Ścisnął mocniej słuchawkę i zerknął na Ceil, która przyglądała mu się z ciekawością. - Jesteś pewna?

- Tak, Max, jestem pewna. - Nie próbowała nawet ukryć radości.

- Gratulacje - powiedział Max. Ceil nie odrywała od niego spojrzenia.

- Dla ciebie też. Posłuchaj, chyba powinniśmy tam zaraz wrócić.

- Jestem właśnie w drodze do Winnipeg. Wrócę wieczorem i wtedy oboje tam polecimy.

Zgoda?

- Jasne. Zadzwon do mnie, kiedy będziesz na miejscu. Max obiecał, że to zrobi.

- Myślałaś już o jutrzejszej konferencji prasowej? - Tak.

- Zdaje się, że nie musimy już dłużej utrzymywać tego w tajemnicy.

- Czego? - pytała bezgłośnie Ceil.

Max niemal słyszał jak w głowie April kotłują się myśli.

- Czuję się lepiej - odparła - gdybyśmy zaczekali z tym do czasu, kiedy odkopimy całość.

- Obawiam się, że nie możesz na to liczyć.

- Rozumiem, że macie UFO - powiedziała kilka chwil później Ceil.

- Nie, to nie były aż tak dobre wiadomości. Ale nie mogę narzekać - wyjaśnił.

Spojrzała na niego, a w jej oczach pojawiło się nagle niezwykle ciepło.

- Cieszę się razem z tobą, Max.

Zbliżali się do Johnson's Ridge. Max spojrzał w dół, na pobliskie wzgórza, gładkie i olśniewająco białe w popołudniowym słońcu, na płaskie zbocze, za którym otwierała się nagle przepaść.

- Macie tam sporo ludzi - powiedziała Ceil.

, Było ich nawet za wielu. Wszędzie kręcili się gapie, a parking zapchany był samochodami.

- Zdaje się, że przyjechali do nas pierwsi goście - powiedział Max.

Ceil przechyliła lekko samolot i rozpoczęła długi, powolny nawrót.

- To pewnie dopiero początek - stwierdziła. - Powinieneś chyba myśleć o jakiejś ochronie. -

Wyjęła ze schowka lornetkę i przystawiła ją do oczu, spoglądając na zbocze. - Zdaje się, że twoi ludzie niewiele już dzisiaj zrobią.

Max sięgnął po telefon, ale Ceil dotknęła jego dłoni.

- Może zrobimy to osobiście? - zaproponowała. - Ja też chciałabym zobaczyć.

Odłożyła lornetkę i pchnęła wolant do przodu. Samolot zaczął obniżać lot.

- Chyba nie chcesz tutaj lądować, co? - spytał ze zdumieniem Max. - Kilka mil na wschód jest lotnisko.

Ceil wskazała w dół.

- Czy to ta droga?

Dwujęzdniowa droga z Fort Moxie była kompletnie zakorkowana. - Tak.

- Nie mamy na to czasu. Posłuchaj Max, bardzo chciałabym zobaczyć to UFO z bliska.

Widziałeś teren. Masz jakieś zastrzeżenia?

Płaskowyż na szczycie Pembina Escarpment miał około dwa tysiące jardów długości. Był

niemal idealnie płaski i bezdrzew-ny, jedynie przy krawędzi leżały większe kamienie, pokryte cienką warstwą śniegu.

- Masz dość silny boczny wiatr - powiedział.

Ceil spojrzała w dół. Jej mina mówiła, że nie spodziewa się żadnych problemów.

- Nie ma nawet dwudziestu węzłów. „Betsy” poradzi sobie bez trudu.

- Jak chcesz - wzruszył ramionami.

Ceil roześmiała się, widząc jego naburmuszoną minę.

- Nie martw się, Max. Jeśli ktoś będzie miał do nas pretensje, powiem, że nie chciałeś się na to zgodzić.

Dziesięć minut później bez najmniejszego problemu posadziła wielki samolot na ziemi. Wszyscy przyglądali się im z ciekawością, kiedy „Betsy” podkołowała bliżej wykopu. Gdy Max otworzył drzwi, Lasker już na niego czekał.

- Wiedziałem, że to ty - zaczął, jednak nim zdążył powiedzieć coś więcej, dojrzał Ceil i zrobił głupkowatą minę. Max zauważył już dawno, że wszyscy mężczyźni zachowują się tak samo, kiedy po raz pierwszy ją widzą.

- Ceil - powiedział Max. - To jest Tom Lasker. Chwilowo jest tutaj szefem.

Tom i Ceil uścisnęli sobie dłonie.

Turyści i gapie byli wszędzie. Zajmowali robotników rozmową, blokowali kładki i pchali się wszystkim pod nogi. Wielu z nich stało na samym skraju wykopu, inni podchodzili niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska.

- Musimy z tym coś zrobić - powiedział Max. Lasker westchnął z rezygnacją.

- Wyzaczyłem kilku ludzi, żeby ich stąd odsunęli, ale niektórzy zachowują się agresywnie, a poza tym i tak jest ich zbyt wielu. Zresztą nie mamy nad nimi żadnej władzy.

Max patrzył przez chwilę na niekończący się strumień aut zdążających na płaskowyż.

- Dobrze. Poprosimy policję, żeby ustawiła posterunki na drodze dojazdowej. Może będziemy tu wpuszczać partiami - tylko określoną liczbę turystów.

- Policja nie chce się tym zajmować.

- Będzie musiała. Zanim ktoś zginie. Musimy przygotować karty identyfikacyjne dla naszych ludzi.

- A co będziemy robić do tego czasu? Praktycznie stanęliśmy z pracą w miejscu.

Max wziął głęboki oddech.

- Odeślij wszystkich wcześniej do domu. - Spojrzał na rosnący z każdą chwilą tłum. - Kto jest szefem policji?

- Emil Dutable.

- Znasz go?

- Tak. Nie obracamy się w tych samych kręgach towarzyskich, ale znam go dość dobrze.

- Zadzwoń do niego. Wyjaśnij, co się tu dzieje i poproś o pomoc. Powiedz mu, że musieliśmy całkowicie wstrzymać prace i poproś, żeby przysłał kilku swoich ludzi. Trzeba zaprowadzić jakiś porządek.

Lasker skinął głową.

- Dobrze.

- A ty pewnie chciałabyś zobaczyć w tym czasie to coś? -zwrócił się do Ceil.

- Tak, jeśli nie masz nic przeciwko.

Przeszli po drewnianej kładce nad głównym wykopem. Na wewnętrznym obszarze wykopano już kilka kolejnych rowów. Max zaglądał do każdego z nich, omijając po drodze hałdy ziemi.

Wreszcie zatrzymał się.

- Tutaj - powiedział, wskazując palcem.

Rów był już nieco szerszy niż rano. Spod ziemi wystawał także większy fragment zielonej substancji.

- Wygląda jak szkło - oceniła Ceil.

Kilka minut później ponownie dołączył do nich Lasker.

- Gliny już tu jada - powiedział.

- Świetnie. Aha, Tom, April mówi, że to coś zrobione jest z identycznego materiału co jacht.

Może naprawdę znaleźliśmy UFO.

Lasker pokręcił głową.

- Nie sądzę.

Max starał się dotychczas nie poddawać emocjom i złudnym nadziejom. Jednak słowa Laskera i ton w jego głosie mocno go rozczarowały.

- Dlaczego nie?

Tom wyglądał na zmartwionego.

- Chodź za mną - powiedział.

Zaprowadził ich ponownie do głównego wykopu i zszedł po drabinie na dno. Max i Ceil szli w ślad za nim. W rowie było zimno i ponuro. Na ziemi leżały długie deski. Wszędzie dokoła ludzie zajmowali się kopaniem. Inni ładowali ziemię do beczek, które wyciągano na powierzchnię i opróżniano.

- Tutaj - zatrzymał się Lasker. Wskazał na wygięty pręt wystający ze ściany ziemi jakieś pięć stóp nad jego głową, który znikał ponownie w dnie wykopu. - Jest ich więcej - powiedział. - Górna część połączona jest z zewnętrzną krawędzią tego obiektu. Dolna umocowana jest w skale - dodał, kierując ich wzrok na ziemię. - Czymkolwiek byłaby ta rzecz, na pewno nikt nie zamierzał nią latać.

*Cały system makroindustrialny oparty jest na stałym i statystycznie przewidywalnym poziomie tempa rozkładu oraz ilości odpadków, to jest na głównych składnikach tego, co normalnie definiuje się jako zużycie. Można śmiało stwierdzić, że znacząca zmiana któregokolwiek z tych elementów doprowadziłaby do natychmiastowych i nieprzewidywalnych zakłóceń w gospodarce.*

Edouard Deneuye, „Industrialna baza i globalna wioska”, wydanie trzecie

- PRZEDE WSZYSTKIM CHCIAŁABYM położyć kres plotkom o znalezieniu latającego talerza - mówiła April prosto do kamer. Towarzyszył jej Max, który najchętniej przeniósłby się w tej chwili w jakieś odległe miejsce, starał się jednak panować nad emocjami. Na ścianie za ich plecami wisiała rozpięta flaga stanu. -Nie wiem, kto wymyślił tę historię, ale na pewno nie byłam to ja, ani nikt z moich przyjaciół. Po raz pierwszy dowiedziałam się o tym z magazynu „Wiadomości z Fort Moxie”. - Uśmiechnęła się do Jima Stuyvesanta, który stał nieco dalej. Redaktor miejscowej gazety najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony.

Znajdowali się w ratuszu Fort Moxie. Max był zaskoczony nie tylko liczbą dziennikarzy, którzy przybyli na konferencję prasową, ale i wielością stacji, jakie reprezentowali. Pojawili się między innymi przedstawiciele CNN i ABC, reporterzy stacji radiowych, redaktorzy z kilku środkowo-zachodnich dzienników, a nawet z „Japan Times”. Mike Tower, znany dziennikarz z „Chicago Tribune”, który załaził za skórę już wielu ważnym osobom, siedział w pierwszym rzędzie. Przynajmniej przez kilka godzin małe miasteczko w Północnej Dakocie ścigało na siebie uwagę całego kraju.

Poprzedniego wieczora April i Max postanowili, że nie będą ukrywać niczego, prócz własnych przypuszczeń i spekulacji. Skoro mieli się pokazać w CNN, musieli zrobić to z wielkim hukiem. April przeczytała swoje oświadczenie, a Max zadał jej wszystkie pytania, jakie tylko przyszły mu do głowy. Jednak występ przed prawdziwą, żywą publicznością był czymś zupełnie innym. April nie miała doświadczenia w wygłaszaniu oświadczeń, a Max niewielu rzeczy bał się bardziej niż przemawiania do tłumów.

April wyciągnęła z walizeczki kartkę papieru.

- Przygotowaliśmy jednak dla państwa pewne informacje. Dokument, który trzymam w dłoni, to wyniki badań laboratoryjnych, jakim poddany został fragment żagla jachtu znalezionego przez Toma Laskera oraz odłamek z obiektu zakopanego na wierzchołku urwiska. Pierwiastek, z którego wykonane są te przedmioty, ma liczbę atomową sto sześćdziesiąt jeden.

Fotoreporterzy podeszli bliżej podestu, błyskały flesze.

- Pierwiastek ten zajmuje bardzo wysokie miejsce w układzie okresowym. Właściwie można śmiało powiedzieć, że już się na nim nie mieści.

Kilku dziennikarzy podniosło rękę.

- Co to znaczy? - zapytała wysoka młoda kobieta, stojąca na środku sali.

- Oznacza to, że mamy do czynienia z pierwiastkiem, którego nigdy dotąd nie widzieliśmy.

Właściwie jeszcze kilka tygodni temu powiedziałabym, że tego rodzaju pierwiastek jest wewnętrznie niestabilny i nie może istnieć.

Jeszcze więcej rąk powędrowało do góry.

- Kto jest w stanie wyprodukować taką substancję?

- O ile mi wiadomo, nie ma na świecie takich ludzi.

Pojawiły się telefony komórkowe. Dziennikarze zaczęli przepychać się do przodu, podsuwali bliżej mikrofony, niektórzy wykrzykiwali pytania, inni tylko słuchali. April poprosiła ich, by wstrzymali się z pytaniami, aż wygłosi do końca swe oświadczenie. Potem opowiedziała pokrótce całą historię odkrycia, poczynając od znalezienia jachtu. Wymieniła z nazwiska Maksa Collingwooda i Toma Laskera, przypisując im całą zasługę (albo odpowiedzialność) za znalezienie obiektu na Johnson's Ridge. Przedstawiła szczegółowo rezultaty testów, które przeprowadziła na kawałku żagla i odłamkach z wykopu.

- Rezultaty te zostaną państwu udostępnione po konferencji - powiedziała. Oświadczyła też, że nie potrafi znaleźć żadnego satysfakcjonującego wyjaśnienia. - Ale - dodała z naciskiem - wiemy na pewno, że obiekt znajdujący się na szczycie urwiska jest strukturą, a nie żadnym pojazdem. Muszę tym samym rozczarować wszystkich rozgorączkowanych poszukiwaczy latających talerzy. - Jej twarz rozjaśnił znowu ujmujący uśmiech. - Właściwie ów przedmiot wygląda jak stara parowozownia.

Ręce znów powędrowały do góry.

„Wolna prasa Winnipeg”: Doktor Cannon, czy chce pani powiedzieć, że ta rzecz nie mogła zostać zbudowana przy zastosowaniu dostępnej nam technologii?

CNN: Czy udało się pani ustalić wiek tego obiektu?

„Grand Forks Herald”: Krążą plotki, że planowane są kolejne prace wykopaliskowe. Czy zamierzają państwo rozpocząć poszukiwania w innym miejscu?

April uniosła obie ręce.

- Nie wszyscy naraz, proszę. - Spojrzała na reportera z „Wolnej prasy”. - Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić.

- A rząd?

- Nie sądzę. Ale musielibyście dowiedzieć się tego u źródła. - Odwróciła się do kamery CNN. - Ten pierwiastek nie ulega rozkładowi. Przypuszczam, że nie zdołamy bezpośrednio określić wieku obiektu. Zdaje się jednak, że budowniczy drążyli najpierw skałę, przygotowując miejsce pod ową rotundę. Być może uda nam się ustalić, kiedy miało to miejsce. Nie zrobiliśmy tego jeszcze.

Jakaś kobieta po lewej machała teczką.

- Czy ma pani jakieś zdjęcia?

April dała znak Ginny Lasker, która stała obok sztalugi z arkuszami papieru. Ginny przerzuciła pierwszą kartkę, odsłaniając szkic rotundy.

- Na tym etapie prac nie mamy jeszcze żadnych pewnych informacji, podejrzewamy jednak, że cała zewnętrzna powierzchnia obiektu wykonana jest z tego samego materiału. Dodam, że przypomina on grube, nieco zmatowiałe szkło.

- Szkło? - powtórzył reporter z ABC.

- Tak, wygląda jak szkło. Kolejne pytania:

- Co jest w środku?

- Jest pani pewna, że nie popełniono tu jakiejś pomyłki?

- Czy teraz, kiedy mamy już ten materiał, będziemy mogli sami go produkować?

I tak dalej. April odpowiadała najlepiej, jak potrafiła. Nie miała pojęcia, co jest we wnętrzu. Oddała próbki do innego laboratorium, wyniki były identyczne. Nie wiedziała, czy komukolwiek uda



się odtworzyć ten materiał.

- Gdybyśmy jednak zdołali tego dokonać - mówiła - moglibyśmy produkować przedmioty o bardzo długim okresie gwarancji.

- Jak długim? - spytał ktoś z „Fargo Forum”.

- No cóż... - uśmiechnęła się szeroko. - Długim.

Udało im się zapanować nad problemem natrętnych turystów. Rozdali pracownikom karty identyfikacyjne, a policja nie dopuszczała gapiów na teren wykopalisk.

Dopiero konferencja prasowa uświadomiła Maksowi jak niebezpieczna jest bestia, której właśnie dosiadł. Udzielił kilku wywiadów, starał się jednak nie wykraczać poza granice, które określili wcześniej z April. „Co tu się naprawdę dzieje? Kto zbudował tę rotundę?” Max nie pozwalał się wciągać w dyskusje. „Wiemy tyle samo, co wy”. Powiedział, że wszelkie spekulacje pozostawia mediom.

Dziennikarze zgromadzeni przy wykopie przewyższali liczbą pracowników. Robili zdjęcia, zadawali pytania i stali w długich kolejkach, by spojrzeć na szklaną powierzchnię, którą odsłonięto już w kilku miejscach.

Tuż przed południem Tom Lasker dopadł Maksa przy furgonetce, w której urządzili centrum dowodzenia. Nie nadążali już z odbieraniem telefonów, ściągnęli więc do pomocy kilku ludzi z wykopu.

- Zrobili z tego sensację na cały kraj, Max - powiedział. - Specjalne wydanie dziennika prawie na wszystkich stacjach. Aha, dzwonił też Charlie Lindquist. Powiedział, że nas kocha.

- Kim jest Charlie Lindquist?

- Przewodniczącym rady miejskiej Fort Moxie. Wiesz, co jeszcze powiedział?

- Nie. Co takiego?

- Powiedział, że to jest lepsze od potwora z Loch Ness. Naprawdę. - Tom śmiał się od ucha do ucha. - A co najważniejsze, Max, to fakt, że tak jest naprawdę. Największa sprawa w tym rejonie od czasu prohibicji. Cayalier, Walhalla, wszystkie te miasteczka zrobią na tym gigantyczne pieniądze. - Z zewnątrz dobiegły ich podniesione głosy. Max wyrzął przez okno i zobaczył April, która wymieniała żartobliwe uwagi z grupą dziennikarzy.

- Oni ją chyba lubią - powiedział.

- Tak, też mi się tak wydaje. Dostarczyła im świetnego tematu. Drzwi furgonetki otworzyły się gwałtownie. Pojawiła się

w nich April, która krzyczała jeszcze do kogoś:

- Dajcie mi chociaż godzinkę wytchnienia. Potem chętnie z wami posiedzę.

- Mam wrażenie, że wróciłam do czasów dzieciństwa - powiedziała, kiedy była już w środku. - Niektórzy chcą przerobić wszystko na historyjkę o tym, jak uciskani Afrykanie wreszcie zaczynają odnosić większe sukcesy niż biali ciemężyciele. - Westchnęła głośno, opadła na krzesło i dopiero wtedy dostrzegła Laskera. - Cześć Tom, witaj w domu wariatów.

- U mnie w domu jest to samo - pokiwał głową Lasker. - Tłumy ciekawskich, i to takie, jakich w życiu nie widziałem w Fort Moxie, a na dodatek armia reporterów. Rozmawiali z dzieciakami, kiedy wyjeżdżałem rano.

April wzruszyła ramionami.

- Być może tak właśnie będzie od dzisiaj wyglądać nasze życie.

- Poradzę sobie z tym. - Max świetnie się bawił.

- Z tego wszystkiego porządnie zgłodniałam - powiedziała April. - Mamy coś do jedzenia?

Max podał jej rostbef i pepsi z lodówki. April rozpakowała kanapkę i odgryzła wielki kęs.

- Nieźle sobie z nimi radziłaś - powiedział Max.

- Dzięki. - April wykrzywiła usta w uśmiechu. - Trochę się denerwowałam.

- Wcale nie było tego widać. - Oczywiście kłamstwo, ale musiało zostać wypowiedziane.

Ktoś zapukał do drzwi. Lasker odchylił się do tyłu w swoim krześle i wyjrzał za okno. Otworzył drzwi, odsłaniając szczupłego, siwowłosego i niezwykle wysokiego mężczyznę.

Gość od razu zwrócił się do April. W jego spojrzeniu kryła się wrogość.

- Doktor Cannon?

- Tak. - April nie dała się zastraszyć. - Co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna wyglądał tak, jakby z trudem hamował wybuch wściekłości. Przerzedzone, siwe włosy nosił zaczesane do tyłu, na wielką łysinę. Wodniste oczy spoglądały zza grubych okularów, które prawdopodobnie i tak nie spełniały już swojej funkcji dość skutecznie. Nieznajomy omiół obojętnym spojrzeniem Maksa i Laskera, jakby ci stanowili elementy umeblowania.

- Nazywam się Eichner - powiedział. - Jestem dziekanem Wydziału Archeologii na Uniwersytecie Północnym. - Spojrzał na April z lekceważeniem, a jego ton sugerował, że przewyższa ją znacznie nie tylko wzrostem, ale i poziomem swego morale. - Zakładam, że to pani kierują tą... - przerwał na moment - ...operacją? - Wypowiedział to słowo tak, by zabrzmiało jednocześnie protekcjonalnie i pogardliwie.

April nie odrywała od niego spojrzenia.

- Co pana tu sprowadza, doktorze Eichner? - spytała.

- Troska o zachowanie świadectwa przeszłości, doktor Cannon. Pani wybaczy, ale ten obiekt, ten nieznaną budynek, który odkopują teraz pani ludzie, może mieć ogromną wartość.

- Wiemy o tym.

Eichner zerknął na Maksa, jakby czekał tylko, aż ten da się sprowokować.

- Więc powinna pani wiedzieć, że istnieje spore ryzyko zniszczenia czy też uszkodzenia. Nikt nie nadzoruje tych prac. Nie ma tu ani jednego specjalisty od prac wykopaliskowych.

- Ma pan na myśli profesjonalnego archeologa?

- Oczywiście, a kogóż by innego?

- Zakładam - włączył się do rozmowy Max - że interesuje pana to stanowisko.

- Szczerze mówiąc - Eichner nadal zwracał się tylko do April - jestem teraz zbyt zajęty, by zajmować się pracą w terenie. Niemniej pani obowiązkiem jest sprowadzić tutaj kogoś, kto wie, jak się do tego zabrać.

- Mogę pana zapewnić, doktorze Eichner - odparła April - że zachowujemy wszelkie możliwe środki ostrożności.

- Środki ostrożności zapewniane przez amatorów nie mają zbyt wielkiej wartości. - Eichner wyciągnął z kieszeni broszurkę i podał ją April. Na okładce znajdował się napis „Amerykańskie Stowarzyszenie Archeologiczne”. - Proponuję, by porozumiała się pani z którymkolwiek uniwersytetem spośród tych wymienionych na stronie drugiej. Z pewnością chętnie przyślą pani kogoś do pomocy.

Kiedy April się nie poruszyła, rzucił broszurkę na stół.

- Niestety, nie mogę pani niczego zabronić - powiedział. -Bardzo żałuję. Gdyby to było możliwe, natychmiast wstrzymałbym prace. Ponieważ jednak nie jest to w mojej mocy, apeluję tylko do pani rozsądku.

April podniosła broszurę. Włożyła ją do torebki, nawet jej nie obejrzawszy.

- Dziękuję panu - powiedziała. Eichner spojrzał na nią, potem na torebkę.

- Mówię całkiem poważnie. Pani jest za to całkowicie odpowiedzialna. - Otworzył drzwi, pożegnał wszystkich i poszedł.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

- On pewnie ma rację - powiedział wreszcie Lasker. Max pokręcił głową.

- Nie. Nie ma mowy. Archeolodzy z Uniwersytetu Północnego znajdują się na wykopywaniu takich rzeczy tak samo jak my.

- Zgadza się - przytaknęła April. - Zresztą Schliemann też był amatorem.

- Czy mi się wydaje, czy też czytałem gdzieś, że ten Schliemann okropnie nabałagał w Troi? - zastanawiał się głośno Lasker.

Spełniały się wszystkie marzenia i nadzieje April. Brała udział w pasjonującym przedsięwzięciu, dokonała czynu, który zapewnił jej nieprzemijającą sławę. April Cannon miała stać w jednym szeregu z gigantami nauki. Nie wyobrażała sobie, by na tym etapie mogło się wydarzyć coś, co zniweczyłoby jej pracę. Nie potrafiła jeszcze powiedzieć, co odkryła, wiedziała jednak, że rzecz jest monumentalna.

Wszystkie stacje telewizyjne pokazały w swych dziennikach fragmenty konferencji prasowej, tym razem nie łącząc jej już z „szalonymi UFO-logami”. Do programu „Wiadomości z Jimem Lehrerem” zaproszono nawet kilku uznanych chemików, którzy dyskutowali na temat oświadczenia wygłoszonego przez April. Wszyscy uznali, że prawdopodobnie podczas badań popełniony został jakiś błąd.

- Jednak, jeśli doktor Cannon się nie myli - mówił Alan Narimoto z Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie - to mamy do czynienia z odkryciem o monumentalnym wręcz znaczeniu.

- Dlaczego? - dopytywał się Lehrer.

- Odkładam na razie pytanie o pochodzenie tej substancji, wystarczy bowiem powiedzieć, że jeśli bylibyśmy w stanie odtworzyć proces produkcji i stworzyć ten pierwiastek... - Narimoto potrząsnął głową i odwrócił się do swojej koleżanki, Mary Esposito, która podjęła przerwany wątek:

- Wtedy moglibyśmy podarować panu garnitur, który służyłby nie tylko panu, ale i pańskim wnukom.

ABC pokazała urywek wywiadu, jakiego April udzieliła już po konferencji, w wykopie na Johnson's Ridge.

- To zwykła taśma klejąca - mówiła do kamery, pokazując szeroką na dwa cale taśmę do pakowania. Potem przykleiła krótki odcinek do kartonowego pudła i oderwała go po chwili, pokazując wszystkim, że taśma pociągnęła za sobą spory fragment papieru. - W odróżnieniu od kartonu, nasz pierwiastek praktycznie nie łączy się z innymi substancjami - kontynuowała. Odcięła drugi kawałek taśmy, przyłożyła do szklanej powierzchni odkopywanego budynku i przycisnęła mocno na całej długości. Potem cofnęła się o krok. Celofanowy pasek zwinął się powoli i stoczył na ziemię. - Jest odporny na śnieg, wodę, brud, wszystko. Nie utrzyma się przy tym nawet taśma klejąca. - Kamera pokazywała zieloną powierzchnię obiektu. - Pomyślcie tylko państwo, jak dobrze byłoby mieć samochód pokryty taką substancją.

Relacje w większości były ostrożne w tonie, ale przynajmniej nie wrogie ani złośliwe. April uważała, że wypadła dobrze, wzór opanowania i profesjonalizmu. Tylko fakty, proszę pani.

Liczba atomowa wysoko w górze. Ponad krawędzią, za rogiem, poza zasięgiem wzroku. „Pierwiastek ten zajmuje bardzo wysokie miejsce w układzie okresowym. Właściwie można śmiało powiedzieć, że już się na nim nie mieści”. Felietonista z „Time'a” odnosił się do odkrycia z umiarkowanym optymizmem. To był naprawdę wspaniały dzień. Dzisiaj wieczorem wszyscy chemicy

w Ameryce będą przecierać oczy ze zdumienia. Dotąd nie wydała jeszcze żadnej znaczącej publikacji. I dobrze, że tego nie zrobiła, bo teraz miała w ręku najlepszą pracę, jaką mogła sobie wymarzyć. Już teraz stała się żywą legendą. I było jej z tym dobrze.

W motelu „Gwiazda Północy” nie było baru. April nie mogła spać z podniecenia, nie mogła się też skupić na czytaniu, postanowiła więc zadzwonić do Maksa i zaproponować jeszcze jeden toast za ich wspólny sukces (choć oboje chyba i tak za bardzo sobie pozwolili na kolacji w Cavalier, z Laskerami). Wtedy zadzwonił telefon.

To był Bert Coda, jeden z dyrektorów laboratoriów Colson. Coda pracował tam od drugiej wojny światowej. Zmęczony, zły i sfrustrowany mężczyzna, który już przed wielu laty całkowicie zaprzedał się swej pracy. Praca zastępowała mu żonę, rodzinę i Boga.

Coda nie tracił czasu na uprzejmości.

- April, czyś ty postradała zmysły? April nagle całkiem otrzeźwiała.

- O czym ty mówisz?

- Przez cały dzień występowałaś dzisiaj w telewizji. -I co?

- Nawet nie wspomniałaś ani razu o laboratorium.

- Bert, przecież to nie ma nic wspólnego z laboratorium.

- Co ty opowiadasz? O ile się orientuję, jeszcze wczoraj pracowałaś dla nas. Kiedy zrezygnowałaś z pracy? Spakowałaś się, kiedy wyszedłem na lunch?

- Posłuchaj, nie chciałam mieszać do tego laboratorium.

- Dlaczego? Dlaczego to robiłaś?

- Bo mówimy tutaj o UFO, Bert. O małych zielonych ludzikach. Chcesz, żeby kojarzono nas z małymi zielonymi ludzikami? Colson ma uchodzić za poważną, naukową instytucję.

- Proszę, tylko nie zmieniaj tematu.

- Przecież wcale nie zmieniam tematu.

- Pewnie, że tak. Tu chodzi o reklamę. Gigantyczną reklamę. I to za darmo. Nie słyszałem, żeby ktoś wspominał dzisiaj o UFO.

- To jeszcze usłyszysz.

- Nie obchodzi mnie to - warknął Coda. -April, pokazują cię na wszystkich kanałach. Jestem pewien, że jutro będą o tobie pisały wszystkie gazety. O tobie, April. Nie Colson, tylko Cannon. - Wziął głęboki oddech, jakby próbował się uspokoić. - Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Ale to jest zła reklama.

- Nie ma czegoś takiego jak zła reklama. Kiedy znowu staną do ciebie w kolejce jutro rano, a na pewno to zrobią, bądź uprzejma wspomnieć o swoim pracodawcy, który przez lata płacił ci o wiele więcej, niż powinien. Myślisz, że będziesz to w stanie zrobić?

Pozwoliła, by na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Miała ochotę postawić się temu sukinsynowi. Musiała jednak przyznać przed samą sobą, że się go boi.

- Dobrze - powiedziała wreszcie. - Skoro tego chcesz.

- O tak. Właśnie tego chcę.

- Widziała w wyobraźni, jak opada na oparcie fotela z zamkniętymi oczami i z tą zrezygnowaną miną, która zawsze wykrzywiała jego twarz, gdy wydawało mu się, że walczy z całą głupotą świata.

- Tak, bardzo tego chcę. Możesz też wspomnieć przy okazji, że jesteśmy szczególnie dobrzy w badaniach środowiska. Aha, i jeszcze jedno. Chciałbym wiedzieć, gdzie byłaś i dla kogo pracowałaś, kiedy zetknęłaś się po raz pierwszy z tą sprawą.

*Maleńki promień czasu między dwiema wiecznościami:  
nigdy już nie dostaniemy drugiej szansy!*

Thomas Carlyle „Bohaterowie i kult bohaterstwa”

NAZAJUTRZ TEMPERATURA spadła do minus dwudziestu stopni Fahrenheita. Ziemia zamarzała, ludzie wracali z pracy z odmrożeniami, a Mac Eberly, farmer w średnim wieku, który ściągnął do pracy na urwisku pół rodziny, dostał bólów w klatce piersiowej. Podczas świąt pogoda jeszcze się pogorszyła. Choć nie przyszło jej to łatwo, April poddała się w końcu i wstrzymała prace na okres zimy. Wyplaciła wszystkim hojną premię i ogłosiła, że wznowią działania, gdy tylko będą mogli. Na wiosnę, dodała.

Następnego dnia na całym obszarze przygranicznym szalała śnieżycą. W Nowy Rok temperatura sięgnęła już kilkudziesięciu stopni poniżej zera. Gazety szybko zapomniały o wydarzeniu, zajęte rozgrywkami hokejowymi, wielkim skandalem w kręgach finansowych, związanym między innymi z handlem narkotykami i prostytutką, czy wreszcie głośnym procesem o morderstwo.

April opublikowała wyniki swych badań i zgodnie z tradycją nowy pierwiastek otrzymał na jej cześć nazwę „cannonium”. Krajowe Stowarzyszenie na Rzecz Równouprawnienia Wszystkich Ras odznaczyło ją medalem, a Państwowa Akademia Nauk wydała bankiet na jej cześć. April oczywiście ogromnie cieszyła się z tych wszystkich zaszczytów, jednak przymusowa bezczynność dokuczała jej coraz mocniej.

Max powrócił do Fargo i do starego stylu życia, powiększył też znacznie zyski firmy, wykorzystując zdobytą sławę. Ludzie, którzy chcieli sprzedać, kupić, czy odrestaurować stare samoloty, zwracali się teraz przede wszystkim do Sundown Aviation. Co więcej, Max przekonał się, że jest poszukiwanym i wziętym mówcą. Nigdy nie lubił przemawiać do dużej liczby słuchaczy, ale kiedy dowiedział się, że może dostać nawet tysiąc dolarów za półgodzinne wystąpienie, postanowił spróbować. Wziął więc kilka lekcji i po pewnym czasie potrafił nie tylko swobodnie przemawiać, ale i zabawiać tłum wymyślanymi na poczekaniu żartami. Występował na przyjęciach Klubu Rotarian, spotkaniach biznesowych, brał udział w rozdaniu nagród na uniwersytecie, a nawet na zgromadzeniu Rycerzy Kolumba. Kiedy dowiedział się, że April otrzymuje przeciętnie sześć tysięcy za jedno wystąpienie, zażądał większych honorariów. Ze zdumieniem stwierdził, że większość chętnych nadal gotowa jest zapłacić.

Spędził weekend ze swoim ojcem. Pułkownik nie krył zachwyty. Po raz pierwszy w życiu ojciec Maksa był z niego dumny i chciał przedstawić go swoim przyjaciołom.

Coraz częściej też Max spotykał się przy różnych okazjach z April. Właśnie w tym okresie zrozumiał, że czuje do niej coraz większą sympatię i postanowił, że będzie utrzymywał z nią tylko ściśle służbowe stosunki. Uważał, że projekt realizowany na Johnson's Ridge jest zbyt ważny, by narażać go na ryzyko niepotrzebnych komplikacji - a spodziewał się, że właśnie do tego doprowadziłby romantyczny związek z kobietą będącą jego głównym partnerem w tym przedsięwzięciu. W rzeczywistości jednak większą rolę odgrywały inne powody: różnica ras, obawy Maksa przed zaangażowaniem się w stały związek, wreszcie niepewność co do uczuć April. Nie zrobiła przecież nic, co mógłby odczytać jako zachętę z jej strony. Kiedy jednak poznała go z pewnym porucznikiem policji i wyznała mu w sekrecie, że coraz bardziej podoba jej się ów facet, Max był zdruzgotany.

Czasami zabierał ją do „Gromu” i lecieli razem nad urwisko. Śnieg wypełnił niemal cały wykop; tylko zmarznięte hałdy ziemi świadczyły o tym, że kiedyś miały tu miejsce prace na dużą skalę. Wydawało się, że wszyscy dawno już o nich zapomnieli. Podczas jednego z takich lotów, pewnego mroźnego dnia pod koniec stycznia, April poprosiła go, by wylądował.

- Nie mogę - odparł.

- Dlaczego? Ceil tutaj lądowała.

- Nie wiem, jak głęboki jest śnieg. Wtedy pokrywa nie miała nawet cala, teraz może mieć i dwie stopy. Poza tym pod spodem może być lód.

- Szkoda - westchnęła.

W lutym bardzo się ociepliło. Po kilku kolejnych dniach, podczas których temperatura przekraczała pięćdziesiąt stopni Fahrenheita, April przyjechała do Fort Moxie, zabrała ze sobą Toma Laskera i pojechała z nim na Johnson's Ridge. Było jeszcze za wcześnie na ponowne rozpoczęcie prac i oboje dobrze o tym wiedzieli. Jednak April nie mogła pogodzić się z myślą, że trzeba poczekać jeszcze kilka tygodni.

- Może będziemy mieli szczęście - powiedziała. - A kiedy znowu zrobi się zimno, zajmiemy się czym innym.

Lasker powiedział, że nie sądzi, by był to dobry pomysł; jednak April porozumiała się z Lisa Yarborough i wiosenne prace ruszyły pełną parą.

Korzystna pogoda utrzymywała się jeszcze przez osiem dni. Robotnicy wykorzystali ten okres do maksimum. Wybrali śnieg z wykopu i zrzucili go z urwiska. Potem zaatakowali twardą ziemię i po kilku dniach odkryli niemal cały dach. Zaczęli także odkopywać obiekt od strony urwiska, odsłaniając ścianę wykonaną z tego samego szmaragdowego materiału co dach. Ku ogólnemu rozczarowaniu okazało się, że nie ma tam żadnego wejścia czy drzwi.

Wszyscy zakładali wcześniej, że właśnie tam znajduje się przód budowli, i że powinni odkryć jakieś wejście. Jednak natknęli się na litą, równą powierzchnię. Czekало ich więc jeszcze sporo pracy, którą musieli wykonywać powoli i ostrożnie, jako że od przepaści dzielił ich tylko wąski pas ziemi.

Najbardziej wysunięta część budynku znajdowała się o trzy stopy od krawędzi urwiska, zabezpieczonej tylko cienką warstwą ziemi i kamyków. Pod tą wąską półką krył się kanał, który widzieli na ekranie radaru. Być może właśnie tędy mogliby się łatwo dostać do środka rotundy, jednak bliskość przepaści czyniła to zadanie bardzo ryzykownym. April wołała więc najpierw odkopać budynek z innych stron. Była pewna, że w końcu znajdą jakieś wejście.

W czasie tych kilku ciepłych dni ustawili także w pobliżu wykopu baraki, służące za magazyny i centrum komunikacyjne.

Podczas prac robotnicy nosili ze sobą latarki, którymi oświetlali od czasu do czasu szklany budynek, próbując zajrzeć do jego wnętrza. Niektórzy przysięgali, że im się to udało, a kilku twierdziło nawet, że coś patrzyło na nich ze środka. W rezultacie Johnson's Ridge stał się najpierw przedmiotem żartów, potem jednak zyskał opinię miejsca, w którym lepiej nie pokazywać się po zmroku.

W rocznicę urodzin Waszyngtona pogoda wróciła do normy. Dolina Czerwonej Rzeki znów pokryła się lodem i śniegiem, a Max dwudziestego trzeciego obchodził swoje urodziny w towarzystwie April i Laskerów przy akompaniamencie upiornego wycia wiatru. Jednak w ciągu nocy śnieżycy ucichła, a rano przywitał ich pogodny, słoneczny i zimny dzień. Tak zimny, że zmuszeni byli jeszcze przed południem odesłać wszystkich do domu.

Do tego czasu prawie odsłoniли szklaną budowlę. Miejscami kryły ją jeszcze hałdy ziemi i kamieni, jednak już teraz wydawała im się piękna w swej prostocie. Ściana była idealnie okrągła i podobnie jak dach lśniła w słońcu.

Max patrzył na sznur samochodów, które zmierzały już w stronę Fort Moxie, kiedy usłyszał krzyki i śmiech, dochodzące z wykopu.

Na tyłach budynku stała grupka ludzi. Dwóch mężczyzn czyściło ścianę. Inni osłaniali oczy przed blaskiem słońca, przyglądając się czemuś z ciekawością. Jeden z nich dostrzegł Maksa i przywołał go, wyraźnie czymś podekscytowany.

Znaleźli jakiś wizerunek zatopiony we wnętrzu ściany.

Głowę jelenia.

Rysunek był prosty i wyrazisty; wygięta linia przedstawiała bark, inna rogi. Tutaj oko, a tu pysk.

Wizerunek jelenia wykonany został białą kreską, kontrastującą z ciemnym tłem cannonium. Podobnie jak w przypadku samego budynku, jego najistotniejszą cechą była elegancka prostota. Żadnych ozdób. Perfekcja formy.

April ściągnęła aparat z ramienia i przyjrzała się zasnutej śniegiem rotundzie.

- Idealna - powiedziała.

Zwolniła migawkę, potem zmieniła pozycję i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie.

Wiatr rzucał płatki śniegu na ścianę.

- W taką pogodę wygląda naprawdę cudownie - powiedziała. Powoli spacerowali dokoła budynku, a April robiła kolejne zdjęcia. - W całej naszej historii coś takiego mogło zdarzyć się tylko raz. - Fotografowała rotundę, głowę jelenia, okoliczne wzgórza, nawet parking. - Stań tam, Max - powiedziała, a kiedy ten się ociągał, wybuchnęła śmiechem, zaciągnęła go we wskazane miejsce, kazała mu stać nieruchomo i zrobiła jeszcze więcej zdjęć. - Będiesz to pamiętał przez całe życie - powiedziała. - Zobaczysz, jeszcze przyjdą takie dni, kiedy gotów będziesz zrobić wszystko, byle tylko wrócić do tych chwil.

Max wiedział, że ma rację.

On też zrobił zdjęcie April na tle wielkiego budynku, który przycupnął za nią niczym jakieś wielkie prehistoryczne zwierzę.

- Dobrze - powiedziała. - Naprawdę jest mi dobrze.

I kiedy najmniej się tego spodziewał, rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go.

Nazajutrz powróciły ekipy telewizyjne. Dziennikarze przeprowadzali ze wszystkimi wywiady, a ich szczególne zainteresowanie budziła głowa jelenia. Tego dnia Max pozostał na szczycie do późnego wieczora. Na urwisku nie było jeszcze całkiem ciemno, kiedy Tom Brokaw przekazał ostatnią wiadomość wieczornego dziennika, która tradycyjnie miała nieść w sobie jakieś pozytywne przesłanie.

„W Północnej Dakocie grupa poszukiwaczy podjęła znów prace wykopaliskowe przy tajemniczym obiekcie”. - Na ekranie telewizora ukazały się zdjęcia urwiska, wykonane z ziemi i z powietrza. - „Obiekt, na który patrzycie państwo w tej chwili, odkryty został kilka miesięcy temu w pobliżu granicy z Kanadą. Prowadzący badania nie chcą zdradzać żadnych szczegółów, wiemy jednak od osób związanych blisko z tym projektem, że być może jest to budynek pozostawiony przez przedstawicieli pozaziemskiej cywilizacji. Czy rzeczywiście?” - uśmiechnął się Brokaw. - „Carole Jensen, ze współpracującej z nami telewizji KLMR, powie państwu coś więcej na ten temat”.

Zbliżenie. Jensen ubrana w elegancki płaszcz stoi przed rotundą. Nie ma żadnego nakrycia

głowy, wiatr rozwiewa jej włosy. Wygląda na zziębniętą. (Trudno uwierzyć, że gdzieś na terenie tego samego kraju baseballiści rozpoczęli już wiosenne treningi).

„Tom, słyszeliśmy już wiele spekulacji na temat tego obiektu, odkąd sprawa została ujawniona w listopadzie zeszłego roku. Eksperci z całego kraju twierdzą, że próbki pobrane z obiektu nazywanego przez nich rotundą, w ogóle nie powinny istnieć. Nie mają też pojęcia, jak można wytworzyć taki pierwiastek i taką substancję. A jednak ona istnieje, o czym wszyscy możemy się przekonać. Grupa archeologów amatorów znów zaczęła kopać. Być może jeszcze nim zakończą się te prace, będziemy mieli pierwszy przekonywający dowód na istnienie cywilizacji pozaziemskiej”.

Tak, pomyślał Max. Bardzo dobrze. Ważne, żeby nie padło to z naszych ust.

Inne stacje telewizyjne komentowały relacje z Johnson's Ridge w podobny sposób. Wszystkie były ostrożne. Max wiedział jednak, że to doskonały materiał, i że kiedy tylko media nabiorą przekonania co do autentyczności tej historii, wykorzystają ją do maksimum.

Założył płaszcz i wyszedł na zewnątrz. Blask księżyca oświetlał wykopy i zieloną rotundę, rzucał cienie na wydrążony w skale krąg, w którym nieznani budowniczcy umieścili swe dzieło. Teoria Peggy Moore, że nie był to twór natury, że ktoś wyciosał fragment skały, by umieścić w niej budowlę, teraz nie budziła już żadnych wątpliwości. Skalny brzeg znajdował się zbyt wysoko ponad powierzchnią wody, myślał Max, wyobrażając sobie jezioro sprzed tysięcy lat. Więc owe istoty usunęły fragment skały, zbudowały tu przystań i wydrążyły kanał, który łączył ją z jeziorem.

Potem śródlądowe morze zniknęło, zostawiając za sobą niepotrzebną budowlę. A przez dziesięć tysięcy lat wiatr wypełnił otwór ziemią i przywrócił górze dawny kształt.

Może udałoby im się znaleźć te oderwane fragmenty skał? Max podszedł do krawędzi urwiska i spojrzął w dół.

Harry Ernest był jedyną osobą w Fort Moxie, która regularnie wchodziła w konflikt z prawem. Jego pasją było malowanie po ścianach farbą w sprayu, którą to umiejętność rozwinął mieszkając w Chicago. Niestety, kiedy umarła jego matka, musiał przeprowadzić się do krewnych w Północnej Dakocie. (Harry nigdy nie znał swego ojca).

Główny problem Harry'ego polegał na tym, że w miejscu takim jak Fort Moxie nie może ukryć się żaden wolny duch. Harry był jedynym wandalą na północ od Grand Forks, kiedy więc na wieży ciśień, na którymś z kościołów czy na ścianie ratusza pojawił się jakiś obsceniczny napis lub rysunek, policjanci od razu wiedzieli, gdzie szukać winowajcy.

Trzeba przyznać, że Harry był szczerze oddany swej sztuce (co wcale nie cieszyło jego rodziny). Ponieważ wiedział, że zawsze dosięgnie go karząca ręka sprawiedliwości, wybierał na obiekty swych działań miejsca o niepoślednim znaczeniu. Kiedy zobaczył na ekranie telewizora zieloną rotundę, w jego głowie odezwał się sygnał alarmowy.

Tom Brokaw nie zdążył jeszcze pożegnać się z telewidzami, kiedy Harry zbierał już puszki z farbą, które ukrył na strychu. Doszedł do wniosku, że biel i złoto będą idealnie kontrastowały z zielonym tłem obiektu.

Zastanawiał się długo nad treścią przekazu i wreszcie uznał, że postawi na prostotę. Opiszże zwięźle te same emocje i poglądy, którym wyraz dawał na niezliczonych ścianach w Chicago. Było to jego życiowe credo, reakcja na świat.

Około jedenastej, kiedy w domu już ucichło, Harry zabrał z pracowni wujka kluczyki do samochodu, wymknął się z domu przez okno swej sypialni i wyprowadził rodzinny ford z garażu. Pół godziny później odkrył, że na drodze dojazdowej rozstawiono posterunki policji. Dlatego też zjechał w boczną dróżkę i zaparkował o jakieś pół mili od celu swej wyprawy. Przeszedł przez las,



powrócił do głównej drogi i wspiął się na szczyt.

Rotunda wyglądała teraz niczym wielki, cylindryczny cień, przyczajony na tle gwiazdzistego nieba. Budynek wznosił się bezpośrednio nad doliną, więc napis pozostawiony na jego ścianie byłby doskonale widoczny z drogi numer 32, zwłaszcza w słoneczny dzień.

W pobliżu znajdowało się też kilka współczesnych budynków. Harry zauważył, że w jednym z nich świeci się światło, a w środku porusza się jakiś człowiek. Poza tym teren dokoła rotundy był całkowicie opustoszały.

Przeszedł przez szczyt, pogwizdując cicho. Humor mu dopisywał. Gdy znalazł się już w cieniu budynku, przystanął na moment, by sprawdzić działanie sprayów. Było już dosyć zimno, ale wszystkie puszkę działały bez zarzutu. Zadowolony stał jeszcze przez minutę w bezruchu, pozwalając, by wiatr wiał mu prosto w twarz. Tak. Właśnie po to człowiek żyje. Wiatr we włosach. Płatki śniegu na twarzy.

Uśmiechnął się i przeszedł na wąską półkę skalną przed frontową częścią rotundy. Ogromna przepaść nie przerażała go ani trochę. Dotarł na sam środek skalnego występu, odwrócił się, by przeszukać torbę i cofnął się tak, że obcasy jego butów wystawały nad przepaść. Na szczęście wiatr wiał z zachodu, więc rotunda osłaniała go przed gwałtownymi podmuchami. Harry wiedział już z doświadczenia, że ma to niebagatelne znaczenie, kiedy używa się farby w sprayu.

Z ulgą stwierdził, że ściana wykonana jest ze szkła. W telewizji nie wszyscy byli co do tego zgodni. Większość twierdziła, że tajemniczy materiał to szkło, więc Harry przyniósł ze sobą emalię.

Włączył latarkę i skierował promień światła na ścianę. Wydawało mu się, że światło przenika do wnętrza obiektu, podszedł bliżej i próbował zajrzeć do środka. Przyszło mu do głowy, że być może nie ma tam żadnego wnętrza, że obiekt jest jednolitą bryłą.

Wzruszył ramionami i wyjął puszkę z farbą.

Pierwsze słowo wypisze złotymi literami. Podniósł głowę i popatrzył na budynek. Nie była to najlepsza pozycja, bo stał zbyt blisko ściany. Niestety, nie mógł na to nic poradzić.

Ciszę nocy przerywało jedynie wycie wiatru i odległy pomruk silnika jakiegoś samolotu.

Skierował puszkę na ścianę i nacisnął sztyft. Farba wypłynęła z pojemnika delikatną mgiełką, a Harry z przyjemnością chłonał dobrze mu znany zapach.

Jednak w odróżnieniu od wieży ciśnień i kościołów, rotunda nie łączyła się z elementami świata zewnętrznego. Złota mgiełka nie przywierała do ściany. Drobny jej fragment zamienił się w płyn i spłynął kilkoma kroplami na ziemię. Jeszcze mniejsza część przywarła do załamań i pęknięć. Jednak najwięcej pozostało w powietrzu, tworząc niewielki złoty obłok.

Chmurka tylko przez chwilę wisiała nieruchomo, potem zaczęła się skraplać i opadać ku ziemi.

Harry nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Wiedział tylko, że nagle jego twarz pokryła się wilgocią. I że przeraźliwie pieką go oczy.

Wpuścił z dłoni puszkę, krzyknął i upadł na kolana. Rozcierał oczy dłońmi zaciśniętymi w pięści, przesunął łokciem po jakiejś twardej powierzchni. Wiedział już, gdzie jest, nie mógł zapomnieć, gdzie się znajduje. Nagle ziemia ustąpiła mu spod nóg. Runął w przepaść. Sto jardów dalej Max usłyszał krzyk, wystawił głowę za drzwi i po chwili uznał, że to tylko odgłos wydany przez jakieś zwierzę.

*Przez wielkie morze ciemności prowadziła nas iskierka światła...*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

EKIPA POSZUKIWACZY ODNALAZŁA ciało Harry'ego przed południem. Rodzina powiadomiła policję o zaginięciu około ósmej, o dziewiątej trzydzieści odszukano jego samochód, a tuż po dziesiątej robotnicy znaleźli puszkę farby w sprayu i latarkę na półce skalnej przed rotundą. Reszta była już wiadoma.

Max z wściekłością myślał o tym, że ktoś chciał zniszczyć artefakt. Nie mógł znaleźć w sobie współczucia dla pechowego artysty, dopóki nie stanął na krawędzi przepaści i nie spojrzał w dół.

Pod wieczór na Johnson's Ridge pojawił się Arky Redfern. Wraz z Makssem wybrał się na skalną półkę i obejrzał miejsce tragedii.

- Trudno uwierzyć - powiedział, kręcąc głową. Max zgodził się z nim.

- Mogą wytoczyć nam proces - dodał Redfern.

- Przecież to był wandal, chciał uszkodzić naszą własność - zdumiał się Max.

- To nie ma znaczenia. Był jeszcze dzieckiem, a to jest niebezpieczny teren. Dobry prawnik mógłby zarzucić nam, że nie zapewniliśmy ochrony. I miałby rację.

Max westchnął głęboko, a para wydobywająca się z jego ust zawisła na moment w blasku słońca. Był pogodny, zimny dzień, temperatura sięgała kilkunastu stopni poniżej zera.

- Kiedy wreszcie stanie się tak, że ludzie sami zaczną odpowiadać za swoją głupotę?

Redfern wzruszył ramionami. Ubrany był w grubą wełnianą kurtkę z kapturem, który założył teraz na głowę.

- Nic już nie możemy zrobić dla tego dzieciaka, ale musimy zadbać o to, żeby coś takiego już się nie powtórzyło. W razie potrzeby będziemy mogli przynajmniej udowodnić, że się staraliśmy. - Głową wskazał na parking, do którego zbliżała się zielona furgonetka. - Chciałbym, żebyś kogoś poznał - powiedział.

Furgonetka zatrzymała się na parkingu. Wsiadł z niej Indianin w granatowej puchowej kurtce. Rozejrzał się dokoła, a kiedy ich dostrzegł, pomachał ręką. Był średniego wzrostu, miał około trzydziestki, ciemne oczy i czarne włosy. Coś w jego zachowaniu ostrzegło Maksa, że powinien być wobec niego uprzejmy.

- To mój szwagier - powiedział Redfern. - Max, poznaj Adama Kopie-Dziurę-w-Niebie.

Szwagier, który stanął już obok nich, podał mu rękę.

- Wystarczy Niebo - powiedział.

- Adam będzie zajmował się ochroną obiektu - kontynuował Redfern.

- Jak to?

- Dziś rano postanowiliśmy, że potrzebujemy profesjonalnej ochrony - wyjaśnił prawnik.

Niebo skinął głową.

- Moi ludzie przyjadą tu za godzinę. - Przyjrzał się uważnie skarpie. - Będziemy potrzebowali budynku na posterunek.

- Może jeden z baraków? - podsunął Redfern.

- Tak, powinien wystarczyć.

Max zaprotestował, tłumacząc, że nie mają już wolnych budynków, ale prawnik przerwał mu bezceremonialnie.

- Jeśli nadal chcesz prowadzić tu prace, musisz zapewnić ochronę terenu, Max. Polecam usługi Adama.

Niebo przestąpił z nogi na nogę i obdarzył Maksa beznamiętnym spojrzeniem.

- Tak, jasne - powiedział Max. - Nie ma problemu.

- Dobrze. - Niebo wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Maksowi. - To mój numer. Postaramy się rozpocząć pracę jeszcze dzisiaj wieczorem.

Max pomyślał, że otaczają go sami amatorzy. Jakie kwalifikacje miał ten człowiek? Ostatnią rzeczą, której potrzebowali w tej chwili, była banda uzbrojonych Indian. Redfern chyba czytał w jego myślach.

- Adam jest specjalistą od ochrony - powiedział. - Pracuje głównie dla dużych linii lotniczych, kolei i firm spedycyjnych.

Niebo popatrzył na Maksa, a potem ogarnął spojrzeniem teren wykopalisk.

- To nietypowe zadanie - stwierdził - ale mogę pana zapewnić, że nie dojdzie tutaj już do żadnego wypadku.

Po godzinie pojawiła się na parkingu ciężarówka firmy ochroniarskiej. Ludzie Nieba zaczęli ustawiać wokół wykopu ogrodzenie. Połączone grubym łańcuchem elementy otaczały cały teren prac wykopaliskowych. By dostać się teraz na skraj urwiska, należało najpierw pokonać płot o wysokości ośmiu stóp.

- W obrębie ogrodzenia nie będzie żadnych prywatnych pojazdów - wyjaśnił Niebo.

Max chętnie na to przystał. Wciąż zastanawiał się, jak Harry mógł sam opryskać sobie oczy. Wiedział, że wśród robotników zaczęła krążyć plotka, jakoby chłopak zajrzał do wnętrza budynku. I zobaczył coś.

Ogrodzenie stanęło już po dwudziestu czterech godzinach. Następnym etapem było rozstawienie szeregu reflektorów, które oświetlały chroniony teren. Niebo umieścił także kamery w pięciu najważniejszych punktach wykopu.

Wkrótce pojawili się umundurowani Siuksowie. Pierwszy spośród poznanych przez Maksa ochroniarzy pasował idealnie do jego wyobrażeń o prawdziwych Indianach. Był to potężnie zbudowany, ciemnooki i małomówny mężczyzna. Nazywał się John Mały Duch i nie interesowało go nic, poza jego obowiązkami. Wyobrażenia i oczekiwania Maksa względem Indian ukształtowane zostały przez hollywoodzkie filmy, w których przedstawiano ich jako ludzi czasem szlachetnych, czasem gwałtownych, i prawie zawsze niekomunikatywnych. Był zdumiony i zaniepokojony, kiedy poznał indiańskiego prawnika i specjalistę od ochrony. Paradoksalnie, czuł się zakłopotany faktem, że znacznie łatwiej przyszło mu zaakceptować Johna Małego Ducha niż Redferna czy Niebo.

Śledztwo w sprawie śmierci Harry'ego Ernesta zostało zamknięte. Policjanci wypełniali jeszcze ostatnie formularze, a Max musiał odpowiedzieć na kilka pytań. (Zeznał, że przebywał na skarpie do północy i nie przypuszcza, by był tam ktoś jeszcze, kiedy wyjeżdżał do domu. Całkiem zapomniał o „zwierzęcym” krzyku, który słyszał tamtej nocy). Bez wątplenia była to przypadkowa śmierć, będąca wynikiem przygotowań do popełnienia przestępstwa, orzekła policja. Nie stwierdzono żadnych zaniedbań ze strony prowadzących wykopaliska. Tak brzmiała oficjalna opinia, umieszczona w raporcie policyjnym.

Max poszedł na pogrzeb. W skromnym kondukcje żałobnym szli przede wszystkim przyjaciele opiekunów chłopca. Max nie zauważył ani jednego rówieśnika ofiary wypadku. Stwierdził też, iż krewni Harry'ego byli niezwykle spokojni i opanowani.

Następnego dnia Redfern poinformował, że prawdopodobnie nikt nie będzie wszczynał procesu

przeciwko organizatorom prac.

Na skarpę nadal przybywały tłumy turystów. Pozwalano im wejść na zbocze, musieli jednak pozostać poza ogrodzeniem. Policja otworzyła drugą drogę dojazdową po zachodniej stronie góry.

Nikt nie znalazł jeszcze drzwi.

Ustawiony przez ochronę płot biegł także wzdłuż urwiska przed frontową ścianą budynku. Robotnicy mogli więc bezpiecznie zacząć pracę przy odkopywaniu kanału.

W obecności kamer telewizyjnych niepełnosprawna dziewczynka z pobliskiej szkoły średniej odrzuciła pierwszą łopatę ziemi. Oczywiście była to niezwykle uzdolniona uczennica, która wykonawszy swe zadanie, pozowała do zdjęć i uśmiechała się wdzięcznie do kamer. Potem zaczęła się właściwa praca.

Wiedzieli, że ze względu na ograniczoną przestrzeń będzie to długi i żmudny proces. Na wąskiej półce mogli pracować tylko dwaj robotnicy jednocześnie. Tymczasem niebo pokryły chmury, a temperatura zaczęła się podnosić, co zapowiadało opady śniegu. Wokół budynku pracowała armia ludzi, którzy oczyszczali miotłami ściany i potężne pręty łączące rotundę ze skalnym podłożem. April i Max obserwowali cały teren poprzez kamery ochrony, przekazujące obraz do centralnego baraku.

Był to już ostatni tydzień prac na dużej skale. Zamierzali podziękować większości robotników i wypłacić im należne pieniądze. Charlie Luidquist planował wydać w ratuszu Fort Moxie kolację dla wszystkich, którzy brali udział w odkopywaniu budynku i przygotował dla nich specjalne dyplomy z wielkim napisem „Pomagałem odkopywać Rotundę” (w tym czasie Rotunda stała się już oficjalną nazwą zielonego budynku, pisaną wielką literą.)

Z każdym dniem wzrastało zainteresowanie mediów i powiększała się liczba turystów przybywających na miejsce wykopalisk. Samochody blokowały drogę 32 na przestrzeni wielu mil.

Od czasu do czasu April wychodziła na zewnątrz i spacerowała dokoła Rotundy. Lubiła być blisko niej, lubiła dotykać dłońmi jej ścian, lubiła myśleć o tym, że ktoś, być może całkiem różny od niej, stał w tym samym miejscu i patrzył na błękitne wody ogromnego jeziora.

Jednak dzisiaj ściana była inna. April stanęła z tyłu budynku, obok głowy jelenia, i patrzyła wzdłuż długiej zakrzywionej powierzchni na zalesione zbocza gór po przeciwnej stronie kanionu, próbowała dotrzeć do tego, co podpowiadał jej instynkt. Wszystko wydawało się takie samo.

Dotknęła szklanej powierzchni. Przycisnęła do niej palce.

Ściana była ciepła. No, może nie całkiem ciepła, ale nie tak zimna jak powinna. Jeszcze przez długą chwilę nie odsuwała od niej dłoni.

Na zachodzie było już ciemno, zerwał się zimny wiatr. Max obserwował gromadzące się na horyzoncie chmury i robotników, którzy przynieśli z magazynu brezentowe płachty. Skończyli już pracę na ten dzień i musieli tylko przykryć wykop, by nie zasypał go śnieg. Potem szybko rozjechali się do domów.

Wszyscy chcieli znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu przed nadejściem śnieżycy. Łącznie z Makssem.

- Gotowa? - spytał April.

- Tak - odparła. - Idź. Ja też zaraz się wybiorę.

Max założył płaszcz. Wiatr niósł ze sobą pierwsze płatki śniegu. Wkrótce widoczność miała zmniejszyć się do zera.

- A może wpadnę gdzieś po drodze po pizzę? - zaproponował.

- Jasne. Zobaczymy się w motelu.

Max skinął głową i wyszedł na dwór. Wiatr omal nie wyrwał mu drzwi z rąk.

Podszedł do bramy, gdzie pozdrowiła go Andrea Hawk, należąca do ekipy ochroniarskiej. Max przypomniał sobie, że to właśnie ona prowadzi jakiś program radiowy w Diabelskim Jeziorze. Była niezwykle atrakcyjną kobietą.

- Dobranoc, panie Collingwood - powiedziała Andrea. - Proszę jechać ostrożnie. Droga jest teraz bardzo zdradliwa.

- A co z panią? - spytał. - Kiedy pani jedzie do domu?

- Zostaniemy tutaj na noc, chyba że wcześniej pojawi się następna zmiana.

Max zmarszczył brwi.

- Jest pani pewna, że to bezpieczne?

- Jasne. Jesteśmy bezpieczniejsi od pana.

Wietrzne burze to inaczej zimowe wichury o niezwyklej sile. Wiatr, pędzący przez prerię z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, niesie ze sobą gęsty suchy śnieg. Może to być po prostu świeży opad albo śnieg podniesiony z ziemi. I tak nie ma to większego znaczenia. Z okien samochodu w taką pogodę widać tylko wycieraczki i białą, nieprzeniknioną ścianę.

April była wściekła z powodu opóźnienia spowodowanego przez burzę wietrzną. Jej myśli zajmowała ostatnio wyłącznie Rotunda. Chciała dowiedzieć się koniecznie, co jest w środku i kim byli jej budowniczy. Codziennie obserwowała postęp prac przy odkopywaniu kanału.

Tego samego dnia, kiedy zobaczyła jacht Toma Laskera, zaczęła prowadzić dziennik. Choć sama ganiła się w duchu za próżność i arogancję, doszła do wniosku, że znajduje się w centrum wydarzeń o historycznym znaczeniu, i że dokładny zapis tychże może okazać się kiedyś bardzo cenny. Przez pierwsze dni zadowalała się tylko suchym opisem procedur i rezultatów. Kiedy Max odnalazł Rotundę, zaczęła też przelewać na papier swoje przypuszczenia i spekulacje. A gdy prace zostały przerwane na okres zimy, zrozumiała, że pisze pamiętnik. W rezultacie przestała już kryć się z czymkolwiek i opisywała wszystkie targające nią emocje.

Głowa jelenia niezwykle ją intrygowała. Wydawała się tak bardzo ludzkim dziełem, że zaczęła wątpić w rzetelność swych badań. Wszystko, w co wierzyła przez ostatnich kilka tygodni, zdawało jej się szaleństwem w obliczu tego zwykłego, prostego wizerunku. Spędziła większość popołudnia przy biurku, starając się odpowiednio sformułować myśli, opisać swe uczucia tak, by mogła zamieścić je w pamiętniku. Nie chciała wyjść na wariatkę.

Schowała dziennik do szuflady i wsłuchiwała się w wycie wiatru. Czas już iść. Wyłączyła komputer i wyszła na zewnątrz. Minęło jakieś dziesięć minut od wyjazdu Maksa.

John Mały Duch otworzył dla niej bramę, zmagając się z przeciwnym wiatrem, i zasugerował, by została na noc w biurze.

- Na drodze będzie niebezpiecznie! - przekrzykiwał wiatr.

- Będę ostrożna - obiecała April.

Odetchnęła z ulgą, gdy dotarła wreszcie do samochodu i zamknęła za sobą drzwiczki. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik natychmiast zapalił. Zauważyła, że na tylnej szybie zebrała się gruba warstwa śniegu. Wyciągnęła z bagażnika szczotkę i zrzuciła niepotrzebny ładunek na ziemię. Potem poczekała, aż szyby podgrzeją się na tyle, by nie osiadał na nich śnieg. Wreszcie wycofała samochód o jard i zawróciła w stronę prześwitu między drzewami, gdzie zaczynała się droga dojazdowa. Jechała powoli przez białą zamieć. Wiatr wył za oknami jak potępieniec.

Może Mały Duch miał rację.

Skręciła w lewo, do zachodniego wyjazdu. Droga prowadziła grzbietem skarpy, samochód był

więc przez kilkaset jardów wystawiony na działanie wiatru. Jednak April utrzymywała właściwy kierunek i otworzyła drzwiczki po swojej stronie, by widzieć koleiny zostawione przez inne samochody. Wiatr ucichł, kiedy wjechała wreszcie między drzewa.

Minęła porzuconą toyotę i jechała w dół zbocza.

Na terenie osłoniętym przed wiatrem zasy py tworzą się bardzo szybko, trzeba więc jechać z odpowiednią prędkością, by nie utknąć w jednej z nich. Śnieg zakrywa znaki wymalowane na jezdni, przesłania słupki na poboczu, kryje przydrożne rowy. Co gorsza, była to nowa droga, otwarta niedawno przez policję, i April jeszcze jej dobrze nie знаła.

Z trudem utrzymywała się na jezdni. Ześlizgiwała się ze stromych zjazdów, ledwie wyrabiała na zakrętach. Rozbijała rosnące na drodze hałdy śniegu, w końcu jednak straciła kontrolę nad samochodem i utknęła na poboczu w sporej zaspie. Próbowwała wycofać, ale samochód zakołysał się tylko i zakopał jeszcze głębiej.

Cholera.

Zapięła płaszcz, otworzyła ostrożnie drzwi i wystawiła jedną nogę na zewnątrz. Zapadła się w śniegu po kolano. Garść białego puchu wpadła jej do buta.

Niemal półtorej godziny później, wystraszona i przemarznięta, dotarła do baraku ochrony.

- Bogu dzięki, że postawiliście ten płot - powiedziała przerażonym gospodarzom. - Gdyby nie on, nigdy bym was nie znalazła.

Andrea Hawk prowadziła talk-show w radiu KPLI-FM, w Diabelskim Jeziorze. Przedtem miała się różnych zajęć w rezerwacie, wykorzystując zazwyczaj swój nieodparty czar przy sprzedaży wioseł, koszyków czy mokasynów. Pracowała także przez rok w policji rezerwatu, nim odkryła w sobie talent dziennikarski. Zaczęła od serii bezpłatnych spotów, w których starała się zniechęcić dzieci do używania narkotyków i łamania prawa. Poza tym wciąż sprzedawała samochody, dezodoranty, płyty kompaktowe i całą gamę innych towarów licznej grupie swych wielbicieli. Wszyscy mieszkańcy wybrzeża Diabelskiego Jeziora kochali Śnieżną Sokolicę.

Miała dwadzieścia sześć lat i marzyła o wspaniałej karierze. Dwa lata temu w okolicy bawił producent z Minneapolis, usłyszał jej show i podpisał z nią wstępny kontrakt. Andrea pojechała do wielkiego miasta, przekonana, że czeka tam na nią praca. Okazało się jednak, że kilka dni wcześniej producent wjechał swym samochodem w ciężarówkę, a jego następczyni, surowa kobieta o oczach kobry, nie zamierzała realizować kontraktu.

Andrea chciała poprowadzić kilka programów z Johnson's Ridge. Była przekonana, że jest to fantastyczny temat i zamierzała go jak najlepiej wykorzystać. Dostała pozwolenie od Adama, ułożyła sobie dyżury tak, by nie kolidowały z jej programami i załadowała do ciężarówki ochrony sprzęt transmisyjny.

Choć elektryczny grzejnik pracował bez przerwy, w baraku panował chłód. Nie z powodu izolacji kontenerowych budynków. Po prostu nie były to elementy zaprojektowane na warunki, jakie panują podczas burzy wietrznej w górach Północnej Dakoty. Zdawało się, że wiatr przenika przez cienkie ściany baraku. Andrea wcisnęła się głębiej w swój gruby wełniany sweter, marząc o kominku.

Zastanawiała się, czy słuchacze będą słyszeć szcęknięcie jej zębów, kiedy zacznie program o dziewiątej. Zgodnie ze swym zwyczajem zaczęła sporządzać notatki dotyczące tematu przewodniego audycji, gdy do baraku wtargnęła April.

Mały Duch złapał ją wpół i posadził na krześle.

- Cześć - powiedziała April, uśmiechając się z zakłopotaniem. I wtedy rozpoznała swą starą przyjaciółkę. - Andrea - otworzyła szerzej oczy. - To naprawdę ty?

- Cześć - odparła Śnieżna Sokolica.

Kiedy April ocknęła się ze snu, za oknami panowała całkowita ciemność, a powietrze w baraku wypełnione było słodkim zapachem ziemniaków i pieczonej wołowiny. W rogu pomieszczenia migotały monitory.

- Jak się czujesz? - spytała ją Andrea.

- Dobrze. - April przesunęła palcami jednej nogi po łydce drugiej. Ktoś założył jej na stopy grube skarpety. - Co ty tu robisz? - Pamiętała, że już raz zadała jej to pytanie, jednak nie mogła przypomnieć sobie odpowiedzi.

Andrea przysunęła bliżej krzesło, tak by April mogła na nią patrzeć, nie podnosząc się z posłania.

- Pracuję w ochronie - powiedziała. - Dobrze płacą.

- Dlaczego nie przysłałaś się ze mną zobaczyć?

- W końcu bym to zrobiła. Nie byłam pewna, czy powinnam. - Dotknęła czoła April. - Myślę, że jesteś zdrowa. Co ty tam robiłaś?

- Za długo zwlekałam z wyjazdem. Andrea skinęła głową.

- Może byś coś zjadła? Mamy tylko gotowe dania, ale nawet nie najgorsze.

April zdecydowała się na pieczeń, więc Andrea włożyła mięso do kuchenki mikrofalowej.

- Dzwonił Max - oświadczyła. - Powiedzieliśmy mu, że jesteś tutaj.

W baraku było miło i przytulnie. April wkrótce doszła do siebie. Mały Duch nie mówił zbyt wiele, ale był dobrym słuchaczem, która to cecha zawsze przysparza ludziom popularności. Niemal bez przerwy siedział przed monitorami, chociaż na ekranie widać było tylko plamy światła i tańczące cienie. April zaczęła rozmawiać z Andrea i szybko przekonała się, że ta zafascynowana jest Rotundą.

- Chcę zrobić program na jej temat - wyjaśniła Andrea. April uśmiechnęła się lekko.

- Śnieżna Sokolica na skalnym urwisku.

- Tak jest, kochanie. Zastanawiałam się, czy zgodziłabyś się dzisiaj wystąpić. Chciałabyś być moim gościem?

April nie odpowiedziała od razu. Wiele zawdzięczała tej kobiecie, ale nie chciała odpowiadać na niezliczone telefony.

- Myślę, że lepiej dam sobie dzisiaj spokój - odparła.

Była jednak na tyle zainteresowana, że została na miejscu i obserwowała pracę Andrei.

Śnieżna Sokolica prowadziła program od dziewiątej do północy. Choć motywem przewodnim audycji była Rotunda i wykopaliska, ludzie i tak dzwonili do niej w sprawie nowej inicjatywy podatkowej czy sytuacji szkolnictwa, komentowali rozrzutność miejscowych władz i wypowiadali się na dziesiątki zupełnie nie-związanych z tematem kwestii. Śnieżna Sokolica (April obserwowała z rozbawieniem, jak jej przyjaciółka zmienia osobowość przed mikrofonem, staje się dominująca, a nawet agresywna) traktowała wszystkich niezdyscyplinowanych słuchaczy tak samo, przerywając im w pół zdania.

- Eddie - mówiła na przykład - jestem na Johnson's Ridge i odmrażam sobie tu mój mały tyłeczek, a ty siedzisz w domu, w ciepłym fotelu. Moi drodzy, trzymajmy się tematu. Rozmawiamy dzisiaj o Rotundzie.

Generalnie jednak poziom tych rozmów zaskoczył April. Rozmówcy Andrei byli naprawdę rozsądni. Wielu z nich nie kryło fascynacji tajemniczym obiektem i otaczającą go atmosferą niesamowitości, jednak zdecydowana większość preferowała raczej całkiem przyziemne wyjaśnienia niż fantastyczne teorie. Okaze się, że to wszystko pomyłka, powtarzali jeden za drugim. April uśmiechnęła się do siebie, wspominając pierwsze reakcje Maksa.

Pod koniec programu śnieżycy zaczęła słabnąć. April widziała już niewyraźną sylwetkę Rotundy na tle śnieżnej zawiei.

Wydawało jej się, że Rotunda świeci.

Odwróciła się i spojrzała jeszcze raz.

To musiało być złudzenie, wywołane odbiciem światła reflektorów. Na pewno. Jednak reflektory były ledwie widoczne w śnieżnej mgle.

Co więcej, śnieg w pobliżu Rotundy przybrał zieloną barwę.

Z oświetlonego wnętrza baraku trudno było ocenić właściwie, co dzieje się na zewnątrz. April wciągnęła więc buty i założyła kurtkę. Mały Duch spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Zaraz wracam - szepnęła i wyszła na zewnątrz.

Kiedy stanęła przed barakiem, wstrzymała oddech. Nad Rotundą unosiła się delikatna szmaragdowa poświata.

Śnieżna Sokolica widziała, że coś się dzieje, rozmawiała jednak z Joe Greenbergiem z Fort Moxie i nie miała przenośnego mikrofonu. Marszcząc brwi spojrzała na Małego Ducha i wskazała głową na drzwi, przez które wyszła właśnie April.

- To świeci - powiedział Mały Duch.

-Co?

- Rotunda. - Rozmowę tę usłyszeli wszyscy radiosłuchacze. Na razie nie stało się jeszcze nic groźnego. Prawdziwa katastrofa nastąpiła kilka sekund później: - Cholera, mam nadzieję, że to nie jest radioaktywne.



*Strach ma wilkie oczy.*

Cervantes, „Don Kichot”

WALHALLA, CAYALIER i FORT MOXIE, jak wszystkie miasteczka położone na prerii w północnych stanach, to jednostki społeczne o zbliżonym typie, charakterystycznym dla regionów, gdzie panują surowe warunki klimatyczne. Tworzą je ludzie, którzy potrafią się zjednoczyć w obliczu zagrożenia, którzy wiedzą, że w zimie każdy niezaplanowany wyjazd za granicę może skończyć się śmiercią, którzy dumni są z tego, że nie dotyczy ich problem rosnącej przestępczości czy handlu narkotykami. Najbliższe centrum handlowe poza Fort Moxie oddalone jest o osiemdziesiąt mil, najbliższa apteka znajduje się już w Kanadzie. Od najbliższego kina dzieli miasteczko pół godziny drogi, jednak kino to otwarte jest tylko w weekendy, a w sezonie polowań nieczynne. Nic więc dziwnego, że w społecznościach tych rozwinęły się cechy właściwe dużym rodzinom.

Mel Hotchkiss siedział w kuchni swego przytulnego domku na obrzeżach Walhalla, słuchając jednym uchem audycji Śnieżnej Sokolicy i spożywając z lubością przedwieczorny smakołyk, tym razem ciasto z wiśniami. Właśnie nalewał sobie drugą filiżankę kawy, kiedy Andrea wdała się w krótką rozmowę z jakimś nieznanym głosem. Najwyraźniej działo się tam coś niedobrego. Mel odstawił dzbanek, chcąc podejść do okna i spojrzeć na John-son's Ridge, kiedy Mały Duch wypowiedział zdanie, które wprawiło całą miejscowość w stan wrzenia; „Cholera, mam nadzieję, że to nie jest radioaktywne”.

Rzeczywiście, nad szczytem urwiska unosiła się zielona aureola.

Dziesięć minut później Mel opuszczał miasteczko, wioząc w swej półciężarówce żonę, trzy córki, psa i kilka walizek. Po drodze zatrzymał się tylko na sekundę, by poinformować o wszystkim swego brata i jednego z przyjaciół.

Nie minęła godzina, a cała populacja Walhalla gotowa była do wyjazdu. Spoglądając trwożnie na złowrogą zieloną poświatę, ludzie pakowali dzieciaki, zwierzęta, biżuterię i komputery, po czym jak najszybciej wyjeżdżali z miasta. Ci nieliczni, którzy dotąd konsekwentnie odsuwali od siebie wszelkie teorie związane z astrologią, numerologią, tajemniczymi kręgami w zbożu, kojarzonymi z UFO, ulegli w końcu namowom, prośbom i groźbom przerażonych współmałżonków czy zatroskanych krewnych. Jechali na południowy zachód, w stronę Langdon, na wschód od Fort Moxie, gdzie granicy strzegł tylko zamknięty szlaban i migocące światła ostrzegawcze. Nikt jednak nie zamierzał tracić czasu na międzynarodowe uprzejmości i fala uciekinierów znalazła się wkrótce na terenie Kanady.

Policja stanowa dostarczyła helikopterem licznik Geigera i o pierwszej trzydzięci orzekła, że teren wokół Rotundy jest całkowicie bezpieczny. Stacje radiowe i telewizyjne natychmiast przekazały tę wiadomość, jednak było już za późno. Miasto całkowicie opustoszało, na drogach stały zepsute i porzucone samochody.

April, John Mały Duch i Śnieżna Sokolica słuchali sprawozdań radiowych i patrzyli na długi wąż światła zmierzających ku zachodowi. Ich także ogarniało coraz większe przerażenie.

Na szczęście nikt nie zginął. W ciągu nocy miały miejsce trzy pożary i sześć zawałów. Kilkunastu mężczyzn pochwyliło Jimmy'ego Pachmana, kiedy ten próbował wymknąć się z domu, i zmusiło go do otwarcia stacji benzynowej. Wszyscy zapłacili za benzynę, ale Jimmy twierdził, że został porwany. Policja, straż pożarna i pogotowie ratunkowe pracowały pełną parą. Pod koniec

tygodnia owe służby miały ogłosić sprawozdanie z akcji przeprowadzonych w ciągu tych kilku godzin. Miasto Walhalla musiało uszczuplić swój napięty budżet o dziewięć tysięcy dolarów, by zapłacić za wypożyczenie sprzętu i pracę w nadgodzinach. Mówiono też głośno o zlinchowaniu kilku osób z Johnson's Ridge.

Max dowiedział się o wszystkim przy śniadaniu. Doszedł do wniosku, że mają do czynienia z tym samym efektem, który zaobserwowali już na jachcie, i który napędził stracha Ginny. Tyle że teraz stało się to wydarzeniem na większą skalę. Na pewno groziły im procesy sądowe.

Zostawił jajecznicę na bekonie i zadzwonił na posterunek ochrony, by porozmawiać z Adamem. Słuchawkę podniosła jednak April.

- To nie była dobra noc - powiedziała.

- Domyślam się. - Max wziął głęboki oddech. - Już tam jadę. Po drodze minął kilka wraków.

Policyjne helikoptery patrolowały okolicę.

Przy zjeździe z głównej drogi jakiś mężczyzna w toyocie kłócił się z policjantem. Ten zauważył Maksa, przewrócił oczami i nakazał mu gestem, by jechał dalej. Oczywiście nic nie mogło bardziej rozsierdzić kierowcy toyoty.

Max powoli jechał pod górę, omijając wielkie śnieżne zaspę. Minął jednego z indiańskich ochroniarzy. Był to kontroler ruchu, który próbował rozgrzać się nieco, przytupując mocno w miejscu. On także machnął tylko ręką na widok samochodu Maksa.

O ósmej pojawili się robotnicy z porannej zmiany, którzy zdjęli z Rotundy brezentowe pokrowce. Max przyjrzał jej się dobrze, jednak w pełnym słońcu trudno było ocenić, czy budynek wydziela z siebie jakieś światło. Zatrzymał samochód w swym stałym miejscu i siedział w bezruchu, przysłaniając dłonią oczy, starając się dojrzeć ową tajemniczą poświatę.

- Zniknęła o świcie - powiedziała mu April kilka minut później.

- Tak samo jak na łodzi.

- Tak. Tyle że tym razem nie chodzi o pojedyncze światła. Świecił się cały budynek. - April nagrała urywki z porannych wiadomości. Odtworzyła teraz jeden z nich. Na lotniczych zdjęciach Rotundy widoczna była zielona poświata.

- To nie wygląda na światło elektryczne, przypomina raczej fosfor.

- Myśleliśmy o tym samym. - Łyknęła kawy. Z zewnątrz dobiegły ich radosne krzyki.

Max wyjrzał przez okno, ale nie zauważył niczego niezwykłego.

- Władze miejskie Walhalla zgłaszały już jakieś pretensje? - spytał.

- Pretensje? Co masz na myśli? Max westchnął.

- Wystraszyliśmy wczoraj całe miasto. Chyba nie są z tego zadowoleni.

April uśmiechnęła się.

- Max, nikt nie zginął. Dopilnuję jednak, żeby Adam nie pozwolił już nadawać Śnieżnej Sokolicy. Nie potrzebujemy kolejnych audycji na żywo. Przynajmniej nie będą tego robić nasi ludzie.

- Czyli kto?

- Andrea Hawk. Pracuje w ochronie. - Wyjaśniła pokrótce, jak doszło do owego zdarzenia.

- No cóż, może ujdzie nam to na sucho - powiedział Max. - Jeśli nadal będą przyjeżdżać tłumy dziennikarzy i turystów, Walhalla dorobi się własnej drużyny w NBA.

Zadzwonił telefon. April odebrała wiadomość i słuchając marszczyła brwi.

- Chyba żartujesz - powiedziała i znów zamilkła. - Kto? - Pokazała Maksowi wyprostowany kciuk. - Już idziemy.

- Co? - dopytywał się Max.

- Jesteśmy w środku.

Podczas gdy uwaga wszystkich skoncentrowana była na odkopywanym żmudnie kanale, jeden z ochroniarzy dostał się do środka przez drzwi z tyłu Rotundy. Wejście znajdowało się przy głowie jelenia.

Zebrał się tam już spory tłum. Najbliżej ściany stał oczywiście bohater dnia.

- Dobra robota, George - pochwalił go Adam Niebo, który przybył na miejsce równocześnie z Makssem.

Bohaterem tym był George Wolna Woda, młody Siuks o ujmującym uśmiechu. Jednak Max nie widział żadnych drzwi. Naprzeciwko pojawił się Tom Lasker, który nadszedł od drugiej strony budynku.

Wolna Woda, nie ruszając się ani na krok od miejsca odkrycia, rozpromienił się na ich widok. Potem jakby od niechcienia wyciągnął prawą rękę, naciągnął mocniej rękawicę i dotknął dłonią ściany. Tuż nad pyskiem jelenia.

Wizerunek zwierzęcia podjechał do góry, odsłaniając korytarz. Wszyscy bili brawo, choć wszyscy także cofnęli się o krok.

W długim na dwadzieścia stóp korytarzu nie było drzwi ani okien. Zamykała go lita ściana. Jediną nowością były prostokątne płytki, wielkości gniazdek elektrycznych, umieszczone na bocznych ściankach korytarza, po trzy z obu stron.

April ruszyła do wejścia, ale George chwycił ją za rękaw.

- Najpierw chciałbym pani coś jeszcze pokazać.

- Dobrze, co takiego?

- Proszę patrzeć.

Jakieś głosy z tyłu domagały się informacji. Jakaś kobieta twierdziła, że jest z UPI.

Nagle, bez ostrzeżenia drzwi powróciły na dawne miejsce. Żaden, najmniejszy nawet ślad nie świadczył o tym, że kiedykolwiek tam były.

- Co się stało? - spytała April. George patrzył na zegarek.

- Wejście pozostaje otwarte przez dwadzieścia sześć sekund - wyjaśnił.

- Dzięki, George - powiedziała April i nacisnęła pysk jelenia.

Drzwi nawet nie drgnęły.

April spojrzała zdezorientowana na Maksa.

- Co się dzieje?

Wolna Woda ostentacyjnie zdjął rękawiczkę. Była to zwykła czarna rękawiczka.

- Proszę spróbować z tym - powiedział.

April zmarszczyła brwi, zdjęła swoją rękawicę i nałożyła tę, którą podał jej Indianin.

- Czy to rzeczywiście ma jakieś znaczenie?

Uśmiech był dla niej wystarczającą odpowiedzią. Dotknęła ściany i oczom zebranych znów ukazał się krótki korytarz.

- A niech mnie... - powiedział Lasker.

Max poczuł falę ciepłego powietrza, wypływającą z korytarza. Wnętrze budynku było ogrzewane.

April porównała czarną rękawiczkę ze swą dwupalczystą rękawicą.

- O co tu chodzi? Wolna Woda nie wiedział.

- Drzwi działają tylko wtedy, gdy ktoś ma na dłoni moją rękawiczkę - powiedział.

- Jak to możliwe? - dziwił się Max.

- Nie wiem - wzruszył ramionami ochroniarz. - Nie reaguje też na gołą dłoń.

- Dziwne. - April spojrzała na korytarz, potem znów na rękawiczkę. - George, jeśli nie masz nic przeciwko, zatrzymam ją na kilka minut. - Włożyła rękawiczkę do kieszeni i popatrzyła na Maksa. - Gotów?

- Do czego?

- Do wejścia.

Max otworzył usta ze zdumienia.

- Chyba żartujesz - zachnął się. - Przecież możemy zostać tam na zawsze.

- Ja chciałbym wejść - zgłosił się Wolna Woda.

- Nie. Nikt inny. Będę czuła się bezpieczniej, jeśli zostaniesz tutaj i otworzysz drzwi, gdy nie uda nam się zrobić tego od środka. Zakładam oczywiście, że działają obie rękawiczki.

Przetestowali drugą. Działała.

- Daj nam pięć minut - powiedziała April. - Jeśli nie wyjdziemy, otwieraj.

- April - odezwał się Max. - Wiesz jak działa muchołówka? Uśmiechnęła się do niego, jakby opowiedział właśnie jakiś żart, i weszła do korytarza. Max zawahał się na moment. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych. I poszedł za nią.

Korytarz miał zaledwie sześć stóp wysokości i niecałe cztery szerokości. Był zbyt mały, przyprawiał o klaustrofobię. Ściany pokrywała tak gruba warstwa kurzu, że nie mogli dojrzeć, z czego są zrobione. Podobnie wyglądała podłoga.

- Ciekawe którędy napływa tu ciepłe powietrze - powiedziała April. Wyciągnęła przed siebie rękę, próbując określić kierunek strumieni powietrza.

Max szukał tymczasem czegoś, co pozwoliłoby mu otworzyć drzwi. Znalazł jedynie sześć prostokątnych płytek, które zauważył jeszcze stojąc na zewnątrz. Dwie pary znajdowały się dokładnie naprzeciwko siebie. Piąta i szósta ustawione były nieco dalej, jedna bliżej drzwi wejściowych, druga obok przeciwległej ściany. Starał się zapamiętać dobrze pozycję tej pierwszej, by odszukać ją bez trudu, gdy zamkną się drzwi i pozbawieni zostaną światła. ' April przesunęła dłoń po ścianie i starła z niej kurz.

- Zdaje się, że ciepło emanuje z całej powierzchni ścian - powiedziała.

Drzwi zaczęły się zasuwac. Max miał ogromną ochotę wyskoczyć w ostatniej chwili na zewnątrz, powstrzymał się jednak i z obojętną miną patrzył na znikający za drzwiami tłum.

Światła nie zgasły. Szary pas, biegnący poziomo wzdłuż górnej krawędzi wejścia, oświetlał wnętrze korytarza. Przetarł go rękawem kurtki. Pas pojaśniał, a Max zobaczył ludzi stojących po drugiej stronie ściany.

- To jest przezroczyście - powiedział. April uśmiechnęła się do niego radośnie.

- Świetnie - powiedziała. Ona także przyglądała się płytkom na ścianach. Podeszła do tej najbardziej oddalonej od drzwi i założyła rękawiczkę Wolnej Wody.

- Jesteś gotów, Max?

- Zrób to.

April głęboko wciągnęła powietrze.

- To jeden mały krok dla kobiety... - Dotknęła płytki. Pchnęła ją.

Coś cicho trzasnęło w ścianie. Przed April otworzyły się kolejne drzwi. Widzieli przed sobą wnętrze Rotundy.

- Tak - wyszeptała April. Weszła do środka. Światło było szare i rozproszone.

- To jest to - powiedziała April. - Główna scena. Pomieszczenie było puste. Kilka kolumn łączyło podłogę z belkami pod sufitem. I to wszystko. Na środku podłogi otwierał się głęboki rów, który nikał pod przeciwległą ścianą, znajdującą się zapewne z przodu Rotundy.

Drzwi za ich plecami zatrzasnęły się niemal bezszelestnie.

Max poczuł nagłe ukłucie strachu, opanował się jednak szybko, dojrzwawszy na ścianie płytkę identyczną, jak te w korytarzu.

- Nasz kanał - powiedziała April, wskazując na rów w podłodze. - Jacht wpływał od przodu i cumował tutaj. - W podłodze tkwiło nawet kilka pachołków, które mogły służyć do tego celu.

Oddychali z coraz większym trudem.

- Trzeba wracać - powiedział Max. - Strasznie tu śmierdzi stechlizną.

Ale czy mogli spodziewać się czegoś innego?

Podparli drzwi, tak by nie zamykały się co chwila, i za pomocą kilku dmuchaw wypełnili Rotundę świeżym powietrzem. Kiedy uznali, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, udostępnili budynek dziennikarzom i swoim pracownikom.

Kanał miał jakieś piętnaście stóp głębokości. Był też wystarczająco szeroki, by pomieścić jacht. Co prawda żeglarze musieli składać główny maszt, by w płynąć do środka, ale poza tym nic nie stało na przeszkodzie.

Korytarz, znajdujący się tuż za drzwiami wejściowymi, prowadził do czterech pomieszczeń. Dwa z nich mogły pełnić kiedyś funkcję sypialni lub magazynów, teraz jednak pozostawały puste. W dwóch innych znajdowały się szafki i instalacja wodna. Szafki także były puste. Osadzona w podłodze wanna i odpływ, podobne do tych, jakie znaleźli na jachcie, świadczyły, że kiedyś mieściła się tu łazienka. Drugie pomieszczenie było zapewne kuchnią.

Max zauważył od razu, że prawie wszyscy są rozczarowani i rozzaleni. Zwłaszcza April.

- A czego się spodziewaliśmy? - spytał.

Rotunda była po prostu pusta.

Nie znaleźli tu gwiazdneho krążownika czy starożytnych ksiąg. Ani prehistorycznych komputerów. Żadnych gadżetów.

Nic.

*Prawdziwa moc nie kryje się gdzieś pod ziemią, ale w nas samych.*

Walter Asquith, „Brzegi zapomnianego morza”

TOM BROKAW RELACJONOWAŁ ostatnie wydarzenia z odpowiednią dozą sceptycyzmu.

„Pojawiły się kolejne dowody świadczące o tym, że być może pod koniec ostatniej epoki lodowcowej w Ameryce Północnej przebywały istoty pozaziemskie. Dziś po południu naukowcy weszli do wnętrza tajemniczego obiektu, odkopanego na szczycie wzgórza w pobliżu granicy z Kanadą. Nie wiadomo jeszcze jak długo przebywał on w ziemi, niewykluczone jednak, że był to okres kilku tysięcy lat”. Na ekranie obok prezentera pojawiła się komputerowa mapa okolic Walhalla i Fort Moxie. Po kilku sekundach zastąpiły ją lotnicze zdjęcia skarpy i Rotundy. „Obiekt ten zbudowany jest z materiału, którego podobno nie jesteśmy w stanie odtworzyć na obecnym etapie rozwoju techniki. Na miejscu jest Robert Bazell”.

Bazell stoi przed Rotundą. Jest zziębnięty. Wiatr rozwiewa mu włosy i wyrywa mikrofon z rąk.

„Witaj, Tom” - mówi, odwracając się bokiem do kamery, by widzowie mogli lepiej zobaczyć Rotundę. „To właśnie jest budowla, która zdaniem naukowców mogła stać tutaj przed dziesięcioma tysiącami lat. Nikt nie wie, skąd się tu wzięła, ani kto ją zbudował. Skonstruowana jest z materiału, z którym, jak twierdzą eksperci, nie spotkaliśmy się nigdy dotąd. Zespół prowadzony przez doktor Cannon po raz pierwszy wszedł dzisiaj do środka. Oto co tam zobaczyli”.

Telewizjowicze patrzą na wnętrze Rotundy. Przy akompaniamencie trzeciego koncertu organowego Bacha kamera przesuwa się powoli, ukazując zieloną kopułę, ściany i głęboki tunel w podłodze.

Max, który oglądał ten program wraz z April i Laskerami w „Szkunerze Prerii”, znów poczuł się rozczarowany i oszukany. Nawet pokoje były puste! Gdyby znaleźli chociaż stary dziurawy but.

Cokolwiek.

„Jeśli Rotunda jest rzeczywiście tak stara, jak twierdzą niektórzy eksperci, Tom - kontynuował Bazell - to mamy do czynienia z technologicznym cudem. Temperatura wewnątrz budynku sięga sześćdziesięciu stopni Fahrenheita. Jak widzisz, na zewnątrz jest bardzo zimno. Oznacza to, że w Rotundzie został zainstalowany system ogrzewania, i że ten system nadal działa”. Kamera pokazuje szczyt urwiska, gdzie pada śnieg, a opatuleni w płaszcze i kurtki ludzie przytupują w miejscu. „Powiniennem jeszcze dodać, że budynek świeci w ciemności. A przynajmniej świecił ostatniej nocy. Tak mocno, że mieszkańcy Walhalla przerazili się i opuścili miasto”.

Ekran dzieli się na pół. Na drugiej połowce widać zaciekawione oblicze Brokawa.

„Czy mamy całkowitą pewność, że to nie oszustwo?”

„Zależy, co masz na myśli, Tom. Nie wszyscy eksperci zgodni są co do wieku Rotundy. Nikt jednak nie kwestionuje rezultatów badań laboratoryjnych, z których wynika, że nie potrafimy wytworzyć takiego materiału za pomocą znanej nam technologii”.

Zmiana obrazu. Na ekranie pojawia się starszy brodaty mężczyzna, siedzący przy potężnym biurku. Na ścianie za jego plecami piętrzą się rzędy książek. Napis na dole ekranu głosi, że jest to Eliot Rearden, dziekan Wydziału Chemii na Uniwersytecie Stanowym w Minnesocie.

„- Profesorze Rearden, czy pan mnie słyszy? - pyta Brokaw.

-Tak, Tom.

- Profesorze, co pan o tym sądzi?

- Wydaje się, że teoria ta może być prawdziwa. - Szare oczy Reardena błyszczą z podniecenia.  
- Dlaczego mówi pan „wydaje się”? Profesor zastanawia się przez chwilę.  
- Nie chciałbym przez to powiedzieć, że mam jakiegokolwiek wątpliwości co do samego dowodu - mówi wreszcie. - Ale wnioski, do jakich to prowadzi, są tak niezwykle, że waham się mówić o nich głośno.

Brokaw pyta cicho:

- Jakie to wnioski?

Rearden podnosi wyżej głowę i patrzy prosto do kamery.

- Myślę, że jeżeli akceptujemy wyniki analiz, musimy przyjąć jedną z dwóch teorii: albo pod koniec ostatniej epoki lodowcowej żyli tu ludzie, którzy byli bardziej zaawansowani technicznie od nas i którzy zniknęli potem niemal bez śladu, albo... - Profesor odwraca wzrok. - Albo mieliśmy gości.

- Ma pan na myśli UFO, profesorze. Obcych. Rearden poprawia się w fotelu, zakłopotany.

- Jeśli istnieje jakaś trzecia możliwość, to ja jej nie znam. - Wydyma usta. - Stoimy w obliczu zjawisk, których nie da się jednoznacznie ocenić. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pozostaniemy otwarci na wszelkie możliwości i nie będziemy pochopnie wyciągać wniosków”.

Na ekranie znów pojawia się obraz oświetlonej Rotundy. To zdjęcie z samolotu, przekazywane na żywo.

„Teraz, gdy naukowcy zdołali wejść do środka, powinniśmy szybko otrzymać odpowiedzi na dręczące nas pytania” - mówi Brokaw. - „Do tajemnicy Rotundy powrócimy jeszcze dzisiaj w specjalnym wydaniu wiadomości o dziewiątej”.

Tom Lasker posmarował kawałek mięsa ketchupem i wskazując nim ekran powiedział:

- Miło mi słyszeć, że jesteśmy blisko rozwiązania tej zagadki.

April i Max przyjechali na Johnson's Ridge o świcie i zdążyli jeszcze zobaczyć znikającą zieloną aurę nad Rotundą. Nad ich głowami krążył helikopter. Na drodze dojazdowej pojawiły się już pierwsze samochody, wiozące ekipy dziennikarzy.

W ciągu nocy skończył się papier w faksie, a pocztą elektroniczną nadeszło kilka tysięcy wiadomości. Wszyscy mieszkańcy planety chcieli zobaczyć Rotundę na własne oczy.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić - powiedziała April. - Ale nie mam pojęcia co. Nie zmieścimy tutaj wszystkich ludzi.

Tymczasem na urwisku pojawił się już spory tłum dziennikarzy i VIP-ów. April rozmawiała z nimi przez chwilę. Mówiła o tym, że obawiała się odrzucenia przez środowisko swych kolegów naukowców, kiedy po raz pierwszy ogłosiła publicznie wyniki swych badań.

- Nic takiego nie miało miejsca - opowiadała. - Wszyscy byli otwarci na ten problem i traktowali mnie bardzo życzliwie. - Wyjaśniła też, że muszą chronić teren wykopalisk przed dumami gości, dopóki nie zgromadzą wszystkich informacji o tym, co może zawierać w sobie Rotunda. - Dlatego wpuścimy do środka tylko sześciu reporterów. Trzech telewizyjnych, trzech prasowych. Sami musicie dokonać wyboru. Ci, którzy wejdą do środka, będą mogli przebywać tam tylko w towarzystwie przewodnika. Jeśli ktoś spróbuje szukać szczęścia na własną rękę, zostanie wyproszony. Zgoda?

Niektórzy głośno wyrażali swe niezadowolenie, większość jednak przyjęła tę propozycję śmiechem. Podczas gdy dziennikarze próbowali wybrać swoich reprezentantów, April i Max podeszli do drzwi Rotundy. Przez całą noc zablokowane łopata drzwi pozostawały otwarte, podczas gdy dmuchawy pompowały do wnętrza budynku świeże powietrze. April wyciągnęła łopatę, a drzwi

natychmiast się zamknęły. Zdjęła rękawiczkę i dotknęła dłonią głowy jelenia. Zgodnie z oczekiwaniami Maksa, nic się nie stało.

- Więc ustaliliśmy, że to rękawiczka George'a, tak? - spytała April.

- Najwyraźniej - odparł Max.

- Ale dlaczego właśnie ona? - zastanawiała się głośno chemiczka. Ściągnęła z szyi szalik i pokazała go Maksowi. - Kupiłam go w Kmarcie. Na wyprzedaży, sześć dolarów za sztukę. - Owinęła szalikiem dłoń i ponownie dotknęła wizerunku.

Drzwi posłusznie się otworzyły.

- *Voila!* - Z powrotem podstawiła łopatę pod drzwi.

- Dlaczego reaguje też na szalik?

- Nie jestem pewna. A cóż wspólnego ma mój szalik z rękawiczką George'a i co odróżnia go od mojej rękawicy czy gołej dłoni?

- Nie mam pojęcia - pokręcił głową Max.

- Rękawiczka George'a... - Wyjęła ją z kieszeni. - Wykonana jest z polipropylenu. Szalik z poliestru. I to i to jest produktem zaawansowanej technologicznie cywilizacji. Max zmarszczył brwi.

- Wyjaśnij dokładniej, proszę.

- To tylko moje przypuszczenia. Jednak w czasie gdy Rotunda była użytkowana, na tym terenie mogli przebywać Indianie, dzicy Indianie. Do tego różne zwierzęta, czasem bardzo niebezpieczne. Może niedźwiedzie? Tak czy inaczej, jak zabezpieczyłbyś drzwi, by mieć pewność, że mogą otworzyć je tylko twoi ludzie, a nie dzicy tubylcy czy zwierzęta?

- Nie wiem.

- Ja użyłabym czujnika reagującego na, powiedzmy, plastik. Kiedy dotyka go cokolwiek innego, goła skóra, futro, sierść, drzwi pozostają zamknięte.

Rozpoczął się najazd turystów. Hordy ciekawskich przelewały się przez punkty graniczne, ogromna liczba samochodów zablokowała autostradę i drogi szybkiego ruchu z Fargo i Dickinson. Samoloty czarterowe lądowały na lotnisku międzynarodowym w Fort Moxie, gdzie zaskoczeni goście odkrywali, że wypożyczalnia samochodów w miasteczku dysponuje tylko jednym samochodem, i że jeździ tam tylko jedna taksówka. Przy wyjeździe na autostradę 29 przy Drayton doszło do karambolu, który całkowicie zatrzymał ruch na pięć godzin. Na autostradzie stanowej numer 18, w pobliżu Park River, powstał ogromny, długi na kilka mil korek. Do wieczora pierwszego dnia tego gigantycznego natarcia ciekawskich i żądnych sensacji turystów odnotowano dwa zgony, ponad dwadzieścia osób zostało rannych, a prawie sto musiało korzystać z pomocy medycznej, opatrując odmrożenia. Wartość mienia zniszczonego podczas jednego tylko dnia oceniono na ćwierć miliona dolarów. Prawdopodobnie był to najgorszy dzień w historii ruchu samochodowego w stanie Północna Dakota.

Przez całe popołudnie policja nadawała apele. O drugiej po południu w radiu i telewizji wystąpił sam gubernator, prosząc wszystkich o spokój. (Było to dość dziwne podejście, zważywszy, że wcale nie rozpalone emocje były główną przyczyną problemu).

„Na drogach dojazdowych do Walhalla i w samym mieście panują bardzo trudne warunki” - mówił gubernator. - „Jeśli chcecie zobaczyć, co się dzieje na Johnson's Ridge, to najlepiej i najbezpieczniej będzie przyrzuć się temu we własnym domu, siedząc przed telewizorem”.

Często wydajemy jednoznaczne opinie i werdykty, mówimy na przykład, że większość ludzi nie ma „poczucia historii”.

Twierdzimy tak, bo rzeczywiście większość społeczeństwa nie wie, kto zrobił co, albo kiedy miało miejsce takie i takie zdarzenie. Jednak kto z nas nie skorzystałby z okazji, gdyby zaoferowano



mu możliwość przeniesienia się w czasie i spojrzenia na Gettysburg w historycznym dniu czy zjedzenia wspólnej kolacji z Cezarem? Wszyscy chcemy dotykać historii, chcemy być częścią jej niepowstrzymanej fali”.

Właśnie tutaj i teraz nadarzała się taka okazja, wydarzenie o niezwykłym znaczeniu. Nikt spośród tych, którzy mogli ujrzeć Johnson's Ridge na własne oczy, nie zamierzał zmarnować tej szansy i zostać w domu, by oglądać telewizję.

Szef miejscowej policji był grubym mężczyzną o zachrypniętym głosie, nalanej twarzy i oczach bez wyrazu, które świadczyły raczej o braku inteligencji niż jej nadmiarze. Nazywał się Emil Doubtable, choć podwładni przekreślali jego nazwisko na Doubtful, czyli Wątpliwy.

Pojawił się na skarpie późnym rankiem. Do tego czasu Max i jego pomocnicy spędzili kilka godzin przy telefonach, odpowiadając na pytania metalurgów, archeologów, przemysłowców, polityków i zwykłych ciekawskich z całego świata.

Doubtable nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Obecność tego okropieństwa utrudniała mu pracę. Rozumiał, że w jego okręgu mają miejsce wydarzenia o ogromnym znaczeniu dla całej ludzkości, wołałby jednak, by zdarzały się one gdzie indziej.

- Być może będziemy potrzebowali wsparcia Gwardii - powiedział Maksowi. - Podobno jedzie tutaj pół Ameryki.

- Też mi nowina - parsknął Max. - Może powinniśmy zamknąć drogę dojazdową. W ogóle nie dopuszczać tutaj ludzi.

Doubtable rozejrzał się dokoła, jakby bał się, że ktoś podsłuchuje ich rozmowę.

- Czyś ty oszalał? Cały okręg robi na tym gigantyczne interesy. Jeśli zamknę drogę, będę musiał szukać sobie pracy gdzie indziej. - Wyjrzał przez okno. Na parkingu stały setki samochodów. - Posłuchaj, dla miasteczka to jest idealna sytuacja. Ciągłe jest dość zimno. Nikt nie wytrzyma długo tutaj, na górce. Wyjeżdżają, szybko oglądają to coś, i wracają na dół. Potem większość jedzie do miasta zjeść coś ciepłego i zrobić jakieś zakupy. Wszystko kręci się jak trzeba. Albo przynajmniej kręciło. Teraz mamy już chyba za duży ruch.

Max skinął głową, szczęśliwy, że nie on musi się martwić tym problemem.

Doubtable milczał przez minutę.

- Max - powiedział wreszcie. - Nie pozwolicie im spacerować po tej waszej Rotundzie, co?

- Pytasz, czy pozwolimy im wejść do środka? Nie. Pozwalamy robić to tylko dziennikarzom i naukowcom.

- Dobrze. Bo wtedy wszystko działałoby się jeszcze wolniej. Musimy trzymać ich na zewnątrz, na zimnie. Tylko wtedy uda nam się panować nad sytuacją. - Pokiwał energicznie głową. -Więc nie zmieniajcie zdania. - Wstał i ruszył do drzwi. - Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, zrobi się jeszcze zimniej. Właśnie tego naprawdę nam potrzeba.

Co kilka minut na płaskowyżu lądowały helikoptery, przywożąc ze sobą świeży ładunek dziennikarzy i VIP-ów. Lasker potrzebował pomocy, by zapanować nad organizacją, Maksowi przypadł więc zaszczyt witania wszystkich ważnych gości. Reporterzy zamęczali April pytaniami i prośbami o zdjęcia, ona zaś starała się ich zadowolić. Był to jednak bardzo męczący dzień i wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy w końcu nad urwiskiem zapadł wieczór.

- To absurdalne - skarżyła się April. - Mam pod ręką najbardziej interesujące znalezisko w historii ludzkości, a nie mogę ani na chwilę oderwać się od reporterów. Chciałabym w końcu przyjrzeć się dobrze wnętrzu Rotundy. - Rzeczywiście, dziennikarze spędzali więcej czasu w środku Rotundy niż ona.

Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, w ciągu jednego dnia stała się najbardziej znanym naukowcem w kraju. Podczas pierwszych dwudziestu czterech godzin ich obecności na światowej scenie (bo tak o tym myśleli) April otrzymała oferty od trzech wielkich firm kosmetycznych, które chciały, by to właśnie ona promowała ich produkty, od Taco Bell („Nasze buritos są nie z tej ziemi”), od agencji wynajmu samochodów i MCI.

Oprawdzała tłumy gości po Rotundzie. Udzielała wywiadów i prowadziła krótkie konferencje prasowe. Fotografowie odkryli już, że mają fotogeniczny temat, więc lampy błyskowe migotały niemal bez przerwy. April najwyraźniej dobrze się czuła w tej roli, a Max cieszył się z jej sukcesu. Była od niego szybsza i sprytniejsza. W dodatku podbijała serca wszystkich, nawet najbardziej zatwardziały niedowiarków, potrafiła też wymyślić na poczekaniu zgrabny żarcik czy ciętą ripostę.

Trzeciego dnia po wejściu do Rotundy rozpoczęli powolny proces usuwania nagromadzonego w niej kurzu i brudu. Robotnicy czyścili wybrane fragmenty kopuły, wpuszczając do wnętrza budynku przefiltrowane światło słoneczne.

Zielony blask przypominał światło, jakie pada na niższe partie lasu w pogodne letnie popołudnie. Jednak tutaj oczywiście nie było żadnych drzew i liści. Otaczały ich zewsząd zielone ściany, prawdopodobnie także wykonane z cannonium, identyczne w barwie i fakturze jak te na zewnątrz. Wzdłuż trzech czwartych obwodu budynku ciągnęło się szerokie okno, usytuowane na wysokości piersi.

Lasker poprosił Maksa, by ten nadzorował prace. April wyjaśniła mu, jakie środki ostrożności powinni przedsięwziąć pracownicy, a potem zostawiła go samego. Tego dnia zatrudnili także emerytowanego burmistrza Franka Molla, jako specjalistę od kontaktów z mediami.

Max podejrzewał, że naprawdę cenne informacje ukryte są w ścianach. Chciał wiedzieć, jak zbudowany jest system, który po dziesięciu tysiącach lat nadal działa. Żałował jednak, że pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją zaowocuje tylko ulepszonym systemem ogrzewania.

Zostawił liścik do April i pojechał do motelu. Utknął jednak w korku i pojawił się w Fort Moxie dopiero dwie godziny później, zmęczony i zły. Miasto znajdowało się w stanie oblężenia. Wszędzie parkowały samochody, ulice były nieprzejezdne. Max przecisnął się jakoś na parking przed motelem, okazało się jednak, że nie ma tam już wolnych miejsc. W końcu zostawił samochód przy Leghorn Street, sześć przecznic dalej.

Gdy wracał na piechotę do motelu, zobaczył nastolatka w koszulce z wizerunkiem Rotundy. Pod obrazkiem znajdował się napis: FORT MOXIE, Miasto nie z tej ziemi. Niemal wszystkie przedmioty, jakie znajdowały się na wystawie sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, ozdobione zostały miniaturą podobizną Rotundy: szklanki, naczynia kuchenne, modele, ręczniki, notesy, pojemniki na pieprz i sól. Po drugiej stronie Bannister Street, w supermarkecie Mike'a, było podobnie. Z naprzeciwka jechały powoli dwa autobusy szkolne. W ich oknach powiewały chorągiewki, oczywiście z Rotundą. Na masce pierwszego ktoś starannie wykaligrafował napis „Mglisty duch”. W obu pojazdach jechali młodzi ludzie, prawdopodobnie studenci i ich nieco starsi koledzy. Kiedy mijali Maksa, machali doń radośnie.

On także im pomachał, szybko pokonał dystans dzielący go od motelu (do tego czasu zdążył już porządnie zmarznąć) i zaszył się w swym pokoju. Kiedy znalazł się wreszcie w ciepłym wnętrzu, opuściły go resztki sił. Położył kurtkę na krześle i rzucił się na łóżko.

Autobusy zatrzymały się przy restauracji Clinta. I tak była już zbyt pełna, by przyjąć jeszcze sześćdziesiąt głodnych osób, ale Clint nie byłby sobą, gdyby zmarnował taką okazję. Na razie zaoferował wszystkim kanapki i kawę, po czym zebrał zamówienia na wieczorny posiłek. Kiedy

turyści opuścili już restaurację, Clint zauważył, że jego zapasy mięsa, puszek i sałatek topnieją w zastraszającym tempie. Wysłał więc swego syna z zamówieniem do Grand Forks.

Właściciel sklepu z artykułami technicznymi, Arnold Whitaker, przecierał oczy ze zdumienia, patrząc na półki, z których znikwały części zapasowe i przeróżne gadzety do samochodów. Doskonale sprzedawały się także gry i zabawki dla dzieci, którymi te mogłyby zająć się w czasie podróży i, niestety, broń. I lornetki. Artykuły ozdobione wizerunkiem Rotundy cieszyły się szalonym powodzeniem. Arnold wziął na rachunek ogromną ilość tego towaru i przekonany był, że będzie miał spokój co najmniej na kilka dni. Tymczasem musiał myśleć o następnym zamówieniu, bo magazyn sklepowy zaczął już pustoszeć.

Kiedy jednak złożył zamówienie u swego dostawcy w Winnipeg, okazało się, że i ten nie nadaża z produkcją.

Motel „Gwiazda Północy” już drugi tydzień z rzędu wypełniony był do ostatniego miejsca. Nic podobnego nie wydarzyło się jeszcze w całej jego historii. Kiedy Max spał snem sprawiedliwego w swoim pokoju, zarząd motelu debatował nad podwojeniem opłat.

Cena drinków w „Szkunerze Prerii” dawno już osiągnęła niespotykany wcześniej poziom. Właściciel, Mark Hanford, ustalił różne stawki dla stałych mieszkańców miasta i dla przyjezdnych. W normalnych warunkach uważałby takie posunięcie za wysoce nieetyczne. Jednak teraz sytuacja znacznie odbiegała od normy. Prawdziwy biznesmen musiał się do niej przystosować. Nie spodziewał się zresztą, by ktokolwiek zauważył tę różnicę, i tak było w istocie.

Mark postanowił też przedstawić propozycję, by rada miejska uhonorowała Toma Laskera dyplomem uznania. Wiedział, że jego wniosek zostanie przyjęty jednogłośnie.

Charlotte Anderson, która zajmowała miejsce z przodu pierwszego autobusu, czuła pasma mocy. Ogarniały jej umysł, wypełniały pustkę i wynosiły na nieznaną jej dotychczas poziom świadomości. Pomruk silnika i klaksony samochodów uwięzionych w korku niknęły gdzieś w oddali, a ona czuła tylko radość i triumf zbliżającego się z każdą chwilą przeznaczenia.

Źródło mocy znajdowało się na południowym zachodzie, boleśnie blisko. Wiele lat temu znalazła się w pobliżu takiego punktu na Alasce, w okolicy Barrow. On także połączył ją w jedno z kosmosem, umocnił więź między jej jaźnią i wielkim zewnętrznym wszechświatem, zamknął w ogromnej pajęczynie egzystencji. Wtedy także przeżyła chwile uniesienia. Ale tamto źródło, czymkolwiek było, tkwiło uwięzione głęboko w górach, pod lodowcem.

Charlotte była szczupłą, elegancką blondyneczką. W zachowaniu kobiety wyczuwało się wymuszoną wesołość, jej uśmiech był raczej wyrazem zadumy niż spontanicznej radości. Pochodziła z Long Island, skończyła Princeton jako jedna z najlepszych studentek. Specjalizowała się w historii nowożytnej Europy. Otrzymała katolickie wychowanie, jednak już w średniej szkole uznała, że nie może zaakceptować wiary, która tak dokładnie i bez najmniejszych wątpliwości wyjaśnia pochodzenie świata i Boskie zamiary. Bóg, wielki księgowy. Po maturze oznajmiła więc, że zostaje unitarianką. Rozum nie jest w stanie ogarnąć stworzenia, powiedziała swemu zdumionemu ojcu; człowiek może tylko siedzieć i czekać na wiatr, który dmie między gwiazdami. Ojciec zapewnił jej matkę, że wszystko będzie w porządku, że to jeden wielki nonsens, i że Charlotte na pewno z tego wyrośnie.

Wiedziała oczywiście, że niektórzy chłopcy w grupie bardziej interesują się nią samą, niż centrum mocy, ale nie było to takie złe. Miała nadzieję, że z czasem dojrzeją do innych rzeczy, i to jej wystarczało.

Autobusy przyjechały z Minneapolis, gdzie Charlotte pracowała jako menedżer restauracji McDonald's. Opuściła dom, by znaleźć swoje prawdziwe „ja”. Kiedy na farmie w Pomocnej

Dakocie wykopano tajemniczą łódź, wiedziała od razu, że kryje się za tym coś bardzo ważnego. Wiedziała o tym także Curie Miller z Madison. Rozmawiali na ten temat przez internet, grupa z Manhattanu, Curie i jej ludzie, Sammy Rothstein z Boise, Ben-nettowie z Jacksomrille i inni przyjaciele z całego kraju, z Philadelphii, Seattle i Sacramento. Kiedy sytuacja już dojrzała, ponad sześćdziesięciu członków klubu spotkało się w Grand Forks, gdzie Charlotte i kilka osób z okolic Minneapolis już na nich czekało. Wynajęli budynek ratusza w Fort Moxie i spędzili tam dwie noce, wypatrując spóźnialskich. Teraz byli już gotowi. Wybrali doskonały moment: ostatnie wiadomości z Johnson's Ridge rozpały ich entuzjazm (choć i tak był już dostatecznie rozpalony). Wszystkim towarzyszyło przekonanie, że w ich zasięgu leży czysta magia.

April nie była pewna, który z członków ekipy oczyszczającej Rotundę pierwszy zauważył serię obrazków na ścianie w tylnej części kopuły. Kilku z nich przypisywało sobie tę zasługę. Zdumiewał ją fakt, że tłumy dziennikarzy, fizyków, matematyków i kongresmenów przeszły obojętnie obok tych wizerunków. Ona także ich nie zauważała.

Było ich sześć. Niewielkie ikony wielkości ludzkiej dłoni osadzone w szklanej powierzchni. Nie rzucały się w oczy, były dość ciemne i dlatego zapewne umknęły uwadze wszystkich zwiedzających.

Robotnicy opuścili już Rotundę, pozostawiając po sobie taczki i łopaty. April stała na kilkucalowej warstwie kurzu i przyglądała się ikonom. Zostały ułożone w dwie kolumny. Przypominały symbole pisma rysunkowego i przedstawiały kolejno: drzewo, jajko, strzałę i zakręconą linię, niby obłok dymu. Prócz tego na ścianie widniały dwa zachodzące na siebie kręgi i znaczek podobny do wielkiej litery G.

Wyglądały na trójwymiarowe i wykonano je w tym samym, oszczędnym, lecz eleganckim stylu, co głowa jelenia na zewnątrz. April wpatrywała się przez dłuższą chwilę w drzewko, najwyższą z figur w lewej kolumnie. Podobnie jak pozostałe ikony i ta została umieszczona tuż pod powierzchnią. April wyjęła z kieszeni chusteczkę i przetarła ścianę w tym miejscu, chcąc dokładniej przyjrzeć się obrazkowi.

Drzewko zaświeciło się pod dotykiem jej dłoni.

April aż podskoczyła.

Ikona płonęła delikatnym, bursztynowym blaskiem, przypominającym światło neonu.

April przyłożyła dłoń do ściany, nie czuła jednak, by zielona powierzchnia była w tym miejscu cieplejsza.

Dokoła nic się nie zmieniło. Nie otworzyły się żadne drzwi. Dotknęła ikonki jeszcze raz, by przekonać się, czy ta zgaśnie.

Świeciła nadal.

Kilka stóp przed nią pojawił się krąg złotego światła. Rozszerzył się powoli, a na jego obrzeżach płonęły małe gwiazdki. April chciała krzyknąć, zawołać kogoś, ale głos uwiązł jej w gardle.

Potem złoty krąg zbladł i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Wszystko odbyło się w absolutnej ciszy.

April stała w bezruchu przez całą minutę. W miejscu, gdzie przed momentem znajdowała się złota aura, w przefiltrowanym blasku słońca lśniła idealnie czysta podłoga.

\*\*\*

Charlotte sprawdziła pudła złożone z tyłu autobusu. Jedno z nich poluzowało się i lada moment

mogło spaść na podłogę. Sięgnęła po nie, jednak Jim Fredrik z Mobile uprzedził ją i sam umocował pudło na miejscu. Charlotte podziękowała mu uprzejmie i wróciła na swoje miejsce.

Byli już spóźnieni. Autobusy utknęły w potężnym korku dziewięć mil na północny zachód od Johnson's Ridge na ponad dwie godziny. Znaki rozstawione wzdłuż drogi ostrzegały ich, że o szóstej wjazd na skarpe zostanie zamknięty. Charlotte wiedziała już, że nie zdążą.

Członkowie sieci byli w większości studentami lub młodymi profesjonalistami. Zdecydowaną większość stanowili biali, entuzjaści joggingu i aerobiku, którym raczej nie brakowało pieniędzy na życie. W latach sześćdziesiątych jeździliby autobusami wolności. Byli zapaleńcami, wierzyli, że można naprawić świat, i że odpowiednie środki leżą w ich zasięgu.

W autobusie panowały zimne przeciągi, okna zamarzały. Mimo to współpasażerowie Charlotte nie tracili pogody ducha. Otwierali termosy i dzielili się ze wszystkimi gorącą kawą i czekoladą. Śpiewali pieśni podróżne z Tolkiena i szanty, których nauczyli się na poprzednim zgromadzeniu w Eugene. Przechadzali się wzdłuż autobusu, próbując choć odrobinę rozgrzać stopy. I patrzyli na coraz bliższą, coraz większą ścianę Pembina Escarpment.

Autobusy wjechały na drogę 32 tuż przed zachodem słońca. Poruszali się teraz znacznie szybciej. Kiedy jednak dotarli do Walhalla, było już po szóstej. Charlotte miała ochotę odłożyć wyprawę na następny dzień i zatrzymać się w miasteczku na kawę i hamburgery. Kiedy jednak kilku kolegów zaproponowało jej to samo, odmówiła.

- Przynajmniej spróbujmy - powiedziała. - A jeśli nie wpuszczą nas dziś wieczorem, możemy zrobić jeszcze coś innego.

Jechali więc dalej w stronę Johnson's Ridge. Kierowca autobusu, gitarzysta rockowy z Nowego Meksyku o nazwisku Frankie Atami, wskazał na coś ręką.

- To chyba to - powiedział.

Po obu stronach drogi świeciły się latarnie. Opuszczony szlaban uniemożliwiał dalszą jazdę. Samochody zawracały do Walhalla.

- Zatrzymaj się - poleciła Charlotte Frankiemu.

Obok szlabanu stali dwaj policjanci. Obaj ubrani byli w grube, ciężkie kurtki. Frankie zatrzymał autobus i otworzył drzwi. Charlotte wychyliła się na zewnątrz, ale policjant tylko machnął na nich ręką.

- Przyjechaliśmy z bardzo daleka, panie policjancie - powiedziała.

- Przykro mi, proszę pani - powiedział ten wyższy. - Dzisiaj już zamykamy. Proszę wrócić jutro.

- O której otwieracie?

Ale policjant zakończył już rozmowę, wskazawszy palcem na drogę. Frankie ostrożnie wycofał i wjechał z powrotem na główną drogę.

- Zjedź na pobocze, kiedy będziesz mógł - powiedziała Charlotte. - Przynajmniej dobrze to sobie obejrzymy.

Frankie spojrział z powątpiewaniem na przydrożne rowy, w których kilka samochodów zakończyło już jazdę.

- Chyba nie dam rady - odparł, kręcąc głową.

Sfrustrowani i rozczarowani jechali dalej na południe, podczas gdy urwisko za ich plecami oddalało się coraz bardziej i wreszcie całkiem zniknęło im z oczu. Charlotte odszukała mapę.

- Dobra - powiedziała. - Zaraz skręcimy w lewo. Skierowała ich na daleki objazd. Jechali podrzędną drogą, odległą od głównej trasy o dobrych kilka mil, jednak z doskonałym widokiem na skarpe. Zapadał już zmrok.

- Znajdź jakieś miejsce na postój, Frankie - powiedziała. Zatrzymali się na poboczu. Drugi

autobus przyhamował gwałtownie i zaparkował za nimi. Ludzie przechadzali się dokoła pojazdów, popijając ciepłą kawę i czekoladę. Jim Fredrik otwierał pudła złożone z tyłu autobusu. May Thompson i Kim Martin wyciągnęli z nich latarenki, napełnili je naftą i rozdali wszystkim po jednej.

Kilka osób zaczęło śpiewać. Resztki światła słonecznego zniknęły za horyzontem. Na niebie błyszczały jasno gwiazdy.

I nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na szczycie urwiska pojawił się szmaragdowy blask.

Wszyscy ucichli.

Po minucie ktoś podszedł do Charlotte. Manny Christopher, programistka z Providence.

- To jest to - powiedziała.

Wszyscy zaczęli się obejmować i składać sobie gratulacje. Charlotte zapaliła lampkę. Był to sygnał dla pozostałych. Po chwili stali w jednym szeregu, trzymając w dłoni zapalone latarenki, tworząc rozświetlony ludzki łańcuch. Oczy wszystkich skierowane były na Johnson's Ridge.

Charlotte czuła moc przyciągania obiektu na szczycie urwiska. Media nazywały go Rotundą. Jednak kiedyś nosił inną nazwę, nadaną mu przez inną istotę. Twarze jej przyjaciół, pomimo dojmującego zimna, emanowały ciepłem, wypełnione wewnętrznym światłem. Jak latarnie, pomyślała. Lampki i ludzkie twarze. Latarnie kosmicznej mocy.

Podniosła lampkę nad głowę. Pozostali uczynili to samo.

W tym momencie kochała ich wszystkich. Kochała cudowny świat, w którym się narodziła.

Przez kilka krótkich chwil widziała swych przyjaciół, całą złożoność życia na ziemi i wirujące gwiazdy oczami Boga.

- Gościem naszego programu - mówił prowadzący - jest dzisiaj Alfred MacDonough z Uniwersytetu w Toronto, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Doktorze MacDonough, co takiego dzieje się na Johnson's Ridge?

MacDonough, szczupły, siwowłosy, kruchy mężczyzna spojrzał na niego znad szkieł okularów.

- Nie pozostaje mi nic innego, Ted, jak przyznać, że znaleźliśmy pierwszy niepodważalny dowód na istnienie cywilizacji pozaziemskiej.

Prowadzący skinął głową.

- Podobno Rotunda jest zasilana energią.

- Tak. Chyba nie ma żadnych wątpliwości, że... - Przerwał na moment, dobierając słowa... - ... to miejsce wydziela z siebie światło i ciepło.

- Czy potrafimy wytłumaczyć, jak to się dzieje?

- O ile wiem, nikt jeszcze nie widział mechanizmu.

- Dlaczego?

- Bo nie jest on umieszczony w widocznym miejscu. Zdaje się, że będziemy musieli przebić którąś ze ścian, by poznać działanie owego urządzenia. Nie muszę chyba mówić, że nikt nie chciałby tego robić.

- Doktorze MacDonough. - Głos prowadzącego zmienił się lekko. - Słyszeliśmy, iż są podstawy, by sądzić, że ten obiekt ma ponad dziesięć tysięcy lat. Co pan o tym myśli?

- Nie jest to niemożliwe.

- Jak to? Jakie urządzenie mogłoby jeszcze działać po upływie takiego czasu? - Prowadzący uśmiechnął się. - Musimy dopominać się o gwarancję, by nie płacić za naprawę tostera, który psuje się po kilku miesiącach.

MacDonough uśmiechnął się i lekkim tonem wypowiedział zdanie, które pociągnęło za sobą

całą lawinę zdarzeń.

- Mogę cię zapewnić, Ted, że jeśli obiekt znaleziony na Johnson's Ridge okaże się być tym, czym nam się dzisiaj wydaje, w niedługim czasie zdołamy zaadaptować tę technologię do własnych potrzeb. Myślę, że moglibyśmy dać ci bardzo wytrzymały toster. - Usiadł wygodnie na swym krześle, uśmiechając się z zadowoleniem. - Właściwie uważam, że moglibyśmy dać ci pierwszy toster wielopokoleniowy.

*Wciąż myślę o tym, co stałoby się z nami wszystkimi,  
gdyby Wesley Fue nie otwierał wtedy garażu.*

Mikę Tower, „Chicago Tribune”

- Co SIĘ STAŁO Z KURZEM? Nie mogę tego zrozumieć.

Z podłogi zniknęło kilka cali kurzu, odsłaniając kamienny dysk. Miał on około pięciu stóp średnicy i wznosił się o cal ponad otaczającą go szarą podłogę. Od białej powierzchni kamienia wyraźnie oddzielały się czarne linie, przypominające szprychy w kole rowerowym.

- Wygląda na to, że odkryliśmy supernowoczesny odkurzacz - powiedział Max. Odłożył kamerę i przyjrzał się dziwnemu dyskowi z bezpiecznej odległości. Na razie mieli jeszcze zbyt wiele niewiadomych, a on nie chciał zniknąć w podobny sposób jak kurz.

- To ten - powiedziała April, wskazując na symbol drzewa. - Wystarczy dotknąć ściany.

- Może spróbujemy jeszcze raz? - zaproponował Max.

- Ale tym razem weźmiemy coś bardziej konkretnego.

We wnętrzu Rotundy ustawiono kilka drewnianych krzeseł, z których robotnicy mogli korzystać podczas przerw w pracy. Max wziął jedno z nich i położył na dysku. Potem ustawił kamerę i przygotował się do nagrania. Kiedy skończył, dał znak April. Przyłożyła dłoń do ściany w miejscu, gdzie znajdowała się ikonka z drzewem.

Ikonka znów się zaświeciła.

- Już - powiedziała.

Jednak nic się nie stało. Drzewko zgasło, wydając przy tym krótki, bipczący dźwięk.

Max spojrzał na sześć ikon. Były ładne i eleganckie, ale wyglądały raczej na elementy użytkowe, a nie tylko dekoracyjne. Zauważył też cofniętą płytkę w dolnej części ściany, tuż nad podłogą. Jeszcze jeden czujnik?

- Śmiało - zachęcała go April. - Spróbuj.

Max nacisnął płytkę i usłyszał ciche kliknięcie. Nagle otworzyły się przed nim niewielkie, okrągłe drzwiczki. We wnętrzu widać było jakieś kable.

- No tak - westchnął Max. - Wreszcie mamy coś konkretnego. Nasze przełączniki podłączone są jednak do jakiegoś źródła energii.

- A może spróbujemy uruchomić jeszcze którąś z tych ikon? - zaproponowała April.

Max skierował kamerę na krzesło i uruchomił ją.

- Może powinniśmy się najpierw upewnić, czy nie stoimy na innym dysku? - mówiła dalej chemiczka.

Max odsunął butem warstwę kurzu. Nie dostrzegł żadnych czarnych linii.

- Myślę, że jesteśmy bezpieczni - powiedział.

Następny w kolejności był symbol dymu. April nacisnęła na ścianę w tym miejscu. Ikona pozostała ciemna.

- Chyba nie działa - stwierdził Max.

- Najwyraźniej.

Bez zastanowienia nacisnęła ikonę z jajkiem. Tym razem symbol zapłonął zielonym światłem.

- Mamy światło - powiedziała.

Max cofnął się o kilka kroków i ponownie uruchomił kamerę.

April spojrzała na zegarek.



W okienku kontrolnym zaświeciła się czerwona lampka. Max poprawił kamerę, która zaczęła mu już ciążyć.

Zaczął podejrzewać, że znów nie zobaczą żadnego efektu działania ikonki, kiedy na środku obrazu pojawiła się mała gwiazda.

- Dwadzieścia trzy sekundy - powiedziała April. Gwiazda zaczęła rosnać i stawała się coraz jaśniejsza.

- Mój Boże - wyszeptał Max. - Co to jest? Złota kula ogarnęła krzesło.

Max wpatrywał się w błyszczące i migoczące zjawisko, choć intensywne światło raziło go w oczy. Potem błyskawicznie zniknęło. Razem z krzesłem. Mieli przed sobą pusty dysk.

Edward Crowley (wuj Ed) od trzech lat pełnił funkcję naczelnego dyrektora Treadline Corporation, przedsiębiorstwa, które należało kiedyś do Chylera, lecz oderwało się od niego przed trzema laty. W tym okresie firma notowała znaczące sukcesy, które zawdzięczała linii „doskonałych samochodów za rozsądną cenę” (motto przedsiębiorstwa) i dbałości o dobrą obsługę klienta.

Treadline nie popełniała dotąd żadnych pomyłek. Firma stworzyła własny system organizacyjny, pozbyła się autokratycznych dyrektorów i zastąpiła ich grupą menedżerów, którzy wiedzieli, jak motywować swych podwładnych do pracy. Zachęcała pracowników do podejmowania samodzielnych decyzji i dbała o to, by każdy miał swój udział w sukcesie. Teraz wreszcie wychodziła na swoje. W poprzednim kwartale Treadline odnotowała pierwszy zysk netto, a krzywa zysku szła zdecydowanie do góry. Edward Crowley widział przed sobą świetlaną przyszłość.

Na jego tekowym biurku leżał otwarty kalendarz. Za piętnaście minut miał spotkanie z grupą przedstawicieli handlowych z Niemiec. Przymuszczał, że zje w ich towarzystwie lunch. Spotkanie z personelem o pierwszej, chwila refleksji o pierwszej czterdzieści pięć, wyjście do Działu Efektywnego Planowania o drugiej piętnaście. Wuj Ed opierał swą teorię zarządzania na chodzeniu. Rozumiał znaczenie bezpośredniego kontaktu z pracownikami. Konferencja z dyrektorem administracyjnym o trzeciej, spotkanie z Bradleyem i jego technikami o czwartej. O czwartej trzydzieści otworzyć drzwi. Od tej pory każdy mógł zajrzeć do jego biura i pogawędzić z nim przez chwilę.

Właściwie rzadko miewał gości. Najbliżsi podwładni i tak mogli kontaktować się z nim przez cały dzień, zabronił im więc odwiedzać go o tej porze. Z kolei pracownicy niższego szczebla raczej nie mieli ochoty na spotkanie z głównym dyrektorem. Jednak od czasu do czasu rzeczywiście ktoś przychodził do niego po czwartej trzydzieści. Poza tym otwarte drzwi były cennym symbolem, zarówno dla zwykłych pracowników, jak i dla wyższego personelu.

W tej chwili pracował nad planem restrukturyzacji długoterminowych kredytów Treadline, licząc, że uda mu się znaleźć środki na sfinansowanie potrzebnych inwestycji. Miał już jednak dość wpatrywania się w kolumny cyfr, w dodatku zaczęły boleć go plecy. Spojrzał na zegarek. Pracował na tym ponad godzinę i kwadrans. Za długo.

Czas na krótką przerwę i oczyszczenie umysłu. Wstał, podszedł do okna i spojrzał na panoramę Indianapolis. Ciszę przerwał sygnał interkomu.

- Tak, Louise?

- Pan Hoskin chce z panem rozmawiać.

Walt Hoskin był jego zastępcą do spraw finansowych; drobny, wiecznie zaganiany mężczyzna, który nigdy nie nauczył się wybiegać myślami poza liczby i przeliczniki. Dlatego nie mógł liczyć na pozycję wyższą od tej, którą obecnie zajmował. To właśnie plan Hoskina leżał teraz na jego biurku. I był to bardzo dobry plan, jeśli rozpatrywało się go tylko w obrębie uznanych zasad postępowania i doświadczeń firmy. Ale ów człowiek nie znał niczego poza schematami. Jeśli Treadline miała

wykorzystać w pełni najnowsze trendy na rynku, musieli wyjść poza utarte koleiny, którymi poruszał się Hoskin. Ed podniósł słuchawkę.

-Tak, Walt?

- Ed, oglądałeś dziś rano wiadomości? - Hoskin mówił zachrypniętym, jakby lekko drżącym głosem.

Nie oglądał. Wuj Ed był kawalerem. Kiedy pracował do późna, tak jak poprzedniego wieczora, zostawał na noc w biurze. Nie oglądał więc telewizji ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano.

- Nie - odparł cicho. - A dlaczego pytasz? Co się dzieje?

- Spadliśmy o siedemnaście punktów - powiedział Hoskin głosem grzesznika, który obwieszcza drugie nadejście Chrystusa.

Wuj Ed chełpił się zawsze swym opanowaniem i zimną krwią. Jednak teraz był kompletnie zaskoczony.

- Siedemnaście punktów? - ryknął. - Co się tam dzieje, do diabła!? - Nie miał pojęcia, co mogłoby wywołać taki rezultat, nie słyszał żadnych złych wiadomości.

- To przez to coś z Północnej Dakoty.

- Jakie coś z Północnej Dakoty?

- To UFO.

Wuj Ed lekceważył doniesienia z Johnson's Ridge, uważając je za tanią sensację.

- Walt - wydyszał, starając się zapanować nad emocjami. -Walt, o czym my mówimy?

- Podobno niedługo będzie można produkować samochody, które nigdy się nie psują!

Wuj Ed wpatrywał się z niedowierzaniem w swój telefon.

- Nikt w to nie uwierzy, Ed.

- Może nie. Ale ludzie mogą pomyśleć, że inni akcjonariusze uwierzą. Więc chcą pozbyć się swoich akcji. Dziś rano występowała w ABC kobieta, która mówiła, że samochód zrobiony z tego czegoś przeżyje swojego właściciela. Pod warunkiem, że ten będzie zmieniał olej i nie rozbije go w wypadku.

Hoskin był na skraju hysterii. Wuj Ed opadł na swoje krzesło.

- Jesteś tam, Ed? - dopytywał się Hoskin. - Ed, nic ci nie jest?

Na światowych giełdach panował chaos. Dopiero godzinę po otwarciu większości z nich ustaliła się jednoznaczna tendencja. Tendencja spadkowa. Przed południem wszystkie indeksy leciały na łeb na szyję. Indeks Nikkei stracił piętnaście procent swej wartości w ciągu jednego dnia, podczas gdy Dow Jones zamknął się na 380 punktach.

Odtworzyli taśmę na magnetowidzie.

Krzesło.

Światło.

Pusty dysk.

Odtwarzali ją bardzo powoli, obraz po obrazie, obserwując jak blask nabiera intensywności, jak pojawia się efekt iskrzenia, jak obejmuje krzesło niczym protoplazma.

- Zatrzymaj - poleciała April.

Krzesło wyglądało tak, jakby rozpływało się w powietrzu.

Maksowi wydawało się, że na kilku z zatrzymanych obrazów krzesło staje się półprzezroczyste, jakby nałożyły się na siebie dwa zdjęcia.

Siedzieli w głównym baraku. Wokół nich bez przerwy dzwoniły telefony. Co kilka minut

startowały i lądowały kolejne helikoptery. April zatrudniła grupę starszych studentów, którzy oprowadzali wycieczki i koordynowali wizyty ważnych osobistości. Jeden z tych studentów, ubrany w granatowy mundur z naszywką Rotundy na ramieniu, siedział właśnie przy konsoli i wykonywał polecenia April.

- Musimy spróbować jeszcze raz - powiedział Max. - Teraz użyjemy filtra.

Jednak by to zrobić, musieli uruchomić kolejną ikonę; podobnie jak drzewo, po jednym użyciu jajko już nie działało.

April wpatrywała się w swoją kawę, jakby wcale nie słyszała słów Maksa. Wreszcie podniosła wzrok.

- Co ty na to, Max?

- Może to jakiś system utylizacji śmieci. - Uśmiechnął się do siebie, rozbawiony tym podejrzeniem. Spojrzał jeszcze raz na znikające krzesło. Pewien szczegół przykuł jego wzrok do monitora.

- Co? - spytała April, śledząc jego spojrzenie.

Za całkiem już niemal przezroczystym krzesłem, na ścianie, widoczne były dwie pionowe linie.

- W Rotundzie nie ma takich pasków - powiedział Max. Próbował przypomnieć sobie, jak wygląda wnętrze Rotundy w tym właśnie miejscu. Nie było tam nic, co mogłoby wywołać taki efekt. Ani na podłodze, ani na ścianie.

- Co o tym myślisz? - zaciekała się April. Wyobraźnia Maksa pracowała pełną parą.

- Zastanawiam się - mówił powoli - czy nie wysłaliśmy komuś do domu starego krzesła.

Randy Key gotów był na każde poświęcenie. Pchała go do czynu świadomość, że jest jedynym człowiekiem na ziemi, który rozumie złowrogie znaczenie obiektu na Johnson's Ridge. Próbował ostrzec swego brata. Próbował porozmawiać o tym ze swoją byłą żoną, prosił ją, by przynajmniej ukryła ich syna. Zwrócił się nawet do ojca Kaczmarka. Nikt mu nie wierzył. Wiedział, że brzmi to nieprawdopodobnie, i nie potrafił znaleźć sposobu, by przekonać swych najbliższych, że mówi prawdę. Nikt nie traktował go poważnie. Nie miał więc innego wyboru, jak tylko wziąć sprawę w swoje ręce.

Rzecz nazywana przez media Rotundą była w istocie urządzeniem sygnalizacyjnym, pozostawionym na Ziemi tylko po to, by oznajmić wrogiej cywilizacji, że ludzka rasa gotowa jest już do zbiorów. Randy podejrzewał, że urządzenie to spoczywało na szczycie urwiska przez znacznie, znacznie dłuższy czas, niż owe dziesięć tysięcy lat, o których mówili w telewizji. Oczywiście, nie mógł być pewien, ale i tak nie miało to większego znaczenia. Ważne było, że on zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. I wiedział jak sobie poradzić.

Randy pracował dla firmy Monogram Construction. Obecnie został oddelegowany do robót drogowych przy trasie 32, w rejonie Ogilvy, na północ od Minneapolis. Z bólem myślał o tym, jak będzie wyglądało to miejsce, te śliczne domki otoczone białymi płotami, te kolorowe sklepy i wielka sieć dróg, po ataku nieprzyjaciela.

Oczywiście teraz było już za późno, by zatrzymać uruchomione urządzenie. Sygnał wędrował już na jakąś odległą planetę. Jedyne, co mógł zrobić, jedyne, co powinien był zrobić, to zmienić go tak, by stworzenia po drugiej stronie zrozumiały, że nie czeka ich łatwe zadanie. Pokaże im, że wie o ich niecnym zamiarach, i że czeka ich długa, ciężka walka.

Wjedzie na szczyt urwiska, rozpędzi samochód i wpakuje go w tego sukinsyna. W bagażniku jego isuzu rodeo spoczywało czterysta funtów C4, połączonych ze zdalnie sterowanym urządzeniem, które kupił razem z wyposażeniem samochodu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyskoczy szybko z

isuzu, ostrzeże stojących w pobliżu ludzi i zamieni Rotundę w kupę gruzu. Miał nadzieję, że nikogo nie będzie wtedy w środku, i że obejdzie się bez ofiar. Jednak nawet gdyby stało się inaczej, ludzie w końcu i tak zrozumieją. Być może minie trochę czasu, jednak kiedy zdadzą sobie sprawę, co dla nich zrobił, zostanie prawdziwym bohaterem. Pokażą go w telewizji. A jego była żona pożałuje, że go nie posłuchała. Ale wtedy będzie już dla niej za późno. Niech go diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek zgodzi się, by do niego wróciła. Nie pozwoli na to, nawet jeśli mógłby w ten sposób odzyskać syna.

Jechał drogą szybkiego ruchu. Patrzył obojętnie na gołe, zaśnieżone pola. Odkąd wyjechał z Minnesoty, ogarnął go dziwny spokój. Przed południem dotarł do Fort Moxie. Przeczytał wcześniej, że w Walhalla nie ma już miejsc w hotelach, ale Fort Moxie leżało całkiem blisko urwiska. Nie myślał jeszcze o tym, jak wróci do motelu, kiedy zniszczy swój samochód. Nie przejmował się tym zbyt. Kiedy ludzie przejrzą na oczy, kiedy zrozumieją, czym jest Rotunda, będą mu wdzięczni, i ktoś na pewno zechce podwieźć go do miasteczka.

Mechanizm zdalnego sterowania, który wykorzystał w swojej bombie, pochodził z samochodu zabawki. Ładunek był już uzbrojony, ale Randy włożył między styki drewniany klin, nie chcąc, by doszło do przypadkowego spięcia.

Randy miał tego popołudnia podwójnego pecha. Pierwsze z nieprzewidzianych zdarzeń miało miejsce na drodze I-29, kiedy mijał Drayton. Czerwony samochód kombi z rejestracją z Manitoby gwałtownie zajechał mu drogę. Randy nacisnął na hamulce, wpadł w poślizg i zjechał na pas zieleni. Ogromna ciężarówka minęła go o włos, ocierając się niemal o jego przedni zderzak. Randy zamknął oczy z przerażenia, kiedy jednak zrozumiał, że udało mu się ująć z życiem, uznał, że ma ogromne szczęście. Mylił się jednak. Drewniany klin przesunął się nieco w trakcie poślizgu, a potem jeszcze bardziej, gdy samochód Randy'ego zjeżdżał z podniesionego pasa zieleni. Nim isuzu stanął ponownie na równej drodze, kawałek drewna nie spełniał już swej funkcji, a metalowe styki zbliżyły się do siebie na tyle, by mogło dojść do spięcia. Bomba była więc uzbrojona.

Przy zjeździe wysuniętym najdalej na północ, tuż przed granicą kanadyjską, Randy skręcił na wschód, w drogę 11 wjechał nią do Fort Moxie. Po raz drugi pech dopadł go w chwili, kiedy mijał skrzyżowanie z 20 ulicą. Był jeszcze na skraju miasta, gdzie znajdował się tylko skład drewna, zaniebany biały budynek mieszczący wytwórnię lodów i dom Wesleya Fue. Los chciał, że właśnie wtedy Wesley, który od sześciu tygodni zmagał się z przeziębieniem, wracał z pracy do domu, marząc o porządnym drinku i ciepłym łóżku. Los sprawił także, że urządzenie otwierające garaż Wesleya ustawione było dokładnie na tę samą częstotliwość co zdalnie sterowana zabawka, którą Randy wykorzystał do budowy swej bomby.

Garaż stał tyłem do 20 ulicy. Wesley wjechał na podjazd przed swym domem, podczas gdy od zachodu zbliżał się Randy. Podjazd zablokowany był częściowo przez skuter śnieżny jego córki. Wesley ominął go ostrożnie, przyrzekając sobie w duchu, że porozmawia z córką, kiedy ta wróci ze szkoły, i sięgnął po nadajnik zdalnego otwierania drzwi, przymocowany do deski rozdzielczej. Nacisnął na guzik nadajnika dokładnie w chwili, gdy wydzielana przezeń fala biegła przez skrzyżowanie 20 ulicy z Bannister Street. Odbiornik radiowy w samochodzie Randy'ego, który wjechał właśnie na to skrzyżowanie, przejął sygnał i zamknął obwód.

Nad ulicą rozpostarła się nagle płachta ognia. Eksplozja zmiotła drewno złożone na podwórzu, zrównała z ziemią wytwórnię lodów, wyrwała ze ścian domu Wesleya wszystkie okna i zniszczyła garaż. Wesley miał złamane obie ręce, mnóstwo sińców i skaleczeń, ale przeżył.

Jednym z nielicznych fragmentów samochodu Randy'ego, który po wybuchu pozostał w jednym kawałku, była tablica rejestracyjna z napisem UFO.

Drogi dojazdowe do Johnson's Ridge były tak zapchane, że Max postanowił coś z tym zrobić. Rankiem skontaktował się z Billem Davisem z firmy przewozowej Blue Jay Air Transport i uruchomił wraz z nim regularne połączenie powietrzne między Fort Moxie, Cavalier, Diabelskim Jeziorem i Johnson's Ridge. Codziennie o ustalonych porach helikoptery zabierały stamtąd ludzi z obsługi Rotundy i przewoziły ich na miejsce.

Matthew R. Taylor dostał się do Białego Domu okrężną drogą. Jego ojciec prowadził kiedyś w Baltimore sklep ze słodyczami, z którego utrzymywał siebie i siedmioro swoich dzieci. Starzec ledwo wiązał koniec z końcem, jednak obdarzył swe dzieci jednym bezcennym podarunkiem: zachęcał je do czytania i nie dbał przy tym, jakie książki trafiają w ich ręce, wychodząc z założenia, że dobra literatura broni się sama.

Nim ukończył dziewiętnaście lat, Matt pochłoniął greckich i rzymskich klasyków, wszystkie dzieła Szekspira, Dickensa, Marka Twaina i liczne prace współczesnych historyków. Był także całkiem niezłym graczem baseballu na Uniwersytecie Western Maryland. W 1965 pojechał do Wietnamu. Podczas drugiego patrolu został postrzelony w biodro. Lekarze powiedzieli mu, że już nigdy nie będzie chodził, jednak Matt się nie poddawał i po sześcioletniej terapii potrzebował tylko laski, by poruszać się po Białym Domu. Oczywiście w końcu właśnie laska stała się symbolem tego człowieka i jego odwagi.

Ożenił się ze swoją pielęgniarką i zainwestował wszystkie pieniądze w myjnię samochodów, która wkrótce zbankrutowała, oraz w bar szybkiej obsługi, który też zbankrutował.

Taylor nigdy nie miał głowy do interesów, jednak był krystalicznie uczciwy i zawsze chętnie służył pomocą ludziom, którzy go o to prosili. W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy pracował jako sprzedawca ubrań w sklepie Sears Roebuck, pozwolił się namówić do działalności w okręgowej komisji kontroli autostrad. Ludzie, którzy skierowali go do tej komisji, przypuszczali, że będą nim łatwo manipulować.

Okazało się jednak, że Taylor jest zaskakująco surowym strażnikiem publicznych pieniędzy. Nim skończyła się jego kadencja, kilku urzędników z władz okręgu i dwóch przedsiębiorców budowlanych trafiło do więzienia. Znacznie obniżyły się koszty, a stan dróg uległ zadziwiającej poprawie.

Taylor został wybrany do Izby Reprezentantów w 1986 roku, a osiem lat później do senatu. Przewodniczył komisji etyki oraz wprowadził wiele reform, które przyniosły mu popularność w całym kraju i zaprowadziły do wiceprezydentury. Jednak sześćdziesiąt dni po tym, jak objął owo stanowisko, prezydent dostał wylewu, w rezultacie czego nastąpił paraliż, a Taylor zajął jego miejsce, zgodnie z dwudziestą piątą poprawką do Konstytucji. Potem został już oficjalnie wybrany.

Cały kraj kochał Matta Taylora jak żadnego prezydenta od czasów Franklina D. Roosevelta. Wielu widziało w nim nowego Harry'ego Trumana. Taylor rzeczywiście posiadał kilka z najlepszych cech tamtego prezydenta: potrafił być nieugięty, kiedy wierzył w swoje racje, nie uznawał łatwych kompromisów i gotów był mówić szczerze o swoich zamiarach prostym i zrozumiałym językiem. Ta ostatnia skłonność wpędzała go od czasu do czasu w kłopoty, jak na przykład wtedy, gdy w obecności dziennikarzy stwierdził, że rozsądnie byłoby schować srebra z Białego Domu na czas wizyty pewnego potentata ze Środkowego Wschodu.

„Do diabła z sondażami”, mówił czasem. „Amerykanie wiedzą, że i tak zrobię to, co uznam za stosowne”. Taylor uważał, że właśnie takiej postawie zawdzięcza swą silną pozycję. „Oni to lubią”, powtarzał. „A jeżeli przestaną mi kiedyś ufać, to mnie wywalą. Wynocha, stary sukinsynu”.

Prezydent śledził przebieg wydarzeń na Johnson's Ridge przez całą zimę. Doradcy mówili mu, że nie ma się czym martwić. Po prostu jedna z wielu sensacji, o której świat wkrótce zapomni. Należy trzymać się od tego z daleka, unikać wypowiedzi na ten temat. Prezydent, który zaczyna mówić do narodu o latających talerzach, jest przegrany. Bez względu na to, jaka jest prawda, taki prezydent nie ma już szans. Właśnie to powtarzali mu doradcy. Więc Taylor trzymał się od sprawy z daleka, a teraz pluł sobie w brodę. Indeks giełdowy spadł tego dnia o 380 punktów.

„Już nazywają to Czarną Środą” - powiedział Jim Samson, minister skarbu. Próbował teraz udawać, że przez cały czas namawiał prezydenta do podjęcia jakichś działań.

Czasy były niespokojne. Na świecie toczyło się sześć wojen o strategicznym znaczeniu dla Stanów Zjednoczonych. W piętnastu innych miejscach sytuacja mogła wymknąć się w każdej chwili spod kontroli. Regularnie powtarzały się klęski głodu, przyrost naturalny w biednych rejonach świata osiągnął zastraszającą wartość, a ONZ właściwie zrezygnowała już z planów wprowadzenia nowego porządku na planecie. W samej Ameryce przejście od gospodarki przemysłowej do gospodarki informatycznej wciąż rodziło poważne problemy. Służby federalne nadal musiały walczyć z korupcją na najwyższych poziomach władzy, a na scenie politycznej dochodziło do ciągłych tarć między poszczególnymi frakcjami. Z drugiej jednak strony udało im się utrzymać równowagę w handlu; wysiłki zmierzające do redukcji deficytu budżetowego zaczęły wreszcie przynosić pozytywne rezultaty; rasizm, seksizm i pokrewne demony coraz wyraźniej traciły grunt pod nogami; podobnie rzecz się miała z narkotykami; wreszcie kolejne wynalazki w dziedzinie medycyny i reformy służby zdrowia zapewniały ludziom dłuższe i zdrowsze życie. W dodatku, co być może najważniejsze dla polityka, sprzyjały mu media.

W gruncie rzeczy Matt Taylor nie mógł przypisywać sobie żadnej z tych zasług, tak jak nie mógł być obwiniany za którekolwiek ze zjawisk negatywnych. Wiedział jednak, że bez względu na to, co przyniesie przyszłość, musi dysponować silną gospodarką. Jeśli mu się to nie uda, problemy towarzyszące ewolucji, którą przechodził właśnie zachodni świat, znacznie się pogłębią. Nie mógł na to pozwolić. Nie mógł stać z boku i patrzeć, jak na ulice amerykańskich miast powracają hordy bezdomnych i bezrobotnych ludzi. Bez względu na koszty.

- To tylko chwilowe załamanie - powiedział Tony Peters. - Takie rzeczy się zdarzają.

Peters był przewodniczącym Prezydenckiej Rady Polityki Fiskalnej i wypróbowanym przyjacielem Taylora, rasowym politykiem, dobrze wyczuwającym sytuację. Ze wszystkich ludzi, którzy wraz z nim przywędrowali z Baltimore do Białego Domu, on właśnie cieszył się największym zaufaniem prezydenta.

- Tony - mówił Taylor. - Masz rację, pod warunkiem, że to wszystko okaże się bujdą. A jeśli oni rzeczywiście mają tam metal, który się nie niszczy ani nie zużywa?

- Zgadza się - powiedział Samson. - Najpierw musimy poznać fakty.

Peters zmarszczył brwi.

- O ile mi wiadomo, panie prezydencie, to nie jest metal.

- Wszystko jedno. - Taylor opadł na oparcie fotela i skrzyżował ręce na piersiach. - Mogą robić z tego żagle. I budynki. Ważne jest, co stanie się z fabrykami, kiedy nagle zdobędziemy materiał, który nigdy się nie psuje i nie zużywa? - Pokręcił głową. - Wyobraźcie sobie tylko, że ludzie kupują jeden albo dwa samochody przez całe życie. Co się stanie z GM? - Zdjął okulary i rzucił je na biurko. - Mój Boże - westchnął. - Nie mogę uwierzyć w to, co mówię. Przez tyle lat szukaliśmy jakiegoś sposobu, by pobić Japończyków w tej grze. Teraz, kiedy już go mamy, okazuje się, że oznacza to dla nas katastrofę.

Taylor był niski i krępy. Nosił szare, nierzucające się w oczy krawaty i idealnie wyprasowane

garnitury, które zawsze należały do zeszłorocznej mody.

- Panie prezydencie, to tylko tania sensacja, materiał dla brukowców - uspokajał go Peters. -

Nikt nie zdoła produkować takich supermateriałów na szeroką skalę.

- Skąd wiesz? Badaliśmy już tę sprawę?

- Tak. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że to niemożliwe.

- Ale mamy próbki.

- Widzieliśmy mnóstwo błyskawic, nim nauczyliśmy się, jak zatrzymać prąd w gniazdku.

Musimy odciągnąć ludzi od tego tematu. Zajmiemy ich jakąś wojną, może rewolucją w Pakistanie, rozpętamy wokół tego wielką kampanię. Ludzie w końcu zapomną o supermateriale.

To właśnie był cały Tony Peters; jedyny człowiek w otoczeniu Taylora, który wiedział, co napędza gospodarkę, i potrafił pokazać to innym. Doskonale znał także Kongres, wiedział, kto liczy się w świecie interesów i komu można zaufać, a kogo się wystrzegać. Jego pomoc i jego rady były wręcz nieocenione. Jednak Taylor znał ograniczenia swego przyjaciela. Dla Peter-sa podstawą wszystkich działań było doświadczenie. Człowiek, który opierał się na doświadczeniu, i który wykorzystywał je w konkretnych warunkach, prawie nigdy się nie mylił. Jednak co zrobić w sytuacji, która wykracza poza wszystko, z czym zetknęła się dotąd ludzkość? Do czego mogło przydać się wtedy doświadczenie?

- Chcę, żebyś porozmawiał z ludźmi, którzy tam byli - powiedział Taylor. - Z tymi najważniejszymi, dobrze? Dowiedz się, o co tam naprawdę chodzi. Co nam może grozić. Nie mów mi, czego nie spodziewają się twoi eksperci.

Peters wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie mówisz poważnie - zachnął się. - Nie powinniśmy w ogóle zbliżać się do tej rzeczy, panie prezydencie - dodał, ochłonawszy nieco. - Gdy tylko zaczniemy rozpytywać, dziennikarze natychmiast się o tym dowiedzą.

- Spróbuj zachować dyskrecję, Tony. Do cholery, wskaźniki giełdowe lecą na łeb na szyję. Znajdź kogoś, kto zna się na tych rzeczach. Muszę mieć odpowiedzi. Konkretnie. Chcę wiedzieć, czy to naprawdę może się zdarzyć. A jeśli tak, to jak wpłynie to na gospodarkę. - Czuł się zmęczony. - Nie chcę już bawić się w zgadywanki.

*Albowiem według wiary,  
a nie dzięki widzeniu postępujemy.*

II list do Koryntian 5,7

AL EASTER BYŁ NAJBARDZIEJ agresywnym działaczem związków zawodowych, jakiego znały zakłady Cougar Industries w Dayton. Pracownicy żartowali, że menedżerowie nie wychodzą wieczorem z domu, bo boją się, iż Al grasuje właśnie po ulicach miasta. Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, która dotyczyła choćby w najmniejszym stopniu warunków zatrudnienia, zarządzający firmą zawsze zasięgaliby opinii związków zawodowych. Byli także bardzo pobłażliwi dla pracowników. Nawet Liz Mullen, która została przyłapana na wynoszeniu spinaczy, dyskietek i innych akcesoriów biurowych do domu, gdzie prowadziła niezależny sklepik z takimi właśnie drobiazgami, została oszczędzona. Udzielono jej tylko reprimendy, choć w istocie powinna trafić do więzienia.

Najsukuteczniejszą taktykę stosowaną przez Ala stanowiła groźba natychmiastowej reakcji. Gotów był bez wahania (a przynajmniej tak postrzegali go zarządzający, co dawało zresztą ten sam efekt) zatrzymać pracę albo spowolnić jej tempo, by oprotestować nawet najbardziej trywialną kwestię. Każda próba skarcenia krnąbrnego pracownika czy zmiany w organizacji pracy mogły spotkać się z akcją odwetową, jeśli nie uzyskały aprobaty Ala.

Przewodniczący związków zawodowych nigdy nie krył opinii, że wszyscy członkowie zarządu myślą jedynie o zysku, i tylko on stoi pomiędzy drapieżnikami w eleganckich garniturach i bezbronnymi robotnikami.

Centrala związkowa nigdy nie udzieliła mu aż tak szerokich uprawnień, ale nieliczne napomnienia ze strony zwierzchników Ala sformułowane były w dobrotliwym, ojcowskim tonie. Związkowcy wiedzieli, kto rozdaje karty w Dayton. Kiedy Al ogłaszał strajk albo zwoływał ludzi na wiec, cała fabryka bez szemrania wykonywała jego polecenia. Krajowy zarząd związków zawodowych po kilku dniach wysyłał doń oficjalne upomnienie, ale do tego czasu Al i tak załatwiał sprawę po swojemu.

Kierownictwo już kilkakrotnie próbowało go awansować. Podwoić pensję. Lecz on uparcie odmawiał.

- Oni mnie potrzebują - powiedział dyrektorowi fabryki, Adrianowi Coksovi. - Żeby pan i pańscy koledzy nie zjedli ich żywcem.

Akurat. Adrian znał prawdziwy powód. Al za bardzo lubił władzę, by pozbyć jej się nawet za duże pieniądze. A żaden z menedżerów w Cougar nie miał takiej władzy, jak Al.

Przewodniczący związków nie lubił ludzi z kierownictwa, osobiście i dla zasady. Starał się nigdy nie pokazywać w ich towarzystwie, chyba że właśnie żądał od nich czegoś w imieniu załogi. Dlatego dyrektor firmy poczuł się zaniepokojony, kiedy sekretarka oznajmiła mu przez telefon, że Al pojawił się na dole i zmierza do jego gabinetu.

Cox wziął głęboki oddech.

- Powiedział, czego chce?

- Nie, proszę pana. Janet go zapytała, ale on tylko przeszedł obok niej.

Kilka chwil później Al minął ostatni punkt obrony dyrektora i wszedł do jego gabinetu. Intercom na biurku Coksa ostrzegł go poniewczasie głośnym buczeniem.



Był to przestronny gabinet, ozdobiony licznymi nagrodami i dyplomami uznania. Prócz nich na ścianach wisiały dwa kosztowne obrazy, wybrane przez żonę dyrektora. Cox siedział za mahoniowym biurkiem w blasku słońca, przefiltrowanym przez gałęzie wielkich palm. Irytowała go obojętność Eastera, który udawał, że tego wszystkiego nie zauważa. Tymczasem Al, który celowo nie zdjął nawet czapki z głowy, wszedł na środek perskiego dywanu dyrektora i spojrzał na niego spod łba.

- Panie Cox - zaczął. - Przypuszczam, że widział pan, co się dzieje w Północnej Dakocie.

Al był niskim, okrągłutkim człowieczkiem o rozwichrzonych i przerzedzonych już włosach. Wielki brzuch wypychał jego zatłuszczoną koszulę, a z kieszeni na piersiach wystawała poplamiona chusteczka. Wszystko to było częścią przedstawienia.

- Chodzi o UFO? - Cox natychmiast się rozluźnił, zrozumiał, że sprawa nie dotyczy jakichś problemów w zakładzie.

- Tak. - Al usiadł na najbliższym krześle. - Co zamierzamy z tym zrobić?

Cox pochylił się nad biurkiem.

- Z czym? - Oczywiście wiedział, o co pyta go Al. Rozmawiali już na specjalnej naradzie o materiałach, jakie mogą powstać w wyniku odkrycia na Johnson's Ridge.

- Z tą twardszą oponą. - Al kołysał się miarowo na krześle. - Co stanie się z Cougarem, jeśli inne zakłady zaczną produkować opony, które wytrzymają dwieście tysięcy mil?

- Nie dojdzie do tego - zapewnił go Cox.

- Miło mi to słyszeć. - Związkowiec nawet nie ruszył powieką.

- A co innego mogę wam powiedzieć? - spytał Cox. - Wiem tyle, co z telewizji.

- Tak, ja też. - Twarz Ala pozostała nieprzenikniona. Jedyłą emocją, jaką okazywał, był sarkazm. - Wie pan, iż zawsze powtarzam, że powinniśmy pracować razem. W końcu mamy te same cele. Zdrowa firma daje lepszą pracę.

Cox nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Podpisuję się pod tym obiema rękami, Al. Związkowiec skrzywił się lekko.

- Jeśli ten materiał naprawdę jest taki dobry, jak mówią, za trzy lata nie będzie już w tym kraju fabryk opon. Gdybym to ja siedział na pańskim miejscu, już wysłałbym tam kogoś z ofertą.

Cox zmarszczył brwi.

- Z ofertą? A co moglibyśmy im zaoferować?

- Moglibyśmy kupić od nich to świństwo. Cox wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Nie ma powodu do paniki - oświadczył wreszcie słabo. Wiedział, że to kiepski argument, ale nie przychodziło mu do głowy nic lepszego.

Al potrząsnął głową.

- Jeśli zdarzy się najgorsze, pan i tak jakoś się wywinie. Firma pójdzie z torbami, ale pana wcale to nie obchodzi. Przyzna pan sobie dobrą odprawę i ponarzeka jeszcze na ciężkie czasy. Tak zresztą jak wszyscy pańscy koledzy. Kierownictwo znajdzie sobie nowe posadki i jakoś się urządzi w nowych czasach. A ci biedni ludzie na dole zostaną z niczym.

Cox czuł jak cierpnie na nim skóra.

- Al - próbował przemawiać z siłą, czuł jednak, że głos mu drży. - Al, za bardzo się tym przejąłeś. Nie dojdzie do żadnego krachu.

- Tak. No cóż, gdybym to ja był na pana miejscu, nie siedziałbym tutaj beczynn timer, licząc na to, że wszystko rozejdzie się po kościach.

April wyczyściła ikonki wilgotną szmatką. Wszystkie zapalały się pod dotknięciem jej dłoni,

prócz symbolu dymu, który pozostawał ciemny bez względu na to jak mocno i długo naciskała. Jednak tym razem nie zaobserwowała żadnych specjalnych efektów. Doszła więc do wniosku, że światło pojawia się tylko wtedy, gdy na dysku stoi jakiś przedmiot.

Odnalazła też siódmą ikonkę. Ta była nieco większa od pozostałych i przypominała literę z japońskiego alfabetu. Podobnie jak symbol dymu nie zapalała się pod dotknięciem.

Marie McCloskey zawsze czuła bliskość Bożej opatrzności. Nigdy nie zdarzyło się tak - nawet podczas tych najtrudniejszych dni, kiedy dowiedziała się o wypadku na I-29 i śmierci Jodie, kiedy po raz pierwszy pobił ją mąż, kiedy lekarz powiedział jej, że ma cukrzycę - by choć przez najkrótszą chwilę nie czuła przy sobie obecności Chrystusa, by nie była świadoma, że on idzie obok niej. Owo niezachwiane przekonanie, wiara w niebiańską opiekę pozwoliły jej przetrwać wszystkie te lata i przyniosły jej, pomimo wszelkich przeciwności losu, wewnętrzny spokój, którego nie wymieniałaby za żadne skarby tego świata. Marie McCloskey uważała się za szczęśliwą kobietę.

Przyjechała do Fort Moxie, by odwiedzić swą siostrę. Zwykle wydarzenia podobne do tych, jakie miały miejsce na Johnson's Ridge, nie budziły jej zainteresowania. Jednak ciche i spokojne miasteczko, które w ciągu minionych lat prawie wcale się nie zmieniało, teraz tętniło życiem, wypełniały je tłumy dziennikarzy, handlowców, studentów i turystów z całej Ameryki Północnej. Nic więc dziwnego, że taka odmiana rozbudziła jej ciekawość. Zresztą mąż jej siostry, Corky Cable i tak chciał zobaczyć Rotundę. Wyjechali z miasta i włączyli się do kolumny pojazdów zdążających na Ridge. Potem wraz z innymi wjechali na skarpe, obejrzeni z okien samochodu dziwny zielony budynek, przypominający wielką piwnicę na ziemniaki, i zjechali z drugiej strony góry, rozmawiając cały czas o Marsjanach. Marie ani jej siostra nie widziały w tym nic szczególnego, ale Corky był zachwycony i ani na chwilę nie przestawał o tym mówić.

Zjedli kolację w Walhalla, a potem znów pojechali w stronę urwiska. Zapadła już noc. W zimnym, kryształowo czystym powietrzu doskonale widać było miliony gwiazd i pojedyncze smugi dymu odrywające się od ziemi. Jechali we troje na przednim siedzeniu mazdy Corky'ego. Kiedy minęli kolejny zakręt, zobaczyli delikatny zielony blask na szczycie urwiska.

- Spójrz na to - powiedziała siostra Marie.

Corky chętnie zjechałby na pobocze i przystanął na moment, ale droga była zatłoczona samochodami. Zwolnił więc do dwudziestu mil na godzinę.

Marie wyczuwała w tym blasku jakąś nadprzyrodzoną moc. Jakby sam Bóg postawił tam latarnię dla swych zagubionych dzieci. Znak mocy i wiary.

Przypomniła sobie ze zdziwieniem, że kiedy dwie godziny wcześniej patrzyła na tę budowlę w pełnym blasku dnia, nie czuła niczego. Jednak teraz zrozumiała znaczenie i wagę owego znaku.

- Widać to do samej granicy - powiedział Corky, który był celnikiem na przejściu granicznym w Fort Moxie. Oczywiście przesadzał, bo granica była zbyt daleko od tego miejsca. Ale tego wieczora wydawało się to możliwe. Tego wieczora wszystko wydawało się możliwe.

- Zwolnij, Corky - poprosiła go Marie.

I tak włókł się niemiłosiernie, ale spełnił prośbę szwagierki.

- Ciekawe skąd się to bierze. Może Rotunda jest nafasforyzowana - zastanawiała się głośno siostra Marie.

Przed oczami Marie coraz wyraźniej rysował się pewien obraz. Jeśli wyzwoli umysł z niepotrzebnych przyzwyczajęń, pozbedzie się nieistotnych detali, to zobaczy... twarz kobiety. Marie знаła tę kobietę.

- To Najświętsza Panienska - powiedziała.

Arky Redfern usadził gościa na krześle, sam zajął miejsce za biurkiem, i uśmiechnął się uprzejmie.

- Doktorze Wells, czym mogę panu służyć? - zapytał.

Paxton Wells był wysokim, szczupłym mężczyzną z siwymi wąsami. Jego maniery można by określić mianem arystokratycznych, gdyby ogólnego wizerunku nie psuły wielkie odstające uszy.

- Panie Redfern - zaczął Wells - rozumiem, że reprezentuje pan interesy plemienia, i że to pan zajmuje się sprawą Johnson's Ridge.

Prawnik skinął głową.

- Chciałbym złożyć panu ofertę w imieniu Państwowego Instytutu Energetyki. - Otworzył walizeczkę, sięgnął do jej wnętrza i wyjął kontrakt. - Chcielibyśmy otrzymać pozwolenie na poszukiwanie źródła energii w Rotundzie. - Brwi Wellsa podniosły się nieznacznie i opadły na miejsce, co było jedyną oznaką zdenerwowania, jaką pozwolił sobie przejawić. - Być może udałoby się nam zaadaptować technologię, zastosowaną w budynku. Jeśli rzeczywiście są tam jakieś technologie, które możemy skopiować. Oczywiście, nie wiemy tego jeszcze.

- Oczywiście - przytaknął Redfern.

- Niemniej gotowi jesteśmy zaoferować poważną sumę pieniędzy za ten obiekt i przejmujemy na siebie całe ryzyko, związane z dalszymi badaniami.

- Rozumiem. - Redfern podniósł dokument.

- Możemy zaoferować milion dolarów. - Wells wypowiedział ostatnie dwa słowa z ogromnym naciskiem i musiał natychmiast zaczerpnąć powietrza.

Prawnik przeglądał powoli dokument, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na jakimś punkcie, który przykuł jego uwagę.

- Rozumiem - powiedział. - Państwo mielibyście wyłączne prawo do użytkowania i badania tego obiektu.

- Panie Redfern. - Wells pochylił się do przodu i przywołał na twarz uśmiech, który w jego mniemaniu wyrażał pobłażliwą szczerłość. - Powiedzmy sobie uczciwie, owa Rotunda to jedna wielka niewiadoma. Instytut Energetyki gotów jest postawić mnóstwo pieniędzy w tej grze, choć szansę na wygraną są niewielkie. Wątpię, by na Johnson's Ridge było coś, co mogłoby okazać się przydatne. Przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Jednak w interesie nas wszystkich podejmiemy to ryzyko. A pańscy pobratymcy mogą siedzieć w domach i liczyć pieniądze. Milion dolarów. Za nic.

Redfern złożył kontrakt i oddał go Wellsowi.

- Nie sędzę - powiedział.

- Mogę spytać dlaczego? Co macie do stracenia? Prawnik wstał zza biurka.

- Doktorze Wells, jestem dzisiaj bardzo zajęty. Jeśli Instytut Energetyki zechce złożyć nam poważną ofertę, to wie pan, gdzie mnie szukać.

- Czy nie przekracza pan swoich uprawnień, panie Redfern? Sędzę, że do pańskich obowiązków należy przedyskutowanie takiej oferty z pańskim pracodawcą.

Redfern spojrzał na niego pobłażliwie, dając mu do zrozumienia, że nie boi się odpowiedzialności za swoje decyzje.

- Wydaje mi się, panie Wells, że znam dobrze zakres swoich obowiązków. Nie chciałbym pana poganiać...

- Dobrze. - Wells opadł na oparcie krzesła. - Twardy z pana gracz, panie Redfern. Nie będę więc marnował pańskiego i swojego czasu i przejdę od razu do sedna. Jestem upoważniony do kupna Rotundy za dwa miliony dolarów.

Redfern zerknął na łuk swojego ojca. Czasami gorzko żałował, że porzucili odwieczne zwyczaje przodków.

*Człowiek bez pieniędzy jest łukiem bez strzał.*

Thomas Fuller, „Gnomologia”

W CIĄGU DWÓCH LAT, jakie przepracował w radzie miejskiej, Mark Wickham nie widział nigdy, by w comiesięcznym zebraniu uczestniczyło więcej niż dziesięć osób. Jednak ten wieczór był całkiem inny. Mark podejrzewał, że cała populacja Fort Moxie, w liczbie dziewięćset dwudziestu siedmiu mieszkańców, przybyła do ratusza, wypełniając bez reszty obszerną aulę na pierwszym piętrze i korytarze. (Jakby tego było mało, mer wynajął cały parter młodym wyznawcom New Age). Ludzie wciąż wpychali się do środka, kiedy przewodniczący rady, Charlie Lindquist, rozpoczął zebranie.

Najpierw musieli załatwić kilka pilnych spraw: rozporządzenie o płatnych parkingach, propozycja podniesienia opłat na utrzymanie autostrad i kwestia udziału Fort Moxie w stanowym programie szkolnym. Jednak najważniejszym punktem programu, który ściągnął do ratusza tłumy mieszkańców, i który umieszczony został na samym końcu listy, była propozycja zamknięcia Johnson's Ridge dla turystów oraz zakończenia prac przy Rotundzie.

Lindquist, uważający się za męża opatrnościowego Fort Moxie, skrupulatnie realizował kolejne punkty programu. O dziewiątej dwanaście dopuścił do głosu Joe Torresa, emerytowanego farmera, który mieszkał teraz w miasteczku.

Torres odczytał drżącym głosem przygotowane wcześniej oświadczenie. Opisał pokrótce chaos, jaki panował w Fort Moxie. Nieprzejezdne ulice. Pijani turyści, bójki i chuligaństwo. Samochody gości zaparkowane byle gdzie. Tłumy przybyszów zajmujących restauracje i supermarkety, w wyniku czego obywatele miasta muszą jeździć po zakupy do Grand Forks, osiemdziesiąt mil dalej. Pojawiają się nawet szaleńcy z bombami, jak ten, który dwa dni wcześniej zrównał z ziemią wytwórnię lodów.

- Wiem, że to doskonały interes dla Mike'a i kilku innych osób, ale reszta ma już serdecznie dość.

Agnes Hanford podniosła się ze swego krzesła.

- Musimy korzystać z tej sytuacji, dopóki możemy. Zyska na tym całe miasto. - Mąż Agnes był właścicielem „Szkunera Prerii”.

Joe pokręcił głową.

- Tobie łatwo tak mówić, Agnes. Ale w mieście dzieje się coraz gorzej. Musimy z tym coś zrobić. - Jakby dla podkreślenia jego słów pod oknami ratusza przemknął z rykiem klaksonu jakiś samochód. - Jeśli nic się nie zmieni, będziemy zmuszeni zatrudnić policjantów. - W tych nielicznych przypadkach, kiedy Fort Moxie musiało korzystać z usług sił policyjnych, sprowadzano je z Cavalier. - Dlatego proponuję - czytał dalej Joe - by rada miasta zażądała od osób prowadzących wykopaliska natychmiastowego wstrzymania prac. Zaś budynek nazywany Rotundą powinien zostać zniszczony. - Rozejrzał się dokoła. - Rozerwany na kawałki i rozrzucony - dodał.

Lindquist dostrzegł wśród zebranych Laurie Cavaracę, właścicielkę motelu „Gwiazda Północy”. Laurie spędziła w Fort Moxie całe życie. Motel wybudowany został przez jej ojca w 1945, kiedy ten powrócił z Pacyfiku. Laurie była teraz jedynym właścicielem i zarządcą motelu.

- W „Gwieździe Północy” mamy osiem apartamentów - powiedziała. - Do zeszłego miesiąca nigdy jeszcze nie zdarzyło się tak, żebym przez kolejne dwa dni wystawiała tabliczkę „Brak wolnych miejsc”. Teraz już od dwóch tygodni nie mamy wolnego pokoju. To niesamowite. Czy podobają mi

się te rzeczy, które widzę na ulicach Fort Moxie? Nie, oczywiście, że nie. Nikomu to się nie podoba. Ale nie możemy uciekać od świata i zamykać się w swoich norach. To najgorsze rozwiązanie. - Początkowo jej głos drżał lekko, ale szybko odzyskała pewność siebie. - Posłuchajcie mnie, ludzie - mówiła - mieszkamy w Fort Moxie, bo tu się urodziliśmy, i tu są nasi najbliżsi. Kochamy swoje miasto. Ale nigdy nie mieliśmy szans na rozwój. Teraz, po raz pierwszy w historii, możemy zarobić prawdziwe pieniądze. I nie mówię tylko o sklepikarzach. Wszyscy na tym zyskają. Pieniądze robią pieniądze. Na miłość boską, nie zabijajmy kaczkę znoszącą złote jajka.

- Kury - powiedział ktoś. - To była kura.

- Wszystko jedno - machnęła ręką Laurie. - To nie będzie trwało wiecznie. Powinniśmy korzystać z tego dopóki możemy.

- A tymczasem... - odezwał się Josh Averill, podnosząc się z godnością. - A tymczasem ci szaleńcy, którzy jeżdżą po mieście drogimi samochodami, zabiją kogoś z nas. Co wtedy zrobisz?

- To miasto nigdy nie widziało prawdziwych pieniędzy - powiedział Jake Thoraldson, do którego należało lotnisko. - Co się z wami dzieje? Nie możecie poradzić sobie z dobrobytem?

- Dobrobytem? - zawył Mamie Burkę, Kanadyjczyk, który pracował w Fort Moxie na kolei. - Co to za dobrobyt, kiedy człowiek boi się wyjść z domu? Joe ma rację. Trzeba to zamknąć.

Arnold Whitaker, właściciel sklepu z narzędziami, człowiek spokojny i skromny, był przeciwny propozycji Torresy.

- Nie rozumiem, w czym przeszkadzają wam obecne warunki - powiedział.

Ta uwaga rozwścieczyła Morrisa Jonesa, dziewięćdziesięcioletniego emeryta, znanego w mieście głównie ze względu na jego zamiłowanie do kolejek elektrycznych. Dwaj pijani Kanadyjczycy wjechali swoją półciężarówką w szopę Jonesa, niszcząc jego ukochaną makietę. Jones splunął i wyciągnął palec w stronę Whitakera w oskarżycielskim geście.

- Brawo Arnie - mówił. - Uważaj tylko na siebie. Nie martw się o innych.

Propozycja zaprzestania wykopalisk przeszła różnicą osiemdziesięciu siedmiu głosów. Floyd Rickett zgłosił się na ochotnika do komisji, która miała przygotować pisemny wniosek.

Lindquist odciągnął go na bok, kiedy ludzie zaczęli opuszczać salę.

- Zachowaj umiar, Floyd - pouczał go. - Nie chcemy nikogo obrażać, jasne?

Deszcz stukał bezustannie w szyby okien Pokoju Ovalnego. Ten dźwięk działał prezydentowi na nerwy. Nie czuł się dzisiaj najlepiej.

Na jego biurku leżał egzemplarz „Washington Post”. Nagłówki mówiły o wojnie domowej w Indiach i głodzie w RPA. Ogłaszały także wyniki najnowszego sondażu: „sześćdziesiąt procent Amerykanów uważa, że Rotunda związana jest z UFO”. Kolejnych dwadzieścia procent twierdziło, że to sprawka rządu. Osiem wierzyło, iż to znak od Boga. Reszta nie miała zdania albo nie słyszała o Johnson's Ridge.

Tony Peters założył nogę na nogę i z posępną miną wpatrywał się w gazetę.

- Prawie wszyscy myślą, że to jakiś rządowy spisek - powiedział. - Ale to było nieuniknione. Zatem musimy się przyzwyczaić.

- Widziałeś tych ludzi? - Za ogrodzeniem Białego Domu zgromadził się tłum zwolenników spiskowej teorii dziejów. Trzymali w dłoniach transparenty z napisami; „Dlaczego oszukujecie naród?”, albo „Ujawnić prawdę o Rotundzie”.

- Więc jaka jest ta prawda? Co wiemy? Peters wyprostował nogi i wstał.

- Rozmawialiśmy z tuzinem ekspertów z różnych dziedzin, którzy tam byli albo mieli dostęp do wyników badań. Prawie wszyscy boją się przyznać nawet przed sobą, że to twór jakiejś innej

cywilizacji, ale nikt nie potrafi też znaleźć innego wyjaśnienia.

- Nie obchodzi mnie specjalnie, skąd to pochodzi ani jak znalazło się w Północnej Dakocie. - Taylor wziął głęboki oddech. - Zastanawiam się raczej, dokąd nas to zaprowadzi. Jaką energią zasilany jest ów przedmiot?

- Nikt nie miał okazji tego zbadać. Wpuszczają ludzi tylko na chwilę i nie pozwalają niczego dotykać. Wycieczki z przewodnikiem.

- Dobra. - Taylor oparł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersiach. Twardy orzech do zgryzienia. - Prognozy, Tony. Co nas czeka?

- Trudno powiedzieć, panie prezydencie. - Peters skrzywił twarz, a w kącikach jego oczu i ust pojawiła się sieć zmarszczek. - Eksperci nie zgadzają się między sobą co do tego, czy zdołamy odtworzyć ten materiał. Ale wszyscy twierdzą, że jeśli to się uda, przedmioty z niego wykonane nie będą niszczyć.

- A co ze zużyciem?

- Tak, będą ulegać zużyciu, ale znacznie, znacznie wolniej niż cokolwiek, czym dysponujemy w tej chwili.

Taylor westchnął. Zamierzał porozmawiać ze swoimi doradcami od gospodarki, sam jednak wiedział, co to oznacza dla przemysłu wytwórczego.

- Jeszcze jedno, panie prezydencie. Czy wie pan, że ktoś widział tam wczoraj wizerunek Matki Boskiej?

Prezydent podniósł oczy do sufitu.

- Co jeszcze?

- Poważnie. - Peters wyszczerzył zęby w uśmiechu, który choć trochę rozładował napiętą atmosferę. - Mówili o tym w CNN, dziesięć minut temu. Kobieta widziała twarz Matki Boskiej w świetle Rotundy.

Prezydent pokręcił głową.

- A niech mnie, Tony - westchnął. - Co z giełdą? Co się tam będzie dzisiaj działo?

- Nikkei znowu poleciało w dół. Na pewno tak samo będzie na Wall Street.

Taylor podniósł się ze znużeniem z fotela i podszedł do okna. Trawa była zielona i lśniąca. W takie dni marzył, by znowu stać się dzieckiem.

- Musimy z tym coś zrobić, Tony.

- Tak, panie prezydencie.

- Nim sytuacja wymknie się spod kontroli. Chcę przejąć ten teren. Musi być jakaś klauzula o bezpieczeństwie państwa czy coś takiego. Poszukaj.

- To może się źle skończyć.

- Dlaczego?

- Ziemia należy do Indian. Gdyby chodziło o jakiegoś zwykłego farmera, poradzilibyśmy sobie bez problemu, moglibyśmy ogłosić, że to coś stanowi zagrożenie dla zdrowia albo że może wybuchnąć, wszystko jedno. Ale właścicielami są Siuksowie. Jeśli spróbujemy ich ruszyć, słono za to zapłacimy. Na pewno nie spodoba się to wyborcom, a media nie zostawią na nas suchej nitki.

Taylor czuł, jak ściany pokoju zamykają się wokół niego.

- Nie mówię przecież, że to po prostu zabierzemy. Możemy im to jakoś zrekompensować. Zapłacić.

- Panie prezydencie, myślę, że najrozsądniej będzie po prostu przeczekać. Nie robić nic, czego moglibyśmy potem żałować.

Taylor zawsze uważał, że wszelkie problemy należy rozwiązywać natychmiast, gdy tylko się

pojawiają. Zajmował się jednak polityką już dość długo, by zrozumieć, jak cenna jest cierpliwość. Poza tym nie był jeszcze pewien, co właściwie powinien zrobić. Nie podobała mu się perspektywa przegania Indian z ich własnej ziemi. To byłoby niesmaczne. I niepoprawne politycznie. Ale jeszcze gorsza mogła okazać się beczynność w obliczu upadku gospodarki.

- Wszystko przycichnie - zapewniał go kojącym głosem Peters. - Trzeba tylko czasu. Może to wcale nie jest problem. Nie stwarzajmy go. Powinniśmy raczej skoncentrować się na Pakistanie.

- Pakistanie?

- Tak, wiem, w Pakistanie nie ma naszych wyborców. Ale umiera wielu niewinnych ludzi. Trzeba wydać następne oświadczenie. Potępić przemoc. Może zaoferować pomoc w negocjacjach. Wygląda na to, że wojna wkrótce się skończy. Obie strony są już zmęczone. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy ich pogodzić i przypisać sobie całą zasługę.

Prezydent westchnął. Peters był okropnym cynikiem. Mógłby go za to nie lubić, ale to w niczym nie zmieniłoby sytuacji. Szczerze żałował, że amerykańska polityka tak łatwo uległa degeneracji, zniżyła się do poziomu krzykliwego oportunisty. Nawet tam, gdzie zajmowali się nią prawi ludzie.

Arky Redfern wychowywał się w pobliżu Fort Totten, w rezerwacie nad Diabelskim Jeziorem. Był najmłodszy z piątki rodzeństwa i jako jedyny spośród nich odebrał wyższe wykształcenie. Jego ojciec przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, by pomóc dzieciom w lepszym starcie w dorosłe życie; z bólem serca patrzył na czwórkę starszych braci i sióstr Arky'ego, którzy zbyt wcześnie pozakładali rodziny i uwikłali się w pracę niedającą im szans rozwoju. W dniu, w którym ukończył wydział prawa na Uniwersytecie George'a Masona, Arky otrzymał od ojca jego łuk.

Do dalszego kształcenia zachęcał go także jeden z członków rady plemienia, James Walker, który z dumą powtarzał, że już nie wszyscy prawnicy pracują dla rządu. Redfern marzył o tym, by zostać kiedyś obrońcą Mini Wakan Oyate, jak Siuksowie znad Diabelskiego Jeziora nazywali siebie w swoim własnym języku (znaczyło to tyle co „Lud znad Jeziora Ducha”). Za pierwszym podejściem zdał egzaminy adwokackie i powrócił do Północnej Dakoty, by założyć własną praktykę. Zajmował się głównie sporządzaniem testamentów i prowadzeniem spraw rozwodowych, co dawało mu spory dochód. Poza tym został także reprezentantem interesów plemienia we wszelkich kwestiach, które wymagały znajomości prawa. Co prawda owa działalność nie przynosiła wielkich zysków, ale miała inne zalety.

W czasie gdy Matt Taylor zastanawiał się, jak rozwiązać problem Rotundy, Redfern wioził Paxtona Wellsa do rezerwatu. Przedstawiciel Instytutu Energetyki chciał osobiście przedstawić przewodniczącemu plemienia nową ofertę. Posepnie wyniosły Wells najwyraźniej uznał, że młody prawnik jest do niego uprzedzony i nie próbował już nawet zyskać sobie jego sympatii. Siedział obok i wpatrywał się ponuro w krajobraz za oknem.

Od kilku dni wreszcie zaczęło się ocieplać. Pola upstrzone były hałdami topniejącego śniegu, a spływająca z gór woda zamieniała pobocze drogi w grzęzawisko.

Biura rady plemienia mieściły się w parterowym budynku z niebieskiej cegły, znanym jako Niebieski Dom. Nad drzwiami powiewały flagi Stanów Zjednoczonych i Mini Wakan Oyate. Redfern zatrzymał się na parkingu przed budynkiem.

- To już tutaj? - zapytał Wells, patrząc na rozciągającą się dokoła prerię.

Redfern poznał już kilka osób pokroju tego typka; w obecności ludzi, którzy byli postawieni niżej od nich, albo takich, którzy nie mogli uczynić im żadnej krzywdy, zachowywali pełen wyniosłości dystans. Wells tak właśnie traktował go w tej chwili, uważał bowiem, że prawnik pełni tylko funkcję gońca, przewodnika, który zaprowadzi go do indiańskiego odpowiednika naczelnego



dyrektora. Oczywiście, grubo się mylił.

Wyszli z samochodu, a Redfern wprowadził go do wnętrza budynku.

W Niebieskim Domu mieściła się poczta, Biuro do spraw Indian, Indiańska Służba Zdrowia i gabinety członków rady plemienia. Redfern zawiadomił sekretarza plemienia o swoim przybyciu i przeszedł do gabinetu przewodniczącego.

James Walker nie wyróżniał się niczym spośród tłumu podobnych mu Indian. Był niskim mężczyzną w średnim wieku. Wells mógłby pomyśleć, że bardziej pasuje do roli sprzedawcy w sklepie spożywczym niż przewodniczącego rady. W jego głosie nie wyczuwało się władczego tonu, nic też nie wskazywało na to, by on sam w razie potrzeby potrafił zamienić się w zdecydowanego i'bezwzględne wodza. Miał ciemne, przyjazne oczy, był uprzejmy i gościnnie. Redfern uważał, iż jego największy atut polegał na tym, że potrafił przekonać ludzi, by mówili mu prawdę, by nie ukrywali przed nim swych prawdziwych przekonań. Wśród Indian była to cecha równie rzadka jak wśród całej reszty populacji.

Kiedy weszli do gabinetu, Walker wstał zza biurka i podał swemu gościowi rękę.

Wells wylewnie odwzajemnił uścisk, podkreślając, jak bardzo się cieszy, że ma okazję zobaczyć rezerwat, po czym usiadł.

Na ścianach gabinetu wisiały indiańskie pióropusze, totemy, woreczki z lekami i ceremonialne fajki. Po lewej stronie biurka stał regał z książkami i stolik, na którym parzyła się właśnie kawa. Pokój był pełen słońca.

Wells odchrząknął.

- Panie przewodniczący - zaczął oficjalnie. - Reprezentuję organizację, która chciałaby pomóc pańskiemu plemieniu w osiągnięciu dobrobytu. Otwierają się przed nami wielkie możliwości.

- Arky mówił mi, że chcielibyście kupić część naszych terenów - powiedział Walker, jakby wcale nie słyszał słów gościa.

- Tak, proszę pana. - Wells przywołał na twarz minę, która miała wyrażać głęboki namysł. - Nie będę tracił czasu na zbędne wstępy. Państwowy Instytut Energetyki to konsorcjum skupiające banki i zakłady przemysłowe. Właśnie owo konsorcjum chce zaoferować wam dużą sumę pieniędzy za posiadłość nazywaną Johnson's Ridge. Bardzo dużą sumę, proszę pana.

Walker zachował kamienną twarz.

- Chcecie państwo kupić tę posiadłość od razu?

- Tak. I gotowi jesteśmy dobrze za nią zapłacić. - Wells uśmiechnął się, ale był to sztuczny uśmiech, pozbawiony ciepła. Asekuracyjny. Redfern pomyślał, że Wells był jednym z tych dzieciaków, które od wszystkich dostają w skórę. - Wyłóżmy karty na stół - powiedział.

- Bardzo proszę.

- Panie przewodniczący, prawdopodobnie na Johnson's Ridge nie ma niczego, co przedstawiałaby jakąś realną wartość. Pan to wie. Ja to wiem. Przedstawiciele rządu byli już na miejscu i doszli do wniosku, że nie warto się tym zajmować. - Redfern wątpił w prawdziwość tej informacji. - Więc jest to strzał w ciemno. Ale być może znajduje się tam coś wartego uwagi, co może przydać się nam wszystkim; dlatego gotowi jesteśmy zapłacić za możliwość dokładnego zbadania tego obiektu. I, jak już mówiłem, bardzo dobrze zapłacić.

Ze swej czarnej walizeczki wyjął niebieski folder, a z kieszeni oprawioną w skórę książeczkę czekową i złote pióro.

- Może od razu przejdę do konkretów. Proponujemy pięć milionów. - Zdjął z pióra oprawkę. - Z takimi pieniędzmi można wiele zdziałać. Prawdę mówiąc, panie przewodniczący, chciałbym przyjechać tu znów za kilka lat i zobaczyć, jak zmienił się wasz rezerwat.

Walker nie spodziewał się aż tak wysokiej kwoty, zdołał jednak ukryć zaskoczenie. Spojrzał na Redferna, który nie zamierzał go wcale zachęcać do podpisania kontraktu. Uważał, że w tej chwili każda zaoferowana suma i tak byłaby za mała.

- Kilka korporacji wykazało już zainteresowanie tym terenem - powiedział przewodniczący. - Są chętni do budowy hoteli i restauracji. Disney chciałby urządzić w pobliżu park rozrywki. Proszę mnie nie posądzać o chciwość, panie Wells, ale na tym etapie pięć milionów nie jest już konkurencyjną kwotą.

Redfern był dumny ze swego zwierzchnika. Wells uniósł brwi.

- Rozumiem. Otrzymał pan już jakieś konkretne propozycje?

- O tak, bardzo korzystne. W dodatku ci ludzie chcą wydzierżawić nasz teren. Pan chciałby go zająć na zawsze. Gdybyśmy przystali na pańską propozycję, nie mielibyśmy nic prócz gotówki w ręce. W tych okolicznościach, doktorze Wells, musiałyby to być naprawdę spora suma.

Wells spojrział na swoją książeczkę czekową.

- Niełatwo ubić z panem interes, panie przewodniczący. Ale rozumiem pańskie racje. Ponieważ zostałem upoważniony do prowadzenia dalszych rozmów, pozwoli pan, że zapytam, co uważa pan za konkurencyjną ofertę?

Walker przymknął na moment oczy.

- A może przedstawi pan od razu swą ostateczną propozycję i oszczędzi nam obu kłopotu?

Wells nie był zachwycony takim rozwojem wydarzeń. Arky widział, jak zbiera się w sobie, niczym kiepski pływak przed skokiem na głęboką wodę.

- Pięćdziesiąt milionów - powiedział wreszcie tak słabo, że prawnik ledwo go dosłyszał.

- Bardzo dobrze - skinął głową Walker. - Płatne...? Redfern pochwycił jego spojrzenie. Nie rób tego.

- Dziesięć procent przy podpisaniu kontraktu. Reszta po przekazaniu ziemi. - Wells podał swoje pióro przewodniczącemu. - Więc jak, doszliśmy do porozumienia?

Tym razem Walker nie potrafił ukryć ogromnego zaskoczenia.

- Musi pan zrozumieć - usprawiedliwiał się - że nie mogę sam podejmować takiej decyzji. Tak istotne dla plemienia kwestie rozstrzyga cała rada.

- Oczywiście. Jednak pan Redfern zapewniał mnie, że ma pan spory wpływ na decyzje rady. Jestem pewien, że jeśli pan poprze ten wniosek, rada na pewno go przyjmie.

Walker próbował przywołać na twarz wyraz powątpiewania. Jednak nie potrafił. Wells uśmiechnął się, przekonany, że rada bez zastanowienia przyjmie jego ofertę.

- Myślę, że Arky przecenia moje możliwości. - Walker spojrział przez ramię na swego prawnika.

- Doktorze Wells, jeśli będzie pan łaskaw zostawić nas samych na minutę... I

- Oczywiście. - Wells uśmiechnął się do Redferna z cichą satysfakcją. „Ty sukinsynu”, mówiło jego spojrzenie. „Sporo mnie kosztowałeś, ale teraz już nie uda ci się go przekonać”. - Będę w pokoju obok - powiedział. Otworzył niebieski folder, zawierający gotowy już kontrakt, podsunął go Walkerowi i wyszedł z gabinetu.

Przewodniczący uśmiechał się od ucha do ucha. Z trudem powstrzymywał okrzyk radości.

- Radzę ci tego nie robić - powiedział Redfern.

- Dlaczego? - Zdumiał się rozpromieniony Walker. - Dlaczego nie mielibyśmy wziąć takich pieniędzy?

- Bo Rotunda nie będzie tracić na wartości. Dlaczego oferowaliby takie pieniądze, gdyby było inaczej?

- Być może nie jest warta funta kłaków. Być może skończyłoby się na tym, że sprzedawalibyśmy

tam koszulki. Posłuchaj Arky, nie potrzebujemy więcej niż pięćdziesiąt milionów. Wiesz, co moglibyśmy zrobić z takimi pieniędzmi? On ma rację. Taka forsa pozwoliłaby nam spać spokojnie do końca życia. Myślę, że nie powinniśmy być zbyt zachłanni. I to właśnie powiem radzie.

- Ten człowiek nie zamierza nam nic darować. Oferuje pięćdziesiąt milionów, bo myśli, że Rotunda warta jest więcej. O wiele więcej. Rada powinna poczekać na inne oferty. Myślę, że bylibyście zaskoczeni rezultatem.

Początkowy entuzjazm powoli opuszczał Walkera.

- Naprawdę chcesz, żebym zaproponował radzie odrzucenie takich pieniędzy? Kiedy możemy skończyć z niczym? Nawet gdybym był przeciwny tej ofercie i tak zostałbym przegłosowany. - Walker wziął głęboki oddech. - Daj mi jeden dobry powód. Jeśli taki masz.

Arky nie czuł się dobrze w tej sytuacji. Wiedział, że jeśli sprawy potoczą się niepomyślnie, cała odpowiedzialność spadnie na niego.

- Jeśli Wells i jego ludzie dostaną Rotundę w swoje łapy, będą traktować ją wyłącznie jako źródło dochodu. Kto wie, co z niej w końcu zostanie?

- Taki argument nie rzuci nikogo na kolana.

- Wiem o tym. Ale być może po raz drugi sprzedamy Manhattan.

- Chyba nie słuchałeś uważnie, Arky. On nie mówił o dwudziestu sześciu dolarach.

- Zgadza się. Ale pamiętaj, że mamy w ręku odkrycie, które może dać światu całą gamę nowych technologii. Być może droga do przyszłości biegnie dokładnie przez szczyt Johnson's Ridge. A ty chcesz się go pozbyć.

- Widziałbym to tak samo - powiedział Max. - Brać forszę i w nogi.

Arky był zdegustowany.

- Właśnie tak robią.

Arky rozprawiał się właśnie z porcją frytek i smażonej ryby. Razem z nim byli April i Max; siedzieli w bocznej sali restauracji w Langdon. „Szkuner Prerii” znajdował się w stanie permanentnego oblężenia, więc nie próbowali nawet tam wchodzić.

- Rada wyjdzie z założenia, że byłoby zbrodnią odrzucać tak hojną ofertę. Prawdę mówiąc, czuję się trochę niezręcznie, namawiając ich do tego. - Arky naprawdę wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. - Wyobrażacie sobie, co by się ze mną stało, gdyby rzeczywiście zrezygnowali z tych pieniędzy, a potem okazało się, że Rotunda jest nic nie warta?

- Oskalpowałiby cię? - spytał niewinnie Max. Arky udawał, że nie słyszy.

- Ale i tak nikt nie będzie się uczył z moim zdaniem. Wezmą pieniądze i w nogi. Dokładnie tak, jak mówicie.

- Do diabła - westchnęła April. - Jeśli Rotunda zostanie sprzedana, natychmiast nas stamtąd wyrzucą.

- Chyba nie ma co do tego żadnych wątpliwości - powiedział Max. Wsłuchiwał się w szmer toczonych dokoła rozmów, brzęk talerzy, wybuchy śmiechu.

- Arky, nie mogę pogodzić się z myślą, że kiedy oni będą dokonywać kolejnych odkryć, ja będę musiała siedzieć w domu - mówiła April.

Prawnik obdarzył ją pełnym współczucia spojrzeniem.

- Wiem. Ale ta sprawa naprawdę zależy od mnie tylko w bardzo niewielkim stopniu.

- Hę mamy czasu? - spytała April.

- Ludzie Wellsa na pewno gotowi są w każdej chwili przystąpić do pracy, czekają tylko na podpisanie kontraktu. Specjalne zebranie rady ma odbyć się jutro po południu. Jeśli zaakceptują

oferę, a zrobią to na pewno, Wells wykona jeden telefon, a wasz udział w pracach na Ridge przejdzie do historii.

*Diabelskie Jezioro, Północna Dakota, 15 marca*

*Jak podają dobrze poinformowane źródła, dzisiaj przed południem jedno z wielkich konsorcjów przemysłowo-bankowych zaoferowało Siuksom znad Diabelskiego Jeziora sto milionów dolarów za posiadłość na Johnson's Ridge, gdzie znajduje się tak zwana Rotunda, obiekt archeologiczny niewiadomego pochodzenia. Rada plemienia zwołała na jutrzejsze popołudnie specjalne zebranie, na którym rozpatrzona zostanie oferta konsorcjum. Suma oferowana za działkę na Johnson's Ridge była kilkakrotnie powiększana w ciągu ostatnich dni. Obie zainteresowane strony odmówiły jakichkolwiek komentarzy.*

Kiedy powrócili do „Gwiazdy Północy”, w recepcji czekała na Maksa paczka.

- Filtry - wyjaśnił. - Do kamery. Może uda nam się zobaczyć dokładniej, co dzieje się z tym światłem na dysku.

W ponurych nastrojach rozeszli się do swoich pokoi. Jednak dziesięć minut później April zapukała do drzwi Maksa.

- Wejź - zaprosił ją - właśnie chciałem do ciebie zadzwonić. April była mocno podenerwowana.

- Co robimy?

W pokoju było tylko jedno krzesło. Max zostawił je dla April, a sam usiadł na łóżku.

- Chyba niewiele możemy zrobić. Nie damy rady przebić takiej kwoty.

- Max - gorączkowała się April. - Co znaczy te pięćdziesiąt milionów, kiedy być może znaleźliśmy przejście do innego świata? - Z trudem wydusiła z siebie te słowa, jakby mówiła o duchach. - Krzesło nie rozpląnęło się w powietrzu. Ono zostało gdzieś przeniesione.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. - Potarła ze znużeniem czoło. - Wiesz, że tam jest siódma ikona?

- Nie - zdziwił się Max. - Gdzie?

- Obok kanału. Tam gdzie cumowali jacht. Przypomniawszy sobie to miejsce.

- Na jednym z pachołków?

- Tak. Wygląda jak japońska litera. Nie świeci się, kiedy jej dotykam. Próbowaliśmy nawet włożyć krzesło do kanału, ale to i tak nie działa. Jestem prawie pewna, że oni właśnie tak przenosili łódź. Bezpośrednio skądś tam.

Max pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie potrafię uwierzyć. Mówisz jak te potwory ze „Star Trek”. Przetraszuj mnie, Scotty.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w wycie wiatru za oknami.

- Myślę, że naprawdę tak jest, Max.

- No cóż, spróbuj to udowodnić. Wydaje się, że te ikonki działają tylko raz. Jaką wartość ma środek transportu, który działa tylko w jedną stronę?

April podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami.

- Wydaje mi się, że one działają tylko raz, bo te rzeczy, które tam wysłaliśmy, blokują stacje przesyłowe. Ktoś musi je przesunąć i oczyścić dysk po drugiej stronie. W innym wypadku system nie działa.

- Najbardziej karkołomna hipoteza, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- Max, widzieliśmy jak znikła to krzesło. Ono zniknęło. Nie wybuchło, nie zmieniło się w popiół.

Zostało gdzieś przeniesione. Pytanie, gdzie?

Uparcie kręcił głową.

- Myślę, że to czyste szaleństwo.

• - Może. - April wzięła głęboki oddech i powoli wypuszczała powietrze. - Uważam, że lepiej będzie jeśli powiemy o tym Arky'emu.

- Chcesz mu powiedzieć, że odkryliśmy przejście do innego wymiaru? Na Marsa? Powie ci to samo, co mówię ja. Że to idiotyzm.

W jej oczach kryła się bezgraniczna rozpacz.

- Nie pomyśli tak, jeśli przeprowadzimy dla niego demonstrację.

- Jaką demonstrację? Możemy pokazać mu jedynie znikające przedmioty. To jeszcze niczego nie dowodzi.

Żadne z nich nie chciało wypowiedzieć na głos tego, co wydawało się oczywiste.

*Radości pełni wypływamy na bezkresne morze,  
Niestraszne nam obce brzegi.*

Walt Whitman, „Podróż do Indii”

APRIL MOCNO ZACISNĘŁA POWIEKI. Wiatr niezmordowanie dobijał się do okien. Była zdenerwowana, ale też i święcie przekonana o słuszności swojej teorii, i właśnie to przekonanie wyzwało w niej chęć działania.

Słyszała jak przed motel zajechał jakiś samochód. Trzasnęły drzwi, ktoś głośno rozmawiał.

Gdyby miała więcej czasu, mogłaby wymyślić jakiś test, który pozwoliłby zminimalizować ryzyko. Westchnęła cicho. Wóz albo przewóz.

Za ściany dobiegał bełkot telewizora.

Co mogło jej grozić?

Może umrzeć, ulec całkowitej dezintegracji. Ale na dysku nie został nawet kawałeczek krzesła, nic nie wskazywało na to, by zostało choćby uszkodzone. Po prostu zniknęło. Przeniosło się gdzieś.

Może znaleźć się w nieprzyjaznym środowisku. Na przykład w atmosferze metanowej. Ale nieznanymi goście prawdopodobnie świetnie czuli się w Północnej Dakocie. Ten świat po drugiej stronie, gdziekolwiek by on był, na pewno przypominał Ziemię.

Może zostać po tamtej stronie i nigdy już nie wrócić. Ale kto słyszał kiedy o łączu, które działa tylko w jedną stronę?

O północy napełniła termos kawą, włożyła do plastikowej torebki kilka kanapek i owoce. Załadowała film do aparatu i założyła kurtkę z napisem „Minneapolis Twins”. Była z siebie naprawdę zadowolona. Czterdzieści minut później minęła policyjną blokadę na drodze dojazdowej i wjechała na urwisko. Blask wiszący nad Rotundą wydawał jej się jaśniejszy niż zazwyczaj. Zastanawiała się, ile jeszcze wytrzymają baterie, z których czerpał energię cały budynek. Pomyślała, że od następnego wieczora powinni zacząć mierzyć natężenie światła.

Było zimno, kilkanaście stopni poniżej zera. Zaparkowała tuż przed bramą ogrodzenia, zgasła silnik i wyjęła ze skrytki notes. Przez kilka minut siedziała w milczeniu, zastanawiając się, co powinna napisać. Kiedy skończyła, odłożyła otwarty dziennik na siedzenie pasażera, zabrała latarkę i wysiadła.

Jeden ze strażników, mężczyzna w średnim wieku, którego znała tylko z imienia, pojawił się w drzwiach stróżówki.,

- Dobry wieczór, doktor Cannon - przywitał ją uprzejmie. - Zapomniała pani czegoś?

- Nie, Henry. - Para wypływająca z jej ust błyszczała w żółtym świetle zainstalowanych niedawno lamp sodowych. - Nie mogłam spać. Pomyślałam, że przyjadę tutaj i zrobię coś pożytecznego.

Ochroniarz spojrzął na zegarek, jakby chciał wyrazić w ten sposób swoją dezaprobatę.

- Dobrze - powiedział. - Prócz pani nie ma tu nikogo. To znaczy z personelu.

April skinęła głową.

- Dziękuję.

Henry zniknął we wnętrzu baraku. April przeszła przez bramę i skierowała się bezpośrednio do Rotundy. Po chwili była już w środku.

Nocą kopuła wyglądała jak mozaika ciemniejszych i jaśniejszych plam, układanka zielonych i

czarnych figur. Światło towarzyszyło April, rozpalając podłogę pod jej stopami i gasząc tam, gdzie już przeszła. Gdy stanęła przed dyskiem, on także rozjarzył się ciepłym, miłym dla oka blaskiem, jakby zachęcał ją do tego, co zamierzała zrobić.

Zawahała się. Cieszyła się, że nie ma z nią Maksa, bo wówczas nie mogłaby się już wycofać. I aż do tej chwili była przekonana, iż na pewno to zrobi, że się wycofa. Teraz jednak niemal zapomniała o strachu. Tam coś było, czekało na nią. Oświetlony dysk wyglądał jednocześnie zachęcająco i bezpiecznie. Czas ruszać w drogę.

Włączyła latarkę i zbliżyła się do ikon. Do cyngli.

Dotknij ikony i w ciągu dwudziestu trzech sekund zajmij miejsce na dysku.

Spojrzała na strzałkę, na dwa pierścienie i literkę G.

Strzała.

Wysunęła niepewnie rękę i dotknęła ściany. Delikatnie, koniuszkami palców. I nacisnęła.

Strzała zapłonęła zielonym blaskiem.

Wzięła głęboki oddech, przeszła przez pustą salę i wstąpiła na dysk. Kanał, którym niegdyś do Rotundy wpływał jacht, ginął w mroku. Po przeciwnej stronie kopuły panowały nieprzeniknione ciemności, jakby noc objęła już tamto miejsce w swoje posiadanie. April poprawiła pasek aparatu i ten zwykły, przyziemny gest niespodziewanie dodał jej otuchy. Zasunęła kurtkę pod samą szyję i czekała, całą siłą woli walcząc z nagłą pokusą, by zeskoczyć z dysku.

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy dzwonek telefonu wyrwał Maksa z głębokiego snu. Przewrócił się na drugi bok, po omacku odszukał słuchawkę i podniósł ją do ucha.

- Słucham.

- Pan Collingwood? Mówi Henry Short. Z posterunku przy bramie.

Max natychmiast otrząsnął się ze snu.

- Tak, Henry. O co chodzi?

- Nie możemy odnaleźć doktor Cannon. Max odetchnął z ulgą.

- Jest tutaj, śpi w pokoju obok.

- Nie, proszę pana. Przyjechała około wpół do pierwszej. Weszła do Rotundy. Ale teraz jej tam nie ma.

Max spojrzał na zegarek. Trzecia piętnaście.

- Sprawdziliśmy w innych budynkach. Nigdzie jej nie ma. Nie wiemy, jak to się mogło stać.

- Czy jej samochód nadal tam stoi?

- Tak, proszę pana. Na pewno nie wychodziła tą bramą. Max nie miał zielonego pojęcia, co mogło stać się z April. Dla niego rozmowa sprzed kilku godzin, ze wszystkimi jej implikacjami i niedopowiedzeniami, była czysto hipotetyczna. - Henry, przeszukaliście wszystkie pomieszczenia w Rotundzie?

- Szukaliśmy wszędzie.

- Dobrze. Wezwijcie policję. Już tam jadę.

Odłożył słuchawkę i zadzwonił do pokoju April. Nikt nie odebrał. Przez chwilę wpatrywał się tępo w telefon i w końcu dotarła do niego świadomość tego, co mogło stać się w Rotundzie. Naprawdę przestraszony, szybko narzucił na siebie jakieś ubranie, zbiegł do samochodu i ruszył na Johnson's Ridge. Powinien był powiedzieć Henry'emu, żeby sprawdzili dobrze kanał. Może tam wpadła. Ochroniarze mogli łatwo przeoczyć ją w ciemności.

Wziął do ręki telefon komórkowy i wybrał numer posterunku przy bramie. Tym razem usłyszał inny głos. George'a Wolna Woda.

- Jak wam idzie? - spytał.

- Ciągłe nic nie wiemy. Policja jest już w drodze. - Długa chwila ciszy. - Max, jeśli ona wyszła na zewnątrz, długo nie wytrzyma. Jest zimno.

- Wiem. Szukaliście w kanale?

Po drugiej stronie nastąpiła krótka wymiana zdań.

- Tak, szukaliśmy - zapewnił go po chwili George. - Aha, jeszcze jedno, panie Collingwood. Znaleźliśmy coś w jej samochodzie. Wiadomość dla pana. Leżała na przednim siedzeniu.

- Dla mnie? - Strach ścisnął mu żołądek. - Co tam jest napisane?

- Chce pan, żebym przeczytał?

- Tak, George, proszę.

- Dobrze. Więc... momencik, strasznie słabe światło... Tu jest napisane; „Drogi Max, idę za strzałą. Skoro to czytasz, stało się coś nieprzewidzianego. Przepraszam. Dobrze mi się z tobą pracowało”. - George odchrząknął. - O czym ona mówi?

Światła samochodu zniknęły na moment w ciemności.

- Nie jestem pewien - odrzekł. Ale wiedział.

*„Człowiek w białym garniturze” ma się świetnie. Jeśli pamiętacie państwo ten klasyczny brytyjski film, w którym Alec Guinness gra rolę genialnego wynalazcy materiału niemnącego się i odpornego na brud, rozumiecie doskonale, co dzieje się obecnie w przemyśle tekstylnym, wartość zakładów produkujących tekstylia maleje systematycznie od dnia, w którym po raz pierwszy pojawiły się plotki o możliwości wytworzenia takiego właśnie niezniszczalnego materiału. Uчени eksperci twierdzą, że zaadaptowanie do naszych potrzeb technologii z Rotundy, które to technologie pozwalają na tworzenie superwytrzymałych tworzyw, jest tylko kwestią czasu. Nikt nie potrafi przewidzieć, co stanie się wtedy z naszą gospodarką. Już teraz pracę straciło kilka tysięcy osób, a cały przemysł znalazł się w stanie chaosu. W naszej gazecie niejednokrotnie powtarzaliśmy, że nie jesteśmy zwolennikami interwencji rządu. Jednak w tym przypadku chyba nadszedł już czas.*

*(Artykuł wprowadzający, „Wall Street Journal”)*

Kiedy Max wszedł do Rotundy, był wściekły na April Cannon. Postawiła go w okropnej sytuacji. Wyrzucał sobie w duchu, że nie przewidział, co może się zdarzyć i nie próbował temu zapobiec.

Co, do diabła, miał teraz zrobić?

Rotunda wydała mu się wyjątkowo ponura, wręcz odpychająca.

Henry Short czekał nań z dwoma policjantami. Jeden z nich zaglądał do kanału. Był bardzo młody, ledwie po dwudziestce. Miał jasne włosy, pociągłą twarz o kwadratowej szczęce i wydatny nos.

Jego partner, łysy i nerwowy, na widok Maksa przerwał rozmowę z George'em Wolna Woda.

- Przepraszam, pan Collingwood?

- Tak, to ja - odparł Max.

- Zastępca szeryfa, Remirov - powiedział policjant, wyciągając przed siebie notes, w którym Max rozpoznał własność April. - Co to znaczy „Idę za strzałą”?

- Co to za strzała? - spytał młodszy mężczyzna. Max zawahał się przez moment.

- Nie wiem.

Remirov nie wyglądał na zadowolonego.



- Nie ma pan najmniejszego pojęcia, co chciała przez to powiedzieć?

- Nie - pokręcił głową Max. - Najmniejszego. Policjant nie wierzył mu ani trochę.

- Dlaczego miałyby napisać do pana coś, czego pan nie rozumie? - spytał ze złością.

Max skrzywił się lekko. Nie potrafił kłamać. Szczególnie nie chciałby okłamywać policjantów.

Rzadko miewał z nimi do czynienia i czuł się w ich obecności dość niepewnie.

- Po prostu nie wiem - wzruszył ramionami. Rozdrażniony Remirov odwrócił się do George'a.

- Jest pan pewien, że nie wyszła przez bramę? Ktoś mógł jej nie zauważyć.

' - Na bramie jest kamera - powiedział George.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Przypuszczam, że nie jest to niemożliwe. Ale zawsze ktoś siedzi przed monitorami.

- Więc tak naprawdę wcale pan tego nie wie - podsumował Remirov.

- Musiałbym przeglądać taśmy.

- Więc może to zrobimy? - zaproponował policjant z przesadną uprzejmością.

Max został w Rotundzie i poszedł przyjrzeć się z bliska dyskowi. Nie zauważył niczego, co mogłoby potwierdzić jego przypuszczenia. Żadnych śladów, znaków.

W kopule pojawił się Redfern, ubrany w skórzaną kurtkę i ciężkie, zimowe buty. Przed wejściem rozmawiał jeszcze przez chwilę z George'em i policjantami.

- Chcą rozpocząć poszukiwania - powiedział, przywitawszy się z Maksem.

- To dobrze. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli.

- Goerge powiedział mi, że zostawiła dla ciebie wiadomość - odezwał się wreszcie prawnik, przerywając nieprzyjemną ciszę. - Max, gdzie ona jest?

- Przypuszczam, że nie żyje - odparł Max. Wypowiadając głośno to, o czym myślał od chwili, gdy dotarła do niego wiadomość April, odsuwał od siebie tę możliwość, czyniąc ją przez to jakby mniej realną.

Redfern zacisnął zęby.

- Jak to?

Max myślał przez moment o demonstracji, ponieważ jednak każda z ikon działała tylko raz, zrezygnował z tego zamiaru. Pokazał Arky'emu ikonki i dysk oraz wyjaśnił, co jego zdaniem wydarzyło się w Rotundzie.

- To - wyciągnął rękę, wskazując bezpośrednio na najwyższą ikonkę w drugiej kolumnie - jest właśnie strzała.

- Chcesz powiedzieć, że to urządzenie służy do anihilacji, i że ona użyła go na sobie samej?

- Tak sędzę - przytaknął Max.

- Cholera. Czy wy nie macie za grosz rozsądku?

- Hej, spokojnie, ja nie miałem pojęcia, co ona chce zrobić.

- Tak. No cóż, może powinieneś być słuchać jej uważniej. Max chciał zaprotestować, ale Arky zbył go machnięciem ręki.

- Później zastanowimy się, kto jest temu winny. April myślała, że przeniesie się w jakieś inne miejsce. Jak zamierzała wrócić?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym szczegółowo. Zakładam jednak, że spodziewała się znaleźć po drugiej stronie podobne urządzenie. Jeśli jest jakaś druga strona.

Arky zwrócił się do George'a, który do nich dołączył.

- Mówisz, że kiedy to było?

- Przeszła przez bramę o wpół do pierwszej. Arky spojrzął na zegarek. Dziesięć po czwartej.

- Chyba możemy spokojnie założyć, że sama już stamtąd nie wróci. - Skrzyżował ręce na

piersiach. - Więc co z tym zrobimy? - spytał oskarżycielskim tonem.

Max czuł się jak idiota. A niech cię, Cannon.

Twarz Arky'ego była ciemna, jakby nabiegła krwią. Kąciki jego ust i oczu lekko drgały, wyraźnie toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Może najlepiej będzie, jeśli rzeczywiście to sprzedamy. Ludzie giną tutaj zbyt łatwo. - Prawnik opuścił ręce i ruszył do wyjścia. - Pozwolimy policji prowadzić poszukiwania. Może jednak wyszła stąd i zablądziła w lesie. - Zawahał się na moment. - Max...

-Tak?

- Chciałbym, żebyś obiecał mi, że nie zrobisz tego samego co ona.

Prośba Redferna wprawiała go w zakłopotanie. Max Collingwood nigdy nie popełniłby podobnego głupstwa. Jednak w jakimś ciemnym zakamarku swego umysłu czuł się dumny i zadowolony z faktu, że zdaniem Arky'ego byłby zdolny do takiego czynu.

- Nie - obiecał mu solennie. - Nie zrobię tego. Jakiś grymas wykrzywił na moment twarz prawnika.

- To dobrze - powiedział. - Zaczniemy już poszukiwania. Tymczasem spróbuj znaleźć adres jej najbliższej rodziny.

Najbliższa rodzina? Max zdał sobie sprawę, jak mało wie o April Cannon. Będzie musiał spytać o to w laboratoriach Colson.

Arky zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

- Max, czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie — pokręcił głową Max. - Przynajmniej nic takiego, o czym ja wiem.

Collingwood wysłuchiwał kolejnych raportów ekip poszukiwawczych. Na niebie pojawiły się pierwsze smugi światła, zapowiadające nadejście nowego dnia. Mała dziewczynka z kręconymi włosami znów patrzyła na niego z okna samolotu. Myślał, że pozbył się już tego wspomnienia. Pogrzebał je.

Lubił April Cannon i nie mógł pogodzić się z myślą, że odeszła, zniknęła w jakiejś ciemnej krainie Nigdy-Nigdy. Na wszystkich czterech monitorach widniał zatrzymany obraz znikającego krzesła, pionowe linie ledwo widoczne na tle zielonej ściany.

Te linie mogły być wynikiem głupiego przypadku: uszkodzenia filmu czy chwilowego odbicia. A może był to obraz jakiegoś innego miejsca. Pionowe kreski przypominały kolumnę. Wyobrazil sobie drewniane krzesło postawione w portyku greckiej świątyni.

Jeśli rzeczywiście był to jakiś system transportu, musiał działać w obie strony. Więc dlaczego nie wracała?

Bo system był stary. W końcu dym w ogóle nie działa]/Po prostu utknęła tam i nie mogła wrócić.

Nagle zdał sobie sprawę, że może bardzo prosto to sprawdzić. Założył filtr do kamery, znalazł jakąś łopatę, nabrał na nią śniegu i wrócił do Rotundy. Budynek był pusty; wszyscy szukali April na okolicznych wzgórzach. Max szedł powoli po zasłanej kurzem podłodze. Pomyślał, że po raz pierwszy jest tutaj całkiem sam.

Wysypał śnieg na środek dysku. Potem ustawił kamerę na krzesle i uruchomił ją.

Nacisnął ikonkę ze strzałką. Zaświeciła się.

Max odsunął się o krok, obserwując kupkę śniegu i mimowolnie odliczając sekundy.

Nad dyskiem pojawił się najpierw mały świecący punkt, który rozrastał się coraz szybciej do rozmiarów złotej kuli. Kiedy kula osiągnęła największą objętość, była już tak jasna, że musiał odwrócić wzrok. Potem nagle zgasła.

Śnieg zniknął. Na dysku nie pozostała nawet kropla wody. Dobrze. Zabrał kamerę, pobiegł do furgonetki i włożył kasetę do odtwarzacza.

Najpierw odtworzył ją w normalnym tempie, by mieć pewność, że wszystko się nagrało. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Tuż przed zniknięciem śnieg stał się całkiem przezroczysty.

Przewinał taśmę i puścił ją od początku. Kiedy na ekranie pojawił się złoty punkt, zatrzymał magnetowid i odtwarzał film obraz po obrazie. Świetlisty punkt był coraz jaśniejszy, rozszerzał się, przybierał formę złotego obłoku. W jego wnętrzu migotały jaśniejsze gwiazdki. Wyglądało to niemal tak, jakby światło szukało śniegu. Po chwili złote macki ogarnęły białą kupkę, która od tej chwili zaczęła blednąć, stawała się przezroczysta. Z każdym obrazem była mniej wyraźna, choć zachowała oryginalny kształt. Kiedy zniknęła już niemal całkowicie, na ekranie pojawił się inny przedmiot.

Max zastygł w bezruchu.

Patrzył na pozbawiony głowy tułów. Zniekształcony, o bezwładnych, jakby wyłamanych ramionach.

Ogarnęło go nagle poczucie ogromnej straty. Kiedy do oczu napłynęły mu łzy bezsilnej złości i rozpacz, zrozumiał, że to może być tylko jej kurtka.

To była tylko jej kurtka.

„Minnesota Twins”. Dostrzegł wyraźny napis. Ale i coś jeszcze. Jakiś przedmiot o cylindrycznym kształcie zwisał z kołnierza kurtki.

Latarka. Należała do April.

Wyglądała na uszkodzoną.

Była to jedna z tych plastikowych tanich latarek, jakich używali na terenie wykopalisk. Ale co się z nią stało?

Zastanawiał się nad tym przez kilka minut. Co zrobiłby na jej miejscu, gdyby uwięziony został po drugiej stronie, gdziekolwiek byłaby ta druga strona? Próbowałby wysłać wiadomość.

„Jestem tutaj”.

I... co?

„Latarka jest zepsuta?”

Wziął głęboki oddech.

„Coś jest zepsute”.

„Urządzenie przesyłające jest zepsute”.

Zadzwonił do Arky'ego.

- Ona to naprawdę zrobiła - powiedział. - Ten dysk jest kanałem przerzutowym, przejściem.

- Skąd wiesz?

- Widziałem jej kurtkę po drugiej stronie. Mam to nagrane.

Prawnik milczał przez chwilę, jakby nie mógł wydobyć z siebie głosu. Max wyobrażał sobie, jak potrząsa głową, próbuje ogarnąć to wszystko myślami.

- Jesteś pewien?

- Tak. Jestem pewien.

- Więc co teraz zrobimy?

Niestety, odpowiedź była całkiem oczywista.

- Musimy pojechać do sklepu z narzędziami.

Wyciągnęli właściciela z łóżka i kupili od niego generator, dwa galony benzyny, woltomierz, wiertarkę elektryczną i kilka drobiazgów, które zawieźli do Rotundy. Max za pomocą wiertarki usunął fragment tylnej ściany.

Za ścianą znajdował się płaski, prostokątny kryształ, umocowany w specjalnej ramce.

Wielkością dorównywał kartce papieru listowego, tyle że miał ćwierć cała grubości. Był półprzezroczysty, poznaczony w kilku miejscach ciemniejszymi, jakby nadpalonymi plamkami. Wiązka kolorowych kabli łączyła to urządzenie z ikonami w ścianie.

- To pewnie coś w rodzaju centralnego obwodu - powiedział Max.

Arky był przerażony.

- Nie możemy naprawić czegoś takiego - powiedział.

- Zależy od rodzaju uszkodzenia. Jeśli zepsuło się coś we wnętrzu kryształu, to pewnie nie. Ale może chodzi tylko o poluzowany kabel. Albo brak zasilania. - Wzruszył ramionami. - Nie chciałbym budować tego od podstaw, ale wbrew pozorom mechanizm nie jest aż tak bardzo skomplikowany.

- Chyba nie może chodzić o brak zasilania - powiedział Arky. - Gdyby tak było, April w ogóle by się nie przeniosła.

- Pewnie masz rację, Arky. Ale kto wie? Zobaczmy, co tu jeszcze jest. - Usunął kawałek ściany za kryształem.

Z tyłu kryły się jeszcze inne kable. Część niknęła pod podłogą, inne biegły do góry. Kilka z nich połączonych było w pęk.

- Któryś z nich jest kablem zasilającym - powiedział Max. - Mogę się założyć, że te w pęku uruchamiają mechanizm. Czymkolwiek i gdziekolwiek on jest.

- Rozszyfrowanie tego wszystkiego zajmie nam pewnie sporo czasu - zmartwił się Arky.

- Może nie będzie takiej potrzeby. - Max uklęknął na gumowej macie i wziął do ręki kabel, który jego zdaniem prowadził do źródła zasilania. Pociągnął go lekko. Uśmiechnął się radośnie, kiedy kabel wysunął się delikatnie ze złącza, jakby to zostało oczyszczone i naoliwione przed kilkoma godzinami.

- Dobra. Podaj mi woltomierz - powiedział do Arky'ego.

Niełatwo było dostać się do kabla i po kilku nieudanych próbach musiał poszerzyć dziurę w ścianie. W końcu jednak dokonał pomiaru.

- Prąd stały - oznajmił. - Osiemdziesiąt dwa wolty.

- To dosyć dziwna wartość - zauważył Arky.

- Nie sądzę, żeby stosowali się do naszych norm.

Arky wlał benzynę do baku generatora. Wyregulował przepływ paliwa, rozmontował uniwersalne złącze i ustawił je tak, by dało się włożyć do gniazdka z tyłu kryształu. Kiedy już połączył przewód generatora z kryształem, Max nacisnął strzałkę. Ikonka zaświeciła się.

- Dobra - westchnął. - Chyba trzeba zbierać się do drogi.

Jeszcze przed chwilą niemal pragnął, by urządzenie nie zadziało. Wtedy mógłby usprawiedliwiać się przed samym sobą, że nie ma sensu ryzykować. Jednak teraz znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Zastanawiał się, czy starczy mu odwagi, by stanąć na dysku.

Odłączył zasilanie i włożył na miejsce oryginalny kabel. Potem ustawił na dysku skrzynkę z narzędziami i generator. W ręce trzymał notes i duży pisak.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy to robić - powiedział Arky. - Jeśli coś ci się stanie, stracę licencję. - Uśmiechnął się szeroko do Maksa, a ten zrozumiał nagle, że zyskał jego szacunek. Pomyślał, że choćby dlatego warto było ryzykować.

- Po co bierzesz te papiery? - zapytał prawnik.

- Komunikacja - wyjaśnił Max, podnosząc czarny pisak. - Jeśli utkniemy tam oboje, jeśli maszyna nie zadziała, wyślę ci wiadomość.

Sztywnym krokiem wszedł na dysk i zamknął oczy. Potem celowo i powoli je otworzył.

- Dobra, Arky - powiedział. - Naciśnij ten cholerny guzik.



*Nieprzebyte morza, nieznane brzegi...*

William Szekspir, „Opowieść zimowa”

ŚWIAT NAPEŁNIŁ SIĘ BLASKIEM. Półokrągłe ściany stały się przezroczyste, przepuszczając białoniebieskie światło słoneczne. Fioletowe wzgórza zlewały się ze sobą, to znów były całkiem wyraźne. Podłoga odsunęła się od niego, zawisł w powietrzu, nie spadał, lecz kołysał się nad ziemią. Nagle dostał zawrotów głowy. Potem upadł na twardą ziemię...

Patrzył na napis „Minnesota Twins”. Kurtka wisiała na złamanej gałęzi drzewa, opartej o szklaną ścianę.

Znajdował się we wnętrzu kopuły, u podnóża jakiegoś pagórka. Dokoła rozciągał się las, który ujrzał przez moment, kiedy zaczęła się transmisja. Tyle że teraz widział go całkiem wyraźnie. I nie przypominało to żadnego lasu, jaki kiedykolwiek miał okazję zobaczyć.

Przede wszystkim wcale nie był zielony. Większość roślin miała barwę ciemnofioletową. Ogromne białe i żółte kwiaty zwieszały się z drzew, których pnie przypominały ludzkie postacie, ofiary okrutnych bogów, przykute na zawsze do ziemi. Powyginane grube gałęzie uginały się pod ciężarem krągłych czerwonych i żółtych owoców. Ziemię pokrywała gruba warstwa liści.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem, trudno jednak było określić, czy dzień właśnie się rozpoczął, czy też nadchodzi już noc.

Kopuła została wykonana prawdopodobnie z czystego szkła. Jej drzwi stały otworem. Grunt na zewnątrz znajdował się co najmniej o stopę wyżej niż podłoga pomieszczenia. Co to mogło oznaczać? Że kopuła, podobnie jak Rotunda, była już od dawna porzucona?

W lesie panowała względna cisza, zakłócana tylko brzęczeniem owadów i trzepotem skrzydeł. Gdzie była April?

Na pewno nie odeszłaby stąd z własnej woli. Chyba że ktoś ją do tego zmusił. Max starał się odsunąć od siebie tę myśl, wciągając do płuc ciepłe, słodkie powietrze.

Otworzył szerzej drzwi. Szklana tafla ugrzęzła w trawie. Max podskoczył, a potem uśmiechnął się do siebie, rozbawiony własną strachliwością.

Kiedy przybyła tu April, drzwi (najwyraźniej nieużywane od długiego już czasu) zablokowane były od zewnątrz ziemią. April zdjęła je więc z zawiasów.

Max wyszedł na zewnątrz. Jakiś wielki ptak przemknął po niebie i zniknął między drzewami. Z dala dolatywał szum fal.

Zawołał April. Jediną odpowiedzią był jakiś nieartykułowany ptasi wrzask.

Gdzie ona się podziewała, do diabła?

Przez chwilę przyglądał się zmierzwionej trawie, krzakom i drzewom wokół kopuły. Budynek stał na skraju polany, a trawa i krzewy były na tyle niskie, że nie przeszkadzały w chodzeniu. April mogła więc pójść w każdym kierunku.

Wrócił do wnętrza kopuły. Budynek przypominał wielką szklaną bańkę o idealnie okrągłej podstawie, której średnica mierzyła dwanaście stóp. Najwyższy punkt kopuły był położony nieco niżej niż wierzchołki pobliskich drzew. Na środku podłogi znajdował się okrągły dysk tej samej wielkości co kamienny krąg w Rotundzie. Obok niego wznosił się słupek, na którym widniały trójwymiarowe, brunatne ikonki. Przedstawiały symbole różne od tych, jakie znajdowały się w Rotundzie (z jednym wyjątkiem), choć wykonane zostały w tym samym stylu.

Tym jedynym wyjątkiem był wizerunek jelenia. Bilet do domu. Dotknął go, bardzo delikatnie, potem mocniej nacisnął.

Nic się nie stało.

Wyobraził sobie, jak musiała czuć się April, stojąc w tym samym miejscu, bezskutecznie próbując uruchomić system.

Spojrzał niepewnie na ikonki. Być może April przeniosła się na inny dysk, w jeszcze inną rzeczywistość. Może liczyła na to, że tam znajdzie drogę do domu.

Była to dość ponura perspektywa.

Jednak przejście w kolejny wymiar stanowiłoby akt desperacji. April zostawiła swoją kurtkę. W rzeczywistości była to wiadomość, mówiąca; „Jestem tutaj. Przyjdź po mnie”.

Tym razem miał do dyspozycji osiem ikon. Pięć z nich przedstawiało figury geometryczne, szósta przypominała kwiat, siódma rozpostarte skrzydła.

Siedem nowych światów. W co oni się wpakowali?

Rozejrzał się jeszcze raz po lesie, sprawdzając, czy nic mu nie grozi. Przede wszystkim musiał uruchomić system transportowy, otworzyć im obojgu drogę powrotną.

Dysk został wykonany z dziwnego materiału, przypominającego twardą gumę. Środkowa część była nieco podniesiona w stosunku do krawędzi.

Max otworzył skrzynkę z narzędziami, wyciągnął wiertarkę i zaczął rozmontowywać słupek z ikonami. Tym razem musiał się porządnie namęczyć i dopiero po czterdziestu minutach dostał się do jego wnętrza. Do tego czasu wiedział już na pewno, że słońce zachodzi, a nie wstaje.

W środku słupka znalazł prostokątny kryształ, podobny do tego z Rotundy. Na razie wszystko szło po jego myśli. Kabel zasilający był cały. Sprawdził okablowanie za ikonkami. I tutaj zastał to samo co na ziemi: kolorowe kable odchodzące od ikonek tworzyły pęk, który znikał w podłódze. Brakowało jednak trzech przewodów; trzy ikonki w ogóle nie były podłączone. Niestety, głowa jelenia nie należała do tej trójki.

Spojrzał na kryształ z niepokojem. Jeśli problem leżał w technologii, Max nie miał żadnych szans.

Wysokość słupka wynosiła około dziesięciu stóp. Zwęzał się ku górze, potem wyginał lekko, nachylając się nad dyskiem, a na samym końcu ponownie rozszerzał tworząc bursztynową soczewkę. Od tyłu przymocowana była doń niewielka drabinka. Max wziął do ręki wiertarkę, wszedł na drabinę i rozwiercił słupek tuż poniżej soczewki. Pęk przewodów znowu się rozdzielał, a każdy z nich podłączony był do innego złącza. Biały kabel odchodzący od głowy jelenia poluzował się i wysunął z gniazdka.

Max włożył przewód na miejsce, zacisnął złącze, a potem na wszelki wypadek zakleił całość taśmą izolacyjną. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Wyrwał kartkę z notesu i napisał na niej:

*Arky!*

*Jestem cały i zdrowy. Apńl gdzieś poszła, spróbuję ją odnaleźć. Czekaj cierpliwie.*

Zdjął zepsutą latarkę i kurtkę z gałęzi opartej o ścianę. Włożył wyrwaną z notesu kartkę do kieszeni, tak by jej brzeg wystawał na zewnątrz, i położył kurtkę na dysku. Kiedy skończył, wziął głęboki oddech i nacisnął głowę jelenia. Ikonka zaświeciła się, a po dwudziestu trzech sekundach nad dyskiem rozblęśta złota plamka. Po chwili kurtka zniknęła w kuli złotego światła.

Bingo.

Na drugiej kartce napisał inną wiadomość i przykleił ją taśmą do drzwi.

*April!*

*Jestem tutaj. Proszę, nie ruszaj się z tego miejsca. Poszedłem Cię szukać, wrócę za kilka minut.*

*Max*

Wzgórze, na którego zboczu stała kopuła, prawdopodobnie nie było dziełem natury. Na dół prowadziły bowiem zniszczone kamienne schody. Max schodził po nich ostrożnie, żałując w duchu, że nie zabrał ze sobą broni. Pułkownik byłby zgorszony.

Zawołał April jeszcze raz. Odpowiedziało mu tylko echo.

Rozzłościło go to i zaniepokoiło. Na pewno chciała obejrzeć to dziwne miejsce, zwłaszcza że nie mogła mieć pewności, czy kiedykolwiek nadejdzie dla niej jakaś pomoc. (Swoją drogą ciekawe, do jakiego stopnia mu ufała?). Miło byłoby ją jednak znaleźć.

Którędy?

Wysłuchał się w odległy szum fal.

Na pewno wybrała ten kierunek. Każdy by tak zrobił.

Kiedy wszedł między drzewa, słońce zniknęło za wzgórzem. Robiło się coraz ciemniej.

Chciał znaleźć ją i wrócić do kopuły jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Co prawda wzgórze, na którym stała kopuła, było najwyższym wzniesieniem w okolicy, ale nocą świat wyglądał zupełnie inaczej.

Ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem. Maszerował dość szybko, ziemia była twarda i skalista. Od czasu do czasu układał małe piramidki z kamieni, by oznaczyć drogę. Nie widział żadnych zwierząt, choć słyszał, że coś porusza się w krzakach.

Zauważył także, że czuje się sprawniejszy, może nawet silniejszy niż zazwyczaj. Zapewne wiązało się to jakoś z pogodą i klimatem. Powietrze było tutaj ciepłe, świeże i czyste.

Maszerował równym krokiem przez pół godziny. W lesie zapadł już zmierzch. Drzewa i krzewy zaczęły się przerzedzać, aż w końcu zniknęły całkiem, ustępując miejsca szerokiej plaży. Po lewej stronie wznosiły się szaro-czerwone klify, oświetlone resztką słonecznego blasku. Przed nim rozpościerała się ogromna błękitna tafla wody. Zimny słony wiatr uderzył w jego nozdrza. Nie wiedział jeszcze, gdzie zawędrował, ale na pewno było to miejsce bardzo odległe od Północnej Dakoty.

Zobaczył ją niemal od razu. Siedziała niedaleko, przy małym ognisku na plaży. Fale uderzyły z rykiem o brzeg, więc nie słyszała jego wołania. Wpatrywała się w morze i zobaczyła go dopiero wtedy, gdy stanął obok niej.

Poderwała się na równe nogi.

- Max - zawołała. - Witaj po drugiej stronie. - Wysoka fala z hukiem przetoczyła się po plaży, sięgając niemal do ich stóp. April wyciągnęła rękę, a potem wzruszyła ramionami i rzuciła mu się na szyję. - Cieszę się, że cię widzę - powiedziała.

- Ja też. Martwiłem się o ciebie. Przytuliła się do niego, ściskając z całych sił.

- Mam złe wieści - powiedziała. - Nie możemy wrócić do domu.

Odsunął ją od siebie tak, by mógł widzieć jej twarz.

- Owszem, możemy - powiedział. - To działa.

Oczy April napełniły się łzami. Znów przyciągnęła go do siebie i mocno pocałowała. Jej policzki były wilgotne.



Zrobiło się już zimno, więc po chwili oboje usiedli przy ognisku. Nad ich głowami przeleciało kilka ptaków. Miały długie dzioby i błoniaste łapy. Jeden z nich usiadł przed cofającą się falą i zaczął dziobać piasek.

- Myślałam, że utknęłam tutaj na dobre, Max.

- Wiem.

- To miłe miejsce, ale nie chciałabym zostać tutaj na zawsze. - Po chwili milczenia spytała: - Jesteś pewien? Próbowaleś?

- Tak. Jestem pewien.

Uznała tę odpowiedź za satysfakcjonującą.

- Nie zostawilibyśmy cię tutaj - powiedział Max. Podała mu torbę.

- Masło orzechowe - oznajmiła, częstując go kanapką.

Był głodny.

- To wszystko, co mi zostało. Max wgryzł się kanapkę.

- Dobra - mruknął. - Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał po chwili.

- Nie na Ziemi. Przysunął się bliżej do ognia.

- Powinienem był przynieść ci kurtkę - powiedział.

- Nic mi nie będzie.

Powierzchnia morza ciemniała z każdą chwilą. Na niebie zaczęły pokazywać się gwiazdy.

- Ciekawe, kto tu żyje - zastanawiał się głośno Max.

- Nie widziałam nikogo. Wygląda na to, że od bardzo dawna nikt nie używał systemu transportowego.

Max patrzył na spienione fale.

- Jesteś pewna? Że to nie Ziemia? To znaczy... chyba wiesz, co to oznacza.

- Rozejrzyj się dokoła, Max. Bajkowy las tonął w ciemnościach.

- Inna jest też siła ciężkości. Chyba trochę mniejsza. - Przyjrzała mu się uważnie. - Jak się czujesz?

- Dobrze - skinął głową. - Jakbym był trochę lżejszy.

- Widziałeś słońce? - Tak.

- To nie jest nasze słońce.

April nie próbowała wyjaśnić mu tego dokładniej, a Max nie zamierzał jej wypytywać.

- Powinniśmy już wracać - powiedział i spojrział na zegarek. - Arky będzie się martwił.

Skinęła głową.

- Właściwie wcale nie spieszysz mi się do domu. Może zostalibyśmy tutaj na noc? Możemy wrócić jutro rano.

Dopiero kilka godzin później Max zrozumiał, że za tą propozycją mogło kryć się coś więcej. Teraz był zbyt zdenerwowany, by to dostrzec.

- Musimy dać im znać, że nic się nam nie stało. - Dobrze.

Niebo zamieniło się w ogromną rozgwieżdżoną panoramę. Wyglądało to niemal tak, jakby ktoś włączył nagle gigantyczną iluminację, miliony rozpalonych punktów, które oświetlały morze i rozpraszały skutecznie mrok nocy. Na horyzoncie pojawiły się wielkie burzowe chmury. Max przyglądał im się ze zdumieniem, bo i one wyglądały tak, jakby niosły w sobie ładunek gwiazd.

- Dziwne - mruknął. - Jeszcze przed chwilą niebo było całkiem czyste.

- Nie wydaje mi się - szepnęła April - by te chmury były w atmosferze.

Max zmarszczył brwi, jakby nie dowierzając.

- Spójrz - powiedziała, wyciągając rękę. Na horyzoncie pojawiła się ogromna błyskawica

otoczona niezliczonymi biało-niebieskimi światełkami. - Widziałam to już.

Max też. Monstrualna plama, którą wziął z chmurę burzową, miała kształt figury szachowej. Konia.

- To chyba jest Mgławica Koński Łeb - powiedział. April wstała i podeszła do brzegu morza.

- Myślę, że masz rację. - Jej głos drżał lekko.

Max przyglądał jej się z boku. Wsluchiwał się w trzask płomieni i melodyjny szum fal. Być może po raz pierwszy od dnia, w którym widział śmierć małej dziewczynki z samolotu, czuł się pogodzony z samym sobą.

*Ty pośredniku groźny między ziemią a niebem...*

Samuel Taylor Coleridge, „Hymn przed wschodem słońca”

*Londyn, 14 marca (BBC News Service)*

*Liczne ostatnio przypadki morderstw w miejscach pracy, jakie odnotowano w Wielkiej Brytanii, związane są prawdopodobnie z odkryciem na Johnson's Ridge, twierdzi Timothy Clayton, psycholog przemysłowy i współpracownik magazynu „The Economist”. „Ludzie boją się utraty pracy bardziej, niż w czasie Wielkiego Kryzysu”, mówi Clayton. „Nie wiedzą, kto jest za to odpowiedzialny, ale zwykle obarczają winą swych szefów, sekretarki, dziennikarzy, praktycznie wszystkich, którzy stają im na drodze”.*

Pięcioro członków rady plemienia, czterech mężczyzn i jedna kobieta, zasiadało przy długim drewnianym stole, ustawionym pod ścianą naprzeciwko drzwi. Za ich plecami wisiał sztandar Mini Wakan Oyate i symbol Siuksów znad Diabelskiego Jeziora. Środkowe miejsce przy stole zajmował przewodniczący Walker.

W sali panował niesamowity tłok. Na zebranie przybyło tylu dziennikarzy i fotoreporterów, że brakowało miejsca dla członków plemienia. Kilkunastu z nich precyzyjnie przemieszczało się jednak do środka, pozostali czekali w korytarzu i na zewnątrz Niebieskiego Domu. Wśród Indian panował nastrój radosnego oczekiwania. Kiedy głos zabrał Wells, przez tłum przebiegł szmer uznania.

- Panie przewodniczący - zaczął Wells - szanowni członkowie rady, jak wicie reprezentujecie tutaj naukowców z Państwowego Instytutu Energetyki. Moi koledzy i koleżanki mają nadzieję, że będą mieli okazję zbadać obiekt znaleziony na Johnson's Ridge i wykorzystać swe odkrycia dla dobra całej ludzkości. Dlatego też w zamian za tę posiadłość oferujemy Mini Wakan Oyate kwotę dwustu milionów dolarów.

Wśród zgromadzonych zapanowało nagłe poruszenie. Ktoś zaczął bić brawo, jednak Walker szybko przywrócił ciszę. Wells uśmiechnął się promiennie, zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa. Wyciągnął jakiś list i przyglądał mu się przez chwilę.

- Jednak zgodnie z wolą moich zwierzchników muszę państwa poinformować, że niektórzy inwestorzy wątpią w celowość tego przedsięwzięcia i grożą wycofaniem swych pieniędzy. Przedstawiona przeze mnie oferta może być w każdej chwili nieaktualna. - Zmiał list i wsunął go do kieszeni. - Panie i panowie - mówił z zatroskaną miną - wykorzystajcie tę okazję, póki jest to możliwe. Niestety, gdy już wyjdę z tej sali, wszystko może się zdarzyć.

Przewodniczący skinął głową.

- Dziękuję panu, doktorze Wells. Rada jest panu wdzięczna, że zechciał pan przybyć tu dzisiaj i porozmawiać z nami.

Wells uklonił się lekko i usiadł.

- Jeszcze jedna osoba chciała przemawiać dzisiaj w tej sprawie. - Spojrzał na prawo, gdzie obok Arky'ego siedzieli Max i April. - Doktor Cannon?

April ubrana była w granatowy kostium i buty na obcasach. Uśmiechała się tajemniczo. Wyglądała jak ktoś, kto chce ogłosić światu, że właśnie wynalazł lekarstwo na raka.

- Panie przewodniczący - zaczęła - szanowni członkowie rady. Dwieście milionów dolarów wydaje się ogromną sumą...

- To jest ogromna suma - wtrąciła jakaś kobieta z pierwszego rzędu.

- ...ale zdarzyło się dzisiaj coś, co zmieniło wartość waszej posiadłości. -April przerwała na moment. -W Rotundzie umieszczone jest urządzenie transportowe. To przejście do innego świata.

Publiczność nie zareagowała. Max zdał sobie sprawę, że ludzie nie rozumieją, o czym mówi April. Nawet przedstawiciele mediów czekali na dalsze wyjaśnienia.

- Dziś rano dwoje z nas weszło do tego budynku i wyszło w innym świecie. Oznacza to, że Rotunda kryje w sobie tajemnicę podróży poza czasem, technologię, która pozwoliłaby nam przenosić się do Fargo, do Los Angeles czy do Chin w mgnieniu oka.

Publiczność zgromadzona w sali drgnęła, jakby przebiegł przez nią ładunek elektryczny. Błyskały flesze, w ruch poszły telefony komórkowe.

Walker walił gumowym młotkiem w stół.

Idąc za radą Arky'ego, April opisała planetę po drugiej stronie przejścia jako krainę dziewiczych lasów, nieskalanej przyrody i mórz oblanych światłem gwiazd.

- Co więcej - kontynuowała - takich przejść jest więcej. Być może kryją się za nimi inne światy. Nie wiemy tego jeszcze. Ale wiemy na pewno, że Mini Wakan Oyate ma w swym posiadaniu pomost do gwiazd. Nie sprzedawajcie go za kilka milionów dolarów. Nie sprzedawajcie go za kilka miliardów. Jest wart znacznie więcej.

April usiadła, a w sali rozpełtało się istne pandemonium. Minęła cała minuta, nim przewodniczący zdołał przywrócić porządek.

- Teraz wysłuchamy opinii naszych ludzi - oświadczył surowo.

Jako pierwsza zabrała głos Andrea Hawk. Śnieżna Sokolica wstała, by wszyscy widzieli, kto do nich mówi.

- Chciałabym przypomnieć radzie, że rozmawiamy o dwustu milionach dolarów. Znam April Cannon i cieszę się z jej sukcesów. To przejście, o którym opowiadała, jest zapewne niezwykle ważne. Ale to kwestia przyszłości. Rzeczywistość, z którą musimy borykać się w tej chwili, to cierpienia naszych ludzi. Z takimi pieniędzmi moglibyśmy zrobić wiele dla siebie i dla naszych dzieci. Proszę więc członków rady, by nie zaprzepaścili takiej okazji.

Wysoki mężczyzna w znoszonej skórzanej kurtce przytoczył opowieść o kojocie, który chciał pochwyć zbyt wiele i nie dostał nic.

Członkowie plemienia jeden po drugim wstawali i opowiadali o chorych dzieciach, o kobietach i mężczyznach zniszczonych przez narkotyki, o tym co znaczy być bezradnym w bogatym społeczeństwie. Wells siedział z boku i z obojętną miną wpatrywał się w sufit.

- Wielki świat - mówił stary Indianin, który musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat - przypomina sobie o nas tylko wtedy, kiedy czegoś od nas chce. Bez względu na to, ile nam dają, i tak próbują nas oszukać. Uważajcie.

Była to najbardziej zachęcająca wypowiedź, jaką słyszał Max do chwili, gdy ze swego miejsca wstał Arky.

- Ze smutkiem i z niepokojem słucham dziś słów mego ludu - powiedział. - Kolejny raz biały człowiek oferuje nam pieniądze, a my chcemy szybko się wzbogacić. Nie myślimy o tym, czego naprawdę dotyczy ta wymiana. Problemy, o których mówiliście, nie gnębią nas dlatego, że nie mamy pieniędzy. Dzieje się tak dlatego, że straciliśmy nasze dziedzictwo, nasze korzenie. Zapomnieliśmy, kim jesteśmy i kim moglibyśmy być. Powiadam wam, bracia i siostry, jeżeli znów pozwolimy się uwieść, lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy nie ujrzeli następnego wschodu słońca. - Przez tłum przebiegł głośny szmer. Dziennikarze trzymali w górze dyktafony, wszystkie kamery skierowane były na młodego prawnika. Arky zwrócił się do rady. - Pokazano nam nowy świat. Może już czas, byśmy

przestali żyć na nędznych skrawkach ziemi, które wydziela nam biały człowiek. Może już czas zrobić to, co zrobiliby nasi ojcowie. Zobaczmy ten świat, o którym mówiła nam April Cannon. Przekonajmy się, czy nie możemy uczynić go naszym nowym domem. Oto wybór, jaki stoi przed wami dziś wieczorem; weźmy pieniądze tego człowieka albo żyjmy tak, jak mieliśmy żyć.

Kiedy członkowie rady wyszli z sali, by podjąć w swym gronie ostateczną decyzję, dziennikarze otoczyli April. Max dyskretnie odciągnął Arky'ego na bok.

- Chyba nie udało ci się przekonać tłumu - powiedział. Prawnik uśmiechnął się do niego.

- Wcale nie próbowałem tego robić - odparł. - Byłem odwrócony w tę stronę, ale mówiłem do starych wojowników.

*Diabelskie Jezioro, Północna Dakota, 15 marca (AP) Rada starszych plemienia Siuksów z Diabelskiego Jeziora odrzuciła dzisiaj ofertę konsorcjum przemysłowo-handlowego, które chciało odkupić od nich za dwieście milionów dolarów posiadłość Johnson's Ridge wraz z umieszczonym na niej kontrowersyjnym obiektem archeologicznym. Decyzja ta związana jest z odkryciem „gwiazdznego mostu” (zob. artykuł wstępny). Wielu członków plemienia otwarcie daje wyraz swemu niezadowoleniu z postanowienia rady. Już dziś doszło do pierwszych demonstracji, a policja spodziewa się kolejnych...*

Po raz drugi skorzystali z przejścia, zabierając ze sobą kilku sceptycznych reporterów. Tej nocy cały naród opanowało szaleństwo, które Jay Leno ochrzcił mianem „gwiazdnej gorączki”. Zdjęcia plaży, Mgławicy Koński Łeb i ludzi znikających w obłoku złotego światła znalazły się na pierwszych stronach wszystkich gazet, w serwisach informacyjnych wszystkich stacji telewizyjnych. Nim nastał kolejny dzień, Rotunda i świat po drugiej stronie gwiazdnego korytarza stały się tematem numer jeden na całym świecie.

Ochrona miała pełne ręce roboty. Na płaskowyzu co kilka minut lądowały helikoptery wiozące na pokładzie ważne osobistości z największych uniwersytetów, instytutów badawczych, władz stanowych i federalnych. Przybywali politycy z całego świata; w pewnym momencie zdezorientowany i wystraszony Max musiał przywitać francuskiego prezydenta. April zorganizowała pokaz slajdów, obrazujących dotychczasową historię odkrycia, jacht Toma Laskera, rezultaty różnorodnych testów przeprowadzonych na próbkach jachtu i Rotundy, początki prac wykopaliskowych i lotnicze zdjęcia Johnson's Ridge wykonane nocą.

W tym czasie April zrezygnowała już z pracy w laboratoriach Colson. Jako jedyna z grupy ludzi zajmujących się wykopaliskami posiadała odpowiednie kwalifikacje, by odpowiadać na wątpliwości i pytania różnych badaczy. (Lista chętnych do zwiedzania Rotundy i nowego świata liczyła już kilka tysięcy). Szesnastego dnia marca oświadczyła, że za dziesięć dni zbierze się komisja wybitnych naukowców, która opracuje strategię badań i rozwoju. Najważniejsze pytania postawione przed komisją brzmiały; „Co powinniśmy zrobić ze światem po drugiej stronie mostu?” i „Jak przygotujemy się do pierwszego kontaktu?”

*Columbus, Ohio, 16 marca*

*Prezydent Matthew R. Taylor*

*Biały Dom*

*Waszyngton, DC 20003*

*Drogi Panie Prezydencie!*

*Wiem, że jest Pan bardzo zajęty, ale mam nadzieję, że znajdzie Pan czas, żeby pomóc mojemu*

*tacie. W zeszłym tygodniu stracił pracę w fabryce papieru. Wiem, że ojcowie kilku moich kolegów też już nie pracują.*

*Uczę się w piątej klasie szkoły im. Theodora Roosevelta. Powiedziałem moim kolegom, że napiszę do Pana. Wiemy, że Pan nam pomoże. Dziękuję bardzo.*

*Richie Wickersham*

Tego samego wieczora, kiedy rada plemienia odrzuciła ofertę Wellsa, April Cannon zamierzała zaprosić na kolację Laskerów, Maksa i Arky'ego Redferna. Nie wzięła jednak pod uwagę konsekwencji, jakie niesło ze sobą ujawnienie prawdy o prawdziwym przeznaczeniu Rotundy. W ciągu jednego wieczora April stała się międzynarodową gwiazdą. Kiedy zdjęcia nowego, dzikiego świata obieły ziemię, ani ona ani Max nie mogli liczyć już na anonimowość. Gdy tylko zajęli miejsce przy stoliku w restauracji w Grafton, natychmiast zebrał się wokół nich tłumek łowców autografów, do których po chwili dołączyli reporterzy.

Jeszcze więcej dziennikarzy czekało na nich w „Szkunerze Prerii”. W końcu wylądowali u Laskerów, gdzie zorganizowali naprędce konferencję prasową, prowadzoną z werandy przed domem. Kiedy April, która chciała choć przez chwilę побыć tylko w gronie przyjaciół, zaproponowała półgłosem, by jak najszybciej się z tym uporali, Max zaproponował: „To część historii”, mówił. „Niech się tym nacieszą. Nic nas to nie kosztuje, a zyskamy sobie ich sympatię. Być może będziemy jej jeszcze potrzebować”.

Max zamierzał wygłosić neutralne przemówienie, ogólną refleksję na temat nieocenionego podarunku, jaki ktoś zostawił ludzkości. Kiedy jednak stanął przed kamerami, poniosły go emocje. (Być może wypił wcześniej trochę za dużo, nie na tyle, by nie mógł zebrać myśli, jednak dość, by pozbyć się swych zwykłych zahamowań).

- Widzieliście zdjęcia nowego świata - mówił. - Ale zdjęcia nie mogą oddać prawdziwego piękna tego miejsca. Morze jest tam ciepłe, plaża szeroka, a wkrótce odkryjemy zapewne, że owoce są jadalne i bardzo smaczne. Spotkały mnie tam same miłe rzeczy, znalazłem na plaży piękną kobietę i wcale nie chciało mi się wracać do Północnej Dakoty. - Reporterzy roześmiali się. April pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się ciepło. Musiała wiedzieć, dokąd zmierza, bo jej usta wypowiedziały bezgłośnie „nie”. Ale było już za późno. Max mówił dalej:

- Owo miejsce nie przypomina niczego, co dotychczas widzieliście. To czysta magia. - Odwrócił się do okna i przez chwilę patrzył na puste pola smagane wiatrem i śniegiem. - To Raj.

W ciągu najbliższych kilku minut wszystkie stacje telewizyjne przerwały swój normalny program, by podać niesamowitą wiadomość.

Wielebny William ( Staromodny Bili) Addison, były kierowca ciężarówki, były agent nieruchomości, były analityk systemów, został założycielem i siłą napędową telewizyjnej placówki misyjnej o nazwie „Projekt Czterdzieści”, co odnosiło się do czterdziestu lat na pustyni i numeru kanału, na którym nadawał swój show. Był także pastorem Kościoła Ochotników z Whitburga w stanie Alabama. Bili głęboko wierzył. Wierzył, że koniec jest bliski, wierzył że ludzie wcale nie są dobrzy z natury i potrzebują boskiej pomocy na każdym etapie swego życia, wierzył, że Bili Addison jest wyjątkiem od tej reguły.

Był nawróconym grzesznikiem. Kiedyś uchodził za kobieciarza, znał pokusy alkoholu i potrafił w ciągu kilku sekund uruchomić samochód, który ktoś nieroztropnie pozostawił w ciemnej ulicy. Opierał się władzy w każdej postaci. Nawet boskiej.

I podobnie jak Paweł, Bili Addison spotkał Pana na swojej drodze. W przypadku Billa była to autostrada I-295. Pewnej deszczowej nocy ten zatwardziały grzesznik jechał do Jacksonville, gdzie

zamierzał spędzić noc w towarzystwie upadłych kobiet. Nagle samochód wpadł w poślizg i zjechał do przydrożnego rowu. Bili powinien był umrzeć. Samochód eksplodował, a siła wybuchu odrzuciła Addisona pod drzewo oddalone od drogi o ponad sto stóp. Jednak pomiędzy eksplozją a przyjazdem policji, która zjawiała się tam po dziesięciu minutach, Pan przemówił do niego i przekazał mu misję. Teraz wielbny William wypełniał ją w małym wiejskim kościółku na południowych przedmieściach Whitburga i w stu jedenastu innych świątyniach na terenie całej Ameryki Północnej.

Nazajutrz po konferencji prasowej i nieroztropnej wypowiedzi Maksa, Bili odniósł się do poruszonego przezeń tematu podczas swego telewizyjnego kazania. Występował zawsze na tle zastawionej książkami ściany, co dodawało jego wywodom posmaku uczoności i czyniło zeń prawdziwego erudyty.

- Ostatniej nocy nie mogłem zasnąć - wyjaśniał. - Nie wiem, dlaczego tak się stało. Zazwyczaj zasypiam bez najmniejszego kłopotu, bracia i siostry, bo gdy kładę się do łóżka, memu sumieniu nie ciąży żaden grzech. Ale wczorajszej nocy coś nie dawało mi zasnąć. Zastanawiałem się, czy ktoś nie chce ze mną porozmawiać. Oczywiście, nie mówię, że był to Bóg - wymówił słowo „Bóg” tak, jakby składało się z dwóch sylab. - Słuchajcie mnie uważnie, bracia i siostry, nie twierdzę, że to był Bóg. Ale jak mówi nam święty Paweł w liście do Rzymian, czas był już wyrwać się ze snu. Zszedłem na parter i poczytałem chwilę. W domu było cicho. Włączyłem więc telewizję, CNN, by towarzyszył mi jakiś ludzki głos.

Jeśli czytaliście dzisiaj gazety albo oglądaliście wiadomości, wiecie, co zobaczyłem. Naukowcy twierdzą, że odnaleźli przejście do innego świata. Oglądałem zafascynowany. Pokazywali zdjęcia z tego nowego świata, jego rozległe fioletowe lasy i błękitne morze. I gwiazdziste niebo.

Nie wiem, dokąd zaprowadziła nas nasza niepokohamowana ciekawość. Ale ta wiadomość niepokoi każdego chrześcijanina. Najpierw myślałem, że to żart, szybko jednak zrozumiałem, że kłamstwo na taką skalę jest niemożliwe. Odpowiadam więc tym, którzy mnie o to pytali: tak, wierzę, że wiadomości napływające z Północnej Dakoty są prawdziwe.

Niektórzy z was pytali także: Wielbny Billu, co myślisz o tych relacjach? Czym jest to miejsce, nazywane Rotundą? Nie mam dla was żadnej odpowiedzi. Ale powiem wam, co podejrzewam, i dlaczego uważam, że powinniśmy zamknąć owo przejście na zawsze.

Naukowcy to w ogromnej większości bezbożni mężczyźni i kobiety. Wydaje się jednak, że jeden z nich doznał chwilowego olśnienia, że zrozumiał, czym jest kraina po drugiej stronie gwiazdnego mostu. Zobaczył ją i od razu pokochał, powiedział, że chciałby zostać w jej cichych lasach. I nazwał ją Rajem.

Bracia i siostry, myślę, że właśnie taka jest prawda. Że jakaś drobna część tego człowieka, który zapewne jest ateistą jak jego koledzy, jakaś żywa cząstka w głębi duszy rozpoznała utracony przed laty dom i zapragnęła, zapragnęła z całych sił, powrócić tam na zawsze.

Wiemy, że Bóg nie zniszczył Edenu. Może chciał, by przypominał nam nieustannie, co utraciliśmy. Ile kosztowała nas nasza arogancja. Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Wierni zgromadzeni w studiu zrozumieli aluzję.

- Amen - zawołali jednym głosem.

- Powiecie zapewne: „Ale wielbny Billu, w Biblii nie ma żadnej wzmianki o fioletowym lesie. Ani o chmurach dziwnego kształtu”. Owszem, ale nie ma też nic, co by temu zaprzeczało. Biblia mówi tylko, że Bóg stworzył dwa wielkie światła, jedno świeciło za dnia, drugie nocą. Skąd wiemy, że to drugie światło to nasz księżyc, a nie wielka chmura, którą widzieliśmy wczoraj w telewizji?

Bracia i siostry, powiadam wam, podejmujemy wielkie ryzyko, wracając do tamtej krainy. Jeśli rzeczywiście jest to Eden, sprzeciwiamy się woli Wszechmocnego.

*Akron, Ohio, 17 marca (UPI)*

*Kierownictwo firmy oponiarskiej Goodyear Tire & Rubber Corporation zaprzeczyło dzisiaj pogłoskom, jakoby masowe zwolnienia, do których doszło w zeszłym tygodniu, miały związek z odkryciami na Johnson's Ridge.*

*„Śmiechu warte”, powiedział rzecznik firmy. „Po prostu wprowadzamy zaplanowane wcześniej przekształcenia i reorganizujemy nasze przedsiębiorstwo. Jesteśmy pewni, że w tym kraju zawsze będzie zbyt na dobre opony”.*

*Indeks giełdowy spadł dzisiaj o 650 punktów. Największe straty zanotowano w przemyśle samochodowym i lotniczym. Analitycy wiążą te spadki z obawami, że wkrótce stworzony zostanie nowy rewolucyjny system transportu, oparty na technologii Rotundy.*

*Przedstawiciel zakładu United Technologies z Bostonu zaprzeczył dzisiaj informacjom o planowanych zwolnieniach.*

*(wiadomości południowe CNN)*

Jeremy Carlucci był tak podekscytowany, że z trudem łapał oddech. Lubił powtarzać, że jest astronomem od czwartego roku życia, kiedy to po raz pierwszy usiadł na werandzie przed domem swego dziadka, farmera z okolic Kenosha, i wypatrywał na niebie Marsa i Wenus. Carlucci zbliżał się właśnie do końca długiej i błyskotliwej kariery.

Teraz stał na plaży oddalonej o pięć tysięcy lat świetlnych od Kenosha, obserwując niebo zasłane diamentami i gwiazdnymi wirami. Gigantyczne wybuchy i wyładowania rozpałały wnętrza chmury pod Mgławicą Koński Łeb.

- Cudowne - powiedział ktoś za jego plecami.

Na wschodzie pojawił się wielki owinięty chmurą glob. Szczególnie młode błękitne olbrzymy klasy A przyciągały jego uwagę. Mgławica stanowiła kolebkę nowych gwiazd. Radość Jeremy'ego była tak wielka, że miał ochotę krzyknąć.

- Musimy tu zbudować obserwatorium - wyszeptał do Maksa.

- Teleskop Hubble'a - powiedział Edward Bannerman z Państwowej Akademii Nauk. - To powinien być nasz priorytet. Musimy dowiedzieć się, jak powiększyć objętość przejścia, żeby osiągnąć tu potrzebny sprzęt.

Wiatr zakołysał wierzchołkami drzew. Na morzu pojawiły się fale.

Bannerman, drobny mężczyzna o ostrych rysach twarzy i siwych przerzedzonych włosach, patrzył na zbliżającą się do brzegu fale, potem spojrzał na Mgławicę.

- Odeszliśmy o niecałe dwie mile od Johnson's Ridge - powiedział.

Fala dotarła na plażę i zniknęła w piasku.

- To absurdalne - kontynuował naukowiec. - Co się stało z prawami fizyki?

## *CUD W PÓŁNOCNEJ DAKOCIE*

*Port działa.*

*Grupa jedenastu ludzi stała dzisiaj na powierzchni planety, która zdaniem naukowców oddalona jest od Ziemi o tysiące lat świetlnych... Street Journal”, artykuł wstępny, 18 marca)*

*Czy na Edenie są ludzie? Jeśli tak, wkrótce się o tym dowiemy. Ktoś, kto zbudował most pomiędzy ziemią a Mgławicą Koński Łeb, na pewno będzie mniej wyrozumiały niż byli Indianie,*



*kiedy stracili swoją własną ziemię.*

*(Mike Tower, „Chicago Tribune”)*

Tony Peters opuścił swoje biuro tuż po zamknięciu giełdy. Był blady jak ściana i czuł się bardzo stary. Kiedy wyszedł na West Executive Avenue, zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Prezydent chce się z panem widzieć - powiedziała sekretarka. Taylor wyjechał na weekend do Camp David. - Helikopter wylądował za dziesięć minut.

Peters oczekiwał tego wezwania już od rana. Z trudem przecisnął się przez tłum protestujących na Pennsylvania Avenue („Zbombardować Rotundę”) i przeszedł przez główną bramę dokładnie w chwili, gdy helikopter lądował na trawniku przed Białym Domem. Światowa gospodarka stanęła w obliczu katastrofy, której nikt nie mógł przewidzieć. Znał tylko jeden sposób na rozwiązanie sytuacji i właśnie ten sposób chciał podsunąć prezydentowi.

- Świat potrzebuje pewności - mówił do niego pół godziny później w obecności tuzina doradców. - Rynek zachwiał się zeszłej jesieni, bo ludzie myśleli, że od tej pory nie trzeba będzie wymieniać samochodu co kilka lat. Teraz myślą, że samochody w ogóle nie będą potrzebne. A z nimi samoloty i windy. I opony, i radary i Bóg wie co jeszcze. Praktycznie wszystko, co przyjdzie wam na myśl, można powiązać jakoś z transportem.

Ludzie zajmujący miejsca wokół stołu konferencyjnego poruszyli się niespokojnie. Wiceprezydent, wysoki, siwy, poważny mężczyzna wpatrywał się tępo w swój notes. Sekretarz stanu, zaprawiony w sądowych bojach prawnik, który według najnowszych plotek zastanawiał się poważnie nad odejściem - Matt Taylor lubił być swoim własnym sekretarzem stanu - siedział z głową podpartą na pięściach i z zamkniętymi oczami.

Prezydent spojrzał na Jamesa Samsona, sekretarza skarbu.

- Zgadzam się - powiedział Samson.

Kiedy jasne stało się, że sekretarz nie zamierza powiedzieć nic więcej na ten temat, prezydent zapisał coś w swoim nieodłącznym notesie i postukał piórem w stół.

- Jeśli założymy, że to urządzenie naprawdę działa i może być przystosowane do zwykłych podróży, jakie będą tego konsekwencje dla gospodarki?

- Teoretycznie postęp techniczny zawsze jest korzystny - odpowiedział Peters. - Możliwość podróżowania bez straty czasu i przy minimalnym zużyciu energii przyniesie nam po jakimś czasie ogromne zyski. O ile wiem, to urządzenie czerpie tyle prądu co przeciętny telewizor. Korzyści są oczywiste.

- A co może spotkać nas w najbliższym czasie?

- Nie obejdzie się bez pewnych kłopotów.

- Pewnych kłopotów? - Samson uśmiechnął się cynicznie. Był przygarbiony, wyniszczony, prawdopodobnie śmiertelnie chory. Popełnił błąd, zapewniając zimą prezydenta, że Rotunda to nieistotny incydent, niemniej powszechnie uważano, że to właśnie on jest największym umysłem w administracji. - Chaos to bardziej odpowiednie określenie. - Jego głos drżał. - Katastrofa. Upadek. - Rozkaszał się i zakrył usta chusteczką. - Proszę pamiętać, panie prezydencie, że nie obchodzi nas następna dekada. Jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, za kilka lat może już nie być Stanów Zjednoczonych i nikt nie doceni tych korzyści, o których mówił Peters. A już na pewno nie będzie prezydenta Taylora. - Tym razem Samson rozkaszał się na dobre.

Taylor skinął głową.

- Kto jeszcze ma coś do powiedzenia na ten temat? Panie admirale?

Admirał Charles Bonner był szefem Sztabu Generalnego. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien

wyglądać hollywoodzki aktor w roli wysokiego rangą wojskowego: szczupły, elegancki, konkretny. Wciąż świetnie się trzymał, choć już dawno przekroczył sześćdziesiątkę. Utykał lekko na lewą nogę (pamiątka po wypadku lotniczym w Wietnamie).

- Panie prezydencie - zaczął gromkim głosem. - To urządzenie, jeśli rzeczywiście istnieje, ma ogromne znaczenie dla całego systemu obrony naszego, i nie tylko naszego, kraju. Gdyby tego rodzaju wyposażenie stało się ogólnie dostępne, z łatwością można by wprowadzać siły uderzeniowe, a może nawet całe armie w środek każdego kraju. Bez ostrzeżenia. Jedynym krokiem koniecznym do przeprowadzenia takiego ataku byłoby umieszczenie stacji przesyłowej na wrogim terenie. - Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy jego słowa odnoszą należyty skutek. - Żadne miejsce na ziemi, do którego można dostać się z lądu, powietrza czy wody, nie byłoby już bezpieczne.

Taylor wziął głęboki oddech.

- Sugeruje pan, że powinniśmy przejąć to urządzenie, admirale? I co dalej?

- Sugeruję, że powinniśmy je zniszczyć. Panie prezydencie, żadna tajemnica wojskowa nie pozostaje tajemnicą zbyt długo. Kiedy to urządzenie stanie się częścią uzbrojenia jakiegokolwiek innego państwa, a na pewno wcześniej czy później dojdzie do tego, wszystkie lotniskowce, sterowane pociski, systemy obronne i centra dowodzenia stracą rację bytu. To broń totalna, przed którą nie ma obrony. Musi pan działać, kupić to miejsce od Indian albo zabrać je siłą, a potem zniszczyć to przeklęte urządzenie.

Harry Eaton pokręcił głową. Harry był szefem personelu Białego Domu.

- Siuksowie odrzucili właśnie ofertę wartą dwieście milionów dolarów. Nie sądzę, żeby chcieli sprzedać to miejsce.

- Dajmy im miliard - powiedział Rollie Graves, szef CIA.

- Nie sprzedadzą tego za żadne pieniądze - powtórzył Eaton. - A nawet gdyby to zrobili, to sprawa nabierze rozgłosu. Przed wyborami wszystkie media będą pytać, jak wykorzystaliśmy ten cud techniki kupiony za pieniądze podatników. Co im wtedy powiemy? Że zrobiliśmy to, by ochronić General Motors i Boeinga?

- Nie obchodzi mnie, co im powiecie - oświadczył Bonner. - Wprowadzenie tego urządzenia do produkcji zamieniłoby lotniskowce w bezużyteczne kawałki metalu. Proszę o tym pomyśleć.

Mark Aniok, sekretarz spraw wewnętrznych, pochylił się do przodu. Aniok był z pochodzenia Indianinem z plemienia Inuit.

- Nie może pan im tego odebrać - powiedział. - To byłoby polityczne samobójstwo. Mój Boże, wszyscy krzyczeliby, że znowu okradamy Indian. Już widzę te nagłówki.

- Oczywiście, że możemy to zrobić - upierał się przy swoim Eaton. - A zaraz potem sprokurujemy jakiś wypadek, który zmiecie tę rzecz z powierzchni ziemi.

- Zgadza się - powiedział Bonner. - Trzeba to powstrzymać, póki nie jest jeszcze za późno.

Przy drugim końcu stołu siedziała Elizabeth Schumacher, doradca naukowy. Była to milcząca, skryta kobieta o zimnych, szarych oczach. Prezydent rzadko zapraszał ją na spotkania dotyczące ogólnokrajowej polityki. Administracja Taylora, dążąca przede wszystkim do zmniejszenia deficytu, nie była zbyt przyjazna środowisku naukowców, a przynajmniej tak to postrzegano. Prezydent wiedział o tym i szczerze żałował, gotów był jednak przyjąć odpowiedzialność za taki stan rzeczy, byle tylko osiągnąć zamierzony cel.

- Panie prezydencie - przemówiła Schumacher. - Odkrycie Rotundy jest wydarzeniem o ogromnym, nieocenionym wręcz znaczeniu. Jeżeli pan ją zniszczy albo pozwoli, by została zniszczona, może pan być pewien, że przyszłe pokolenia nigdy panu tego nie wybaczą.

Nie powiedziała nic więcej, jednak Peters widział, że jej słowa wywarły spore wrażenie na

zebranych.

Dyskutowali jeszcze przez ponad dwie godziny. Eaton był niezdecydowany. Tylko Anioł i Schumacher uważali, że należy oszczędzić Rotundę. Tony Peters czuł się wewnętrznie rozdarty, stopniowo jednak dochodził do przekonania, że powinni zbadać i wykorzystać znalezisko, starając się jednocześnie panować nad gospodarką. Był jednak zbyt ostrożny i zbyt lojalny wobec swego szefa, by zaproponować mu takie rozwiązanie. Zdecydowana większość doradców twierdziła, że należy się pozbyć niewygodnego wykopaliska.

Kiedy zebranie dobiegło końca, prezydent odciągnął Petersa na bok.

- Tony, chciałem podziękować ci za wysiłek, jaki włożyłeś w to spotkanie.

Peters skinął głową.

- Co zrobimy?

Taylor zawsze był zdecydowany i stanowczy. Jednak tego wieczora, po raz pierwszy odkąd Peters sięgał pamięcią, Taylor się wahał.

- Chcesz znać prawdę? Nie wiem, co powinniśmy zrobić. Myślę, że to zaburzy całą gospodarkę, i nikt nie wie, czym może się skończyć. Ale myślę też, że Elizabeth ma rację. Jeśli pozwolę, by Rotunda została zniszczona, historia nie zostawi na mnie suchej nitki.

Na jego twarzy malowała się ogromna troska.

- Więc co zrobimy?

- Nie wiem, Tony - westchnął. - Naprawdę nie wiem.

\*\*\*

- Odbieramy następny telefon, dzwoni Charlie z rezerwatu.

- Witaj, Śnieżna Sokolico. Chciałem powiedzieć coś o ostatnim zebraniu rady.

- Śmiało.

- Kiedy poszedłem tam wczoraj wieczorem, myślałem to samo, co ty. Myślałem, że powinniśmy wziąć te pieniądze.

- A co myślisz teraz, Charlie?

- Widziałaś zdjęcia?

- Z drugiej strony? Tak.

- Myślę, że Arky miał rację. Myślę, że powinniśmy się spakować i przeprowadzić na tamtą stronę, a potem wyłączyć cały system.

- Nie wydaje mi się, żeby to właśnie powiedział Arky.

- Pewnie, że tak mówił. I ja jestem z nim. Posłuchaj, Sokolico, wszystkie pieniądze świata nie wyciągną nas z rezerwatu. Mogą sobie zatrzymać swoje dwieście milionów. Ja wolę plażę i lasy.

- Dobrze Charlie, dziękuję za telefon. Halo, jesteś na antenie, Madge z Diabelskiego Jeziora.

- Cześć, Śnieżna Sokolico. Posłuchaj, uważam, że ten człowiek, który dzwonił przede mną, ma absolutną rację. Jestem gotowa do przeprowadzki.

- Do dziczy?

- Tak jest. Wynośmy się stąd.

- Dobra. Jack z rezerwatu, twoja kolej.

- Hej, Sokolico. Ja też tam byłem.

- Na zebraniu?

- Tak. I muszę powiedzieć, że popełniasz ogromny błąd. To dla nas wszystkich szansa na nowy początek. Będziemy skończonymi głupcami, jeśli z niej nie skorzystamy. Mówię ci, pakujmy graty i zabierajmy się stąd. I tym razem nie wpuścimy do siebie Europejczyków. Kiedy już będziemy na

miejscu, zrobimy to, o czym mówił ten człowiek. Zamkniemy drzwi i wyrzucimy klucz.

*Nasza wiedza to sosnowa pochodnia,  
której wąty blask prowadzi nas przez most  
nad ciemną przepaścią przesądów i strachu...*

George Santayana „Sonet III”

ARKY BYŁ NIEUGIĘTY.

- Nikt nie przeniesie się na drugą stronę, dopóki nie będziemy mieli całkowitej pewności, że tamten świat jest bezpieczny.

April gotowała się ze złości.

- Do diabła, Arky, nigdy nie będziemy mieli takiej pewności.

- Więc może powinniśmy ze wszystkiego zrezygnować. Skorzystać z najatrakcyjniejszej oferty, sprzedać Rotundę i pozwolić, żeby ktoś inny martwił się o konsekwencje prawne.

- Jakie konsekwencje?

- Ano takie, których możemy się spodziewać natychmiast po tym, jak któryś z szanownych naukowców zostanie zjedzony.

- Nikt nie zostanie zjedzony.

- Skąd wiesz? Możesz to zagwarantować?

- Oczywiście, że nie mogę.

- Więc lepiej zastanówmy się. - Arky głęboko odetchnął. - Musimy zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcemy, żeby płatali się tam ci wszyscy ludzie.

- Oni wcale się nie płaczą. - April też musiała głęboko odetchnąć, by uspokoić głos. - To zdyscyplinowani dorośli ludzie. Zresztą nie możemy zatrzymywać wszystkiego tylko dla siebie. Musimy wpuścić tam tyle ludzi, ile tylko zdołamy.

- Więc pozwól, że zapytam cię raz jeszcze: co się stanie, kiedy jeden z nich zginie?

- Tam nie ma dużych drapieżników - powiedziała April.

- Nie widziałas dużych drapieżników, April. To zasadnicza różnica. A choroby? Jakies egzotyczne wirusy?

- I tak byłoby już za późno. Mnóstwo ludzi odwiedziło to miejsce i wróciło tutaj.

- Wiem. - Arky spojrział na nią surowo. - Niestety, nie pomyślałem o tym wcześniej. Posłuchaj, na razie uprawialiśmy tutaj totalną prowizorkę. Czas to zmienić. Zanim spotka nas coś naprawdę przykrego. Po pierwsze, musicie oboje z Maksem przejść dokładne badania. Pełny zakres. Wstrzymamy zwiedzanie do czasu, gdy Adam poświadczy, że to miejsce jest bezpieczne. Zgoda? Nie chcę, by ktokolwiek przenosił się, nim będę miał tę pewność. Nawet ty.

- Arky - protestowała - nie możemy tak po prostu zamknąć drzwi i powiedzieć ludziom, że to nie jest bezpieczne.

- Właśnie to zrobiliśmy.

Adam przygotował swój zespół. W wyprawie brał udział Jack Swiftfoot, Andrea Hawk, John Mały Duch i dwóch innych mężczyzn, których April wcześniej nie widziała. Rozdał wszystkim karabiny, granaty i pistolety.

- Wyglądacie, jakbyście mieli spotkać się z armią dinozaurów - powiedziała April.

- Lepiej dmuchać na zimne - wzruszył ramionami Adam. Dał znak ludziom zgromadzonym na

dysku, nacisnął ikonę i dołączył do nich.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział do April. Wsuwał magazynek za pas, kiedy ogarnęła ich złota kula światła.

Do Rotundy wszedł Max, niosąc w dłoniach dwa żółte baloniki i swoją kamerę.

- Nie miałabym nic przeciwko - tłumaczyła mu April - ale to tworzy zły precedens. Jak to będzie teraz wyglądać? Nim przeniesiemy się gdziekolwiek, będziemy tam najpierw wysłać brygadę antyterrorystyczną?

- Zakładając, że rzeczywiście możemy przenieść się jeszcze gdzie indziej - odparł Max. - Nie wiem. Ale może nie jest to najgorszy pomysł.

April tylko prychnęła ze złością.

- Jak myślisz, czy ktoś, kto zbudował ów system, jest tam gdzieś jeszcze? - spytał Max.

April jakby posmutniała.

- Minęło dziesięć tysięcy lat - odrzekła. - To szmat czasu.

- Może nie dla tych ludzi.

- Może nie. Ale Rotunda została porzucona bardzo dawno temu. Nic też nie wskazuje, by ktoś korzystał ostatnio z kopuły na Edenie. To chyba coś oznacza, prawda?

Max patrzył przez okno na turystów, którzy robili zdjęcia Rotundy.

- Ciekawe, gdzie się kończy sieć - powiedział. Oczy April nagle pojaśniały.

- Nie mogę się doczekać, kiedy to sprawdzę.

Ktoś otworzył zewnętrzne drzwi. Słyszeli kroki w korytarzu, a po sekundzie ukazał się Arky Redfern. Przywitał ich, unosząc dłoń, zdjął kurtkę i położył ją na krześle.

- Postawiono wniosek, żeby uczynić was dwoje honorowymi członkami plemienia.

- Byłabym zachwycona - ucieszyła się April.

Jedyną znaną Maksowi osobą, która została w podobny sposób uhonorowana przez Indian, był Sam Houston. Niezłe towarzystwo.

- Ja też - powiedział.

- I co teraz? - zapytał Arky, spoglądając pytająco na balony.

- Chcemy przekonać się, co jeszcze tu mamy.

Na balonach widniał napis „Fort Moxie” i rysunek Rotundy. Pod każdym wisiały dwa długie kawałki sznurka. Max przyciągnął dwa krzesła i ustawił je na zewnątrz dysku, po przeciwnych stronach. Wykorzystując owe długie sznurki, przywiązał jeden z balonów do oparcie obu krzeseł, tak by ten znajdował się nad środkiem dysku.

- Co wy chcecie zrobić? - zainteresował się Arky.

- Nie chcemy zablokować systemu - wyjaśniła April. - Jeśli wyślemy krzesło i nikt nie usunie go z dysku, zatykamy przejście, tracimy ten kanał. Musimy wysłać coś, co nie zostanie na miejscu.

Arky skinął głową.

- Rozumiem.

- Gotowy? - spytała April, stając przed ikonkami. Max skierował kamerę na balon i zaczął filmować.

- Już - powiedział.

April nacisnęła ikonkę z pierścieniami.

Max odliczył dwadzieścia trzy sekundy i przyglądał się znikającemu balonikowi. Dwa urwane kawałki sznurka upadły na podłogę po obu stronach dysku.

- Mam pytanie - odezwał się Arky. - Co się stanie, jeśli ktoś nie stoi cały na dysku w chwili, gdy system zaczyna działać? Czy tylko połowa przenosi się na drugą stronę?

April wyglądała jak dziecko, które przyłapano na wyjadaniu konfitur ze słoika.

- To dobre pytanie, panie radco - powiedziała.

Powtórzyli cały proces, tym razem naciskając symbol G i powrócili do centrum dowodzenia, by na ekranie telewizora obejrzeć rezultaty doświadczenia.

Zdaniem Maksa pierścienie wskazywały na sztuczne środowisko. Być może tu właśnie mogli wreszcie spotkać jakiegoś przedstawiciela innej cywilizacji.

Na ekranie telewizora widać było drugie tło, niewyraźny zarys ściany z oknem. Była całkiem gładka, być może stanowiła część jakiegoś budynku czy instalacji wojskowej. Wzdłuż całej ściany ciągnęło się okno tak długie, że kamera nie objęła go w całości. Za oknem było ciemno, jakby panowała tam właśnie noc.

- To chyba jakieś wnętrze - powiedziała April.

Arky, który siedział na stole obok telewizora, przybliżył twarz do ekranu, jakby spodziewał się zobaczyć coś więcej.

- Jak się zachowamy, kiedy ktoś będzie tam na nas czekał?

- Przywitamy się grzecznie i uśmiechniemy - odparł Max. Prawnik zmarszczył brwi.

- Myślę, że musimy potraktować sprawę poważnie. Słuchajcie, ten terminal, czy jakkolwiek by go nazywać, przez długi, długi czas nie był używany. Ale to jeszcze nie znaczy, że cały system jest nieczynny. Musimy ustalić, jak się będziemy zachowywać, jeśli kogoś spotkamy. - Przerwał na chwilę, jakby nie chciał kontynuować tematu. - Na przykład, czy powinniśmy być uzbrojeni?

April powoli kręciła głową.

- Wydaje mi się - mówiła - że nie możemy dopuścić do sytuacji, w której użyjemy broni przeciwko komuś, kto postawił tutaj tę rzecz.

- On ma jednak trochę racji - przyznał Max. - Powinniśmy być ostrożni.

Arky przesiadł się na krzesło.

- Może spojrzymy na to drugie? Symbol G. Max uruchomił magnetowid.

Znow obserwowali znikający balon. Teraz dostrzegli w tle jakieś pomieszczenie i podłogę wyłożoną dywanem. Ściany były puste, nie zauważyli też żadnego umeblowania.

- Gdzieś z boku musi być źródło światła - powiedziała April.

- Co o tym myślicie? - spytał Max.

- To może być następna Rotunda. April gotowa była już do drogi.

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Max był sceptyczny.

- Myślę, że powinniśmy dać temu spokój - powiedział. - Jeśli rzeczywiście ktoś tam jest, wszystko zepsujemy. Poczekajmy, aż twoja komisja ustali, jak się mamy zachowywać.

- To jeszcze całe sześć dni - niecierpliwiła się April. - Im więcej informacji dostarczymy, tym łatwiej będzie im pracować. Zresztą, jakiego eksperta zatrudniłbyś do takiego zadania? Przecież nikt na świecie jeszcze czegoś takiego nie robił.

- Wiem, do czego zmierzasz - pokiwał głową Max.

- Mimo wszystko, zgadzam się z April - oświadczył nieoczekiwanie Arky. - Nikt nie jest przygotowany do takiego spotkania. Jeśli ktokolwiek ma to zrobić, równie dobrze możemy zrobić to my.

Max drgnął, zaskoczony ostatnim zaimkiem. April też to zauważyła.

- Bez urazy, Arky - powiedziała. - Ale nie potrzebujemy prawnika. Pozwól, że najpierw spróbujemy tylko we dwoje.

Arky jakby urósł nagle o kilka cali.

- Nie sądzę - odparł. - Plemię musi mieć swojego reprezentanta.
- Chyba żartujesz - nie dowierzał Max. Arky uśmiechnął się do niego.
- Ja nigdy nie żartuję.

Max zgromadził niezbędny ekwipunek, w którego skład wchodziły dwie latarki, generator, skrzynka z narzędziami, dwie kwarty wody i duży notes z czarnymi pisakami.

Dale Tree (który pełnił obowiązki szefa ochrony w czasie, gdy Adam badał Eden) wręczył Arky'emu pistolet.

- A co ze mną? - zaniepokoił się Max.
- A umiesz się z tym obchodzić? - odpowiedział pytaniem Dale.
- Raczej nie. - Max nigdy w życiu nie strzelał z prawdziwego pistoletu.
- Więc daj sobie spokój - powiedział Arky. - Byłbyś bardziej niebezpieczny niż cokolwiek, co możemy tam spotkać. - Spojrzał na April.
- Ja też nie - odparła. Dale był zatroskany.
- Myślę, że powinienem pójść z wami - oświadczył.
- Poradzimy sobie - uspokoił go Arky. April była zdegustowana tą rozmową.
- Prawdopodobnie znajdziemy się w czyimś domu. Nie przypuszczam, żebyśmy potrzebowali tam wielkiej siły ognia.

Max umieścił przygotowany wcześniej ekwipunek na środku dysku i po chwili namysłu dołączył do niego łopatę.

- Kiedy będziemy już na miejscu - wyjaśniał Dale'owi - spróbuję wysłać tu łopatę. Daj mi jakieś pół godziny na wypadek, gdybym musiał coś naprawić. Jeśli do tego czasu nic się nie stanie, przyślij nam kanapki.

- Wyślemy wiadomość, jeśli będziemy musieli tam zostać - powiedziała April. - Nikt nie może iść za nami, chyba że wyraźnie o to poprosimy. - Spojrzała na swych towarzyszy. - Zgoda?

Arky skinął głową. Max też, choć z mniejszym przekonaniem. Weszli na dysk. Dale stanął przy ikonach.

- Gotowi? - spytał. April przytaknęła.

W pokoju unosił się zapach piżma. Ściany pokryte były lekką zieloną tkaniną, ozdobioną motywami roślinnymi. Delikatne światło nie miało żadnego konkretnego źródła, emanowało zewsząd, podobnie jak w Rotundzie.

Przez kilka chwil nie ruszali się z miejsca, oglądając tylko wnętrze wielkiej, pustej komnaty. Dokoła panowała całkowita cisza. Dysk, na którym stali, wyglądał nieco inaczej, niż poprzednie, choć miał te same rozmiary. Max zszedł na czerwony dywan i podniósł przestraszony nogę, kiedy podłoga lekko się pod nim zapadła.

- Co to za podłoga? - dziwiła się głośno April.

Spróbował jeszcze raz. Mógł posuwać się naprzód, choć chodzenie w tych warunkach nie było łatwe. Ciekawe, kto mógł się czuć swobodnie na takiej podłodze?

Kiedy przeszedł jeszcze kilka kroków, dokoła zrobiło się nieco jaśniej.

Pokój miał kształt litery L, której dłuższy bok był dwukrotnie większy od krótszego. Na przeciwnych krańcach dłuższej części znajdowały się drzwi, prowadzące do ciemnych korytarzy. Na ścianie za dyskiem ulokowano zestaw ikon. Tym razem było ich dziewięć, osadzonych w okrągłych guzikach, które połączono w jednym drewnianym panelu, ustawionym pod kątem do ściany. Jedna z nich przedstawiała głowę jelenia. Pozostałe nie przypominały niczego, co Max widział w Rotundzie i



na Edenie.

April przyglądała im się przez dłuższą chwilę.

- Świat bez końca - powiedziała wreszcie.

Max skinął głową. Położył łopatę na dysku i przycisnął ikonę. Głowa jelenia rozbliła ciepłym światłem.

Łopata zniknęła w kuli światła, która tym razem była raczej zielona niż złota.

- Pasuje do wystroju - zauważyła April, zachwycona.

- No cóż, dobrze wiedzieć, że możemy się stąd szybko wynieść w razie potrzeby - stwierdził

Arky.

Sufit był bardzo wysoki. Miejscami ginał całkiem w cieniu między belkami.

- Nie ma balonu - powiedział Arky. Jednak zaraz potem na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Max podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. W suficie znajdował się prostokątny otwór, przez który mogli zobaczyć następną salę.

Tam także paliło się światło, tak samo intensywne jak w pokoju z dyskiem.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś tutaj był - powiedział Arky. Otwór w suficie miał kształt prostokąta o wymiarach sześć na osiem stóp. Nie prowadziły do niego żadne schody.

- Balon poleciał pewnie wyżej - zauważył Max.

Dopiero teraz poczuli, że w zielonej sali jest nieco zimniej niż w Rotundzie. Max zapiął kurtkę.

- Czuję się dziwnie lekki - powiedział.

- Chyba masz rację - przytaknęła April. - Znów inna siła ciężkości.

- A więc nie Ziemia? - upewnił się Arky. Pokręciła głową.

Prawnik spoglądał raz na jedno wyjście, to znów na drugie. Nie wyjął broni, ale cały czas trzymał prawą rękę w kieszeni.

W pokoju nie było żadnych okien. April zdjęła z ramienia aparat i zrobiła kilka zdjęć. Max i Arky zajrzeli do korytarzy po obu stronach pomieszczenia. Kiedy się poruszali, światło rozblikiwało jaśniej przed nimi i znów gasło za ich plecami. Podłoga ugięła się tak samo, jak w pobliżu dysku.

Jeden korytarz prowadził do wielkiej komnaty w kształcie rombu. Drugi mijał kilka mniejszych pomieszczeń, a potem zakręcał. W żadnym z pokoi ani w samym korytarzu nie dostrzegli choćby jednego okna. I ani śladu mebli.

Przystanęli na moment, by się naradzić.

- Nie lubię miejsc, gdzie nie widać nic prócz ścian - powiedział Arky. - Myślę, że powinniśmy wracać.

- Nie dowiedziawszy się, gdzie jesteśmy? - April westchnęła głośno i spojrzała na Maksa. - Co ty o tym sądzisz?

Max zgadzał się z Arkym. Ale nie zamierzał powiedzieć tego w obecności April.

- Może podejmiemy jeszcze kawałeczek? - zaproponował. April uśmiechnęła się radośnie.

- Dwa do jednego.

- Nie wiedziałem, że bawimy się w demokrację - powiedział prawnik. Korytarz, w którym się zatrzymali, zakręcał ostro w prawo. - No dobrze - stwierdził z ociąganiem. - Spróbujmy.

Przeszli za zakręt. Kolejne pokoje. I kolejny otwór w suficie. Wciąż żadnych okien. I niczego, co świadczyłoby o czyjejs obecności.

- To miejsce nie wygląda na porzucone - powiedziała April. - Nie ma tu kurzu. Po prostu jest puste.

Skręcili jeszcze raz. Max zaczął rysować mapkę.

- Gdzie są okna? - dopytywał się Arky.

Max czuł, że zaczynają boleć go nogi w kostkach. Chodzenie po podłodze, która zapada się przy każdym kroku, nie było łatwe.

Przeszli do długiego, wąskiego pokoju. Max, który zajmował się właśnie rysowaniem mapy, postawił nogę na oślep. Nie było tam podłogi i poleciał całym ciałem naprzód; nagle zobaczył pod sobą dwa piętra! April pochwyciła go za kurtkę i przytrzymała przez tę krótką chwilę, której potrzebował Arky, by objąć go ramieniem. Odciągnęli go do tyłu. Max uklęknął na miękkiej podłodze, czekając, aż uspokoi się jego żołądek. Otwór miał kilka stóp szerokości i ciągnął się przez całą długość pokoju. Po jego drugiej stronie znajdowała się zwykła podłoga i drzwi prowadzące do następnego korytarza.

Upewniwszy się, że Max jest cały i zdrowy, April uklękła na skraju otworu.

- To nie jest uszkodzenie - powiedziała. - To jakiś szyb.

- Na środku pokoju? - zdziwił się Arky. - Kto to zaprojektował? Ponieważ nie mogli obejść ani przeskoczyć otworu, wrócili do korytarza i przeszli do następnych pomieszczeń. Niektóre także były przedzielone na pół szerokim otworem, co uniemożliwiało im dalszy marsz w tę stronę. Kierowali się więc tam, gdzie owo dziwne zjawisko nie występowało.

Zagląдали do wszystkich mijanych sal. Stopniowo docierała do nich świadomość, że nie są to pokoje w normalnym rozumieniu tego słowa. Raczej fragmenty przestrzeni o niezliczonej ilości kształtów. Niektóre były zbyt wąskie, by zmieścić się w nich człowiek. Inne, jak pokój z dyskiem, nie były ani kwadratowe ani prostokątne, a ściany łączyły się ze sobą pod przedziwnymi kątami. Nigdzie nie dostrzegli żadnych mebli ani schodów czy wind, które łączyłyby ze sobą poszczególne piętra. Barwa i struktura dywanów i ścian zmieniały się w zależności od miejsca. A co najdziwniejsze, nie znaleźli ani jednego okna, co prowadziło do nieuniknionej sugestii, że są pod ziemią.

Max gotów był opuścić ten dziwny świat już w chwili, gdy przyjaciele wyciągnęli go z szybu, i czekał tylko, aż ktoś zaproponuje to za niego. Tymczasem skrupulatnie nanosił na papier trasę ich marszu, choć uważnie patrzył też pod nogi.

Przez cały czas wędrówki światło rozbłyskiwało jaśniej przed nimi i gasło za ich plecami. Stwarzało to niepokojące wrażenie, że coś ciągle się porusza tuż poza polem ich widzenia. Max zaczął udawać, że całkowicie pochłonęła go praca nad mapą, zerkając jednocześnie ukradkiem na boki i czekając na jakiś niewłaściwy ruch. W końcu go dojrzał.

- Gdzie? - spytał Arky. - Nic nie widzę.

- Tam. - Max wskazał na miejsce, w którym korytarz zakrecał gwałtownie w prawo. Minęli je zaledwie przed minutą.

- Ja też to widziałam - powiedziała April.

- Widziałaś co? - W dłoni Arky'ego pojawił się pistolet.

- Światło się zmieniło - wyjaśnił Max. - Spójrz, tam jest jaśniejsza plama.

Powietrze wokół nich poruszyło się lekko. Plama światła przypominała tę, która otaczała ich samych. Po chwili przesunęła się w ich stronę; jakby skradała się za nimi.

- Tam nic nie ma - oświadczył Arky, starając się mówić swobodnym tonem. - To tylko światło.

Jednak gdy przeszli kilka kroków, światło znów przesunęło się w ślad za nimi, April otworzyła szeroko oczy.

- Max, możesz nas zaprowadzić z powrotem na dysk? - poprosiła cicho.

Max przyglądał się już swej mapie.

- Nie sędzę. Mogę wrócić tylko tą samą drogą, którą przyszliśmy. - Spojrzał na zbliżające się światło.

- To się raczej nie uda - powiedział Arky. Ruszyli znów w kierunku, w którym szli przedtem. Prawnik zajął pozycję na końcu. - Spróbuj znaleźć jakąś drogę okrężną.

Gdy doszli do skrzyżowania dwóch korytarzy, skręcili w lewo, licząc na to, że za chwilę znajdą kolejne skrzyżowanie i zakręcą jeszcze raz, zostawiając za sobą tę rzecz w korytarzu. (Max zaczął już nazywać to w myślach rzeczą. Z zakamarków pamięci wychynęły nagle wszystkie znane mu filmy grozy i książki o wampirach).

- Wiecie co - myślała głośno April - wydaje mi się, że wszystkie światy powiązane w tym systemie są przygotowane dla gości. Dla turystów. Rejs jachtem po wielkim jeziorze. Mgławica Koński Łeb. Może to miejsce też jest czymś takim?

- Czym? - spytał Max. - Labiryntem?

- Może. Nie wiem. Może to wesołe miasteczko. - Maszerowali tak szybko, na ile to było możliwe w owych warunkach. Światło za plecami wciąż dotrzymywało im kroku. Wreszcie April zwolniła i odwróciła się, przepuszczając Arky'ego obok siebie.

- Halo - zawołała z wymuszonym uśmiechem. - Jest tam kto? Max stał za April, obserwując zbliżające się światło. Zaczął cofać się krok po kroku, walcząc z pokusą, by rzucić się do biegu, kiedy nagle świat zawirował mu przed oczami. Patrzył na April z przodu. Jej obraz pojawiał się przed nim i znikał, jak na ekranie telewizora. Kręciło mu się w głowie. Opadł na jedno kolano, trzymając się za brzuch, walcząc z nudnościami. Zamknął oczy, próbował się otrząsnąć i zobaczył jej twarz, poruszające się usta, wyciągnięte ręce i wpatrzone weń oczy. Tym razem patrzył na nią z góry, spod sufitu.

- Chodź, Max - ponaglał go Arky. - Bawimy się dalej. Podniósł go z kłęczek, a potem pochwycił April za ramię i odwrócił ją do siebie. Zaczęli uciekać co sił w nogach.

Przebiegli przez pokój w kształcie klina, wbiegli do następnego korytarza, skręcili w lewo, potem w prawo. Max szybko odzyskał panowanie nad swoimi zmysłami, prawdopodobnie dzięki adrenalinie, której zwiększone ilości krążyły w jego krwi.

- Chyba to zgubiliśmy - powiedział Arky.

Przechodzili przez szeroką salę, omijając otwór pośrodku podłogi. Zatrzymali się przy wyjściu. Kiedy nie dostrzegli żadnej zmiany światła, Max spróbował uporządkować myśli.

Najpierw wytłumaczył sobie, że zaburzenia w widzeniu były wynikiem chwilowej słabości, i że teraz powinien zastanowić się nad tym, jak wrócić do dysku. Był dumny, że nigdy nie traci orientacji. Uważał, że nawet teraz, w tym labiryncie, potrafi odnaleźć właściwą drogę. Pokazał swoim towarzyszom mapę.

- Jesteśmy tutaj - mówił, wskazując palcem - a musimy się dostać tutaj. - Od sali z dyskiem dzieliła ich jedna mila.

Wyprowadził ich z pokoju i skręcił korytarzem w lewo. Po chwili weszli do pomieszczenia z dyskiem.

Zimny dreszcz przebiegł Maksowi po plecach.

- To niemożliwe - wyszeptał. Lecz Arky nie zwracał nań uwagi.

- Max, jesteś geniuszem - powiedział, odetchnąwszy z ulgą. Max kręcił głową.

- To niemożliwe. To nie może być ten sam pokój. Przeszli przez pomieszczenie, spoglądając podejrzliwie na drugie drzwi, od których rozpoczęli wędrówkę. Max spojrzał na ikonki. Wyglądały dokładnie tak samo jak te, które widzieli na początku. Cały pokój wyglądał identycznie. April machnęła ręką.

- Zastanowimy się nad tym później. Martwi mnie co innego; nie tak powinien wyglądać pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją - mówiła przyciszonym głosem. - Pomyślcie tylko, co

napiszą o nas w podręcznikach historii. „Uciekali aż się kurzyło”.

- Do diabła z podręcznikami historii - parsknął Max. - Napiszą tam tylko to, co my im powiemy. Chodźmy.

- Naprawdę chcesz zostać? - spytał Arky wyzywającym tonem, co oznaczało w domyśle „więc zostań albo nie traćmy czasu”.

- Będziemy musieli tu wrócić - powiedziała, ale weszła na dysk.

- Następnym razem będziemy pisać. - Max nacisnął głowę jelenia i dołączył do nich.

Dwadzieścia trzy sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Przypomniał sobie przygodę z dzieciństwa, kiedy to wszedł do wnętrza starego domu i przestraszył się dziwnych odgłosów dochodzących ze strychu. Kiedy złota kula przeniosła ich ponownie do wnętrza Rotundy, czuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy wybiegł z ciemnego wnętrza w piękny, słoneczny dzień.

*Najważniejszy interes Ameryki to robienie interesów.*

Calvin Coolidge

### *BADACZE ROTUNDY OTWIERAJĄ DRUGI ŚWIAT*

*Walhalla, Północna Dakota, 22 marca (AP)*

*Grupa badaczy przeszła dzisiaj przez drugi port i znalazła się w świecie, który opisany został jako „puste wnętrza”. Jak oświadczył rzecznik prasowy, Frank Moll, na planecie nie znaleziono żadnych śladów zamieszkania. Moll dodał również, że goście nie będą mogli korzystać z drugiego przejścia, dopóki nowy świat nie zostanie dokładnie zbadany.*

Grupa prowadzona przez Adama nie znalazła niczego, co mogłoby stwarzać zagrożenie dla ludzi, więc dwudziestego trzeciego marca ponownie udostępnił gościom przejście na Eden. Każdej grupie zwiedzających towarzyszył przewodnik i ochroniarz. Wycieczka trwała dwie godziny. Niesamowita metoda podróży działała deprymująco na większość chętnych, a niektórzy po prostu rezygnowali. Jednak wszyscy, którzy zdecydowali się odwiedzić Eden, wracali zachwyceni.

Przed wejściem na dysk każdy ze zwiedzających podpisywał oświadczenie, zwalniające organizatorów z odpowiedzialności za ewentualne szkody czy urazy, jakich mógłby doznać na Edenie. Arky nadal nie był jednak usatysfakcjonowany; powtarzał z posępną miną, że takie dokumenty i tak nie mają wpływu na orzeczenie sądu.

Badania krwi April, Maksa i członków ochrony, którzy byli po drugiej stronie, nie wykazały obecności żadnych wirusów.

April była ogromnie zadowolona, że Eden znów został udostępniony publiczności. Uwielbiała oprowadzać po nim naukowców, przybywających tutaj ze wszystkich stron. (Badania drugiego świata, który nazywali między sobą Labiryntem, zostały odłożone na jakiś czas. Max nie mógł uwierzyć, że jednak pogubił się w jego zakamarkach i zaczął podejrzewać, że Labirynt jest w istocie ogromną kulą).

April prowadziła nieoficjalne konferencje i organizowała specjalistyczne wycieczki, gdy uznawała prośby naukowców za uzasadnione. Powoli przyzwyczajała się do roli gospodyni nowego świata i wyznała kiedyś Maksowi, że podoba jej się życie gwiazdy. Ich zdjęcia ukazywały się na okładkach niezliczonych magazynów i pierwszych stronach dzienników. Ruszyła już produkcja filmu o Rotundzie, a według niepotwierdzonych jeszcze plotek rolę April miała zagrać Whitney Houston.

Andrea Hawk pełniła dyżur przy dysku, kiedy z Edenu powróciło dwóch geologów. Obaj mieli kędzierzawe brody i szare oczy. Byli tak zatopieni w rozmowie, że nawet nie zauważyli jej obecności. Jednak Andrea dosłyszała jedno, najważniejsze słowo: „ropa”.

Godzinę później była to najważniejsza wiadomość we wszystkich serwisach informacyjnych.

Główny punkt programu sesji plenarnej Zgromadzenia Ogólnego miał stanowić wniosek Tanzanii o dalsze zmniejszenie barier w handlu światowym. Jednak gazety, które i tak pełne były spekulacji na temat gwiazdnego mostu w Północnej Dakocie, przyniosły teraz wiadomość o odkryciu złóż ropy na Edenie.

O ile delegaci uczestniczący w Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych uważali

opowieści o innych światach i podróżach w inne wymiary jako mało istotne i niezwiązane z prawdziwą polityką (siebie samych postrzegali jako trzeźwo myślących realistów), o tyle doskonale rozumieli znaczenie słowa „ropa”.

Zgodnie z planem delegat Brazylii miał rozpocząć dyskusję na temat zmian w światowym handlu. Jednak wszyscy obecni na Zgromadzeniu wiedzieli, czego będzie dotyczyć to wystąpienie.

Obowiązki brazylijskiego ministra pełniła korpulentna dama o czarnych włosach, grubej szyi i rozbieganych oczach.

- Pytanie, które stoi dzisiaj przed nami - zaczęła - tylko w niewielkim stopniu dotyczy taryf. Patrzymy na nowy świat, ulokowany w jakiś przedziwny sposób poza Stanami Zjednoczonymi. Nasza wiedza na jego temat jest bardzo ograniczona. Nie wiemy czy jest większy od Ziemi, nie wiemy czy nadaje się do zamieszkania. Jak dotąd nie zdarzyło się nic, co świadczyłoby o tym, że nie nadaje się do tego celu. - Spojrzała prosto na delegata Stanów Zjednoczonych. - Brazylija pragnie przedstawić dzisiaj swoje opinie: to odkrycie jest tak istotne dla całego świata, iż żaden kraj nie może rościć sobie do niego prawa. Przejście powinno być dostępne dla całej ludzkości. - Pani minister przerwała na chwilę, by wysłuchać komentarza swego asystenta, skinęła głową i napiła się wody. - Rząd Brazylii jest przekonany, że Stany Zjednoczone, które zawsze walczyły o prawa człowieka, uznają niezbite prawo całej ludzkości do zbadania i wspólnego użytkowania tego dziwnego świata. Apelujemy do rządu Stanów Zjednoczonych, by złożył taką deklarację na forum Zgromadzenia Ogólnego.

\*\*\*

Margaret Yakata nie mogła liczyć na znaczące poparcie w wyborach prezydenckich. Choć większość społeczeństwa być może zaakceptowałaby kobietę na najwyższym stanowisku, na pewno nie zrobiłaby tego w przypadku kobiety japońskiego pochodzenia. Yakata zrezygnowała więc ze swych ambicji (które i tak zaprowadziły ją całkiem wysoko, bo aż na stanowisko gubernatora w Sacramento) i wykorzystując niebagatelne wpływy, wspomogła karierę polityczną Matta Taylora.

W dowód wdzięczności Taylor odesłał ją do pracy w ONZ, gdzie uznawano ją za światowego lidera współpracy w dziedzinie ochrony środowiska. Kilkakrotnie dała się też poznać jako nieugięta zwolenniczka wspomagania globalnego bezpieczeństwa poprzez rozwijanie słabych jeszcze demokracji.

- Państwa demokratyczne - lubiła pouczać przedstawicieli państw policyjnych - dają światu nadzieję na pokój, bo nie prowadzą ze sobą wojen.

Yakata siedziała teraz w swoim gabinecie w budynku ONZ, obserwując wystąpienie delegatki Brazylii na jednym ekranie, na drugim zaś reakcję prezydenta. Ktoś wręczył mu krótką notę. Prezydent przeczytał ją z kamiennym wyrazem twarzy, a potem podniósł wzrok na Margaret.

- Iran zażąda, by inspektorzy ONZ zbadali Johnson's Ridge i objęli cały ten teren międzynarodową kontrolą - powiedział.

- Na pewno będą mieli spore poparcie - odparła Yakata.

- Wiem. Można powiedzieć, że mają na nas bat. - Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

- Panie prezydencie - mówiła Yakata. - Wielu ludzi boi się konsekwencji tego odkrycia. Nawet Angole zrobili się nerwowi. Powiedzieli mi, że będą głosować z nami, ale pod warunkiem, że się tego pozbędziemy. Jeśli nie dostaną takiej gwarancji, wstrzymają się.

- Słyszałaś o ropie?

- Tak, słyszałam.

- I co o tym sądzisz?

- Myślę, że w porównaniu z tym, co może nas jeszcze spotkać, to drobnostka. Ale teraz wszystkich interesują tylko bogactwa naturalne. Co jeszcze można tam znaleźć? Złoto? Uran? Dokąd to prowadzi? Nic dziwnego, że Palestyńczycy chcą zażądać ziemi na Edenie. - Uśmiechnęła się lekko. - Tym razem Izrael na pewno będzie ich popierał.

- To koszmar - jęknął Taylor.

- Japończycy chcą, żeby ONZ przejęło Rotundę, a potem ją zniszczyło. Mówią, że technologie, jakie tam odkrywamy, zniszczą światową gospodarkę.

- Na pewno nie będą w tym osamotnieni - mruknął Taylor. - Cały świat jest przerażony, że z dnia na dzień stanie się jeszcze mniejszy, niż był dotąd.

Yakata westchnęła.

- Czy rzeczywiście będziemy mogli odtworzyć technologię, którą zastosowano w tym systemie transportowym, panie prezydencie?

- Nie mieliśmy jeszcze okazji dobrze tego zbadać, Margaret. Ale moi doradcy mówią mi, że każdy mechanizm, który nadal działa i jest dostępny, można skopiować.

- Tak właśnie myślałam. Panie prezydencie, na pewno zna pan temat lepiej niż ja, ale moim zdaniem ludzie, którzy twierdzą, że to może zagrozić całemu światu, mają rację. - Zastanowiła się nad tym, co chciała powiedzieć, i wcale nie była zadowolona. Nie należała do tych, którzy stracili wiarę w ludzką technikę czy samą ludzką rasę. A jednak... - Matt, chcesz mojej rady? - zapytała bezpośrednio.

Skinął głową.

- Zabij tego diabła. Unicestwi . Zaaranżuj jakiś wypadek. Odkryj, że nagle przestał działać. Zrób cokolwiek, byle się tego pozbyć. A potem, kiedy będziesz miał już wszystko za sobą, zaprosz ludzi z ONZ. Niech oni potwierdzą tożsamość ciała.

Faks Arky'ego bez przerwy wypluwał papier. Sonny Barbecue, Hooters, International House of Pancakes, Wendy's, McDonald's, Steak 'n' Ale i dziesiątki innych sieci chciały postawić swoje restauracje na Johnson's Ridge. Sheraton, Hyatt, Holliday Inn i Best Western złożyły już podania o pozwolenie na budowę hoteli. Albright REIT zamierzał wybudować tutaj centrum handlowe, a pięć wielkich firm gotowych było w każdej chwili rozpocząć prace przy instalacji stacji benzynowych.

Niektóre korporacje myślały już o inwestycjach po drugiej stronie gwiazdnego korytarza. Przedsiębiorstwa zajmujące się handlem drewnem łakomie spoglądały na lasy Edenu. Firmy developerskie uważały, że na plaży pod Mgławicą Koński Łeb należy wybudować drewniane molo i postawić budki z hot dogami. Nie brakowało też chętnych do prowadzenia poszukiwań złóż ropy na terenie dzikiej planety.

Grupa o nazwie „Kurdowie dla lepszego świata” przysłała petycję z prośbą o przydzielenie im terenu pod zamieszkanie. Poinformowali też Maksa, że chcą wysłać na Eden sześćdziesiąt tysięcy ludzi i założyć tam niezależną kolonię. Przedstawiciele uciskanych mniejszości z całej ziemi udzielali dziennikarzom wywiadów, z których wynikało, że takich próśb będzie jeszcze znacznie więcej. W Waszyngtonie tworzyła się Krucjata Ubogich, która już teraz wysuwała całkiem konkretne żądania.

- Może oni mają rację - mówiła April. - Może powinniśmy to otworzyć i udostępnić wszystkim chętnym? Przecież to nikomu by nie przeszkadzało.

Arky zmarszczył brwi.

- A jeśli po jakimś czasie pojawią się właściciele?

' - Nie sądzę, żeby w ogóle byli tam jacyś właściciele - powiedział Max. - Nie chciałbym nikogo wysłać do Labiryntu, ale myślę, że Eden jest całkiem pusty.

W oczach Arky'ego pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Może właściciele chcą, żeby był pusty. Ja też bym tak myślał na ich miejscu.

- I to jest prawdziwy powód, prawda? - Max spojrzał mu prosto w oczy.

- Jaki powód?

- Nie chcesz, żeby z tej ziemi korzystał ktokolwiek prócz twoich ludzi.

Arky miał już gotową odpowiedź, ale wzruszył tylko ramionami.

- Nikt inny nie będzie jej odpowiednio traktował powiedział. - Oddajcie ją którejkolwiek z tych grup, a za kilka lat będzie wyglądała jak centrum Fargo. W najlepszym wypadku. - Mówił do Maksa, ale jego spojrzenie wybiegło gdzieś w dal, poza ściany budynku. - To nowy dziewiczy świat. Już raz pozwoliliśmy obcym osiedlić się na naszej ziemi. Mam nadzieję, że nie popełnimy tego błędu po raz drugi.

- Martwi nas to dziwne urządzenie. - Jason Fleury patrzył na Walkera przez okulary w rogowych oprawkach. Otaczała go jakaś nieuchwytna aura naturalności, wydawał się być na wskroś uczciwy i prostolinijny. Nie takie cechy przewodniczący spodziewałby się znaleźć u wysłannika prezydenta. - Panie przewodniczący - mówił Fleury. - Jestem pewien, że rozumie pan, jakie znaczenie ma to znalezisko nie tylko dla pańskiego plemienia, ale i dla całego narodu. Czy wie pan, co działo się ostatnio na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ?

- Tak. Tamci ludzie twierdzą, że Rotunda należy do całego świata.

- I jaka jest pańska reakcja?

- Rotunda jest własnością Mini Wakan Oyate. Fleury pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wiem - powiedział. - Doskonale to rozumiem. Ale w grę wchodzi wielka polityka. Jutro odbędzie się debata nad wnioskiem, by Stany Zjednoczone uznały Johnson's Ridge za obszar należący do wspólnoty międzynarodowej. W zwykłych okolicznościach taki pomysł zostałby uznany za absurd. Ale Rotunda to unikalny problem. Ludzie ze strachem myślą o przyszłości, boją się tego, co może się wydarzyć, gdy nowe technologie wejdą do powszechnego użytku. W niektórych krajach już doszło do poważnych problemów gospodarczych. Na przykład przemysł samochodowy w Maroku praktycznie przestał istnieć. Ceny ropy spadają każdego dnia, a przemysł tekstylny w wielu zachodnich państwach umiera. Umiera, panie przewodniczący. - Fleury opadł na oparcie krzesła. - Chyba nie muszę panu mówić, co dzieje się na wszystkich giełdach świata. Ceny złota gwałtownie wzrosły, upadło kilka wielkich banków, zablokowana została większość poważnych inwestycji. Korea Północna grozi zrzuconiem bomby na Koreę Południową, jeśli nie otrzyma dostępu do Rotundy. Znaleźliśmy się w niezłym kotle, panie przewodniczący. Ale coś musi się zmienić.

Marzący deszcz stukał w okna gabinetu. Przed budynkiem zatrzymał się szkolny autobus. Grupa dzieci wybiegła z krzykiem na chodnik, a potem popędzana przez nauczycielkę zniknęła w drzwiach Niebieskiego Domu. Kolejna wycieczka, dzieciaki, które dopiero poznawały dziedzictwo swych ojców.

- Jesteśmy świadomi tych problemów - przemówił przewodniczący. - Wydaje mi się, że są one wyłącznie wynikiem strachu, a nie jakichkolwiek wymiernych efektów badań prowadzonych na Johnson's Ridge. Niemniej gotowi jesteśmy pomóc. - Podobał mu się ten Fleury, wyglądał na przyzwoitego człowieka. - Uważamy, że należy stworzyć specjalną komisję, która zajęłaby się rozpatrywaniem wszelkich propozycji związanych z wykorzystaniem technologii i informacji z Rotundy. Chętnie podejmiemy się uczestnictwa w takiej komisji.

Fleury przyjął to oświadczenie z zadowoleniem.

- Już od dawna myśleliśmy o powołaniu takiej komisji, panie przewodniczący. Obawiamy się jednak, że to niczego nie zmieni.



- Dlaczego, jeśli wolno spytać? - Rada plebiscytu spodziewała się nacisków ze strony władz, jednak wszyscy uważali, że ich propozycja jest całkiem rozsądna.

- Ludzie nie wierzą już swoim rządcom - powiedział Fleury. - Nie wierzą w ich uczciwość ani kompetencję. Nie będę dyskutował z panem o tym, czy to słuszny osąd. - Na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech. - Prawda jest taka, że dopóki będzie istnieć Rotunda, dopóty ludzie nie pozbędą się strachu. Nie uwierzą, że jakakolwiek komisja będzie skutecznie strzegła ich interesów. Prawdę mówiąc, my też w to nie wierzymy. Tak czy inaczej, jeśli ludzie nie wierzą, że to zadziała, na pewno tak właśnie będzie.

Walker miał wrażenie, że w pokoju zrobiło się chłodniej.

- Więc co pan proponuje?

- Chciałbym mieć pewność, że nikt tego nie usłyszy.

- Proszę mówić.

Fleury wstał i zamknął dokładnie drzwi gabinetu.

- Ten obiekt musi zniknąć. Musi zostać zniszczony. Chcemy go od was kupić. Oferujemy uczciwą cenę, znacznie wyższą od tego, co dawała wam grupa Wellsa. A potem na skarpie dojdzie do wypadku.

Przewodniczący skinął głową.

- Nie zostanie nic. - Nic.

- A jak zamierzacie to przeprowadzić? Fleury nie wiedział.

- To nie moja działka. Pewnie wysadzimy to w powietrze, a potem powiemy, że materiał był wewnętrznie niestabilny, albo że zadziałało jakieś samodestrukcyjne urządzenie pozostawione tam przez obcych. Damy sobie radę. - Jego mina świadczyła jednak, że wcale nie jest zachwycony tą perspektywą. - Powtarzam, dajemy dobrą cenę. Nawet więcej niż dobrą.

Przez dłuższą chwilę przewodniczący siedział w bezruchu.

- Niektórzy spośród naszych ludzi - przemówił wreszcie cichym głosem - zamierzają się tam przenieść.

- Słucham?

- Dano nam drugą szansę, panie Fleury. Możemy przypomnieć sobie, kim byliśmy kiedyś. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi rządu. Ani z rezerwatami. Ani ze światem, w którym nie ma już miejsca dla wolnych ludzi. Nie, zatrzymamy Eden. I nadal będziemy kontrolować bramę do tego świata.

- Nie możecie postąpić w ten sposób.

- Panie Fleury, nie możemy postąpić w żaden inny sposób.

\*\*\*

Najbardziej lukratywną częścią telewizyjnego imperium Staromodnego Billa był poranny talk-show nazywany oficjalnie „Projektem Czterdzieści”, a mniej oficjalnie, poza kamerą, „Śniadaniem z Jezusem”. W czasie gdy przewodniczący Walker rozmawiał z wysłannikiem prezydenta, Bili prowadził swój ulubiony program. Otaczała go grupa Ochotników, czyli ludzi, którzy przyłączyli się do niego, by razem pracować na chwałę Pana.

Większość programu zajmowały rozmowy, które nie prowadziły co prawda do żadnych konkretnych wniosków, ale obejmowały szeroki zakres problemów współczesnego świata. Telewidzowie załamywali ręce nad zeświecczeniem szkół i zwracali uwagę na uderzające podobieństwo między scenami przemocy pokazywanymi w telewizji a rzymskimi igrzyskami. Mniej więcej w połowie programu wystąpił gość specjalny Billa, autorka książki opisującej duchową

przemianę, jakiej sama doznała przed laty, kiedy to porzuciła życie pełne rozpusty i alkoholowego zamroczenia. Bogobojna kobieta opowiadała o tym, jak jej dwudziestoletni syn wykorzystał jej słabość i namówił do żyrowania umowy o pożyczkę na nowy samochód. Kilka tygodni później oświadczył, że nie jest w stanie spłacać rat kredytu.

Podobne opowieści zawsze wywierały na Billu ogromne wrażenie. Telewidzowie uwielbiali obserwować, jak reaguje na te świadectwa ludzkiej słabości i naiwności. Czasami walił pięściami w stół, czasem krzyczał z oburzeniem, a czasami po prostu siedział z zamkniętymi oczami, pozwalając, by łzy spływały mu po policzkach. Zawsze, gdy nadchodził taki krytyczny moment, producent pokazywał twarz Billa na maksymalnym zbliżeniu.

Tym razem Bili siedział nieruchomo, jak człowiek przejęty głębokim bólem. Widzowie widzieli jego wielką pierś unoszącą się ciężko i opadającą w tłumionym cierpieniu. Potem przesunął ręką przed oczami, jakby chciał oczyścić powietrze przed sobą.

- Bywają chwile - mówił - kiedy zastanawiam się, dlaczego Pan powstrzymuje swą karzącą prawicę. Nie chciałbym stawiać siebie na miejscu Wszechmocnego, ale gdybym to ja rządził światem, sprawy wyglądałyby inaczej. Zawsze broniłbym niewinnych. I spuściłbym ogień na głowy grzeszników. - Wypuścił powietrze z płuc, jakby odganiał od siebie wielki gniew. - Ale nasz Bóg jest miłosierny. Nasz Bóg jest cierpliwy.

Jeśli którykolwiek z widzów pomyślał, że ta uwaga graniczy z bluźnierstwem, nie napisał o tym do Billa.

Mike Swenson, właściciel supermarketu w Fort Moxie, był wielbicielem talk-show Billa. On także słyszał końcowy komentarz, i coś go zaniepokoiło. Musiał się długo zastanawiać, nim zrozumiał co to takiego, a pomyślał o tym dopiero późnym popołudniem, kiedy przygotowywał zamówienie na cały tydzień.

Uważaj, o co prosisz.

Gubernator Ed Pauling z Północnej Dakoty cieszył się ogromną popularnością. Udało mu się znaleźć sposób na dofinansowanie szkół, a jednocześnie obniżyć podatki o cały punkt. Zreorganizował rząd stanowy, redukując koszty i zwiększając jego efektywność. Tworzył nowe miejsca pracy, wyciągnął z budżetu federalnego pieniądze na remont niszczących mostów i dróg. Pomagał nawet farmerom. Północna Dakota nie mogła wybrać sobie lepszego gospodarza.

Ed widział jednak burzowe chmury, zbierające się nad Johnson's Ridge. Załamanie rynków finansowych w krótkim czasie zrujnowało także gospodarkę stanu i zniszczyło wszystko, co osiągnął w ciągu ostatnich trzech lat. Wszystkie banki w Północnej Dakocie stały na krawędzi bankructwa. Kilka korporacji znalazło się w poważnych kłopotach. A mnóstwo ludzi, którzy niegdyś wyświadczyli Edowi różne przysługi, teraz domagało się rewanzu. „Zrób z tym coś”.

Wiedział, że wcześniej czy później zadzwoni do niego prezydent. Kiedy to wreszcie nastąpiło, musiał przerwać spotkanie ze swoimi doradcami. Wrócił do gabinetu, zamknął drzwi i wyłączył automatyczną sekretarkę.

- Dzień dobry, panie prezydencie - przywitał się. - Jak leci? - spytał, nie próbując nawet ukryć ironii.

- Cześć, Ed.- Nawet kiedy sprawy wymykały się spod kontroli, Matt Taylor nie dawał nic po sobie poznać. Właściwie wszyscy mieli wrażenie, że Taylor nigdy nie dopuści do tego, by sprawy wymknęły się spod kontroli. To właśnie było jego największą siłą. - Świetnie - odparł prezydent swobodnym tonem.

- To dobrze. - Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- Ed, nie chcę, żeby ta rozmowa się nagrała.

- Wyłączyłem magnetofon.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o Rotundzie. Ed roześmiał się cicho.

- Widziałem wczoraj wyniki sondażu. Siedemdziesiąt procent dorosłych mieszkańców Ameryki nie może znaleźć Północnej Dakoty na mapie.

- To się wkrótce zmieni - powiedział prezydent.

- Wiem.

- Ed, czy możesz zrobić coś, co pozwoliłoby zaniknąć to paskudztwo?

Gdyby Ed miał takie możliwości, zrobiłby to już dawno temu.

- Bardzo bym chciał - westchnął. - Ale to teren Siuksów. Prawie jak święta ziemia. Pan, panie prezydencie, musi ogłosić stan wyższej konieczności. Wtedy ja wyślę Gwardię.

- To byłoby trochę niezręczne<sup>^</sup> Ed. Siuksowie nie stwarzają żadnego zagrożenia. Nie popełnili żadnego przestępstwa. Nie mogę tak po prostu wysłać tam wojska. Przed wyborami nie zostawiliby na mnie suchej nitki. - Prezydent roześmiał się ponuro. - Już widzę rysunki i plakaty: „Prezydent Taylor - drugi Custer”.

Ed doskonale to rozumiał.

- Próbowaliście ich przekupić? Chyba mają jakąś cenę.

- Też tak myślałem. Zaczynam się zastanawiać, czy nasi czerwoni bracia nie chcą przypadkiem wyrównać rachunków ze Stanami Zjednoczonymi. - Zamilkł na moment. - Ed, co proponujesz?

- Gdyby w grę wchodziło bezpieczeństwo publiczne, moglibyśmy siłą zająć to miejsce. Choć nie mam pojęcia, co byśmy z nim wtedy zrobili. To najbardziej śmierząca sprawa, z jaką miałem do czynienia.

- Nie mogę wymyślać jakichś bajeczek - odparł prezydent. - Media zaraz by to wykryły.

- Może będziemy mieli szczęście. Może coś się w końcu popsuje i będziemy mogli tam wejść.

Cass Deekin, botanik, powrócił z Edenu w nastroju, który można było określić tylko jako euforyczny. Kieszenie miał wypchane próbkami różnych roślin z pozaziemskiego systemu ewolucyjnego. Teoretycznie nie powinien był zabierać niczego z Edenu i podpisał nawet oświadczenie, że tego nie robi, ale ochrona nie zdołała upilnować wszystkich, on zaś nie mógł przepuścić takiej okazji.

Właśnie zszedł z dysku w towarzystwie Juana Barcerry, astronoma z Caltech, i Janice Reshevsky, matematyczki. Obok *ikonek* stał znudzony Indianin z notesem w rękę. Sprawdził ich nazwiska. Po drugiej stronie portu zostało jeszcze dziewięć z grupy dwunastu osób.

Cass i jego towarzysze dzielili się wrażeniami z wyprawy na obcą planetę, która to wyprawa była dla nich doświadczeniem tak niezwykłym, że wciąż nie mogli ochłonąć z podniecenia, kiedy nad dyskiem pojawiła się złota kula.

Strażnik spojrział ze zdumieniem na ikony. Cass (podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy Ziemi) wiedział, że właśnie one sterują urządzeniem przesyłowym.

Wpatrywał się w rosnącą kulę, pewien, że zobaczy tam kolejnych naukowców ze swojej grupy. Tymczasem strażnik nie odrywał spojrzenia od zielonych symboli i powiedział cicho, jakby do siebie.

- Nie ta ikona.

Cass nie miał pojęcia, o czym mówi Indianin, zrozumiał jednak, że dzieje się coś niedobrego. Strażnik położył dłoń na kaburze, ale nie wyjmował broni.

Złote światło, które przez kilka sekund przybierało na sile, ustabilizowało się, a potem zaczęło słabnąć.

Na dysku nie było nikogo.

Lecz Cass czuł, jak coś wciska się do jego głowy, stracił nagle orientację. Ściany Rotundy mówiły do niego, zamknięta przestrzeń chwytala go za gardło, dusiła. Unosił się w powietrzu, płynął niesiony ciepłymi prądami, które mieszały się z jego krwią. Przesuwał się powoli wzdłuż długiego okna i łykał wielkie łyzy radości, odnajdując i wypełniając sobą otwarty korytarz, pędząc w stronę słonecznego blasku, który prowadził go w wielką, nieskończoną przestrzeń.

Cass patrzył na wnętrze swych powiek. Wydawało mu się, że cały świat kręci się jak szalony. Czuł, że ktoś podnosi jego głowę, dotyka jego zimnej i wilgotnej twarzy.

- Poczekaj - mówił ktoś. - Nie próbuj wstawać. Inny głos:

- Nic ci nie będzie, Cass. I krzyk:

- Tutaj!

Cass otworzył oczy. Osobą, która do niego mówiła, był indiański strażnik.

- Spokojnie - powtarzał. - Już nadchodzi pomoc.

- Dzięki - odparł słabo Cass. - Nic mi nie jest.

Ale ciemność znów powróciła, otuliła go niczym mgłą. Słyszał odległe głosy ludzi. I słyszał ponownie słowa przestraszonego strażnika: „Nie ta ikona”.

*Duch Cassa Deekina być może nie był tak sławny jak duch ojca Hamleta. Ale na pewno wzbudzał znacznie większy postrach.*

Mike Tower, „Chicago Tribune”

CASS DEEKIN WIEDZIAŁ, że jego koledzy z niecierpliwością oczekują opowieści o wyprawie na Eden. Ale wciąż nie mógł dojść do siebie. Wrócił do Chicago, ale nie mógł spać ani w samolocie, ani w swoim własnym łóżku. Nie gasił świateł na noc. A kiedy w końcu zapadł w sen, dręczyły go koszmary.

Rankiem poinformował swoich przełożonych, że jest chory, ale potem zapragnął nagle towarzystwa, więc poszedł na śniadanie do Minny's Cafe, a później do biblioteki.

Tuż po jedenastej pojawił się w barze Collandar. Cass nie lubił pić, bo zbyt łatwo przybierał na wadze. Ale to była wyjątkowa okazja.

Zamówił piwo i szybko nawiązał rozmowę ze sprzedawcą samochodów z pobliskiego salonu chevroleta. Sprzedawca był sympatyczny, choć nie do końca potrafił wyzwolić się ze swej roli. Ale Cass nie miał nic przeciwko temu; tego dnia nie przeszkadzała mu czeza paplanina.

Towarzysz Cassa mówił o niepewnej sytuacji na rynku samochodowym i rozwodził się nad urokami podróży po mało uczęszczanych drogach Ameryki.

- Powiem ci, że nawet gdyby zrobili tę kosmiczną maszynę -mówił sprzedawca z szerokim uśmiechem - i każdy mógłby się w pięć sekund przenieść z Chicago do Europy, ja i tak nie oddałbym mojego starego blazera. Za nic.

Po chwili Cass usiadł sobie, że jego rozmówca przygląda mu się badawczo.

- Hej, kolego, nic ci nie jest? - Wielbiciel samochodowych podróży nie uśmiechał się już, lecz zmarszczył brwi w grymasie niepokoju.

- Nie, wszystko w porządku.

- Jesteś pewien? Wyglądasz trochę nieswojo.

To wystarczyło. Cass opowiedział mu o wszystkim, co wydarzyło się w Rotundzie, opisał ze szczegółami swój lot pod kopułą budynku, mówił o tym, jak czuł się przez coś wchłonięty, próbował przekonać go, że został nawiedzony (bo po namyśle doszedł do wniosku, że tak właśnie było).

- Nie wiem, co o tym myśleć - szeptał z szeroko otwartymi oczami. - Ale wiem, że to było niewidzialne, i że weszło we mnie.

Sprzedawca skinął głową.

- No tak - westchnął, spoglądając na zegarek. - Na mnie już czas.

- To tam było - kontynuował niezrażony Cass. - Nie kłamię, weszło przez port. Strażnik widział, ale nie chciał nic mówić. - Trącił przypadkiem szklankę i rozlał resztkę piwa. - Posłuchaj, wiem, że to głupio brzmi. Ale to prawda. Oni coś tutaj ściągęli.

Dziesięć minut później jakiś reporter próbował przeprowadzić z nim wywiad. Cass postanowił jednak, że nie powie już nic więcej na ten temat. Oczywiście, było już za późno.

*Sioux Falls, Południowa Dakota, 27 marca (Reuters) Policja zatrzymała dzisiaj oskarżonego płatnego zabójcę Carmine Malacci (pseudonim „Dreszcz”). Malacci, który po zamordowaniu sędziego federalnego w Milwaukee stał się obiektem ogólnokrajowej nagonki, został rozpoznany*

*przez jednego z mieszkańców, stałego widza telewizyjnego programu kryminalnego „Wydanie specjalne”. Malacci zmierzał podobno na Johnson's Ridge w Północnej Dakocie, gdzie chciał skorzystać z systemu transportowego i uciec na Eden.*

*Policja twierdzi, że oskarżony nie stawiał oporu. Został aresztowany po powrocie ze śniadania...*

Curt Hollis przechodził obok platformy załadowanej drewnem. Szedł do odległej o dwie mile stacji, kiedy przemówił do niego wiatr.

Curt pracował z J.J. Benderem, zawiadowcą stacji, przy kontroli celnej wagonów. Skończyli przeglądać pociąg złożony ze stu sześćdziesięciu ośmiu wagonów i ruszyli w drogę powrotną. Bender i inspektor celny szli przed nim, może jakieś czterdzieści jardów, z rękami wbitymi w kieszenie i notesami wetkniętymi pod pachę.

Bender i inspektor trzymali się blisko siebie, schylając głowę przed wiatrem, który wiał tego dnia z północnego zachodu. Szli po wschodniej stronie pociągu, wykorzystując wagony jako osłonę. Curt nie narzekał na pogodę tak bardzo jak pozostała dwójka. Bender i celnik spędzili większość życia w ciepłych wnętrzach, Curt zaś pracował przy wyrębie i na budowie, przy załadunku drewna i naprawie dróg. Skóra na jego twarzy zamieniła się w sztywną skorupę gdy miał zaledwie trzydzieści lat.

Teraz zbliżał się już do siedemdziesiątki i coraz wyraźniej odczuwał upływ czasu. Ramiona, kolana i biodra bolały go niemal bez przerwy. Miał cukrzycę, a od czasu do czasu odczuwał bóle w piersiach. Bał się jednak pójść do lekarza.

Powoli stąpał po zmarzniętym śniegu. Wiedział, że po powrocie do stacji czeka go jeszcze sporo pracy. Dlatego nie spieszył się wcale i pozwalał innym iść naprzód. Lubił te długie powrotne spacerunki po sprawdzeniu pociągu. Było późne popołudnie, słońce chowało się za horyzontem. Na równoległym torze czekał pociąg z samochodami. Mijając kolejne wagony widział przez moment drogę 75. Jakaś ciężarówka jechała na północ, w stronę granicy.

Curt był sam. Jego dzieci przeprowadziły się przed wieloma laty do Kalifornii i Arizony. Jeannie, z którą przez trzydzieści lat żył w udanym małżeństwie, umarła zeszłej wiosny.

Wiatr wciskał się między wagony. Podnosił brezent na platformach z drewnem i obrzucał je drobnym śniegiem. I szeptał jego imię.

Curt.

Curt zatrzymał się raptownie i spojrzął na szare niebo.

Jego towarzysze maszerowali rażno naprzód. Na cysternie przysiadła sójka, która przyglądała mu się z zaciekawieniem.

Curt.

Tym razem wyraźniej. Zimny powiew dotknął jego twarzy.

Na drodze 75 wielka ciężarówka sunęła z rykiem na południe, zostawiając za sobą kłęby spalin. Oprócz zawiadowcy i inspektora celnego w pobliżu nie było żadnych ludzi. Wielkie pordzewiałe bryły wagonów chowały się powoli w zapadającym zmierzchu.

- Jest tam kto? - spytał głośno Curt.

Przestraszona sójka zeskoczyła z cysterny i wzbiła się w powietrze, zakręcając na południowy wschód. Obserwował ją, aż zniknęła całkiem na tle ciemniejącego nieba.

Curt.

To był szept, odległe westchnienie.

Zdumiony, prawie wystraszony, znów się zatrzymał. Spozrzegł, że celnik również stanął w

miejscu i patrzył na niego.

Nikt nie chował się po drugiej stronie pociągu. Nikt nie stał w pustym wagonie obok niego. Nikt, prócz dwójki ludzi, którzy szli kilkadziesiąt kroków przed nim.

Poczuł coraz mocniejsze bicie serca.

Świat zawirował mu przed oczami, okrył się mgłą, potem znów oczyścił. Patrzył na wagon z góry.

I patrzył na siebie.

Jeśli zdążył się w ogóle przestraszyć, to teraz strach zniknął, opuścił go. Czuł spokój i obojętność nieba. Bez emocji patrzył na swoje ciało, leżące na śniegu.

I czuł obecność Jeannie. Młodej, roześmianej i beztroskiej, takiej, jaką była wiele lat temu, nim długie zimy i kłopoty z pieniędzmi przygięły ją do ziemi. Jej oczy były jasne i błyszczące, gdy pochylała się nad nim.

Potem światło się zmieniło, przygasło. Zobaczył, że to Bender klęczy przy jego głowie. Powróciło do niego poczucie samotności i straty.

- Curt? Co się stało? Nie wiedział.

- Zasłabłem - wyszeptał. A potem dodał: - Słyszałem, jak ktoś mnie wołał.

- Co? Poleż sobie tutaj, a ja zadzwonię na stację. Zaraz przyślą samochód.

- Tu coś jest - powiedział Curt, zmagając się z Benderem.

- On mówi prawdę - powiedział celnik, rozglądając się dokoła ze strachem. - Ja też to słyszałem.

Jeleń zaczął krwawić.

Jack McGuigan przejechał wzdłuż ściany krzewów i obejrzał się za siebie. Na białym śniegu błyszcząły jasnoczerwone plamy.

Oczywiście mógł zabić to zwierzę wiele godzin temu, ale Jack uwielbiał tropić. Powoli, stopniowo zbliżać się do swej ofiary, dać jej równe szansę. Ten jeleń już nie biegł. Ślady nie były już tak czyste i wyraźne. Rozsypane przednie krawędzie świadczyły o niepewnych ruchach zwierzęcia, czasami widać było, że jeleń się potykał.

Coraz częściej dostrzegał go między pniami drzew. Słabł z każdą chwilą, był wyczerpany. Jack zatrzymał się, zdjął okulary narciarskie i wyciągnął kanapkę. Da mu czas. Na tym etapie to i tak nie miało znaczenia. Nie ma pośpiechu.

Nalał sobie kawy z termosu.

Las tego dnia pełen był ptaków. Jack uwielbiał leśne stworzenia. Uwielbiał zapach lasu i widok nieba nad wierzchołkami drzew, wiatr poruszający gałęziami i cichy trzask dobrze naoliwionego zamka w karabinie, dźwięk, który przypominał mu, jak bardzo jest samotny. Łatwo było się zatracić w takiej chwili, zapomnieć o wszystkim.

W domu w Bożym lesie. Tak właśnie powinien żyć człowiek.

Czasami pod koniec polowania niemal czuł się winny. Te ślady budziły litość i współczucie. Rozmyślał po raz kolejny o tej mistycznej więzi, jaka tworzy się pomiędzy myśliwym i ofiarą. Bez gniewu. Bez nienawiści. Jeleń jest zrezygnowany, lecz podejmie ostatnią rozpaczliwą próbę ucieczki, będzie wiedział, kim jest Jack. On także będzie czuł tę więź, tę nieokreśloną wspólnotę, sięgającą wiele tysięcy lat wstecz.

Jack nie udawał, że to rozumie. Podobnie jak zwierzę, po prostu ją akceptował. Dał mu jeszcze chwilę i powoli dopił kawę. Kiedy skończył, starannie złożył celofanową torbę, w której trzymał kanapkę i schował ją do kieszeni. (Czasami widział, jak ludzie wyrzucają śmieci w lesie, i wpadał

wtedy w prawdziwą wściekłość. Zeszłego roku, mniej więcej o tej samej porze, natknął się na jakiegoś faceta, który wyrzucał w krzaki puste puszkę po piwie, i zostawił go okrwawionego obok ogniska).

Czas kończyć.

Jack uznał, że nadeszła już właściwa chwila. Zamierzał zrobić to jednym strzałem, jak zawsze.

- Idę - zawołał, spełniając rytuał ostatniej fazy. Wszedł na skuter śnieżny, zapalił silnik i poczuł, jak fala mocy przechodzi przez jego ciało. Przestraszone ptaki z krzykiem wzbiły się w niebo.

Jack ruszył naprzód, kierując się krwawymi śladami. Tutaj jeleni przystanął i skrył się pod gałęziami drzew. Tutaj ześliznął się ze stromego zbocza. Musiał nadłożyć prawie milę, by zjechać bezpiecznie w dolinę. Kilka minut później przejechał przez zamrożony strumień.

To był ośmiopunktowy rogacz. Kiedy Jack w końcu go dogonił, jeleni próbował skryć się za grubą ścianą krzewów. Lecz nie mógł oczywiście ukryć swych śladów. Jack przełamał strzelbę i wsunął nabój. Ich spojrzenia spotkały się; ostateczny moment wzajemnego poznania. Rogacz próbował słabo wycofać się między drzewa.

Jack podniósł broń do oka, wymierzył dokładnie w serce jelenia i pociągnął za spust. Huk wystrzału odbił się od ściany lasu. W oczach zwierzęcia pojawiło się zaskoczenie. Drzewa jakby ożyły, wyrzucając z siebie chmurę ptaków. Na piersi jelenia pojawiła się krew.

Przednie nogi rogacza ugięły się w kolanach. Upadł na ziemię, zadrzał w przedśmiertnym spazmie i znieruchomiał.

Jack nie ruszał się przez chwilę z miejsca, chłonąc pierwotne piękno tej sceny, czekając na śmierć zwierzęcia. Potem wrócił do skutera po plastikową płachtę, w którą zamierzał owinąć ciało. Wtedy właśnie jakiś ciemny kształt przesłonił na moment słońce.

Jack podniósł wzrok ku niebu, spodziewając się ujrzeć tam chmurę. Ale zobaczył tylko niczym niezmacony błękit. Wyciągnął płachtę i podszedł do jelenia. Śnieg skrzypiał pod butami, kiedy rozkładał płachtę obok martwego ciała. Zwierzę zaplatało się w gęstwinie i Jack musiał wyłamać kilka gałęzi, by uwolnić jego przednie nogi.

Robiło się coraz zimniej.

Obejrzał się nerwowo za siebie, spoglądając na świeży ślad jelenia, który niknął za krzakami niecałe trzydzieści jardów dalej.

Wiatr zakołysał wierzchołkami drzew. Głęboko w jego psychice, gdzieś w gęstwinie splątanych emocji, gdzie żył prawdziwy Jack McGuigan, coś się poruszyło. Coś, co nie było częścią jego umysłu.

Poczuł przyływ ogromnego gniewu.

Szaleństwo.

Ptaki i drobne zwierzęta były wszędzie. Dotknął go ciepły powiew powietrza. Odległy pomruk samochodów, gdzieś na autostradzie, mieszał się z pierwotną ciszą. Czuł, że coraz bardziej oddziela się od samego siebie. Z wściekłością patrzył na jelenia, skuter i stojącą obok postać, którą mógł być tylko on sam.

Czuł pod dłońmi wierzchołki drzew, ciepłe i żywe. Drżały. Śnieg i drobne gałązki spadły na ziemię.

Coś poruszyło się między drzewami. Światło zmieniło się, przesunęło, zaiskrzyło. Ktoś był tutaj, obok niego. Podniósł broń i rozejrzał się dokoła nerwowo. Powietrze stawało się coraz cieplejsze. Na śniegu błyszczała krew jelenia.

- To koszmar - powiedział Taylor. Zmełł w ustach jakieś przekleństwo i opadł na oparcie



krzesła.

Tony Peters masował czoło nad lewym okiem, w miejscu, od którego zawsze zaczynały się dręczące go migreny.

Na ekranie telewizora migały obrazy ze Zgromadzenia Ogólnego, gdzie za chwilę miał paść wniosek o udostępnienie Rotundy społeczności międzynarodowej. Później wniosek ten musiała rozpatrzyć Rada Bezpieczeństwa.

- Będziemy musieli zawetować ten idiotyzm - mruknął prezydent pośepnie.

Peters uważał, że mogą zażegnać jeszcze burzę, i wiedział, że teraz najważniejszym jego zadaniem jest uspokojenie prezydenta, zapobieżenie pochopnym i niepotrzebnym działaniom.

- Wszyscy wiedzą, że nie może pan tak po prostu oddać własnego terytorium. Nawet gdybyśmy chcieli; to własność prywatna.

Taylor roześmiał się.

- No, nie wiem. W historii jest już mnóstwo podobnych precedensów. Ale to i tak nie ma znaczenia. To byłoby złe posunięcie.

-I polityczne samobójstwo.

- Więc uważasz, że tak naprawdę nikt się tym nie przejmuje?

- Nie, oczywiście, że nie. Wszyscy są przerażeni. Ale nie brakuje ludzi, którzy nie zmarnują żadnej szansy, żeby utrudnić nam życie.

- No i świetnie im idzie. - Prezydent dolał sobie sherry i zaproponował to samo Petersowi.

Tony potrząsnął głową.

- Kto mógł przypuszczać, że w raju jest ropa? - westchnął Matt Taylor. - Nie mamy ani chwili spokoju.

- To nie powinno mieć dla nas znaczenia - wzruszył ramionami jego doradca. - Ile ropy można dostarczyć na światowy rynek, transportując ją w beczkach przez to urządzenie?

Użył dobrego argumentu i prezydent przez chwilę poczuł się lepiej. Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

- Ale w końcu nabierze znaczenia - powiedział. - Znajdziemy jakiś sposób, żeby to ściągnąć na Ziemię. Wszyscy o tym wiedzą. Ale to nie jest najważniejszy problem, prawda?

- Zgadza się.

Taylor rozumiał, że stawką w owej grze jest coś więcej, niż gospodarka i wybory. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale droga do gwiazd stała przed nimi otworem. Bał się nawet myśleć o konsekwencjach. Nie chciał zamykać bramy. Człowiek, który by to zrobił, nie zyskałby sobie wdzięczności następnych pokoleń. A Matt Taylor, jak każdy prezydent, chciał, by historia oceniła go dobrze, jak najlepiej. Przedtem uważał, że osiągając to stanowisko już zapisze się wyraźnie na kartach historii. Lecz kiedy znalazł się w Białym Domu, pozazdrościł sławy Waszyngtonowi, Lincolnowi, Rooseveltowi i Trumanowi. Uważał, że nigdy im nie dorówna, bo prawdziwą wielkość można osiągnąć tylko w czasie kryzysu. Każda administracja miała swoje problemy, ale dopóki nie pojawiła się Rotunda, problemy Taylora były całkiem przyziemne; nie musiał formować pierwszego rządu, nie musiał ratować Unii ani walczyć z Hitlerem.

Teraz doczekał się kryzysu. I to nie byle jakiego. Musiał tylko obrać właściwy kurs.

Ale jaki, do diabła, był ten właściwy kurs?

- Tony - powiedział. - Myślę, że mamy już dość. Siuksowie nie chcą z nami współpracować, więc musimy znaleźć jakiś inny sposób, by zamknąć tę diabelską maszynę. Nie pozwolę, by kraj rozpadł się na moich oczach.

*Walhalla, Północna Dakota, 27 marca (AP)*

*Mieszkaniec Północnej Dakoty zginął tego ranka pod kołami furgonetki. Niejaki Jack McGuigan z Fort Mojtie wybiegł z lasu przy drodze 32 prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu. McGuigan był w lesie na polowaniu, choć obecnie obowiązuje okres ochronny. O milę od miejsca wypadku znaleziono jego skuter śnieżny. Skuter był sprawny. Policja nie potrafi wyjaśnić, dlaczego kłusownik porzucił skuter ani dlaczego biegi. Śledztwo jest w toku.*

*McGuigan zostawił żonę, Jane, i dwójkę dzieci.*

- Doktorze Deekin, jest pan absolutnie pewien, że to, co zobaczył pan w Rotundzie, nie było zwykłym przywidzeniem?

Cass spojrzał prosto w kamerę.

- Tak - odparł, - Jestem tego pewien.

- Dlaczego ludzie z Johnson's Ridge nie mówią nic na ten temat? Czyżby to była tajemnica?

Deekin zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sądzę - powiedział w końcu. - To coś, to stworzenie, jest niewidzialne. Mogą po prostu nie wiedzieć o jego istnieniu.

- Twierdzi pan więc, że coś, czego nie można zobaczyć, przeszło przez port?

- Tak.

- I jest teraz w Północnej Dakocie?

- Tak. Myślę, że tak.

Dziennikarz prowadzący program odwrócił się do kamery.

- Być może mamy więc niewidzialnego gościa. Za chwilę spróbujemy ustalić, czy istnieje jakiś związek pomiędzy przeżyciami doktora Deekina, relacją z odległej stacji kolejowej, gdzie słyszano jakieś tajemnicze głosy, i niewyjaśnioną śmiercią myśliwego w pobliżu Johnson's Ridge.

*To ja płynę na wietrze  
To ja szepczę w powietrzu.*

Wiersz Chippewejów

FRAGMENT PROGRAMU „Wiadomości z Jimem Lehrerem” z 28 marca. Rozmowa z doktorem Edwardem Bannermanem, dwukrotnym laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Rozmowa dotyczy „gwiazdnego mostu” z Północnej Dakoty.

BANNERMAN: Być może mamy do czynienia z czymś, co fizycy nazywają mostem, to jest połączeniem między różnymi wszechświatami. Mgławica widoczna na niebie Edenu wcale nie musi być naszą Mgławicą Koński Łeb. Nie wiemy tego jeszcze. I prawdę mówiąc, być może nigdy się nie dowiemy. Byłoby to ogromnym rozczarowaniem dla ludzi, którzy chcieli wykorzystać tę technologię do podróży do San Francisco czy Nowego Jorku.

LEHRER: Nie trafiliby do Nowego Jorku?

BANNERMAN: Och, przypuszczam, że trafiliby. Tyle że to nie byłby nasz Nowy Jork.

Jeri Tully miała osiem lat. Umysłowo zatrzymała się na poziomie trzech. Lekarze uprzedzali jej rodziców, że raczej nie można liczyć na poprawę. Nikt nie wiedział, co się stało Jeri. W żadnej ze spokrewnionych rodzin nie występowały wcześniej takie zaburzenia. Dziewczynka miała dwóch młodszych braci i obaj byli normalni.

Jej ojciec był strażnikiem granicznym, a matka pracowała kiedyś jako sekretarka w kancelarii prawniczej. Porzuciła wszelkie nadzieje na zrobienie kariery, kiedy przyjechała za swoim mężem do Fort Moxie.

Jeri jeździła codziennie do Walhalla, bo tam mieściła się najbliższa szkoła specjalna. Lubiła szkołę, miała tam wielu przyjaciół, i wszyscy wciąż się o nią troszczyli. Poranki w domu Tullych były więc wypełnione radosnymi krzykami Jeri, która nie mogła doczekać się wyjazdu.

Walhalla dzieliło od Fort Moxie trzydzieści pięć mil. Szkoła specjalna obsługiwała dzieci z ogromnego terenu, autobus szkolny nie mógł podjeżdżać do wszystkich. Rodzina doszła do porozumienia z zarządem szkoły i dowoziła Jeri własnym samochodem, za co otrzymywała potem zwrot kosztów.

Matka Jeri, June, po jakimś czasie polubiła te codzienne wycieczki. Dla dziewczynki przejażdżki samochodem również stanowiły nie lada atrakcję. W drodze powrotnej June mogła odetchnąć choć przez chwilę od codziennej bieganiny. Jechała w ciszy, patrząc na rozległe pola po obu stronach drogi albo słuchała książek nagranych na kasecie.

Niezwykła przygoda Curta Hollisa miała miejsce w czwartek. Ojciec Jeri pracował wtedy na nocną zmianę. Kiedy wrócił rano do domu, żona czekała na niego z tostami, bekonem i kawą. W czasie gdy małżonkowie jedli śniadanie, wydarzyło się coś dziwnego. Po raz pierwszy i ostatni w życiu Jeri oddaliła się sama od domu. Później domyślano się tylko, że postanowiła wyjść do szkoły i nieświadoma odległości jak i czasu (była to sobota) wybrała się tam na piechotę.

Niedostrzeżona przez nikogo, prócz jej dwuletniego braciszka, założyła buty i płaszcz, wymknęła się na werandę, wyszła na drogę 11 i skręciła w prawo. Jej dom położony był na zachodnim krańcu miasteczka, więc już po kilku minutach zostawiła za sobą ruiny wytwórni lodów i

skrzyżowanie z drogą międzystano-wą. Temperatura wciąż sięgała kilkunastu stopni poniżej zera.

Trzy czwarte mili za Fort Moxie droga 11 zakręca ostro na południe, a potem niemal natychmiast powraca do poprzedniego kierunku. Gdyby jezdnia nie pokrywała warstwa śniegu, Jeri trzymałaby się pobocza, a po kilku minutach na pewno zauważyłby ją ktoś z przejeżdżających tędy mieszkańców miasta. Jednak wtedy właśnie spadł obfity śnieg. Jeri nie przykładła większej uwagi do szczegółów i już przy pierwszym zakręcie zeszła z jezdni. Kiedy po kilku chwilach śnieg zrobił się głębszy, skręciła na prawo, oddalając się w ten sposób jeszcze bardziej od miasteczka i od drogi.

Do tego czasu rodzice Jeri odkryli już jej zaginięcie. Wystraszeni, rozpoczęli poszukiwania, ograniczyli się jednak tylko do najbliższego otoczenia domu.

Jim Stuyvesant, wydawca i redaktor naczelny „Wiadomości z Fort Moxie” jechał właśnie do Rotundy. Tego ranka miała się tam odbyć konferencja prasowa dotycząca rzekomego przejścia na Ziemię istoty z innej planety. April Cannon zamierzała zdementować takie pogłoski, a Jim musiał oczywiście być przy tym obecny. Wyjechał właśnie z miasta, kiedy zauważył jakiś ruch na polu Josha McKenzie, po prawej stronie drogi. Diabeł śnieżny przesunął się po polu w zadziwiająco regularny sposób. Diabłem śnieżnym nazywali mieszkańcy tych okolic wiry powietrzne, wąskie u podstawy i szerokie u góry. Zazwyczaj takie twory były nieostre, jakby rozmyte na brzegach, poruszały się chaotycznie i szybko rozpadały. Lecz ten wyglądał niezwykle solidnie i poruszał się cierpliwie w tę i w tamą po tym samym kursie.

Stuyvesant zatrzymał się i przyglądał dziwnemu zjawisku. Śnieżny diabeł działał nań hipnotyzująco. Silny wiatr, kołyszący samochodem dziennikarza, powinien rozbić go na drobny puch. A jednak biały stożek pozostawał nietknięty.

Stuyvesant nigdy nie rozstawał się ze swoją kamerą wideo. Od czasu do czasu udawało mu się sfilmować jakieś niecodzienne wydarzenia, a zdobyty w ten sposób materiał sprzedawał programowi „Ben at Ten” albo którejś z lokalnych stacji telewizyjnych. (Zrobił na przykład świetną relację z blokady ładunku wołowiny, przeprowadzonej na granicy przez rozwścieczonych hodowców bydła czy z karambolu, do którego doszło na drodze I-29). Diabeł śnieżny nadal poruszał się w jednostajnym, powolnym rytmie. Jim włączył kamerę, wszedł na pole i zaczął kręcić. Dopiero po kilku minutach śnieżny wir zatrzymał się na moment.

I ruszył w jego stronę.

Dziennikarz nadal filmował.

Wir sunął w jego kierunku w stałym tempie. Wydawało się to dziwnie celowe, niemal świadome.

Silne podmuchy wiatru targały kurtką Jima, ale nawet nie zachwiały białym stożkiem. Stuyvesant poczuł irracjonalny niepokój i cofnął się o kilka kroków.

Wir znieruchomiał.

Zadziwiające. Jakby chciał się z nim porozumieć.

Stuyvesant stał w miejscu, nie wiedząc, co ma robić. Śnieżny diabeł znów zaczął się poruszać, tym razem w bok. Przesunął się o kilkanaście jardów i wrócił na swoją poprzednią pozycję.

Jim obserwował go przez obiektyw kamery. Na dole obrazu migotała czerwona lampka kontrolna.

Czekasz na mnie.

Śnieżny wir znów zbliżył się do niego. Wiatr szarpał ubraniem Jima.

Dziennikarz zrobił krok do przodu. Śnieżny diabeł cofnął się nieco.

Jak wszyscy mieszkańcy okolic Fort Moxie Stuyvesant był wręcz zasypywany mnóstwem fantastycznych teorii i spekulacji dotyczących Rotundy. Teraz sam zastanawiał się, czy na prerii

istnieje jakaś nieznaną dotąd formą życia, która ujawniła się po raz pierwszy właśnie jemu. Ta myśl przywołała uśmiech na jego twarz. Zmusiła go także do ostatecznego zrewidowania poglądów na świat.

Ruszył naprzód.

Wir znów się cofnął.

Szedł prosto przed siebie. Śnieg stawał się coraz głębszy, wpadał mu do butów.

Diabeł śnieżny nieustannie się cofał. Jim miał nadzieję, że widać to wyraźnie na taśmie.

Biały stożek wirował i lśnił w słońcu. Utrzymywał stałą odległość między nimi. Kiedy Jim zwalniał, śnieżny diabeł robił to samo.

Jakiś samochód zjechał na pobocze i zatrzymał się obok wozu Stuyvesanta. Ten zastanawia się, jak wyjaśni swoje zachowanie i oczyma wyobraźni widział już nagłówek w następnym wydaniu „Wiadomości z Fort Moxie”: „Szalony redaktor pod opieką lekarzy”.

To polowanie było jednak bezcelowe. Pola uprawne ciągnęły się aż do Winnipeg. Stuyvesant doszedł do wniosku, że czas już wracać.

- Przykro mi - powiedział głośno. - Dalej nie idę.

Śnieżny wir przesunął się jeszcze o jakieś sześćdziesiąt jardów. I opadł.

Kiedy zniknął, pozostawił na śniegu jakiś ciemny przedmiot.

To była Jeri Tully.

tego dnia Stuyvesant został człowiekiem wierzącym. Relacja, która ukazała się potem na łamach „Wiadomości z Fort Moxie”, była tylko suchym opisem wydarzeń, nie oddawała całej prawdy.

\*\*\*

Niestety, w Fort Moxie nie było żadnego kościoła. Jednak Pan troszczy się o swoich wiernych i w tym wypadku świadectwem jego troski był Kor Yensen. Kor wyjeżdżał na jakiś czas do Arizony wraz z synem i synową. Nie chciał jednak pozostawiać swego wielkiego domu bez opieki. Propozycja telewizyjnego kaznodziei, który chciał wynająć od niego budynek na krótki okres, pojawiła się w doskonałym momencie. Nie przyszło mu wtedy do głowy, że w ten sposób zrazi do siebie sąsiadów, w ogromnej większości metodystów i luteran, którzy woleli spokojniejsze formy uwielbienia niż śpiewy i grzmiące przemowy wygłaszane przez Staromodnego Billa.

By mógł należycie spełniać swą funkcję, dom Kora musiał zostać poddany drobnym przeróbkom. Ochotnicy wyburzyli trzy ścianki, by stworzyć odpowiednio przestronne miejsce spotkań. (Podpisali z Korem umowę, w której zobowiązali się przywrócić wszystko do poprzedniego stanu). Zamontowali stałe elementy scenografii w postaci ciemnych ścian i wypchanych książkami regałów. Dołączyli do tego organy, odpowiednią aparaturę nagłaśniającą i najnowocześniejszy sprzęt komunikacyjny. Dwa dni po ich przyjeździe, w sobotę wieczorem, kościół był już gotowy.

Dokładnie o siódmej wieczorem czasu miejscowego bogaty w barokowe zdobniki temat muzyczny „Oto Staromodna Wiara” zakołysał domem, a po jakichś trzydziestu taktach przed kamerami pojawił się sam Bili, który powitał serdecznie widzów z Fort Moxie. Wyjaśnił, że Ochotnicy przybyli tutaj, by zмагаć się z szatanem i zaintonował pieśń „Potężną fortecą jest nasz Pan”, którą szybko podjęło osiemnastu wiernych zgromadzonych na sali (dzięki cudom współczesnej elektroniki ich głosy brzmiały kilkadziesiąt razy mocniej, jakby na spotkanie przybyło co najmniej kilka setek ludzi). Chór, ukryty za zasłonami w sypialni na górze, także włączył się do śpiewu i wkrótce wszystkich ogarnął podniosły nastrój.

- Bracia i siostry - powiedział Bili, wznosząc ręce. - Zastanawiacie się pewnie, dlaczego Ochotnicy przybyli w to miejsce, do Dakoty. Dlaczego wielu z nas czuło, że Pan potrzebuje nas

właśnie tutaj. Dzisiaj stoimy w cieniu Johnson's Ridge. - Spojrzał poza obiektywy kamer, zaglądał do domów, w których siedzieli przed telewizorami jego wierni widzowie. Ludzie zawsze mówili, że kiedy oglądają program Billa, mają wrażenie, że zwraca się on właśnie do nich. - Zaledwie kilka mil stąd naukowcy utworzyli przejście do innego... - przerwał na moment, nadając szczególną wagę ostatniemu słowu - ...miejsca.

Innego miejsca.

I jakież to miejsce znaleźli? Mówią o drzewach i stawach, o białych kwiatach i niegroźnych stworzeniach, o pięknym niebie i ciepłym słońcu. Mówią językiem, który znany jest każdemu, kto czytał Księgę Rodzaju. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, naukowcy nie zdają sobie z tego sprawy. Nie rozpoznają tego miejsca, bo są zbyt mocno z tego świata.

Lecz my wiemy, gdzie oni są, bracia i siostry.

- Amen - zakończyła jego publiczność.

Po programie podeszła do niego Alma Kinyata z „Wolnej prasy Winnipeg”.

- Wielebny, czy naprawdę wierzy pan, że odkryliśmy raj? - spytała.

Znajdowali się w jego biurze, na tyłach przebudowanego kościoła. Wystrój pomieszczenia był isticie spartański i stanowił ogromny kontrast dla osoby i mocy jego użytkownika. Bili umieścił tam biurko i dwa krzesła. Pomiędzy dwoma marmurowymi ciężarkami stała Biblia, „Wola Boża” Metcalfa i „Studia teologiczne”. Na ścianie wisiało zdjęcie matki Addisona.

- Tak - odparł Bili. - Naprawdę w to wierzę. Oczywiście, nie mogę wiedzieć tego na pewno, ale przypuszczam, że gdybym się tam przeniósł, mógłbym udzielić pani definitywnej odpowiedzi.

Alma ucieszyła się w duchu. Bili był rozmowny i z pewnością mógł dostarczyć jej ciekawego materiału.

- Czy zamierza się pan tam wybrać? Na Eden?

- Nie. Moja noga nie postanie w Ogrodzie. Śmiertelnicy nie powinni tego robić.

. - Mówi pan, że rozpoznałby pan raj, gdyby go zobaczył?

- O tak, każdy by go rozpoznał.

- Ale ludzie, którzy tam byli, nie wyciągnęli żadnych konkretnych wniosków.

- Mam na myśli chrześcijan. Przepraszani, czasami myślę tylko o wiernych.

- A jak by pan to rozpoznał? Addison zamrugał powiekami.

- Raj jest częścią boskiej materii. Adam i Ewa szybko musieli go opuścić. To był dobry ruch, jeśli wolno mi tak powiedzieć. - Uśmiechnął się szeroko, jak wielki, przyjazny pies. - To zachowało Ogród w czystości, w świętości. Och tak, to miejsce jest święte, i myślę, że każdy, komu zależy na zbawieniu duszy, natychmiast uzna tę prawdę za oczywistą. Proszę przypomnieć sobie anioła.

- Anioła?

- Tak. „I postawił tam anioła z ognistym mieczem”. Powiem pani, że nie chciałbym być jednym z tych, którzy sięgają po to, co Boskie.

Alma wyszła z gabinetu przekonana, że Addison nie wierzy w ani jedno swoje słowo. Miała jednak swój materiał i napędziła stracha sporej liczbie mieszkańców okolicznych miast.

Myliła się jednak co do Billa. Wierzył we wszystko, co mówił.

Andrea Hawk pomogła Maksowi ustawić ekwipunek na dysku i cofnęła się.

Nagranie wideo ze świata oznaczonego symbolem złączonych pierścieni ukazywało ścianę z długim oknem. Okno było ciemne. Ściana pusta. Poza tym nie wiedzieli nic o ostatnim z portów połączonych z Rotundą.

Świat ukazany na taśmie wydawał im się wyjątkowo zimny, więc wszyscy ciepło się ubrali.

- Wiecie co - powiedział Arky. - To tylko kwestia czasu. Wcześniej czy później utkniemy gdzieś na dobre.

- Racja - zgodziła się Andrea. - Powinniśmy wymyślić jakiś test. Żeby mieć pewność, że możemy wrócić do domu.

- Jeśli macie pomysł na taki test, to bierzcie się do roboty - powiedziała April. Max wiedział, że jego towarzyszka nie zamierza długo czekać. Chciała zobaczyć ostatni ze światów dostępny z Rotundy. Wiedział też, że potem przeniesie się na Eden i będzie badała tamte połączenia. Obawiał się, że kiedyś ją stracą.

Andrea stała przy ikonach, podczas gdy April, Max i Arky zajęli miejsce na dysku.

- Gotowi - oświadczyła April. Andrea nacisnęła ikonkę.

- Zwykła procedura - powiedział Max, machając łopata. -

Najpierw sprawdzimy, czy możemy wrócić. - Potem zwrócił się do Andrei. - Wyślemy tę łopatę. Jeśli się nie uda, zostawimy na dysku wiadomość.

Andrea skinęła głową.

Max próbował się rozluźnić. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Prawdopodobnie to właśnie uratowało mu życie.

Odkrył już wcześniej, że kiedy zamyka oczy, zawroty głowy nie są tak dokuczliwe. Widział nawet przez powieki coraz silniejszy złoty blask, odczuwał nieprzyjemny brak fizycznej rzeczywistości, jakby on sam już nie istniał. Potem światło przygasło, powrócił do niego ciężar, powróciło jego ciało.

I nie mógł oddychać.

Uderzyła go ściana zimna. Opadł na dysk. Waliło mu serce, krew huczała w uszach.

Próżnia. Zmaterializowali się w próżni.

April chwyciła go kurczowo za rękę. Zachwiała się, zeszła z dysku. Poszedł za nią.

Znajdowali się w długim, cylindrycznym pomieszczeniu, zajęтым w większości przez jakieś maszyny. Czarny panel, który widzieli na wideo, rzeczywiście był oknem. Na zewnątrz zalegała całkowita ciemność, niezmacona ani jedną gwiazdką.

Światło wpadało do wnętrza cylindra przez kilka okien umieszczonych po przeciwnej stronie. Światło pochodzące z ogromnej eliptycznej galaktyki. Nawet w chwili śmiertelnego przerażenia Max był zachwycony tym nieprawdopodobnym widokiem.

Arky przeszedł chwiejnym krokiem na tył urządzenia transportowego, podtrzymywanego na wysokim paliku, podobnie jak na Edenie. Max widział dwie kolumny ikon.

Arky spojrzał na symbole, a potem podniósł wzrok na Maksa. Ten zauważył wyrzut w jego wykrzywionej bólem twarzy. I coś jeszcze.

Teraz.

Max odczytał prośbę zawartą w udreńczonym spojrzeniu.

Idźcie.

. Ciemne oczy Indianina obróciły się w stronę dysku. Max pochwycił April, kiedy Arky przyłożył dłoń do panelu. Jeden z symboli zabłysnął zielonym światłem. Palce Arky'ego przywarły do powierzchni panelu i już się od niego nie oderwały.

Straszliwe zimno wypchnęło z płuc Maksa resztki powietrza. Świat odsuwał się od niego, bladł. Max chciał mieć to już za sobą.

Ale April trzymała go mocno. Ciągnęła go. Wspiął się na dysk, a ona upadła obok niego.

Arky klęczał przy panelu i patrzył na nich.

Wnętrze pomieszczenia zaczęło blednąć. Max przywitałby złote światło krzykiem rozpacz,

gdyby mógł krzyknąć.

Taśma, odtworzona podczas programu NBC „Kontrapunkt”, pokazywała wszystko. Telewizjowcy z całego kraju patrzyli na dziwną kolumnę śniegu, sunącą powoli przez puste pole. Jeśli którykolwiek z producentów telewizyjnych szukał programu, który mógłby naprawdę przerazić szeroką widownię, to właśnie go znalazł.

- A więc kiedy odegnałeś to coś, na polu znaleziono dziecko? - spytał łagodnie prowadzący.

- Nie, to nie było dokładnie tak - odparł Stuyvesant.

- Więc jak to było, Jim?

- Wyglądało raczej na to, że to coś chciało pokazać mi, gdzie leży dziecko.

Prowadzący skinął głową.

- Możemy obejrzeć jeszcze raz ostatni fragment, Phil?

W milczeniu patrzyli na wirujący stożek śniegu, który cofał się i zatrzymywał, potem przesuwał się nieco do przodu i znowu cofał. Niestety, telewizjowcy nie mogli zaobserwować dobrze związku pomiędzy ruchami wiru i człowieka trzymającego kamerę, ale i tak zobaczyli wystarczająco dużo.

- Czy to prawda - pytał dalej gospodarz programu - że Jeri nigdy dotąd nie zrobiła czegoś takiego?

- Tak mówią jej rodzice. A skoro oni tak mówią, na pewno jest to prawda.

- Jak myślisz, dlaczego właśnie dzisiaj wyszła sama z domu?

- Nie wiem. Myślę, że to po prostu przypadek.

- Jim, czy twoim zdaniem prawdziwe są pogłoski, że Jeri została zwabiona? Że to coś chciało ją wyciągnąć z miasta?

- Nie sądzę - pokręcił głową Stuyvesant.

Kamera pokazała z bliska twarz prowadzącego, który wzruszył ramionami i wykrzywił usta w grymasie zakłopotania.



*O żegnaj, mój synu! Przeszedłeś już za wielką rzekę.*

## Wiersz Czarnych Stóp

JESLI W TYM CZASIE KTOŚ z mieszkańców Fort Moxie i jego okolic padł ofiarą prawdziwej niesprawiedliwości, to właśnie Jeri Tully. Jeri otrzymała także dar o nieocenionej wartości, a dar ów był jednocześnie ową niesprawiedliwością.

Z przyczyn nieznanymi grupie ekspertów, którzy ją badali, Jeri nie rozwijała się prawidłowo, a jej czaszka nigdy nie była na tyle duża, by pomieścić mózg. W konsekwencji dziecko nie tylko rosło wolniej od pozostałych, ale było również niedorozwinięte. Jej świat był gmatwaniną myśli i emocji, miejscem nieprzewidywalnym i arbitralnym, w którym praktycznie nie istniało zjawisko ciągu przyczynowo-skutkowego.

Rozrywki i przyjemności Jeri ograniczały się w dużej mierze do doznań związanych ze zmysłem dotyku; uśmiech jej matki, figurka astronauty, którą szczególnie lubiła, jej młodszy bracia i pizza w piątkowe wieczory. Nie interesowała się telewizją, nie uczestniczyła też w grach, które zajmowały normalne dzieci. Była szczęśliwa, kiedy ktoś przychodził z wizytą. Lubiała też oglądać film „Gwiazdne wojny”, ale tylko w kinie.

June Tully wyczuła jakąś zmianę w swym dziecku, kiedy Jim Stuyvesant przyprowadził je do domu tego zimnego kwietniowego poranka. Nie potrafiła jednak określić dokładnie, na czym polega owa zmiana. Doznała tak ulotnego, efemerycznego wrażenia, że nie wspominała o nim nawet swemu mężowi.

Upośledzenie Jeri było na tyle głębokie, że dziewczynka nie zdawała sobie sprawy z własnych ograniczeń, więc nie czuła też żalu ani bólu. Ta prosta zależność stała się dla jej rodziny ogromnym pocieszeniem. Jednak coś wyjątkowego, niepowtarzalnego przydarzyło jej się, kiedy leżała przemarznięta w śniegu obok drogi 11. Była przerażona, nie bała się jednak o swe życie, bo nie rozumiała niebezpieczeństwa. Była przerażona, bo nie wiedziała, gdzie jest, nie wiedziała, gdzie jest jej dom. I nie mogła obronić się przed zimnem. I

Nagle coś nawiedziło jej świat. Jej umysł otworzył się jak kwiat skierowany do słońca. Uniosła się ku niebu i pędziła na wietrze, zaznała nieopisanej radości, niepodobnej do niczego, co przeżyła wcześniej. Sięgnęła daleko poza swe ograniczone możliwości.

Przez tych kilka chwil Jeri rozumiała zależności między wiatrem i ciepłem, napięcie powstałe między otwartym niebem i nabrzmiałymi chmurami. Unosiła się nad ziemią, pędziła przed siebie i nurkowała, jakby sama była burzą, istotą zbudowaną z blasku słońca, śniegu i wiatru.

Przez resztę życia jej okaleczony mózg powracał będzie do wspomnienia nieba, chwili, gdy zniknęły ciemność, chaos i słabość. Kiedy Jeri zrozumiała, co znaczy być bogiem.

Adam i Max powrócili w skafandrach próżniowych po ciało Arky'ego. Pożegnali go dwa dni później podczas cichego, katolickiego nabożeństwa, które zostało odprawione w kaplicy na terenie rezerwatu. Ksiądz z Diabelskiego Jeziora odmówił także starą modlitwę pożegnalną w języku Siuksów.

Na pogrzeb przybyli zarówno Indianie, jak i ich przyjaciele spoza rezerwatu. Było wśród nich całkiem sporo młodych atrakcyjnych kobiet i dziewięciu członków licealnej drużyny baseballowej, w której Arky pełnił funkcję drugiego trenera.

Max został poinformowany, że jako ten, który zawdzięcza ofercie Arky'ego życie, powinien wygłosić kilka słów na jego cześć. Zapisał w notesie najważniejsze punkty tej przemowy, jednak kiedy stanął przed żalobnikami, notes wydawał mu się odległy i niepotrzebny. Nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że nie może bez pomocy notatek opisać uczuć dla człowieka, który uratował mu życie.

- Arky nie znał dobrze April ani mnie - zaczął, przemawiając z mównicy w kościółku. - Kilka miesięcy temu byliśmy sobie obcy. Dzisiaj April i ja jesteśmy tutaj nie tylko dzięki jego odwadze, ale także dzięki temu, że w tak trudnych warunkach potrafił trzeźwo myśleć. Musiał wiedzieć, że nie zdoła uratować siebie. Więc poświęcił swe życie, by uratować nas. - Max głęboko odetchnął. Słuchacze pochylili się lekko do przodu, czekając na ciąg dalszy. - Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem jego biuro, zauważyłem łuk wiszący na eksponowanym miejscu. Arky wyjaśnił mi, że łuk należał do jego ojca. Widziałem jego dumę. Łuk jest bronią wojownika. Mój ojciec także był wojownikiem. I byłby dumny z takiego syna. - Głos Maksa zadrżał lekko. Znów zobaczył małą dziewczynkę w oknie samolotu.

Kiedy przeszedł na Eden, by uratować April, myślał, że to wspomnienie przestanie go już dręczyć. Jednak w tej chwili zrozumiał, że nigdy o nim nie zapomni.

Do zwyczaju plemion z Dakoty i północnego zachodu należy umniejszanie poczucia straty po śmierci kogoś bliskiego. Zamiast oddawać się rozpacz, współplemieńcy wspominają z radością życie i czyny ducha, który przyjął ciało i przez jakiś czas żył z nimi. Częścią takiego rytuału jest rozdawanie rzeczy zmarłego przez jego rodzinę.

Pod koniec uroczystości Max został przywołany przez jakiegoś nastolatka, który okazał się być bratem Arky'ego.

- Mamy coś dla pana - powiedział chłopiec.

Zgromadzeni wymieniali szeptem przypuszczenia co do natury podarku. Tymczasem młody Indianin podał mu długie, wąskie pudełko owinięte w ręcznie tkany materiał. Max podziękował i otworzył pudełko. Był to łuk.

- Nie mogę tego wziąć - zaprotestował Max.

James Walker wstał i odwrócił się tak, by mógł słyszeć go tłum.

- Powtórzę twoje własne słowa - powiedział. - Łuk jest bronią wojownika.

Wszyscy przyjęli to oświadczenie krzykiem aprobaty.

- Nie jestem wojownikiem - zapierał się Max. - Jestem biznesmenem.

Przewodniczący rady uśmiechnął się.

- Masz duszę wojownika, panie Collingwood. Arky oddał za ciebie życie. Jego rodzina postanowiła, że właśnie ty powinieneś dostać łuk. - Kiedy Max nadal nie był przekonany, Walker dodał: - Arky na pewno chciałby, żeby trafił do ciebie.

Jeden ze studentów wprowadził gościa, spojrzał z zaciekawieniem na April i wycofał się.

April wstała z miejsca i wyciągnęła rękę.

- Pan Asquith?

- Miło mi panią poznać, doktor Cannon. - Uścisk Asquitha był niepewny. Chwycił tylko jej palce. - Nie wiem, czy pani słyszała o mnie.

Zdanie to wypowiedziane zostało z przesadną wręcz skromnością, co oznaczało, że Asquith znał doskonale swoją wartość. Oczywiście był to Walter Asquith, dwukrotny laureat Nagrody Pulitzera, krytyk, eseista, poeta i powieściopisarz, znany zwłaszcza jako autor zjadliwych komentarzy społecznych. Ostatni z nich, zatytułowany „Ostatnie wieści z Babilonu”, zajmował pierwsze miejsce

na liście bestsellerów „New York Timesa” przez równe pół roku. April przypomniała sobie pewnego wykładowcę, który przez jakiś czas prowadził z nią zajęcia w college'u. Człowiek ten zbliżał się już do końca swej kariery wydawcy i pisarza. Któregoś dnia kazał im przeczytać zbiór esejów „Porzucony na bezludnej wyspie”, stanowiący w istocie bezlitosną krytykę różnych postaci ze świata literatury i ich dzieł. W jednym z esejów pojawiał się na chwilę ów wykładowca, jako ofiara bezpardonowego ataku wielkiego pisarza. Z dumą pokazywał ten fragment swoim studentom, a April zrozumiała wtedy, że to właśnie był szczytowy punkt jego kariery. Coś jak sława fryzjera Dantego.

- Znam pańskie prace, panie Asquith - powiedziała. - W czym mogę panu pomóc?

Asquith był duży, barczysty i nieco otyły. Miał cienkie siwe włosy, którymi usiłował zakryć łysinę na czubku głowy. Mówił autorytatywnym tonem, krótkimi zdaniami. April pomyślała, że byłby dobrym sędzią.

- Chciałbym spędzić trochę czasu na Edenie - powiedział. April zapisała na karteczce numer telefonu rejestracji i podała ją Asquithowi.

- Chętnie wpiszę pana na listę.

- Nie. Pani mnie nie rozumiała. Już tam byłem. Chcę wybrać się jeszcze raz. Prawdę mówiąc, chciałbym się tam przenieść na jakiś czas. Zamieszkać pod namiotem.

April ostentacyjnie spojrzała na zegarek. Dokonania tego człowieka nie robiły na niej wrażenia. Bezcelna prośba pozostaje bezcelną prośbą, bez względu na to, z czyich ust pada.

- Przykro mi, panie Asquith. Niestety, nie możemy pozwolić...

- Doktor Cannon, wiem jakie znaczenie ma Rotunda dla nauki. Zastanawiam się jednak, czy pani pojmuje psychologiczne i filozoficzne skutki tego odkrycia. Powolny, stopniowy rozwój ludzkości stanął pod znakiem zapytania. Jesteśmy na rozdrożu. Weszliśmy w gęsty, ogromny las. Świat, jaki znaliśmy dotychczas, czeka na jakieś wydarzenie. Nie wiadomo jednak dokładnie, co się wydarzy. Dlatego światowa gospodarka znajduje się w stanie chaosu; dlatego przed Białym Domem demonstrują tłumy niezadowolonych; dlatego Narody Zjednoczone toczą najbardziej zaciętą debatę tej dekady. Kiedy kilka tygodni temu przeszła pani na drugą stronę, zaczęła się nowa era.

Ktoś powinien zapisać to wszystko. Powiązać codzienne wydarzenia z ich znaczeniem historycznym i literackim. Dotychczas uważaliśmy, że jeśli przyszłe pokolenia będą pamiętać jakiś jeden konkretny moment z dziejów dwudziestego wieku, to będzie nim lądowanie człowieka na Księżycu. Ale... - Spojrzał jej w oczy. - Lądowanie na Księżycu to małe piwo, doktor Cannon. Decydująca chwila, nie tylko tego wieku, ale całej znanej nam historii, nadeszła właśnie teraz. Wiem, że sprowadzacie tutaj ekspertów, matematyków, geologów, astronomów i Bóg wie kogo jeszcze. I bardzo dobrze. Powinniśmy to robić. Ale potrzebujemy także kogoś, kto skoncentruje się tylko na znaczeniu tego, co się tutaj dokonuje. Kogoś, kto będzie przyglądał się temu z boku, kto odniesie wszystko do dziejów ludzkiego postępu. - Złożył razem dłonie i oparł na nich podbródek. - Uważam, że właśnie ja doskonale nadaję się do takiej roli. Prawdę mówiąc, zebrałem już sporo materiału. I czułbym się zaszczycony, gdyby pozwolili mi państwo wziąć udział w tym wielkim przedsięwzięciu.

April pomyślała, że Asquith ma rację.

- Jaką formę chce pan wybrać? Reportaże, felietony?

- O nie - pokręcił głową Asquith. - Nic podobnego. Chciałbym napisać dzieło mojego życia. Magnum opus.

- Pozwoli pan, że się nad tym zastanowię - powiedziała April. - Skontaktuję się z panem.

- Ta książka nosiłaby tytuł „Brzegi zapomnianego morza”. - Podał jej swoją wizytówkę. - Powinniśmy jak najszybciej zabrać się do pracy.

Asquith opuścił jej gabinet. April postanowiła, że przyjmie jego propozycję. Tego rodzaju

reklama nie mogła im zaszkodzić. Najpierw jednak musiała uzgodnić to z Makssem.

Odsłuchiwała telefony od swoich współpracowników. Peg Moll, która układała listy zwiedzających i zajmowała się koordynacją działań na Johnson's Ridge, odebrała telefon od agenta grupy rapowej Shaggy Doga. Agent chciał zorganizować koncert w pobliżu Rotundy.

- Obiecują, że sprzedadzą dwieście tysięcy biletów - powiedziała Peg.

Kiedy zadzwonił telefon, Max i April rozmawiali o planach kolejnej podróży do pomieszczenia, w którym stracił życie Arky. Tym razem zamierzali wysłać tam ekipę naprawczą (nowo odkryty świat cieszył się już większym zainteresowaniem badaczy niż Eden).

April odebrała telefon, słuchała przez minutę, potem podziękowała za wiadomość i odłożyła słuchawkę.

- Grupa inwestorów tworzy korporację, która chce kontrolować podróże do wszystkich światów połączonych z Rotundą - wyjaśniła Maksowi. - Dają dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów za wyłączne prawa.

- Cena ciągle rośnie - zauważył Max.

- Nazywają siebie biurem „Niebiańskie podróże” - uśmiechnęła się smutno April.

*Detroit, 1 kwietnia (Reuters)*

*„Wolna prasa Detroit” podała dzisiaj, że klub „Lwy z Detroit” może zostać przeniesiony do Fargo w Północnej Dakocie. Według pewnych źródeł informacji klub podpisał wstępną umowę z Manuelem Corazonem, dyrektorem firmy „Prairie Industries”. Oświadczenie w tej sprawie ma się ukazać jutro. Czekając na oficjalną aprobatę innych klubów ligi, zespół przeniesie się w przyszłym roku do Dakoty i zmieni nazwę na „Goście z Fargo”.*

*„Prairie Industries” to grupa przedsiębiorstw produkujących głównie sprzęt rolniczy.*

Program Larry'ego Kinga na kanale TNT, 1 kwietnia. Gość: Dmitri Polkaevich, laureat Nagrody Pulitzera za książkę „Żelazne sny”, historię Związku Radzieckiego. Temat: Nowa rewolucja w Rosji. (Inspirowana wydarzeniami w Rosji, gdzie istniała wówczas realna groźba puczu ze strony środowisk radykalnej prawicy).

KING: Nie sądzisz więc, by powrót nacjonalizmu był prawdopodobny?

POLKAEVICH: Świat zmienia się bardzo szybko, Larry. Nie przeczę oczywiście, że w Rosji są ludzie, którzy wprowadziliby tam szczególną odmianę faszyzmu, gdyby mieli taką okazję. Nie brakuje też takich, którzy chętnie wróciliby do Lenina. Ale prąd historii skierowany jest przeciwko nim wszystkim.

KING: Miło mi to słyszeć. Nim zaczniemy odbierać telefony, chciałbym jeszcze zapytać, gdzie twoim zdaniem zaniesie nas prąd historii?

POLKAEVICH: Przewidywanie przyszłości to bardzo ryzykowne zajęcie.

KING: Tak, ale powiedziałeś przed chwilą...

POLKAEVICH: Że widoczne są niektóre tendencje. Larry, na pewno śledziłeś wydarzenia, jakie miały miejsce przy granicy z Kanadą?

KING: Mówisz o Rotundzie? (Uśmiecha się). Trudno byłoby uciec przed nimi. W przyszłym tygodniu właśnie stamtąd będziemy nadawać nasz program.

POLKAEVICH: Gwiezdny most to Rubikon.

KING: Dla rosyjskich polityków?

POLKAEVICH: O tak. I dla armeńskich. I dla chińskich. Larry, ja nie myślę już o sobie jako o

moskwianinie. Nie nazywam siebie nawet Rosjaninem. Nie. Ty i ja, obaj jesteśmy obywatelami Ziemi. Era granic państwowych, rządów, które dzielą nas poprzez swoje głupie kłótnie, odchodzi do lamusa historii.

KING: Rządy staną się niepotrzebne?

POLKAEVICH: Rządy poszczególnych krajów - owszem. Myślę, że wkrótce dojdzie do utworzenia rządu światowego. Niestety, okres przejściowy będzie pełen niebezpieczeństw. Ludzie zazwyczaj wyrażają się z lekceważeniem o własnych rządach, ale zrobią wszystko, żeby je utrzymać. I mają ku temu dobre powody. Jeśli rząd światowy zacznie nas uciskać, gdzie uciekniemy? Choć teraz może mamy już odpowiedź na to pytanie. (Chichocze).

KING: Dmitri, intryguje mnie twoja uwaga na temat przynależności do danego narodu, to, że nie czujesz się już Rosjaninem. Może zechciałbyś powiedzieć coś więcej na ten temat.

POLKAEVICH: Larry, wiemy już, że nie jesteśmy sami. Gdzieś w kosmosie są też inne istoty, być może znacznie bliżej, niż przypuszczamy. Ta świadomość zjednoczy nas wszystkich.

*FBI/POUFNE*

*DO: Intel IV*

*OD: SAC, Morton. ID*

*TEMAT: Raport wstępny/ SIR27*

*Na tym terenie tworzy się nowa skrajnie prawicowa grupa, która chce przejąć kontrolę nad przejściem do innych światów na Johnson's Ridge w Północnej Dakocie. Przygotowują się do okupacji jednego ze światów i utworzenia tam własnego państwa.*

*Dodatek A zawiera listę aktywnych członków grupy. Prawie wszyscy spośród przywódców grupy byli już notowani. Dodatek B zawiera publiczne wypowiedzi i oświadczenia rzecznika organizacji, Johna Pieldera, i Abnera Wrighta, jej założyciela. Szczególny nacisk kładą na odebranie Rotundy z rąk obcych (prawdopodobnie mają na myśli Siuksów), nie kryją też, że chętnie użyją w tym celu przemocy. Będę informował o dalszym rozwoju sytuacji.*

*DO: Dyrektor Urzędu Celnego w Chicago, Illinois*

*OD: Zarządca okręgu Fort Moxie, Północna Dakota*

*TEMAT: Status Rotundy*

*Jak panu zapewne wiadomo, ludzie opuszczają kraj i wchodzi ponownie na jego teren przez „gwiazdny korytarz” na Johnson's Ridge. Zwracam się do pana z pytaniem, czy Johnson's Ridge powinien być traktowany przez służby celne jak inne przejścia graniczne. Oczywiście, nikt nie sprowadza tam przedmiotów o wartości handlowej, przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Jednak mogą mieć tutaj zastosowanie przepisy dotyczące przewozu ryb i innych zwierząt.*

*Jeśli uzna pan ten teren za przejście graniczne, proszę pamiętać, że wymaga to dodatkowego personelu.*

Oglądalność „Projekt Czterdzieści” osiągnęła niespotykany dotąd poziom. W konsekwencji wzrosła się także krytyka Staromodnego Billa i jego programu.

Do wrogów Billa zaliczała się większość dziennikarzy, a także liberalni politycy i lewicujące kościoły, czyli wszystkie siły przyczyniające się walnie do moralnego upadku ludności Ameryki. Ludzie ci oskarżali go o wszelkie możliwe zbrodnie, koncentrowali się jednak szczególnie na fałszu i hipokryzji. Twierdzili, że używa religii do wyłudzenia pieniędzy, że nie zna się na teologii, że prawdopodobnie nawet nie wierzy w Boga.

Żaden z tych zarzutów nie pokrywał się z prawdą. Co do ostatniego z nich, to Bill nie myślał o teologii na tyle poważnie, by martwić się o szczegóły, wierzył jednak szczerze, że każdy może porozumieć się bezpośrednio z Bogiem. „Nie wahajcie się skorzystać z tego Bożego telefonu”, mówił w swych programach, „powiedzcie Panu, co was dręczy, a on na pewno was wysłucha”.

Wierzył także niezachwianie we własną prawość i uczciwość, bo dawał nadzieję zrozpaczonemu, wyprowadzał zabłąkanych na ścieżki prawdy, dawał niekochanym poczucie przynależności. Wszystkim, którzy przyszli do niego, którzy wspinali się na górę Synaj swego życia, jednocząc się duchowo z Ochotnikami, wszystkim tym ludziom oferował zbawienie, ukojenie w bólu i niebiański kompas.

O tak, Bill naprawdę wierzył. Bóg stał u jego boku, kiedy śpiewał chór i grały organy, kiedy ludzie szlochając wyznawali swe grzechy i obiecywali naprawić swe życie.

I na pewno nie robił tego dla pieniędzy.

Pieniądze były miłe; nigdy temu nie zaprzeczał. Lecz uważał je tylko za dodatkową nagrodę za to, że robił co do niego należy, że szedł ścieżką Pana, że żył według Pisma. Prawdziwą motywacją było uniesienie, jakiego doznawał stojąc przed wielonarodową publicznością, i świadomość, że choć część spośród tych ludzi reaguje na Bożą prawdę. Uwielbiał otaczać ich mocą Słowa, trzymać w dłoni ich emocje i mocą swej entuzjastycznej retoryki rozrywać kajdany, które wiązały ich nie z ziemską egzystencją, lecz z prozaicznym życiem.

Bill rozumiał romantyczną siłę zawartą w opowieści o opuszczonym Bogu, który kochał swój lud, i który w końcu zgodził się ponieść śmierć na krzyżu za wszystkich grzeszników. Tak! Właśnie to rozumieli ludzie, właśnie to uwielbiali. I uwielbiali jego, bo uczynił z siebie część dobrej nowiny.

Drugi program Billa nadawany z Fort Moxie miał miejsce podczas ostatniej tej wiosny zawieci śnieżnej. Bili nie widywał dotąd śniegu w dużych ilościach, więc owo zjawisko było dlań inspiracją. Patrząc na wielkie płatki śniegu za oknem, zrozumiał Bożą miłość dla Adama, który pozostał jego dzieckiem mimo grzechu nieposłuszeństwa. I czuł, jak serca jego ludu biją w jednym rytmie z jego własnym.

- Lecz Adam powrócił do Ogrodu.

- Amen - zawołali Ochotnicy.

- O Panie. Potrzebujemy twej silnej prawicy.

- Alleluja!

- Daj nam znak. Pokaż niedowiarkom, że stoisz u naszego boku! Namawiał telewidzów, by pisali do swoich reprezentantów.

- Zażądajcie, by się wycofali. Bo jesteśmy głusi na słowa Pana. - W jego oczach pojawiły się łzy. Wiatr dął coraz silniej. Bili czuł Obecność. - Pokaż im swą siłę, Boże Abrahama. Proszę cię o to w imieniu twego Syna.

Na znak dany spoza kamery chór zaintonował pieśń „Opoka wieków”. Budynek drżał, ludzie szlochali, wiatr z wyciem uderzał w okna. Amanda Dexter, która zawsze dawała z siebie wszystko podczas nabożeństwa, krzyczała w uniesieniu o dozgonnej wdzięczności dla Stwórcy, a potem, łkając, upadła na podłogę.

Odśpiewali jeszcze kilka pieśni, którym towarzyszyło nieustanne wycie wichury. Bill czuł, jak coś otwiera się w jego duszy, czuł jak wchodzi weń moc Anioła Wszchemocnego. Zaznał jeszcze raz nieopisanej rozkoszy, jaką dawało mu przyciąganie ludzi do Pana. Połączył się w jedno z Aniołem, kierował burzą, patrzył jak śnieg przykrywa coraz grubszą warstwą dach, rynny i chodniki, zakopuje go, łagodzi ostre linie budynku.

Nagle ponownie znalazł się w środku. Organy przestały już grać, a wyczerpani Ochotnicy

podnosili się z podłogi, pomagali sobie nawzajem, opadali bez sił na krzesła.

- Chwalmy Pana - powiedział Mark Meyer, którego twarz była teraz sina ze zmęczenia. - Czułeś to? - Patrzył na Billa.

- Tak - odparł Bili drżącym głosem. - Czułem. - Tego wieczora mocniej niż kiedykolwiek w swej karierze świadom był obecności Pana. - Myślę, że otrzymaliśmy znak - dodał. - Tak, jestem pewien, że otrzymaliśmy znak.

Przypomniawszy sobie o kamerach telewizyjnych. I w tym momencie, kiedy zastanawiał się, czy telewidzowie słyszeli jego ostatnią uwagę, zgasły wszystkie światła.

- Sprawdźcie korki - krzyknął ktoś.

Ludzie Billa nie obawiali się małej awarii elektryczności i przywitali ją głośnym śmiechem.

- Zwycięstwo w Jezusie.

Bili nałożył słuchawki, by porozmawiać z Harrym Staplesem, szefem technicznym.

- Za moment będziemy mieli światło - zapewnił go Harry.

W pokoju zalegała absolutna ciemność. Bili nie widział nawet jaśniejszych prostokątów okien na tle ścian. Wyglądało na to, że latarnie także nie świeciły.

- Niech wszyscy pozostaną na miejscach, dopóki nie zapali się światło - powiedział Bill.

Producent poinformował go, że transmisja została przerwana.

- Ale zakończenie wypadło całkiem niezłe - dodał. Studio w Whitburgu nadawało w tej chwili pieśni gospel.

Ochotnicy skończyli śpiewać pieśń zatytułowaną „Jozue”. Wznosili radosne okrzyki, przewyciężając awarię światła tak, jak przewyciężali wszystkie inne przeszkody.

Znow głos Harry'ego:

- Do awarii doszło na zewnątrz, wielebny. Wysiadło też ogrzewanie. - Na schodach błysnęły światła latarek.

- Dobra - przyjął wiadomość Bili. - Kończymy na dziś i jedziemy do domu. - Mieszkali w hotelu w Morris, w prowincji Manitoba, pół godziny drogi na północ od granicy. - Świetnie się spisaliście, moi mili - zwrócił się do swej publiczności. - Chodźmy do domu.

Ochotnicy zmierzali już do wyjścia, zakładali buty i kurtki. Bili czekał, rozmawiając ze swoimi ludźmi. Słyszał, jak ktoś otwiera drzwi.

I nagle jakiś zachrypnięty męski głos rozbił podniosły nastrój wieczoru:

- Hej, co to jest, do diabła?

Bili słyszał stłumione krzyki i zdumione szepty. Za drzwiami tkwiła zbita ściana śniegu.

Frank Moll słuchał koncertu Mozarta, kiedy nagle muzyka ucichła, a w całym domu pogasły światła. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że latarnie na zewnątrz także zgasły.

Peg wyszła z salonu z latarką w ręce, kierując się do wnęki z korkami.

- To nie u nas, wysiadło chyba w całej dzielnicy - powiedział Frank, sięgając po książkę telefoniczną.

- Przepraszamy - odezwał się automat z elektrowni - ale wszystkie ekipy naprawcze są w tej chwili zajęte. Prosimy o ponowne połączenie.

Frank odłożył słuchawkę, usiadł wygodnie i oparł nogi na stołku.

- Jakaś większa awaria - powiedział. Na zewnątrz było zimno, ale ich dom był porządnie ocieplony.

Rozmawiali w ciemności, ciesząc się z tej przerwy w codziennej rutynie. W domu po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi. Hodge Elliot wyniósł na werandę lampę i rozglądał się

dokoła. Zadzwoił telefon.

- Frank? - Moll rozpoznał głos Edie Thoraldson. - Coś się stało w domu Kora. Wysłałam tam jednostkę.

Była to Grupa Szybkiego Reagowania, którą kierował kiedyś Frank.

- Co? - pytał zaintrygowany. - Co się tam stało?

- Nie jestem pewna - mówiła Edie. - Zdaje się, że kogoś zasypało. Wezwałam policję z Cavalier. Pomyślałam, że może powinieneś tam pójść i sprawdzić.

- Dobrze - zgodził się, zdumiony. Peg patrzyła na niego z niepokojem.

- Co się dzieje? - spytała.

- Nie wiem. Edie mówi, że kogoś zasypało. Co to może znaczyć, do diabła? - Zakładał już kurtkę. - Zamknij za mną drzwi.

Dom Kora znajdował się zaledwie sześć przecznic dalej. Frank zatrzymał się na swoim podjeździe, by przepuścić procesję samochodów wiozących strażników z ochotniczej jednostki w Fort Moxie. Potem wyjechał na ulicę i skręcił w lewo. Dwie minuty później zaparkował za rosnącym z każdą chwilą tłumem, kilkadziesiąt jardów od domu Kora. Był tuż za Grupą Szybkiego Reagowania. Widok przesłaniały mu gęste krzaki bzu, słyszał jednak liczne głosy, dochodzące od strony domu.

Nadjechał samochód strażacki. Tłum rozstał się, by go przepuścić, a Frank wreszcie mógł przesunąć się do przodu i zobaczyć, co wywołało takie zamieszanie w Fort Moxie.

W miejscu gdzie stał kiedyś dom Kora, przebudowany ostatnio na kościół, wznosił się wysoki na dwa piętra śnieżny walec. Śnieg na szczycie cylindra zawinięty był fantazyjnie, niczym porcja włoskich lodów.



*Poprosił o znak.*

Mike Tower, „Chicago Tribune” (komentując program Staromodnego Billa i dziwną burzę śniegową nad kościołem w Fort Moxie)

HARRY MILL LUBIŁ powtarzać, że jest prawdziwym synem swego narodu, wychowanym w duchu jego najlepszych tradycji. Spędził trzydzieści lat w Kongresie Stanów Zjednoczonych, osiem lat pełnił funkcję przewodniczącego Senackiej Komisji Służb Zbrojnych, potem został wiceprezydentem. Harry mówił ludziom, że nie ma żadnych politycznych ambicji, pragnie jedynie dobrze służyć swemu narodowi. W czasie następnych wyborów, które były dlań pierwszą szansą na objęcie najwyższego stanowiska w państwie, miałby już siedemdziesiąt siedem lat.

Dlatego też postanowił przejść na emeryturę po zakończeniu pierwszej kadencji Taylora, póki był dość młody, by cieszyć się wolnym czasem i dobrze go spożytkować. Zamierzał pisać dzienniki, podróżować po kraju, spędzać czas ze swoimi wnukami rozproszonymi niemal po całych Stanach i powrócić wreszcie do profesjonalnej gry w brydża, które to zajęcie porzucił przed ćwierćwieczem.

Prawda wyglądała tak, że Harry już zbyt się zestarzał. Polityka przestała go pasjonować, władza nie nęciła go tak jak kiedyś. Nie bawiło go kształtowanie polityki całego państwa, nie lubił spotykać się z najważniejszymi ludźmi w państwie, stracił nawet ochotę na cotygodniowe występy w różnych talk-showach. Tego wieczora brał udział w przyjęciu wydanym na cześć króla Jordanii, ale miał ogromną ochotę wymknąć się stamtąd jak najprędzej, pojechać do domu, założyć kapcie i obejrzeć z Marian jakiś dobry film.

Jak zwykle przy podobnych okazjach otaczał go tuzin drapieżników, którzy chcieli wykorzystać jego wpływy do własnych celów. Jednym z nich był dyrektor NASA, Rick Keough, który dopadł go przy stole z przystawkami.

Harry bardzo nie lubił Keougha. Dyrektor był kiedyś astronautą, więc cieszył się sporą popularnością. Uwielbiał się jednak popisywać i zależało mu bardziej na jego własnej karierze, niż na dobru organizacji, którą kierował. .

Keough popijał rum z colą i starał się wyglądać jak człowiek, którego przygniata ciężar niepowodzeń i biurokratycznej głupoty. Wymienili uprzejmości i dyrektor przeszedł do rzeczy:

- Panie prezydencie, mamy pewien problem. Chodzi o tę rzecz na Johnson's Ridge. Moi ludzie zaczynają się zastanawiać, czy mają przed sobą przyszłość.

Keough był zwolennikiem programu agresywnej ekspansji kosmicznej w czasie, gdy właśnie taki pomysł cieszył się największym poparciem, a przez ostatnie lata z równym zapałem domagał się bezpieczeństwa, oszczędności i dokładniejszych badań. Był niski, nie miał nawet sześciu stóp i pięciu cali, wąski w ramionach i ograniczony w swych poglądach. Zachowywał się tak, jakby ciągle czegoś unikał, łatwo się rozpraszał albo nagle zmieniał temat. Rozmowa z Keoughem, jak zauważył kiedyś jeden z cenionych ekspertów, przypominała konwersację z człowiekiem, który chowa się za drzewem.

- Co masz na myśli? - spytał Harry.

- Chyba pan żartuje, przecież to oczywiste. Po co rozwijać technologie kosmiczne i budować wahadłowce, kiedy wszędzie można po prostu przejść? - Dopił drinka. - Co prezydent zamierza z tym zrobić?

Harry miał już dość rozmów o Rotundzie. Nie dawał się łatwo nastraszyć i był przekonany, że po jakimś czasie cała sprawa rozejdzie się po kościach. A wtedy życie wróci do normy.

- Uspokój się, Rick - powiedział. - NASA zawsze będzie miała jakieś zajęcie.

- No cóż, niech ktoś powie to moim ludziom, bo oni zaczynają już tracić cierpliwość. Wkrótce zaczną odchodzić, panie prezydencie. To ludzie oddani swemu zawodowi. I nikt nie może ich zastąpić. Kiedy poczują, że to, co robią, nie ma już żadnego znaczenia, odejdą. Organizacja umrze.

A ty stracisz pracę, pomyślał Harry.

- Porozmawiam z prezydentem - powiedział głośno. - Jestem pewien, że chętnie wyda oświadczenie w tej sprawie.

- Myślę, że będziemy musieli zrobić coś więcej. Mogę coś zasugerować?

Harry skinął głową.

- Zniszczcie to miejsce. Wyślijcie tam eskadrę F-111 i zrównajcie to z ziemią. Przepraszam później, a nikt nie będzie miał do was pretensji. Nikt.

### ***SPRAWCA TRAGICZNEGO WYPADKU TWIERDZI, ŻE ZOSTAŁ ZAATAKOWANY PRZEZ „OBCEGO”***

*Grand Forks, Północna Dakota, 2 kwietnia (UPI)*

*Kierowca oskarżony o spowodowanie tragicznego w skutkach wypadku na drodze I-29 twierdzi, że „coś” wyrwało mu kierownicę z rąk i skierowało samochód na przeciwległy pas. Dwudziestodwuletni John Culver z Fargo przysięga, że nie był w stanie kontrolować pojazdu. Policja podała, że Culver był kompletnie pijany, kiedy wjechał swoją hondą w jadące z naprzeciwka kombi. W wyniku zderzenia doszło do karambolu siedmiu samochodów. W wypadku śmierć poniosło siedem osób.*

Konferencje prasowe na Johnson's Ridge odbywały się codziennie o pierwszej po południu. Wybrani reporterzy w skafandrach próżniowych odwiedzili stację galaktyczną. Wyglądało na to, że znajduje się ona w przestrzeni kosmicznej, z dala od jakiejkolwiek planety. Ale nikt nie wiedział na pewno, gdyż nie udało się jeszcze odnaleźć wyjścia z cylindrycznego pomieszczenia. Jeśli jednak było tak w istocie, naukowcy mogli dowiedzieć się wreszcie, jak wytworzyć sztuczną grawitację w kosmosie. Planowano już specjalną ekspedycję.

Dzisiaj jednak wszyscy zainteresowani byli wyłącznie Obcym.

April zaczęła od oświadczenia, że być może rzeczywiście coś przedostało się przez gwiazdny port, było to jednak bardzo mało prawdopodobne.

, - Nie sądzimy, by takie zdarzenie miało miejsce - mówiła. - Jesteśmy niemal pewni, że doszło tylko do krótkiej awarii, w której wyniku zostało otworzone przejście między Johnson's Ridge i jednym ze światów.

- Labiryntem? - spytał Peter Arnett z CNN.

- Tak - potwierdziła.

- April - pytał dalej dziennikarz - kiedy otworzy pani dla nas tę planetę? Mam na myśli Labirynt.

- Kiedy będziemy mieli pewność, że nie jest zamieszkały, Peter. - (Niewłaściwe słowo, pomyślała. Powinna była powiedzieć „bezpieczny”. Nie brzmiało tak złowrogo.) - Chciałabym jednak powtórzyć, że spędziliśmy tam ponad dwie godziny. Nie widzieliśmy żadnego znaku życia. Nie byliśmy też w żaden sposób atakowani, prowokowani czy krzywdzeni przez kogokolwiek. Po naszym powrocie system sam się zaktywizował. Na dysku, nie było jednak nikogo i nie ma powodów, by przypuszczać, że było to coś innego jak zwykła awaria. Mam nadzieję, iż to wreszcie

ukróci wszelkie plotki.

- Nie widzieliście nic podejrzanego? - spytał dziennikarz z „Le Parisien”.

- Absolutnie nic.

- Ale też i nie spodziewaliście się zobaczyć tam czegokolwiek, prawda? - odezwał się przedstawiciel „London Timesa”. - A jeśli to stworzenie było niewidzialne?

- Jak mogę na to odpowiedzieć? - April wzruszyła ramionami. - Nie widzieliśmy niczego. To wszystko. Jeśli „Times” chce spekulować na ten temat, nie mam nic przeciwko.

- A jak wytłumaczy pani oświadczenie doktora Deekina? - spytał reporter z „Prawdy”. - Deekin przysięga, że coś przeszło przez port.

April pozwoliła sobie na chwilę zakłopotania.

- O to musicie państwo zapytać doktora Deekina. Reporterzy, jak wszyscy ludzie, uwielbiali sensacje. April wiedziała, że teraz czują się rozdarci pomiędzy swym naturalnym sceptycyzmem i nieokreśloną nadzieją, że w plotkach tkwi jednak ziarno prawdy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że właśnie takie historie sprzedają się najlepiej.

Oczywiście April nie była całkiem szczerą wobec dziennikarzy. Strażnikiem, który stał wtedy przy ikonach, był George Wolna Woda. George także wierzył, że coś przedostało się na ziemię. Nauczyli się już jednak, że nie powinni ujawniać wszystkiego, co wiedzą o Rotundzie.

- Powiedz im, co naprawdę myślimy - mówił jej Max - a wywołamy panikę.

Adam nie zgadzał się z tym.

- Mówisz jak polityk. Nikt nie będzie panikował. Myślę, że najlepiej się stanie, jeśli powiemy całą prawdę.

- Chyba przeceniasz tę siłę szczerości - odparł Max, patrząc nań ze znużeniem. - Byłeś ostatnio w którymś z tych miasteczek? Ludzie ryglują drzwi na noc. A na podwórkach bawi się coraz mniej dzieciaków.

## **„WIADOMOŚCI W POŁUDNIE”, KLIMR-TY, FARGO**

ANCHOR: Znów będziemy mówić o dziwnych wydarzeniach z okolic Fort Moxie. Najpierw pokażemy państwu wywiad z człowiekiem, który twierdzi, że rozmawiał z tajemniczą istotą, nawiedzającą tereny przy granicy.

(Na ekranie pokazują się lotnicze zdjęcia stacji kolejowej i pustych wagonów na bocznicy; kamera stopniowo odsuwa się od nich, poszerzając perspektywę).

Oto kolejny raport o wyczynach tak zwanego Obcego. Carol Jensen jest w Noyes, w Minnesocie.

(JENSEN stoi obok torów kolejowych. Za jej plecami znajduje się biały wagon).

JENSEN: Właśnie tutaj doszło do tego dziwnego wydarzenia, Claude. Jesteśmy na małej stacji kolejowej w Noyes, w Minnesocie, niecałą milę od granicy z Kanadą. Kilka dni temu jeden z pracowników stacji być może spotkał tutaj niezemską istotę, która uciekła podobno z Rotundy na Johnson's Ridge. Curt Hollis, bo o nim właśnie mowa, został po tym wypadku przewieziony do szpitala, dziś czuje się już dobrze i jest tu z nami.

(Kamera odsuwa się do tyłu; Hollis stoi obok reporterki).

JBENSEN: Jak się pan czuje, panie Hollis? HOLLIS: Dziękuję, dobrze. JENSEN: Co się tu właściwie wydarzyło? HOLLIS: (Nerwowo). Coś wołało mnie po imieniu. Jakby mówił do mnie sam wiatr. (Próbuje naśladować opisywany dźwięk).

JENSEN: Czy słyszał to ktoś prócz pana? HOLLIS: Tak. Inspektor celny. Proszę go zapytać. To

było tutaj.

JENSEN: Czy „to” mówiło coś jeszcze?

HOLLIS: Nie słowami.

JENSEN: Nie słowami. A więc jak?

HOLLIS: Nie wiem, jak to określić. Poczułem się nagle bardzo dziwnie.

JENSEN: To znaczy jak?

HOLLIS: Jakbym latał. Proszę pani, prawdę mówiąc, to mnie nastraszyło... (Chwila wahania).

Porządnie mnie nastraszyło.

JENSEN: A co stało się potem?

HOLLIS: Zemdlałem.

JENSEN: Proszę, oto cała opowieść, Claude.

(Kamera cofa się, by pokazać w szerokim ujęciu odstawione na bocznicę wagony).

Co najmniej jedna osoba słyszała tutaj jakiś tajemniczy głos. Czy to miejsce było kilka dni temu sceną niesamowitego spotkania? Czy też pod wpływem przedziwnych relacji napływających z Johnson's Ridge pana Hollisa poniosła wyobraźnia?

ANCHOR: Dziękuję, Carole. Teraz przenosimy się do Fort Moxie. Jest tam Michael Wideman, który opowie nam, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, kiedy przerwany został program telewizyjny „Projekt Czterdzieści”, nadawany z miejscowego kościoła.

## Fundusz Emerytalny Holyoke Industries

*Drodzy Państwo!*

*Jak wiecie, gospodarka w naszym kraju przechodzi przez bardzo trudny okres. Fundusze emerytalne zależne są w znacznym stopniu od sytuacji finansowej państwa i nasz fundusz nie jest tutaj wyjątkiem. Przez wiele lat czyniliśmy wysiłki, by chronić Państwa pieniądze i pomnażać je tylko poprzez bezpieczne i sprawdzone inwestycje. Jednak nikt z nas nie mógł przewidzieć załamania rynku, do jakiego doszło w ciągu ostatnich kilku tygodni, nikt też nie potrafił temu zapobiec.*

*Wartość zabezpieczeń funduszu emerytalnego w Państwa przedsiębiorstwie spadła znacznie w ciągu kilku zaledwie dni. Dotyczy to także wielu innych korporacji. Na szczęście przygotowaliśmy wcześniej specjalne rezerwy, które pozwolą nam przetrwać ten trudny okres. Jednak ogromna skala problemów, z którymi boryka się teraz nasz naród, zmusza nas do ostrożnego zawiadywania tymi pieniędzmi. Zachowując więc wszelkie środki ostrożności, dzięki którym możemy Państwa zapewnić, że nasz fundusz nadal jest stabilny i wiarygodny, musimy obniżyć świadczenie emerytalne za maj o 421 dolarów, do 1166 dolarów. Mamy nadzieję, że ta redukcja będzie tylko wydarzeniem jednostkowym. Mogą być Państwo pewni, że zarządzający funduszem robią wszystko, by zapewnić nam bezpieczną przyszłość.*

*Dziękujemy Państwu za zrozumienie i poparcie w tych trudnych chwilach.*

*P.o. dyrektor J.B. Haldway*

Tego samego dnia, kiedy Holyoke Industries wysłało swym emerytom złe wiadomości, w „Der Tagesspiegel” ukazała się wypowiedź Heinza Erhardta, ubiegłorocznego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii. Erhardt przyznał, że po odkryciu na Johnson's Ridge gospodarka światowa uległa zachwianiu.

„Krótkotrwały spadek wszystkich wskaźników jest nieunikniony” - powiedział. - Jeśli jednak technologiczne innowacje znajdą zastosowanie w przemyśle wytwórczym i w transporcie, a nie ma powodów, by w to wątpić, świat wejdzie w okres dobrobytu, jakiego nie zaznał nigdy dotąd.

Najwyraźniej jednak nikt go nie słuchał. Do wieczora Dow Jones spadł o 240 punktów i nic nie wskazywało na to, by okres bessy zbliżał się już do końca.

**„NA ŻYWO z LARRYM KINGIEM”. Gość:  
DOKTOR EDWARD BANNERMAN z PAŃSTWOWEJ AKADEMII NAUK.**

KING: Doktorze Bannerman, podobno powiedział pan, że najważniejsza wiadomość ostatnich dni to odkrycie tak zwanego „świata galaktyki”. Dlaczego pan tak sądzi?

BANNERMAN: (Śmieje się). Lany, wszystkie wiadomości z Rotundy są bardzo ważne. Jeśli jednak okaże się, że komora, w której zginął Arky Redfern, jest rzeczywiście ulokowana z dala od jakiegokolwiek ciała niebieskiego, to będziemy mieli do czynienia z odkryciem o monumentalnym znaczeniu.

KING: Dlaczego?

BANNERMAN: Będę musiał nieco uprościć całe zagadnienie.

KING: Zgoda.

BANNERMAN: Ludzie spadli na podłogę w tej komorze. Z raportów wynika, że galaktyka widoczna przez okna nie zmieniła swej pozycji. Oznacza to, że komora, czymkolwiek jest, nie obraca się wcale albo obraca się bardzo powoli. To zaś każe nam przypuszczać, że w pomieszczeniu wytworzono sztuczną grawitację.

KING: Rozumiem, że może to mieć znaczenie dla naukowców. Dlaczego jednak...

BANNERMAN: Larry, jeśli uda nam się wytworzyć sztuczną grawitację, będziemy mogli zredukować, a może nawet wyeliminować, efekty grawitacji. Mówię tu o antygravitacji. Pomyśl tylko, jakie korzyści może to dać na przykład gospodyni domowej. Po co przenosić wielką kanapę? Wystarczy włączyć zamontowane w niej urządzenia antygravitacyjne, a wtedy kanapa sama uniesie się w powietrze.

Horace Gibson zaczynał od pracy agenta ubezpieczeniowego. Znużony, zaciągnął się do Marines. Wkrótce awansował na dowódcę batalionu, został odznaczony Srebrną Gwiazdą za wojnę w Zatoce i Medalem Honoru za służbę w Johannesburgu. Jego jednostki zebrały tyle pochwał, że mógłby wytapetować nimi swoje mieszkanie. W 1996 roku odszedł z wojska i próbował znaleźć sobie inne zajęcie. Tym razem został agentem nieruchomości i wytrwał w tym zawodzie przez cały rok. W rocznicę swego odejścia z Marines dołączył do sił zbrojnych US Marshals.

Po dwóch latach został dowódcą Specjalnej Grupy Operacyjnej (SOG). SOG była jednostką do zadań specjalnych, z siedzibą w Pineville, w stanie Louisiana.

Horace był lubiany przez swych podwładnych. Nie unikał ciężkiej pracy, kiedy wymagała tego sytuacja, i zawsze dbał o to, by zadania podejmowane przez SOG obliczone były na maksymalne powodzenie przy jak najmniejszym ryzyku.

Dwa razy się rozwiódł. Prowadził zbyt aktywne i nieustabilizowane życie, by jakakolwiek kobieta wytrzymała z nim przez dłuższy czas. Miał dwóch synów; obaj uważali (nie bez racji), że to właśnie on był winien rozpadowi rodzin. Ich stosunki z ojcem pozostawały więc raczej oziębłe. Horace nie znalazł niczego, co wypełniłoby w jego życiu pustkę powstałą po odejściu drugiej żony i poświęcał się wyłącznie pracy. Jego szef, Carl Rossini, żartował czasem, że Horace potrzebuje kobiety. Horace doskonale o tym wiedział.

Nie stronił od miłosnych przygód, jeśli miał po temu okazję. W miarę upływu lat było ich coraz mniej, nie tylko ze względu na wiek Horacego, ale i na jego wysublimowany gust. Czasami trafiał jednak na prawdziwe klejnoty. Jeden z nich przyjął postać Emily Passenger, olśniewająco pięknej młodej kobiety, którą poznał na przyjęciu charytatywnym w bibliotece Pineville. Kilkakrotnie zjedli razem kolację, poszli do kina, zaczęli też razem uprawiać jogging. Horace zauważył, że Emily ma wątpliwości, czy powinna kontynuować tę znajomość, i przypisał ową niechęć swej niechlubnej przeszłości. Dziewczyna nie chciała zostać trzecią ofiarą.

Horace rozpoczął więc kampanię, która miała zademonstrować Emily, że jest już całkowicie dojrzałym i udomowionym mężczyzną. Uznał, że przede wszystkim powinien zaprosić ją do siebie na kolację. Kiedy Emily przyjęła zaproszenie, z entuzjazmem zabrał się do przygotowywania posiłku. Kupił najlepsze steki

1 butelkę drogiego szampana, zainwestował w lampę naftową, która miała stworzyć atmosferę przytulności, i spędził cały dzień na porządkach. Właśnie tego wieczora, dwadzieścia minut po tym, jak otworzył szampana, zadzwonił telefon.

*Och, uciec gdzieś w głąsę, do małego domku.*

William Cowper, „Zadanie”

SZCZUPLY, BRODATY MĘŻCZYŻNA stał przed oknem swego mieszkania na Laguna Beach i patrzył na ciągnącą się po horyzont szarą płachtę Pacyfiku. Jakiś frachtowiec sunął powoli pod nabrzmiałym od chmur niebem. Na powierzchni wody widać było tylko drobne fale.

W zachowaniu mężczyzny dało się wyczuć pewną nerwowość, jakby niepewność. Przygodny obserwator nie potrafiłby zapewne określić, na czym koncentruje się jego uwaga. W dłoni trzymał kieliszek z białym winem.

Za oknem rozpościerał się widok nie tylko na ocean, ale i na przyległą zatokę i miasto. Samochody sunęły w równym tempie po nabrzeżnej autostradzie. Brodacz spojrział na zegarek po raz setny w ciągu godziny.

Zadzwonił telefon.

Mężczyzna odwrócił się od okna i usiadł przy swoim biurku.

- Halo?

- Greg. Wszystko gotowe. W Fargo dochodziła druga.

- Dobrze. Czy oni wiedzą, że się tam wybieramy?

- Jeszcze nie. Posłuchaj, masz jakieś układy z federalnymi?

- Raczej nie.

- Ani ja.

Mężczyzna w Laguna Beach spojrział na swoje bilety lotnicze.

- Więcej wiary, Walter. Zobaczymy się za kilka godzin.

## **SZEŚCIU ZABITYCH, SETKI RANNYCH W ZAMIESZKACH W SEATTLE**

Seattle, 4 kwietnia (AP)

Nieporozumienia między załogą a dyrekcją, jakie niedawno miały miejsce w jednej z wielkich firm produkujących samoloty, zamieniły się dzisiaj rano w krwawe zamieszki. Doszło do nich po tym, jak dyrekcja przedsiębiorstwa odmówiła przyjęcia pracowników wracających na swe stanowiska po dzikim strajku. Rozruchy są wynikiem niepokoju wywołanych ogłoszonym w zeszłym tygodniu planem „reorganizacji firmy”. Pracownicy obawiają się, że jest to tylko pretekst do masowych zwolnień.

## **CZY W FORT MOXIE JEST GOŚĆ Z INNEJ PLANETY?**

Co najmniej kilka źródeł podaje, że istota z innego świata przedostała się na Ziemię przez port na Johnson's Ridge i grasuje teraz w okolicach Fort Moxie. Pojawiają się opowieści o tajemniczych głosach w powietrzu, o porywaniu dzieci, o burzach, które uderzają w pojedynczych ludzi. Doszło też do śmiertelnego wypadku, który miał miejsce w dziwnych, by nie powiedzieć złowieszczych,

okolicznościach.

W zeszłym tygodniu Jack McGuigan porzucił swój skuter śnieżny w lesie przy drodze 32 w okręgu Cavalier i wybiegł na drogę, prosto pod koła nadjeżdżającej furgonki. Kierowca samochodu mówił później, że McGuigan zachowywał się tak, jakby uciekał przed kimś. Albo przed czymś.

Policja w Cavalier jest wręcz zasypywana zeznaniami ludzi, którzy twierdzą, że spotkali się z tajemniczą istotą. Po raz pierwszy w historii tego okręgu, mieszkańcy miast i wsi na noc ryglują drzwi.

Jednak to jeszcze nie wszystko. Staromodny Bili Addison, który na co dzień obcuje z nieziemskimi siłami, ostrzega, że włamaliśmy się do rajskiego ogrodu i wypuściliśmy stamtąd anioła gniewu. A może diabła. Wielebny Addison nie wypowiada się wiążąco w tej kwestii.

Wydaje się, że wraz z odkryciem Rotundy, powróciły do nas stare lęki i iluzje. Nie znamy jeszcze wyników śledztwa w sprawie śmierci McGuigana. Nietrudno jednak odtworzyć najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń: McGuigan polował w okresie ochronnym; myślał, że ktoś odkrył jego obecność; przestraszył się, stracił orientację i wybiegł na drogę. Podobne wypadki zdarzają się niemal każdego dnia. Głosy w pobliżu Fort Moxie są bez wątpienia wytworem wyobraźni turystów, pobudzanej być może przez okolicznych mieszkańców, którzy wiedzą, jak wykorzystać taką okazję. Oczywiście podobne wydarzenia budzą ciekawość nas wszystkich, radzimy jednak mocno trzymać się ziemi. W końcu okaże się, że opisane zdarzenia można wytłumaczyć w bardzo prozaiczny sposób.

(Artykuł wstępny, „Fargo Forum”, 4 kwietnia)

Pete Pappadopolou pracował w magazynie w ABC Pistons Inc. od czterech lat, a niedawno po raz pierwszy awansował do pionu nadzoru. Sześć miesięcy wcześniej rozpadło się jego małżeństwo, kiedy to żona uciekła od niego z obcym mężczyzną, zostawiając mu pod opieką ich chorego na astmę syna.

Pete podjął drugą pracę - rozwoził chińskie jedzenie - by opłacić pielęgniarkę i świadczenia medyczne. Nie sypiał dobrze. Był w depresji, wydawało mu się, że jego życie zmierza donikąd. Tęsknił za żoną. Lekarz przepisał mu środki uspokajające. Dostał jednak awans, a wraz z nim znacznie wyższą pensję i nadzieję na kolejną podwyżkę, w miarę jak ABC rozwijało swą działalność w nowych kierunkach. Co więcej, nawroty choroby u chłopca stawały się coraz rzadsze i coraz mniej intensywne. Pete czuł, że wyszli na prostą.

Niestety, ogólnoswiatowy kryzys dotknął także ABC. Ekspansja firmy miała być finansowana ze sprzedaży drugiego pakietu akcji. Jednak wartość wszystkich akcji znacznie spadła w ciągu ostatnich tygodni i banki po długim okresie ostrożnego wyczekiwania wycofały się z umowy.

Nagle okazało się, że ABC ma znaczną nadwyżkę pracowników. Rada nadzorcza postanowiła więc zwolnić tysiąc ośmiuset członków personelu średniego szczebla i nadzoru. Pete, który niedawno wystąpił ze związku, by dostać awans, odkrył z przerażeniem, że nikt go nie chroni.

Na dzień przed wydaniem oficjalnego oświadczenia w tej sprawie (w ABC niełatwo było utrzymać coś w tajemnicy) Pete kupił trzydziestkęósemkę i użył jej przeciwko swemu przełożonemu i koledze, który twierdził otwarcie, że to jemu należał się awans przyznany Pete'owi.

Pomimo sześciu kul, które utkwily w jego ciele, menedżer przeżył. Kolega został postrzelony prosto w serce. Po tym zdarzeniu firma zatrudniła dodatkowy personel do ochrony zakładów.

James Walker uwielbiał samotność. Pamiętał, jak przed laty siedział przy oknie, patrzył na pokrytą śniegiem prerię i marzył o tym, by znaleźć jakieś opuszczone miejsce w świecie za horyzontem. Wyobrażał sobie lasy oblane słonecznym blaskiem, zielone rzeki i delikatny wiatr,



ciężki od zapachu kwiatów. Krainę, gdzie ścieżki porośnięte są trawą, a nie pokryte asfaltem, gdzie nie ma dróg, linii telefonicznych i betonowych budynków.

Walker wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z kuchni, w której pracowała jego żona, Maria. Na jego kolanach leżała otwarta książka, nie potrafiłby jednak powiedzieć, jaki jest jej tytuł. Wydarzenia na Johnson's Ridge wypełniały mu cały wolny czas od chwili, kiedy Arky poinformował go o odkryciu. Teraz Arky już nie żył, a ludzie w rezerwacie i w całej okolicy bali się nocy. George Wolna Woda powiedział mu otwarcie, że coś przedostało się na ziemię.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - oświadczył.

Na stoliku przy oknie leżał ułożony do połowy obrazek z puzzli zatytułowany „Góra chwały”. Przedstawiał okryty śniegiem szczyt, który wyrastał z bujnego, zielonego lasu. Na pierwszym planie widoczny był strumień, pędzący między skałami. Walker ułożył już tysiące podobnych obrazów.

Ze smutkiem myślał o tym, że Mini Wakan Oyate nie mogło znaleźć sobie takiego miejsca jak te na zdjęciach. Przez całe życie marzył, że Siuksowie odzyskają utracony świat. Nie miał pojęcia, jak mogłoby do tego dojść. Wydawało mu się, że właśnie tak powinno się stać i mocno wierzył, że kiedyś nadejdzie ta chwila.

Jednak teraz nadciągały ciemności. Wiedział, że wkrótce zacznie się dla niego długa noc. Siuksowie zapomnieli już o swym dawnym życiu, oddali je białym technikom, którzy zapisali i oznaczyli wszystko w swych mapach i dokumentach. Właśnie tego najbardziej w nich nie lubił; że chcieli wiedzieć wszystko, nie rozumieli, że las bez ciemnych miejsc ma wartość tylko dla drwala.

Teraz otworzyła się droga do gwiazd. Z ziemi Siuksów. Arky rozumiał to wszystko, ostrzegał go, że Rotunda może być o wiele cenniejsza niż jakiekolwiek miejsce czy pieniądze, które oferują im biali ludzie.

Przed domem zatrzymała się rządowa limuzyna. Walker westchnął i patrzył w milczeniu na Jasona Fleury, który wysiadł z samochodu. Byli z nim jeszcze dwaj mężczyźni, ale pozostali na miejscu. Fleury wyglądał na zakłopotanego.

Walker przywitał go w drzwiach i zaprowadził do swego gabinetu.

- Przypuszczam, że nie ma pan dla mnie dobrych wiadomości - powiedział.

- Nie - Fleury pokręcił głową. - W te dni nikt nie spodziewa się dobrych wiadomości.

Przewodniczący poczęstował gościa kawą.

- Jaka jest ich propozycja?

- Najpierw muszę spytać, panie przewodniczący, czy ta rozmowa się nagrywa.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- To zależy, co chciałby pan ode mnie usłyszeć. Walker usiadł na sofie obok Fleury'ego.

- Nie mam tu żadnego magnetofonu - powiedział.

- To dobrze. Tak też przypuszczałem. - Fleury głęboko odetchnął. - Nie bardzo wiem, jak zacząć.

- Pomogę panu - wzruszył ramionami Walker. - Chcecie zabrać nam naszą ziemię. Znowu.

Fleury milczał przez chwilę. Wreszcie odchrząknął.

- Oni uważają, że nie mają w tej kwestii żadnego wyboru, panie przewodniczący.

- O tak, jestem pewien, że tak właśnie myślą - odparł Walker.

- Oficjalnie mamy działać tutaj tylko po to, żeby przywrócić spokój w okolicznych miasteczkach i w południowej Kanadzie. Chodzi o panikę wywołaną plotkami, że na ziemię przedostał się jakiś potwór z kosmosu.

- Jaką panikę? - spytał Walker.

Fleury uśmiechnął się, próbując rozładować napięcie. Nie udało mu się.

- Ludzie naprawdę są przerażeni, panie przewodniczący. Na pewno dobrze pan o tym wie.

- Wystarczy poczekać kilka dni, a wszyscy zapomną.

- Na pewno. Jednak doszło do śmiertelnego wypadku, a policja domaga się konkretnych działań.

Rząd musi takie działania podjąć. Przejmiemy Johnson's Ridge i będziemy przez jakiś okres zarządzać tym terenem, dopóki nie upewnimy się, że sytuacja jest stabilna.

- A kiedy uznacie, że sytuacja jest „stabilna”?

Ich spojrzenia spotkały się. Walker widział, że Fleury podejmuje jakąś ważną decyzję.

- To, co teraz powiem, nie może wyjść poza obręb tego pokoju.

- Jak pan sobie życzy.

- Ta chwila nadejdzie wtedy, gdy Rotunda zostanie zniszczona.

- Rozumiem.

- Dojdzie do wypadku. Nie wiem, jak to zorganizują, ale wiem, że to jedyne wyjście.

Walker kiwał powoli głową.

- Dziękuję panu za szczerość. Muszę powtórzyć, że Johnson's Ridge należy do Mini Wakan Oyate. Sprzeciwimy się wszelkim próbom zajęcia tego terenu.

- Proszę mnie zrozumieć. Odkrycie Rotundy wyzwoliło reakcje i siły, nad którymi nikt nie potrafi zapanować.

Przewodniczący czuł się jak owad uwięziony w mechanizmie wielkiego zegara.

- Jason, doskonale to rozumiem - powiedział. - Ale prosisz mnie, bym zostawił moim wnukom rezerwat, kiedy mogę im dać cały dziki świat. Twoi ludzie powinni odsunąć od siebie wszelkie obawy. Rotunda nie przedstawia żadnego zagrożenia. Trudności, z którymi boryka się teraz świat, są wynikiem ignorancji. I strachu.

Fleury spojrzał na niego posepnie.

- Wielu z nas stoi po waszej stronie. Macie więcej przyjaciół, niż wam się wydaje.

- Ale żaden z nich nie chce się do tego przyznać. Fleury z trudem dobierał słowa.

- Panie przewodniczący, prezydent także uważa się za waszego przyjaciela. Ale jako sługa całego narodu czuje się zmuszony podjąć konkretne działania.

- Przykro mi - powiedział Walker, wstając. Uważał rozmowę za zakończoną. - Naprawdę.

- Posłuchaj mnie, James. - W głosie Fleury'ego pojawiła się nuta desperacji. - To już postanowione. Sąd wydał nakaz. Za godzinę przekazemy go twoim ludziom.

- Na zebraniu rady?

- Nie, twoim przedstawicielom na Johnson's Ridge.

- Adam tego nie zaakceptuje.

- Dlatego właśnie przyjechałem tutaj. Żeby wyjaśnić, co się dzieje. I poprosić o pańską pomoc.

Wyplacimy wam sowitą rekompensatę.

-I co dacie mi w zamian za przyszłość mojego ludu? Trzymajcie się z dala od Rotundy, panie Fleury. Należy do Siuksów. Nie oddamy jej.

Max odebrał telefon. Mówił Lasker.

- Posłuchaj Max, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Sprzedałeś jacht - domyślił się Max.

- Tak. Posłuchaj, dali mi kupę pieniędzy. Więcej, niż kiedykolwiek będę potrzebował.

- W porządku, Tom.

- Nie wiem, czy to będzie miało jakiś wpływ na wasze plany. Bałem się...

- Gdzie jest teraz jacht?

- Ładują go na przyczepę.
- Wells?
- Nie. To rządowe pieniądze. Ci faceci są ze Skarbu.

Zastępca dowódcy sił US Marshals, Elizabeth Silvera, wręczyła postanowienie sądu Adamowi Niebo. Zbliżała się do pięćdziesiątki, była wysoka, szczupła i wysportowana. Na jej czarnych włosach pojawiły się pierwsze pasma siwizny. Wydawała się oschła i oficjalna.

Towarzyszył jej Emil Doubtable.

Biuro Adama w posterunku ochrony było małe i zagracone. Na ścianach, które do wczoraj zdobiło jedynie zdjęcie żony Adama i rytualny bębenek, wisiał teraz cały arsenał. Łuki, strzelby z zeszłego wieku, stary rewolwer Adama, wszystko co udało mu się znaleźć i umocować na ścianie.

Silvera wyjęła z kurtki dokument.

- Panie Niebo - powiedziała. - Oto postanowienie sądu, zgodnie z którym ten teren, Rotunda i wszystkie urządzenia, jakie się w niej znajdują, prócz rzeczy osobistych obsługi, przechodzą pod opiekę rządu federalnego. Jest to konieczne - kontynuowała - ze względu na zagrożenie porządku publicznego, jakie stwarzają obiekty umieszczone na tym terenie.

Kiedy szef ochrony nie uczynił żadnego ruchu, by odebrać od niej dokument, położyła go na biurku.

- Musicie zastosować się do tego jeszcze przed północą. - Jej ton zmienił się nagle, jakby chciała udzielić mu przyjacielskiej porady. - Im szybciej opuścicie to miejsce, panie Niebo, tym lepiej dla nas wszystkich.

- Nie odejdziemy stąd - odparł Adam chłodno. Spojrzała mu w oczy.

- Nie macie wyboru. Nie możecie sprzeciwić się postanowieniu sądu.

- To nasza własność. Jeśli przyjdziecie tutaj, by nam ją odebrać, weźcie ze sobą broń.

Spojrzenie Silvery stwardniało.

- Przykro mi - oświadczyła. - Macie czas do północy. - Odwróciła się, przeszła do drzwi i tam zatrzymała się jeszcze na moment. - W tych okolicznościach muszę panu przypomnieć, że przeciwstawianie się nakazowi sądu federalnego uznawane jest za zbrodnię. Nie mam innego wyboru, panie Niebo, jak wyegzekwować postanowienie sądowe siłą. Bez względu na środki, jakich będę musiała użyć.

\*\*\*

Walker czekał na telefon od Adama. Kiedy ten zadzwonił, przewodniczący w milczeniu wysłuchał jego relacji. Gdy szef ochrony poprosił go o instrukcje, Walker zawahał się.

- Adam, jak daleko gotów jesteś się posunąć? - spytał.

- Nie chciałbym się na to zgodzić.

- Jesteś gotów bronić Johnson's Ridge?

- Tak. Choć wolałbym tego nie robić. Ale i tak nie mamy chyba wyboru.

- Wiesz, że zbrojny opór na pewno nie zakończy się naszym zwycięstwem, prawda?

- Więc co proponujesz? Żebyśmy się znowu poddali?

- Najważniejsze pytanie to, czy potrafimy utrzymać w naszych rękach ten dziki świat.

- Jeśli federalni zdecydowani są nas zaatakować, raczej nie mamy szans.

- Więc możemy wziąć pieniądze i na tym sprawę zakończyć. Albo walczyć bez nadziei na wygraną.

- Tak - zgodził się Adam. - Nie pozostało nam nic więcej. Przewodniczący rozejrzał się po

swoim pokoju. Ściany, okna,

nawet kominek wydawały mu się świadectwem uwięzienia i upokorzenia.

- Zgadzam się. Musimy walczyć.

- Przyślesz nam pomoc?

- Przyjadę do was. Ale policja na pewno nie będzie taka głupia, żeby pozwolić waszym braciom i siostram dołączyć do was. Porozmawiaj z tymi, którzy są na górze. Dowiedz się, kto chce zostać.

- Zaraz do nich pójde - obiecał Adam.

- Dobrze. Już do was jadę. - Odłożył słuchawkę i przez chwilę wpatrywał się w nią tępo.

Telefon znów zadzwonił.

Walker podniósł słuchawkę.

- Halo?

Nieznany mu głos poprosił o rozmowę z Jamesem Walkerem.

- Przy telefonie.

- Nazywam się Walter Asquith. Wiem, co się u was dzieje.

- Przykro mi, ale ja pana nie znam.

- Nieważne. Ja znam pana. Proszę mi wierzyć, nie wszyscy w tym kraju stracili rozum.

Pomyślałem, że może przydałaby się wam pomoc.

Kiedy Asquith mówił, Walker przypomniał sobie słowa Jasona Fleury'ego. „Macie więcej przyjaciół, niż wam się wydaje”.

-I wszyscy chcecie tu zostać? - pytała z niedowierzaniem April.

- Tak - odparł Adam. - Będziemy bronić Rotundy. Max był zszokowany.

- Czy wie o tym przewodniczący?

- To jego polecenie.

- Boże. - Max chwycił się za głowę. - Chcecie bić się z US Marshals?

- To szaleństwo - powiedziała April. - Wszyscy zginiecie. Musimy skontaktować się z jakimś

dobrym prawnikiem.

- Nie sądzę, by rozmowa z prawnikiem w czymkolwiek nam pomogła. Zresztą to nie moja decyzja.

April otworzyła szeroko oczy.

- Przewodniczący nie poprosiłby cię o coś podobnego. Musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Adam nie okazywał żadnych emocji.

- Możesz go zapytać, kiedy tu przyjedzie.

Max nie mógł uwierzyć, że naprawdę słucha tej rozmowy.

- Co wy sobie wyobrażacie, że to jakaś dziecinna zabawa? - spytał rozwścieczony. - Nie możecie powiedzieć rządowi federalnemu, żeby się stąd wynosił.

- Mamy już w tym spore doświadczenie.

- Bzdura. Może wasi dziadkowie, ale nie wy. - Spojrzał przez okno na strażnika, który rozmawiał z grupą turystów.

Adam patrzył Maksowi prosto w oczy.

- Znaleźliśmy się w sytuacji, w której musimy zapytać siebie samych, co jesteśmy warci. Historia może się powtórzyć, Max. Nie pozwolimy na to. Jeśli będziemy musieli bronić się do samego końca i poświęcić nasze życie, zrobimy to.

*Dokąd mam pójść,  
Bym żyć mógł bez końca?*

- RAZ, DWA, PRÓBA MIKROFONU - powiedziała Andrea.

- Świetnie, wszystko gra. - Keith był podekscytowany. - Andrea, nie stracimy cię dzisiaj, prawda?

- Mam nadzieję, że nie. - Andrea uważała, że jest całkowicie opanowana. Pewna siebie.

- To dobrze - powiedział Keith. - Najpierw zrobimy specjalne wprowadzenie, potem połączymy się z siecią, i dopiero wtedy puścimy cię. Więc możesz od razu przejść do rzeczy.

- Dobrze.

- O ile wiem, będziesz jedyną dziennikarką, tam, na górze.

Droga jest już zamknięta dla wszystkich.

- No cóż, to chyba będzie moje słynne pięć minut.

- Mam nadzieję. Posłuchaj, Sokolico, uważaj na... - Gwałtowne zakłócenia przerwały Keithow w pół zdania.

Andrea przełączyła się na drugą częstotliwość. Znow problemy. Te sukinsyny ją zagłuszały- Nie do wiary. Podniosła słuchawkę telefonu. Cisza.

\*\*\*

Joe Resculi wybrał się do Rotundy ze swoją żoną, Amy, i jej siostrą, Teresą. Po dwunastu godzinach jazdy skręcił wreszcie na północ, na drogę 32. Zostało im tylko kilka mil. Przyjechali tu z Sacramento, a podróż zajęła im kilka dni. Teresa była fizykiem cząstek elementarnych. Joe nie wiedział, co to właściwie znaczy, wiedział jednak, że jego szwagierka dobrze zarabia i nie musi ciężko pracować. Podziwiał to.

- Płacą jej za to, co wie - mówił swym przyjaciołom w fabryce. On sam musiał ciężko harować, żeby związać koniec z końcem.

Teresa od miesięcy nie mówiła o niczym innym jak o Rotundzie. W końcu zaraziła swym entuzjazmem Joego i Amy. Kiedy powiedziała im, że chce polecieć do Północnej Dakoty, oboje stwierdzili, że też chcieliby się tam wybrać, a podróż samochodem jest znacznie tańsza.

Dojechali więc wreszcie na miejsce. Teresa mówiła im, że muszą zostać na Johnson's Ridge do zmierzchu, by zobaczyć, jak Rotunda świeci. Amy też była za tym. Zawsze popierała pomysły swojej siostry. Joe wiedział, że jego żona żałuje czasem, iż wyszła za niego. Nigdy mu tego nie powiedziała, widział to jednak w jej oczach. Gdyby nie poślubiła Joego, być może także pracowałyby w miejscu podobnym do laboratoriów Triangle, miałyby swoje własne biuro, doktorat i poczucie, że do czegoś dąży w tym życiu.

W cieniu urwiska robiło się już ciemno. Zimny porywisty wiatr kołysał starym buickiem. Joe wiedział, że droga dojazdowa jest bardzo kręta, nie uśmiechała mu się perspektywa jazdy w ciemności i przy tak silnym wietrze. Jednak obie siostry były już tak podekscytowane, że nie zaznałyby chwili spokoju, dopóki nie pozwoliłyby im zobaczyć tego, co chciały zobaczyć.

- Jest - powiedziała Amy.

Przy drodze stała duża tablica z żółtą strzałką i napisem „Rotunda”. Ktoś jednak zakleił znak dwoma paskami taśmy z nadrukiem „Zamknięte”.

- To niemożliwe - zdziwiła się Teresa. - Miało być otwarte do zachodu słońca.

Tuż za zakrętem rozpoczynała się droga dojazdowa do Rotundy, jednak teraz blokowała ją kolorowa barierka. W pobliżu stał policyjny samochód, a nadjeżdżające auta były odsyłane z powrotem na główną drogę. Joe zwolnił i otworzył okno. Zniecierpliwiony policjant poganiał ich energicznymi gestami.

- Co się stało? - spytał go Joe.

- Proszę jechać dalej, nie wstrzymywać ruchu. Zamknięte.

- Dobra - przyjął tę wiadomość Joe, starając się ukryć zadowolenie. - O której otwieracie jutro rano?

- Nie otwieramy. Jest zamknięte na stałe.

- Na stałe? - powtórzyła Teresa z niedowierzaniem. - Dlaczego? Proszę pana, przyjechaliśmy tutaj z bardzo daleka. - W jej głosie pojawiło się płaczliwe drżenie.

- Nie mówią nam zbyt wiele, proszę pani. Sąd kazał zamknąć ze względów bezpieczeństwa.

- Chyba nie mówi pan poważnie.

- Przykro mi. Proszę jechać dalej.

Cofnął się o krok, czekając, aż odjadą. Za nimi pojawił się następny samochód. Policjant westchnął.

W tym momencie z północy nadjechał czarny ford, rocznik 1988. Kierowcą był samotny starszy Indianin. Joe z oburzeniem patrzył, jak policjanci przepuszczają jego samochód. Ford przejechał dalej, a bariery powróciły na swoje miejsce.

- Co jest? - złościła się Teresa. - Co się dzieje? Dlaczego on wjechał?

- To człowiek z obsługi - odparł funkcjonariusz.

Joe obdarzył go groźnym spojrzeniem, ale policjant wcale się nie przejął. Popatrzył śmiało na Joego i wskazał na drogę.

- Ktoś będzie miał kłopoty - powiedział Joe, zamknął okno i ruszył z piskiem opon.

Walker spodziewał się kłopotów przy wjeździe. Był pewien, że nie pozwolą mu wejść na Johnson's Ridge. Może nawet go zaaresztują. Ale przepuścili. Kiedy wjeżdżał pod górę, zrozumiał dlaczego. Był stary, a oni mieli nadzieję, że uda mu się poskromić młodych i agresywnych pobratymców przy Rotundzie. Tak czy inaczej, nie widzieli w nim żadnego zagrożenia.

Powoli mijał kolejne zakręty. Zauważył, że przy drodze stoi wyjątkowo dużo policjantów. Po chwili wyjechał spośród drzew. Na parkingu stało tylko kilka samochodów.

Rotunda błyszczała w blasku zachodzącego słońca. W jakiś sposób przemawiała do jego ducha. Jej łagodne, półokrągłe Unie nie narzucały się otoczeniu, nie próbowały go przyćmić. Walker wiedział, że projektanci budowli kochali świat takim, jakim był wtedy, i jakim nadal pozostał po drugiej stronie przejścia. Chciałby porozmawiać z tymi, którzy podróżowali tak daleko, by żeglować po dziewiczych morzach. Wyglądało to niemal tak, jakby wiedzieli, w jakiej sytuacji znajdują się Siuksowie i podarowali im ten świat.

Adam pomachał do niego, wychodząc z posterunku ochrony.

Walker zaparkował i wyszedł z samochodu.

- Miło cię widzieć, Adam - powiedział.

- I ciebie, przewodniczący. - Chciał jeszcze coś dodać, ale zawahał się.

- O co chodzi? - spytał Walker.

- To miejsce jest trudne do obrony. Przynajmniej przy takich środkach i z taką liczbą ludzi.

- Chciałbyś się wycofać?

- Nie - odparł stanowczo. - Nie to miałem na myśli.

Nad urwiskiem pojawił się helikopter, który zawisł przez chwilę nad Rotundą.

- Rozpoznanie terenu - powiedział Adam. Walker skinął głową.

- Zamknęli drogę dojazdową. Więc co proponujesz?

- Żebyśmy przejęli inicjatywę. Nie czekali, aż oni uderzą na nas.

- A jak to zrobisz?

Doszli do baraku ochrony i zatrzymali się przed drzwiami.

- Moglibyśmy na początek zrzucić kilka drzew na drogę dojazdową. To zatrzymałoby ich chociaż na chwilę.

- Przy drodze stoją policjanci.

- Wiem.

Walker zrozumiał. Policjanci wyglądali tak, jakby nie wierzyli, by mogło dojść do jakichś poważnych starć. Był to w końcu teren, na którym ludzie nie strzelają do siebie zbyt często. Atak przeprowadzony jednocześnie w kilku miejscach mógł się powieść. A dwóch dobrych snajperów mogłoby przez dłuższy czas utrzymywać przeciwnika z dala od powalonych drzew. Ten plan miał wszelkie szanse powodzenia.

- Nie - powiedział.

- James, nie możemy siedzieć tutaj i czekać beczynnie, aż po nas przyjdą.

- Myślisz, że jak zabijesz kilku policjantów, koniec będzie inny?

W ciemnych oczach Adama pojawiły się gniewne błyski.

- Jeśli mamy powędrować za wielką rzekę, przynajmniej nie pójdziemy tam sami.

- Nie - powtórzył Walker. - Jeśli dojdzie do rozlewu krwi, walka nie skończy się, dopóki wszyscy nie zginiemy. Wolę inne rozwiązanie.

- A jak chcesz doprowadzić do tego innego rozwiązania?

- Skontaktowałem się z wysoko postawionymi przyjaciółmi. Pomoc jest już w drodze.

- Wysoko postawieni przyjaciele? - Uśmiechnął się Adam. - Od kiedy to Siuksowie mają takich przyjaciół?

- Dłużej, niż przypuszczasz. Po prostu dotąd o nich nie wiedziałeś.

Weszli do baraku. Na ich widok z krzeseł podnieśli się Mały Duch i Sandra Białe Skrzydło. Oboje wydawali się bardzo spokojni. Mały Duch zbliżał się już do trzydziestki. Przewodniczący dobrze go znał, zawsze martwił się o jego przyszłość, bo Mały Duch miał żonę i dwójkę dzieci, ale pozostawał bez pracy. Wyglądało na to, że wkrótce i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Sandra przyszła kiedyś prosić przewodniczącego o pomoc, gdy jej ojciec wjechał samochodem w dystrybutor na stacji benzynowej. Walker spojrzął w jej ciemne, lśniące oczy. Dopiero teraz zauważył, że to prześliczna dziewczyna. Przez tyle lat nie zwracał na nią uwagi. Był zbyt zajęty torowaniem sobie drogi w tym okrutnym świecie. Szkoda.

Pracowała w restauracji na terenie rezerwatu. Słyszał, że jest zaręczona z jakimś białym chłopakiem, stolarzem czy elektrykiem z Diabelskiego Jeziora. Nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat. Zastanawiał się, czy nie odprawić jej z urwiska, wiedział jednak, że byłoby to nieuczciwe względem niej samej i względem jej braci. Dokonała wyboru i postanowiła zostać, a on nie mógł pozbawić jej tego przywileju.

Pod ścianami leżała broń. Karabiny M-16. Przynajmniej mieli się czym bronić.

- Mamy też ręczną wyrzutnię raketową - powiedział Adam. - Nie poddamy się bez walki.

- Kto jeszcze został? - spytał przewodniczący.

- Will Pipe, George Wolna Woda i Andrea są w Rotundzie. Max i doktor Cannon jeszcze nie wyjechali, ale jestem pewien, że wkrótce to zrobią. Są z gośćmi.

- Mamy jeszcze jakichś gości? - Walker był zaskoczony.

- Troje z ostatniej wycieczki. Walker usiadł na krześle.

- Musimy porozmawiać o obronie.

Otworzyły się drzwi baraku i do środka wszedł Max.

- Nie sądziłem, że do tego dojdzie - powiedział przeproszającym tonem. - Próbowałem skontaktować się z senatorem Wykowskim, ale zdaje się, że mamy kłopoty z telefonami.

Walker uśmiechnął się.

- Nie chcę, żebyśmy z kimkolwiek rozmawiali - powiedział. - Ale to i tak nie ma znaczenia. Interwencja senatora nic tu nie da.

Przewodniczącemu żal było Maksa. Wyglądał na człowieka, który nie jest pewien swego celu. Nie zdobędzie się na odwagę ten, który wojuje sam ze sobą.

Spojrzał przez okno na zachód słońca. Ze smutkiem pomyślał, że być może nie zobaczy już następnego.

April rozmawiała z naukowcami opuszczającymi Rotundę. Zastanawiała się, czy to ostatni ludzie, którzy odwiedzili Eden. Było ich troje: Cecil Morin, otyły mężczyzna w średnim wieku, bakteriolog z Uniwersytetu Colorado, Agatha Greene, astrofizyk z Harvardu, oczarowana cudami Mgławicy, i Dmitri Rushenko, biolog z firmy farmaceutycznej SmithKline Beecham.

- Chciałabym tu zamieszkać - westchnęła Greene.

- Czy to prawda, że rząd chce zająć to miejsce? - spytał Morin.

April przytaknęła.

- Na to wygląda.

Morin pokręcił głową ze smutkiem.

- Boże, miej nas w swej opiece.

Rushenko otworzył drzwiczki swego samochodu.

- Racja jest po waszej stronie - powiedział. Jego akcent wskazywał, że pochodzi z Nowego Jorku, z Long Island, jak pomyślała April.

- Wiemy.

- Nie chcę nawet myśleć o tym, że port dostanie się w ręce rządu - kontynuował. - Wielka szkoda. Żałuję, że nie mogę wam jakoś pomóc. - Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

- Wiesz co, powiem ci, co ja myślę - odezwała się Greene. - Gdyby decyzja należała do mnie, musieliby odebrać mi to siłą.

April podtrzymała drzwiczki samochodu, kiedy Greene wsiadała do środka.

- Zamierzamy tu zostać - powiedziała, choć ona wcale nie planowała zostać na Johnson's Ridge. Ale brzmiało to o wiele lepiej, niż gdyby mówiła w trzeciej osobie. - Ty też możesz to zrobić, Agatho. - Chciała, by zabrzmiało to jak żart, ale poczuła się zakłopotana, gdy dostrzegła rumieniec na twarzy kobiety.

- Chciałabym, April - odparła. - Naprawdę bym chciała.. mam męża i małą córeczkę. - Zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

Pozostali milczeli.

April chciała porozmawiać z przewodniczącym w cztery oczy i czekała na taką sposobność. Walker był na zewnątrz, wraz z Adamem i pozostałymi. Zmagając się z porywistym wiatrem obchodził hałdy ziemi dokoła wykopu. April domyśliła się, że właśnie hałdy będą tworzyć pierwszą linię obrony.

- Max, dlaczego oni to robią? Co chcą osiągnąć?

Miał już serdecznie dość Rotundy i wszystkiego, co się z nią wiązało.



- Nie wiem. Może to sprawa kultury.

Wiedziała, że Max nie może się doczekać chwili, kiedy odjadą z tego miejsca. Ostrzegał ją, że jazda po krętej drodze w ciemnościach, obok zdenerwowanych policjantów, może być ryzykowna.

Już zrobiło się ciemno.

- Nie mogę pogodzić się z myślą, że zostaną tu sami - powiedziała, rozpoczynając kolejny cykl rozmowy, którą toczyli już wielokrotnie przez ostatnią godzinę.

- Ja też.

- Tak bardzo chciałabym im pomóc.

- Dlaczego tak się uparli? Przecież nic na tym nie zyskają.

O ósmej wyłączyli lampy oświetlające wykopy, ale pofałdowany teren i tak był doskonale widoczny w blasku bijącym od Rotundy.

- Szkoda, że nie mogą jej czymś przykryć - powiedział Max. Kiedy przewodniczący odłączył się od grupy i ruszył w stronę baraku ochrony, April uznała, że nadarza się właściwa okazja.

- Chodźmy z nim porozmawiać - zaproponowała.

Max stracił już nadzieję, że przemówi komukolwiek do rozsądku. Jego zdaniem Adam Niebo i jego ludzie, którzy kiedyś wydawali mu się rozważni, zmienili się nagle w bandę fanatyków ogarniętych jakąś szaloną dumą, wspomnieniem dawnych wojen i doznanych przed laty krzywd. Nie wyobrażał sobie, jak można powiedzieć siłom federalnym, działającym z nakazu sądu, by wynosiły się precz.

Po chwili dołączyli do przewodniczącego. Walker wydawał się całkiem spokojny, wręcz pogodny.

- Przewodniczący - zaczęła April drżącym głosem. - Nie róbcie tego. Pan ich może powstrzymać.

Walker uśmiechnął się do niej ciepło.

- Jeszcze jesteście?

Mocniejszy podmuch wiatru uderzył w barak.

- Nie chcemy was tutaj zostawić.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł. - Ale nie możecie zostać. Słyszac tę krótką wymianę zdań, Max stracił na chwilę oddech. Nie miał zamiaru dać się zastrzelić w bezsensownej walce.

- Nie podejmujcie walki - powiedziała April. - To i tak niczego nie zmieni.

Walker przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Nie byłbym tego taki pewien. - Odwrócił głowę, spojrzał na księżyc, który znajdował się właśnie w trzeciej kwadrze, potem na ciemności zalegające dolinę, rozpraszane tylko przez odległe światła Fort Moxie.

- Możecie walczyć o swoje prawa w sądzie - powiedział Max. - Jestem pewien, że mielibyście spore szansę. Ale jeśli będziecie stawiać opór...

W oczach starego Indianina pojawił się jakiś dziwny smutek. Max przerwał w pół zdania, zakłopotany.

- Co? - April także to dostrzegła. - Pan nam czegoś nie mówi, prawda?

- Nie mam pojęcia, o co pani chodzi, młoda damo. - W jego głosie kryła się jednak nutka niepokoju.

- O co chodzi? - dopytywała się natarczywie April. - Zaminowaliście Rotundę?

Helikopter powrócił. Przelatywał nad wykopami. Walter spojrzał na zegarek.

- Najrozsądniej byłoby oddać tę sprawę do sądu - powiedziała. - Dlaczego nie chcecie tego zrobić?

Pytanie było całkiem racjonalne, ale Walker zbył je machnięciem ręki. Nie chciał już rozmawiać. Chciał, żeby sobie poszła.

- Dlaczego? Dlaczego nie chce pan pójść do sądu? Myśli pan, że tkwi w tym jakiś haczyk? Coś innego?

- Proszę, idź już April - powiedział. - Naprawdę, chciałbym, żeby było jakieś inne wyjście. April otworzyła szeroko oczy.

- Myśli pan, że oni to zniszczą, prawda? Myśli pan, że sądy nie będą w stanie oddać wam Rotundy.

Przewodniczący patrzył gdzieś za nią, na niebo. Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz.

- Boże - szepnęła April. - To niemożliwe. Nie zrobiliby tego.

Ale będą musieli. Dopóki ludzie wierzyli w istnienie zaawansowanych technologii, dopóki obawiali się, że kiedyś zostaną one wykorzystane, fatalna sytuacja gospodarcza na świecie nie mogła ulec zmianie. Istniał tylko jeden prosty sposób na zneutralizowanie Rotundy.

- Myślę, że on ma rację - powiedział Max. - Czas już, żebyśmy się stąd wynieśli.

April wahała się, walczyła ze sobą. Była skonsternowana, przerażona.

- Nie - oświadczyła wreszcie. - Mylisz się. Maksowi zamarło serce.

- Ja się stąd nie ruszam - powiedziała. - Nie mogę do tego dopuścić.

Brian Kautter był członkiem komisji rządowej w Agencji Ochrony Środowiska. O dwudziestej trzydziści wszedł do sali konferencyjnej agencji, gdzie czekał już nań tłum dziennikarzy. W pokoju panowało ogromne napięcie. Kautter nie widział jeszcze tylu reporterów naraz. Oznaczało to, że gdzieś doszło do przecieku.

Kautter był wysokim, sympatycznym Afroamerykaninem. Wcale nie podobało mu się to, w czym musiał uczestniczyć, i czynił to z najwyższą niechęcią. Rozumiał pobudki, jakie kierowały prezydentem. Wiedział też jednak, że jest to jedno z wydarzeń, które będą dręczyć go potem przez lata. Przypuszczał, że nadejdzie taka chwila, i to całkiem niedługo, kiedy zamarzy, by cofnąć się w czasie i przeżyć inaczej tych kilka następnych minut.

- Panie i panowie - zaczął. - Mam dla państwa oświadczenie. Proszę cierpliwie go wysłuchać. Potem chętnie odpowiem na wszystkie pytania. Z coraz większym niepokojem obserwujemy zagrożenia związane z odkryciem Rotundy. Nasz rząd, jak państwo doskonale wiecie, nie zajął oficjalnego stanowiska w sprawie tak zwanego „gwieźdnego mostu”. Jednak zgromadzono już tyle dowodów, że możemy uznać, iż planeta po drugiej stronie przejścia nie jest Ziemią.

Takie stwierdzenie niesie ze sobą kilka niepokojących możliwości. Pojawiły się już pogłoski, że jakaś obca istota przedostała się do naszego świata. Nie wiemy, czy to prawda, i nie wiemy, czym mogłaby być ta istota. Jednak nie możemy całkowicie wykluczyć takiej możliwości. Nie możemy też być pewni, że do podobnej sytuacji nie dojdzie w przyszłości. Poza tym istnieją jeszcze inne potencjalne zagrożenia. Na przykład wirusy albo substancje trujące.

Aby zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom naszego kraju, Agencja Ochrony Środowiska zwróciła się do sądu z prośbą o odpowiednie orzeczenie. Sąd przychylił się do naszego stanowiska i wydał nakaz, zgodnie z którym właściciele tego terenu mają go oddać pod kontrolę rządu federalnego. Oczywiście jest to tymczasowe rozwiązanie, mające na celu jedynie zapobieżenie potencjalnym zagrożeniom. - Kautter wyglądał jak człowiek przeniknięty bólem. - Teraz wysłucham państwa pytań.

Maris Quimby z „Post”:

- Panie komisarzu, czy Siuksowie zgodzili się na takie rozwiązanie?

Kautter pokręcił głową.

- Maris, nakaz rządu federalnego nie podlega żadnej dyskusji. Ale odpowiadając na to pytanie, powiem, że jestem pewien, iż Siuksowie rozumieją nasze intencje.

Wskazał na Hanka Millera z „Fox”.

- Czy nie jest już trochę za późno, by zabezpieczać się przed wirusami? Myślę, że jeśli były tani jakieś szkodliwe substancje czy bakterie, to i tak na pewno są już na Ziemi.

- Nie sądzę, by istniały jakieś poważne powody do zmartwienia, Hank. Podejmujemy po prostu działania profilaktyczne.

Kiedy skończył, wrócił do swojego biura i wyjął z barku butelkę rumu.

*Na nic zda się odwaga, kiedy bogowie nie są po twojej stronie.*

Eurypides, „Proszące kobiety”

## WIADOMOŚCI NBC.

Jednostki US Marshals zablokowały dziś wieczorem dojazd do Johnson's Ridge, prawdopodobnie przygotowując się do zajęcia tego terenu. Grupa Indian oświadczyła, że nie podda się nakazowi sądu federalnego i nie opuści Rotundy. Najpierw przeniesiemy się do Białego Domu, gdzie rozmawiać będziemy z Michael'em Patmanem, a potem do rezerwatu Siuksów Diabelskie Jezioro, w Północnej Dakocie. Tam czeka już na nas Carole Jensen.

Jensen znajdowała się w pomieszczeniach rady plemienia w Błękitnym Domu, gdzie udało jej się dopaść Williama Hawka. Wywiad dla ogólnokrajowej telewizji. Kiedy ktoś pracuje dla porannych wiadomości w Fargo, taka chwila może być dla niego najważniejsza w całej karierze. Uśmiechnęła się do Hawka, jednak ten był nieporuszony.

- Jedna minuta - powiedział kamerzysta, ustawiając ostrość.

- Proszę zachowywać się naturalnie - powiedziała. - Zaczniemy, kiedy zaświeci się czerwona lampka.

- Dobrze. - Indianin ubrany był w skórzaną kamizelkę, flanelową koszulę i sprane dżinsy. Jensen przypuszczała, że ma około sześćdziesięciu lat, choć jego twarz znaczyły głębokie zmarszczki.

Znow głoś producenta z Fargo.

- Ta sama procedura co zawsze, Carole. Jakbyś robiła to tylko dla nas.

- Jasne - odrzekła dziennikarka.

Jeszcze kilka sekund. Kamerzysta pokazał jej pięć palców, odliczył, wreszcie zapaliła się czerwona lampka.

- Tu Carole Jensen z sali zebrań rady plemienia Siuksów znad Diabelskiego Jeziora. Jest dzisiaj ze mną William Hawk, członek rady i jeden z liderów szczepu. Panie Hawk, przypuszczam, że widział pan wieczorną konferencję prasową w siedzibie Agencji Ochrony Środowiska?

- Tak, widziałem, Carole. - Twarz Hawka nie wyrażała żadnych uczuć, ale Jensen dostrzegła ból w jego oczach. Miała nadzieję, że kamera to uchwyci. Szlachetna duma w tragicznej sytuacji.

- Jaka jest pańska reakcja na oświadczenie komisarza Kauttera?

- Komisarz powinien być świadom, że Rotunda nie stwarza żadnego zagrożenia. Nikt nie widział, by coś przeszło przez port. Jestem pewien, że nikt też nie bierze poważnie opowieści o niewidzialnym człowieku.

- Panie Hawk, co zrobicie w tej sytuacji? Indianin zacisnął mocniej zęby.

- Nie pozwolimy im ukraść naszej ziemi. Należy do nas i będziemy jej bronić.

- Czy oznacza to, że użyjecie siły?

- Jeśli zajdzie taka konieczność. Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego.

- Powiedział mi pan wcześniej, że na Johnson's Ridge jest pańska córka.

- To prawda.

- Odwoła ją pan stamtąd?

- Zostanie ze swymi braćmi, by bronić naszego dziedzictwa. - Jego pomarszczona twarz

wyrażała determinację i upór.

\*\*\*

- Nie jesteście nam potrzebni - powiedział Adam. - Powinniście wyjechać teraz, póki jest to jeszcze możliwe.

- On ma rację - przytakiwał Max. - Nie mamy tu nic do roboty.

April spojrzała na niego ze smutkiem.

- Myślę, że wszyscy mają tu coś do zrobienia. Jesteśmy zbyt głupi albo zbyt leniwi, albo sama już nie wiem jacy, żeby zająć się edukowaniem ludzi, więc niszczymy Rotundę. Szlag mnie trafia, kiedy o tym pomyślę. Nigdzie nie idę. Moje miejsce jest tutaj...

- Umiesz strzelać? - przerwał jej Adam. - Będziesz strzelać?

- Nie - odparła stanowczo. - Nie zabiję nikogo. Ale i tak tutaj zostanę. - Wiedziała, że brzmi to nieprzekonująco. Poczucie całkowitej bezradności wycisnęło jej łzy z oczu.

- Będziesz nam tylko przeszkadzać.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć, musisz usunąć mnie stąd siłą - powiedziała Adamowi.

Max wyrzucił ręce do góry.

Próbował rozpocząć skomplikowany proces żegnania wszystkich i wyjścia do samochodu. Uznał, że czasami ucieczka wymaga większej odwagi niż pozostanie na polu walki. Nie miał jednak zamiaru oddawać życia za sprawę, która była z góry skazana na przegraną. Wciąż zastanawiał się, jak sobie z tym poradzić, kiedy przyłączyła się do nich Andrea.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - powiedziała. - Moglibyśmy zagrozić im, że zniszczymy port. Że im go zabierzemy.

- To nie ma sensu - pokręcił głową Adam. - Przecież właśnie o to im chodzi.

- Może jednak nie - zastanawiał się głośno Max. - Wszystkie media na pewno będą się temu uważnie przyglądać. To byłby prawdziwy koszmar dla administracji. Dziennikarze zjedlibyich żywcem.

- Byłoby tak tylko wtedy, gdybyśmy mogli pokazać wszystko na żywo w telewizji. Nie mamy takiej możliwości.

- To znaczy, że Śnieżna Sokolica nie może nadawać?

- Nie mogę - potwierdziła Andrea, - Ale macie rację, myślę, że daliby nam spokój, gdybyśmy ściągnęli tutaj media.

- Nie. - Głos April był twardy jak stal. - Nie możecie grozić zniszczeniem portu. Przecież zostajemy tutaj tylko po to, by go chronić.

- Tak naprawdę nie chcemy niczego niszczyć. To błąd - broniła swego pomysłu Andrea.

- I oni właśnie tak to odczytają - powiedział Adam. - Kazaliby nam to zrobić. - Na drodze dojazdowej przesuwali się światła jakiegoś samochodu. - Musieliby nam kazać.

Zadzwoił telefon. Wszyscy spojrzeli po sobie z zaskoczeniem. Natarczywe brzęczenie dochodziło z baraku.

- Myślałem, że telefony nie działają - powiedział Max. Stali na brzegu wykopu, w którym znajdowała się Rotunda.

- To na pewno od nich - powiedziała April.

Dzwonił telefon Maksa. April odebrała, posłuchała przez moment i skinęła głową.

- Tak, jest tutaj.

Podawała słuchawkę Maksowi.

- Słucham - warknął.

Jakiś kobiecy głos spytał, czy mówi pan Collingwood.

- Tak - odparł.

- Łączę pana z prezydentem.

Max zamarł. Wpatrywał się z osłupieniem w twarze swych towarzyszy, a ci patrzyli nań pytająco.

- Kto? - szepnęła April.

Potem w słuchawce rozbrzmiał znajomy głos z akcentem z Baltimore. -Max?

- Tak, panie prezydencie. Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

- Max, czy jesteś w miejscu, w którym może nas słyszeć ktoś jeszcze?

-Tak.

- Dobrze. Wiem, że możesz puścić to na głośnik. Ale lepiej tego nie rób. To, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest tylko dla ciebie.

Maksowi zaschło w gardle.

- Panie prezydencie - wychrypiął. - Bardzo się cieszę, że pana słyszę.

- I ja się cieszę, że mogę z tobą porozmawiać, synu. Posłuchaj, źle się dzieje w naszym kraju. Znacznie gorzej, niż sobie wyobrażasz. Ludzie tracą pracę, oszczędności. Bóg jeden wie, czym to może się skończyć.

- Z powodu Rotundy?

- Właśnie, z powodu Rotundy. Posłuchaj, nie chcemy niczego zabierać Indianom. Wiesz o tym. Cały kraj wie. Ale ludzie się boją, i musimy jakoś kontrolować to wasze dziwactwo. Dopilnujemy, żeby Indianom nie stała się krzywda. Masz na to moje słowo. Ale to coś jest zupełnie inne od wszystkiego, z czym mieliśmy dotąd do czynienia. Chodzi o skarb całego narodu, prawda? To znaczy, Indianie nie zostawili tam tej rzeczy. Po prostu przypadkiem znalazła się na ich ziemi. - Przerwał na chwilę, by złapać oddech albo by zapanować nad emocjami. Maksowi wydawało się, że lada chwila prezydent straci głos.

- Wiem o tych wszystkich problemach, panie prezydencie.

- To dobrze. Więc rozumiesz, że muszę działać. Muszę. Bóg mi świadkiem, Max, ostatnią rzeczą, jakiej byśmy chcieli, jest rozlew krwi.

- Chyba wszyscy tutaj myślą podobnie.

- Oczywiście. Oczywiście. - Jego głos zmienił się, nabrał tonów, które sugerowały, że łączy ich wspólny cel. - Wiem, co robił twój ojciec, Max. Pięknie się przysłużył temu krajowi.

- Tak, panie prezydencie. Tak było.

- Teraz ty masz szansę. - Znow przerwał na momencik. - Potrzebuję twojej pomocy, synu.

Max wiedział już, czego się spodziewać.

- Nie mam tutaj zbyt wielkich wpływów, panie prezydencie.

- Nie ufają nam, co?

- Nie, panie prezydencie.

- Nie winie ich za to. Ani trochę. Ale gotów jestem osobiście zagwarantować, że dostaną sowitą rekompensatę, jeśli zrzekną się praw do Johnson's Ridge.

- Chce pan, żebym im to powiedział?

- Tak, proszę. Ale chciałbym, żebyś spróbował ich też przekonać, by spojrzeli na problem z naszej pozycji. Chcę, żebyś przekonał ich, by z tego zrezygnowali, Max. Jedyne, co mogą osiągnąć przez swój upór to, że zostaną zabici. Proszę, potrzebuję twojej pomocy.

- Dlaczego właśnie ja, panie prezydencie? Dlaczego nie zadzwonił pan do przewodniczącego Walkera? Albo do doktor Cannon?

- Walker już nie zmieni zdania. Doktor Cannon może być za młoda, by mieć jakikolwiek wpływ na grupę Indian. Będę z tobą szczerzy, Max. Przejrzeliśmy informacje o wszystkich ludziach, którzy zostali tam z tobą, i wydawało nam się, że właśnie ty jesteś najbardziej otwarty na rozsądne propozycje.

Max wziął głęboki oddech. Był słabym ogniwiem.

- Powiem im to wszystko - obiecał. - Czy mógłbym pana o coś zapytać?

- Śmiało, Max. Możesz pytać o co tylko chcesz, o wszystko.

- Krążą plotki, że rząd zamierza zniszczyć Rotundę. Czy może mi pan dać słowo, że to nieprawda?

Max słyszał ciężki oddech po drugiej stronie linii. Potem:

- Max, nie zrobilibyśmy tego.

- Daje pan słowo, panie prezydencie?

- Max, mogę obiecać hojną rekompensatę.

- Co on mówi? - pytała szeptem April. Max pokręcił głową.

- Nie sądzę, by to wystarczyło, panie prezydencie.

- Max, możesz pomóc. Porozmawiaj z nimi.

- Nie posłuchają mnie. Zresztą i tak uważam, że mają rację. Cisza po drugiej stronie przeciągała się. Max zaczął już podejrzewać, że prezydent odszedł od telefonu.

- Wiesz co, Max - powiedział w końcu. - Jeśli dojdzie do rozlewu krwi, do końca swych dni będziesz żył ze świadomością, że mogłeś temu zapobiec. - Max widział go oczyma wyobraźni, drobnego człowieczka, który wyglądał jak sklepikarz z sąsiedztwa. - Żał mi ciebie, synu. No cóż, robisz to, co musisz robić, i ja to szanuję. Ale nie odkładaj jeszcze słuchawki, dobrze? Sekretarka poda ci numer, więc gdybyście się rozmyślili, możecie zadzwonić. Jeśli uda ci się jakoś to zażegnać, z przyjemnością spotkam się z tobą w Białym Domu.

Prezydent skończył rozmowę, a Max zanotował podany numer i wręczył go Adamowi. Ten, nie spojrzawszy nawet na karteczkę, podarł ją na drobne kawałki. Otworzył drzwi i wyrzucił na wiatr. Max nagle zrozumiał, że jedyną osobą, która myśli, iż Max Collingwood zamierza zostać z Siuksami, jest prezydent Stanów Zjednoczonych.

Biała furgonetka programu „Ben at Ten” mknęła przez prerię w kierunku Johnson's Ridge. Carole wciąż nie mogła opanować podniecenia. Wciąż odtwarzała w głowie wywiad, syciła się jego dramatyzmem. „Zostanie ze swymi braćmi, by bronić naszego dziedzictwa”. A potem jej słowa, kończące wejście. „Z rezerwatu Siuksów przy Diabelskim Jeziorze dla wiadomości NBC mówiła Carole Jensen”.

A nie był to jeszcze koniec. Robert Bazell już leciał do Fort Moxie, ale do chwili jego przybycia tylko ona reprezentowała NBC na miejscu wydarzeń. Miała nadzieję, że samolot Bazella utknie na jakimś lotnisku.

Carole opadła na oparcie swego fotela i pozwoliła ogarnąć się fali ogromnej radości.

Przejechali przez góry Pembina i skręcili na północ, na drogę 32. Po chwili widzieli już na niebie szmaragdowy blask.

Policja kierowała wszystkie samochody na objazd. Carole pokazała swoje dokumenty i została wpuszczona za barierki. Zza zakrętu widać już było migające światła i ostry blask telewizyjnych reflektorów. Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody i furgonetki. Chang zwolnił i zatrzymał się obok ciężarówki NBC.

Tłum dziennikarzy blokował całkowicie drogę dojazdową. Centrum zainteresowania stanowił

stary czarny ford. Carole od razu rozpoznała Walkera. Wysiadł z samochodu i rozmawiał z szefem policji. Inni policjanci próbowali bez większego sukcesu utrzymać dziennikarzy z dala od przewodniczącego.

- Przygotuj wszystko, Chang - powiedziała, wystukując na telefonie komórkowym numer studia.

- Carole? - odezwał się jej producent. - Właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

- Jesteśmy na miejscu.

- Dobrze. Walker właśnie zjechał z góry. CNN i ABC już go pokazują. Wygląda na to, że chce wygłosić jakieś oświadczenie.

Carole wysiadła już z samochodu i biegła w stronę Walkera. Chang ułożył sobie kamerę na ramieniu i pobiegł za nią.

- Teraz zrobimy wprowadzenie - mówił głos ze studia. - Wejdziecie za dwadzieścia sekund.

- Sukinsyn - syknęła Carole, zerkając przez ramię na swego partnera. - Chang, jesteś gotów?

Dotarli do tłumu dziennikarzy i zaczęli przepychać się do przodu, aż znaleźli miejsce, z którego mogli dobrze uchwycić przewodniczącego. Walker wydawał się tego wieczora wyjątkowo kruchy i stary. Policjanci niecierpliwili się, nie mogąc opanować zamieszania i chaosu. Jakaś kobieta ubrana w mundur US Marshals prowadziła ożywioną rozmowę z szeryfem Doubtable. Carole potrafiła całkiem nieźle odczytywać słowa z ruchu warg i zrozumiała, że kobieta mówi policjantowi, by na coś pozwolił.

Reporterzy pchali się ciągle do przodu. Stary ford tonął w powodzi świateł.

Na sygnał dany przez szeryfa wszyscy policjanci cofnęli się za samochód Walkera. Kilkanaście dłoni natychmiast wyciągnęło mikrofony w jego stronę.

- Jak czują się Indianie po raz kolejny wypędzani ze swojej ziemi? Czy Siuksowie będą walczyć? Czy Siuksowie coś ukrywają? Czy to prawda, że na ziemi jest Obcy?

- Nie - powiedział przewodniczący. - Niczego nie ukrywamy. - Wszedł na zbocze obok drogi, gdzie wszyscy mogli go widzieć.

- Nazywam się James Walker. Jestem przewodniczącym rady plemienia.

- Więc co to za wielka tajemnica? - krzyknął ktoś. Walker był skonsternowany.

- Nie ma żadnej tajemnicy. Chętnie pokazywaliśmy nowy świat wszystkim, którzy nas o to poprosili. Ale Rotunda jest na naszej ziemi.

Reporterzy ucichli.

- Los chciał - kontynuował Indianin - by droga do gwiazd prowadziła właśnie przez ten szczyt. Niektórzy ludzie zaniepokojeni są odkryciami, których tu dokonano. Boją się ich. Wiemy dobrze, że kiedy nadchodzą zmiany, nikt nie trzyma się przeszłości tak mocno, jak ludzie sprawujący władzę. Wiedzą, że zmiany są nieuniknione, ale gdyby mogli, podzieliliby je na drobne kosteczki. Jak ziarno dla kurcząt.

Wasz rząd powiedział nam, że musimy odejść. Jeśli tego nie zrobimy, zostaniemy usunięci siłą. Ci, którzy mają odwagę bronić własnej ziemi, zostaną osadzeni w więzieniu. A może spotka ich los jeszcze gorszy. Pytam więc, skoro ci ludzie mogą zabrać naszą własność, bo czegoś się boją, czyja własność jest bezpieczna? Jeśli mogą położyć ręce na naszej przyszłości, czyja przyszłość jest bezpieczna?

(Głos producenta: Świetnie, Carole. Ten facet jest świetny! Spróbuj namówić go potem na wywiad).

Nie po raz pierwszy musimy bronić naszej ziemi własną krwią. Teraz chciałbym zwrócić się bezpośrednio do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

(Chang zrobił zbliżenie).



Panie prezydencie, tylko pan może to powstrzymać. Ludzie, którzy zginą dzisiaj po obu stronach, są niewinni. I są też idealistami, inaczej bowiem nie stawaliby naprzeciwko siebie. Najlepsi ludzie, jakich mamy, gotowi poświęcić swe życie dla sprawy, nie dla pieniędzy. Proszę, niech pan to powstrzyma, póki jeszcze nie jest za późno.

Tom Lasker pokazał policjantowi swoją kartę, ale ten bez słowa wyjaśnienia kazał mu zawrócić, podobnie jak wszystkim turystom. Tom próbował skontaktować się z Makssem przez telefon komórkowy, ale usłyszał tylko dziwny przerywany sygnał, podobny do sygnału zajętości.

Choć od rana oglądał wiadomości na różnych kanałach i wiedział o ultimatum, dopiero teraz zrozumiał, że na Johnson's Ridge może dojść do strzelaniny i rozlewu krwi.

Zawahał się, nie wiedząc, co robić. Czuł, że powinien z kimś porozmawiać, ale nie miał pojęcia, kto może pomóc mu w tej sytuacji. Zadzwoił do Ginny i opowiedział jej o wszystkim.

- Wracaj do domu - powiedziała. - Trzymaj się od tego z daleka. - Po chwili oddzwoniła do niego. - Jakiś człowiek z rezerwatu próbuje się z tobą skontaktować. - Podała mu numer. - Uważaj na siebie - dodała.

Telefon odebrał William Hawk.

- Tom - powiedział. - Musimy przekazać pilną wiadomość przewodniczącemu.

April była dziwnie milcząca. Max zastanawiał się, czy jest nim rozczarowana, czy też po prostu się boi. Powrócili do swego baraku i siedzieli w ponurej ciszy. Atmosfera była ciężka, przytłaczająca. Max miał już dość wyczekiwania.

- April, jesteś pewna, że chcesz tu zostać?

Podniosła głowę, ale dopiero po chwili skupiła na nim wzrok.

- Tak - odparła. - Czuję to samo, co Adam. Nie mogę tak po prostu odejść i zostawić im wszystkiego.

- No tak. Dobrze. - Max podniósł się z krzesła. - Ja się stąd zmywam.

Skinęła głową.

- Powodzenia - powiedział na odchodnym.

*Nie przystoi krzywić się, gdy wokół świszczą kule.*

Montaigne, „O wytrwałości”

GDY OKAZAŁO SIĘ, że Siuksowie nie oddadzą Rotundy bez walki, Elizabeth Silvera zaczęła podsłuchiwać ich rozmowy telefoniczne. Słyszała pytanie, jakie Walker zadał Adamowi, „Jak daleko gotów jesteś się posunąć?”, oraz odpowiedź. Po wysłuchaniu rozmowy telefonicznej przewodniczącego z Asquithem, laureatem Nagrody Pulitzera, domyśliła się także, że ten ostatni przygotowuje jakąś demonstrację. Nie miała jednak żadnych konkretnych informacji. Nim odcięli łączność na Johnson's Ridge, przesłuchała też rozmowy Indian, którzy zapewniali swe rodziny, że na pewno będą bronić ich wspólnego dziedzictwa. Zastanawiała się, czy Indianie naprawdę tak myślą, czy też wiedzą, że ich podsłuchuje, i wygłaszają takie uwagi na jej użytek. Wreszcie wysłuchała w całości rozmowy między Maksem i prezydentem. Odmowa Maksa wzbudziła jej głębokie oburzenie i przekonała ją ostatecznie, że konieczne będzie użycie siły. Gdyby Siuksowie chcieli jednak zaakceptować warunki rządu, powinni byli zrobić to właśnie wtedy.

Nie podobało jej się to zadanie. Nie dlatego, by miała jakieś opory moralne czy innej natury. Jednak sytuacja była bardzo delikatna, niosła ze sobą ogromne ryzyko i stosunkowo niewielki zysk. Gdyby udało jej się przeprowadzić wszystko sprawnie i bez większych potknięć, i tak musiałaby przekazać sprawę SOG, a oni przypisałiby sobie całą zasługę. Gdyby zaś zepsuła cokolwiek, oznaczałoby to koniec jej kariery.

Po południu oficjalnie przekazała zadanie ludziom z SOG. Na miejscu pojawił się Horace Gibson, dowódca grupy, który osobiście zamierzał kierować akcją. Wziąwszy pod uwagę powagę sytuacji i znaczenie tej sprawy, Elizabeth nie spodziewała się niczego innego. Poznała Gibsona już wcześniej i nie darzyła go sympatią. Twierdziła, że jego poczynania cechuje niepotrzebna brawura. Gibson miał bardzo wysokie mniemanie o sobie i o swojej grupie, którą uważał za prawdziwie elitarną jednostkę. Jego zachowanie sprawiało, że Elizabeth czuła się przy nim jak chłopka.

Tym razem jednak niemal mu współczuła. Wiedziała, jakie otrzymał instrukcje: zająć Rotundę szybko, by uniknąć niepotrzebnego rozgłosu; nie stracić przy tym nikogo; w miarę możliwości nie ranić także żadnego z Indian.

Powodzenia.

Znała Horacego dość dobrze, by wiedzieć, że Indianie muszą się mieć na baczności.

**„SPECJALNE WYDANIE WIADOMOŚCI” NBC, WYWIAD  
Z PROKURATOREM GENERALNYM CHRISTIANEM POLKIEM.  
PROWADZI TOM BROKAW.**

BROKAW: Panie prokuratorze, przed momentem słyszeliśmy apel Jamesa Walkera, w którym prosił o wstrzeźliwość i oskarżał rząd o kradzież ziemi należącej do Siuksów. Jak pan na to odpowie?

POLK: Tom, wszystkim nam leży na sercu dobro Siuksów. Muszę jeszcze raz podkreślić, że czynności, które podjęliśmy na Johnson's Ridge, mają na celu ochronę mieszkańców tych okolic. Powtarzam też raz jeszcze, że nie kradniemy niczyjej własności. Prosimy tylko o czasowy nadzór nad

tym miejscem.

BROKAW: Co właściwie oznacza ten „nadzór”, panie prokuratorze? Kto będzie kontrolował badania dokonywane w Rotundzie?

POLK: Siuksowie, oczywiście. Jesteśmy tam tylko po to, by zapewnić... Proszę zrozumieć, że to całkiem wyjątkowa sytuacja. Nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z czymś takim. Naszym obowiązkiem jest dopilnować, by nikomu nie stała się krzywda. Po prostu nie wiemy, jak się z tym obchodzić. Dlatego właśnie powinniśmy roztoczyć ścisłą kontrolę. Wydaje mi się, że w naszym podejściu do sprawy nie ma nic dziwnego, ani nierozsądnego.

BROKAW: Jakie konkretne zagrożenia ma pan na myśli?

POLK: Po pierwsze, chcielibyśmy zapewnić wszystkich, że nic nam nie grozi. Ostatnio pojawiły się plotki, że coś przedostało się na Ziemię...

BROKAW: Pan w to chyba nie wierzy, prawda?

POLK: Nie, ja osobiście nie wierzę w takie opowieści. Ale to nie ma znaczenia. Ważne jest, że wielu ludzi wierzy i boi się tego „obcego”. Musimy przywrócić im poczucie bezpieczeństwa.

BROKAW: Więc chcecie siłą zająć własność Siuksów, bo niektórzy ludzie w Północnej Dakocie boją się duchów?

POLK: W grę wchodzi też inne czynniki. Nie wiemy, jakie inne zagrożenia może nieść ze sobą Rotunda i połączone z nią światy. Na przykład choroby. To zasadnicza przyczyna naszej interwencji. Musimy dokładnie zbadać sprawę.

BROKAW: Wszystko wskazuje, że Siuksowie nie podporządkują się decyzji sądu.

POLK: Nie mają takiej możliwości.

BROKAW: Decyzja w tej kwestii należeć będzie jednak do nich, nie do pana. Panie prokuratorze, czy gotowi jesteście użyć siły?

POLK: Jestem pewien, że do tego nie dojdzie.

BROKAW: Jeśli jednak będziecie zmuszeni?

POLK: Jesteśmy przekonani, że sprawę uda się rozwiązać drogą pokojową.

BROKAW: Dziękuję panu.

POLK: To ja dziękuję, Tom.

Horace Gibson urządził stanowisko dowodzenia na wzgórzu odległym o kilka mil od Johnson's Ridge. Przeglądał właśnie zdjęcia z rozpoznania lotniczego i czytał prognozę pogody na najbliższe godziny. Przeprowadził dogłębny wywiad na temat Adama Niebo i nie spodziewał się, by ten popełnił jakieś błędy w obronie. Nie wiedział też, jaką bronią dysponuje skromny oddział Siuksów.

Był pewien, że Indianie ustawią linię obrony przed Rotundą, korzystając z gotowych już wykopów.

Gibson planował zrzucić na pozycje Siuksów zasłonę dymną, a potem granaty wstrząsowe. Chciał ich oślepić, ogłuszyć, a potem, nim przegrupują siły, zaatakować z helikopterów. Jednak nad urwiskiem wiał wiatr o prędkości czterdziestu mil na godzinę, który w ciągu nocy miał jeszcze przybrać na sile. Nie mógł więc użyć zasłony dymnej. Silne podmuchy nie pozwolą też na precyzyjne manewrowanie helikopterami, ale z tym mógł sobie jakoś poradzić.

Gdyby zależało to tylko od niego, Horace po prostu otoczyłby obrońców i czekał, aż poddadzą się sami. Jednak teraz musiał ulec naciskom, których źródłem, jak podejrzewał, był sam prezydent i jego otoczenie. „Zróbcie to jak najszybciej”.

Nie podobał mu się teren, na którym miała toczyć się walka. Hałdy ziemi i wykopy były doskonale widoczne na tle płaskiego otoczenia. To była strefa śmierci.

Zamierzał zaatakować pozycje Indian śmigłowcami i zmusić ich do odwrotu albo wprowadzić wśród nich takie zamieszanie, by mógł wylądować obok Rotundy.

Elizabeth Silvera zajęła wraz z Emilem Dutable i tuzinem uzbrojonych policjantów pozycję na Johnson's Ridge, jakieś ćwierć mili na zachód od końca drogi dojazdowej. Co prawda, ich stanowisko było całkiem odsłonięte, więc Siuksowie mogliby je z łatwością ostrzelać, ale z drugiej strony rozciągał się stamtąd doskonały widok na pozycje obronne Indian. Hałdy ziemi z wykopów ginęły w cieniu, a Adam Niebo rozpiął na drewnianych konstrukcjach wielkie brezentowe płachty, by jego ludzie nie byli widoczni na tle blasku rzucanego przez Rotundę. Jednak na czystym niebie pojawił się przed chwilą księżyc, więc noc i tak była wyjątkowo jasna. Helikopter rozpoznawczy przelatywał od czasu do czasu nad wykopami, a teraz zawisł właśnie nad północną częścią urwiska.

Dutable z ulgą przyjął wiadomość, że SOG nie potrzebuje zbrojnego wsparcia i nie będzie o nie prosił. Miejscowa policja miała zadbać tylko o to, by na Johnson's Ridge nie dostała się żadna niepowołana osoba. Oczywiście „niepowołanymi osobami” byli przede wszystkim dziennikarze.

Elizabeth wiedziała, że kiedy już dojdzie do ataku, wszystko rozegra się błyskawicznie. Kiedyś miała okazję zobaczyć na własne oczy, jak działają ludzie Gibsona. Czekwała teraz na zakodowaną informację o czasie rozpoczęcia akcji i na specjalne instrukcje od dowódcy. Dutable mówił do niej coś, czego nawet nie słuchała, kiedy nagle do jej świadomości dotarł warkot silnika.

To nie był jeden z helikopterów.

Dziwne. Nad urwiskiem mogły się teraz znajdować wyłącznie jednostki latające US Marshals.

Od południa zbliżał się do urwiska szary jednosilnikowy samolot. Elizabeth przystawiła do oczu lornetkę. Na kadłubie samolotu widniały amerykańskie oznaczenia wojskowe.

- Co tu się dzieje, do diabła? - mruknęła. Połączyła się z helikopterem. - Pocisk jeden, tu Niechętny. Mamy intruza.

- Widzę go - nadeszła odpowiedź.

- Powiedz mu, żeby się tu nie zbliżał.

- Niechętny, próbuję skontaktować się z nim już od minuty. Nie odpowiada.

Samolot obniżył i przyspieszył lot.

- Proszę o radę, Niechętny.

- Powiedz mu, że jeśli nie opuści tego terenu, zostanie ostrzelany.

- Przyjąłem.

Helikopter „Blackhawk” leciał równo z samolotem, jakieś tysiąc stóp nad nim.

- Niechętny, to stary „Avenger” - poinformował ją głos z helikoptera. - Myśliwiec z czasów drugiej wojny. - Chwila ciszy. - Nie odpowiada.

- Kto to jest? - spytała. - Są jakieś numery identyfikacyjne? Pilot helikoptera podał jej numer wypisany na ogonie samolotu. Dutable zapisał go skrupulatnie w swym notesie.

- To zajmie minutkę - powiedział, przekazując numer jednemu ze swych ludzi.

„Avenger” był coraz bliżej.

- Pocisk jeden, daj mu pierwsze ostrzeżenie - rozkazał głos Gibsona.

„Blackhawk” wypuścił krótką serię tuż przed dziobem starego samolotu. „Avenger” zakołysał się lekko, ale nie zboczył z kursu.

- Samolot należy do faceta o nazwisku Tom Lasker - powiedział Dutable. - Zarejestrowany w Fort Moxie.

- Lasker - powtórzyła Elizabeth. - Znam go. To gość od jachtu.

W tym momencie „Avenger” przeleciał nad wykopami. Elizabeth wydawało się, że odpadła od

niego jakaś drobna część. Samolot zakręcił na zachód i zaczął nabierać wysokości.

- Pocisk jeden, puść go - rozkazała, po czym odwróciła się do Dutable'a. - Niech ktoś czeka na niego na lotnisku. Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- On coś zrzucił - powiedział jeden z policjantów. Elizabeth podniosła lornetkę do oczu.

- Niechętny, tu Pocisk jeden. Indianie wyleźli ze swojej dziury. Szukają czegoś.

- Przyjęłam.

- Dwóch wyszło poza wykopy. Chwileczkę, chwileczkę... - Dutable skinął głową. - Zdaje się, że znaleźli to coś.

Elizabeth obserwowała w milczeniu poczynania Siuksów, którzy wycofali się ponownie w labirynt rowów i hałd. Co takiego zawierała ta przesyłka, że Lasker odważył się stawić czoło uzbrojonemu helikopterowi?

Max oczywiście od razu rozpoznał „Avengera”. Obserwował wszystko ze swego samochodu, kuląc się, czekając, aż „Blackhawk” zabije Laskera.

Ale tak się nie stało. Uruchomił silnik, chcąc jak najszybciej wynieść się z tego miejsca. Był zły na siebie, a sumienie gryzło go coraz boleśniej, pożerało od środka. Jednak już raz naraził życie dla tego projektu. Stał w tym cholernym żółtym świetle, nie wiedząc, czy nie zamieni się w chmurę rozproszonych atomów. Teraz wszyscy patrzyli na niego, jakby był zdrajcą narodu. Kimś, z kim nie należy pokazywać się publicznie.

No, może nie wszyscy. Właściwie tylko April. Ale właśnie to bolało go najbardziej. Wciąż siedziałyby na tej plaży, gdyby Max nie podążył za nią.

Rozumiał postawę Adama i jego ludzi, współczuł im. Ale to nie była jego walka. Jeśli April chciała rozstać się z życiem, miała do tego pełne prawo. On nie miał zamiaru poświęcać się dla przegranej sprawy. Najmniejszego. Ale jak ona popatrzyła, kiedy powiedział, że odjeżdża...

Cholera.

Włączył światła i powoli ruszył w stronę drogi wyjazdowej. Wiedział, że w lesie pełno jest policjantów. Przypuszczał, że wszyscy są uzbrojeni i mogą zachowywać się nerwowo. Przedostanie się na drugą stronę lasu było dlań wystarczająco ryzykownym zadaniem.

Dojrzał jednak jakiś ruch za samochodem.

Ktoś macha. Adam.

Max zwolnił, zawrócił i podjechał do bramy.

- Max - Adam podszedł do samochodu. - Możesz coś dla nas zrobić?

- Po co przyleciał tu Tom? - odpowiedział pytaniem Max, kryjąc nerwowy grymas.

Adam podał mu kartkę papieru.

- Żeby dostarczyć to.

Max zapalił światło w samochodzie i przeczytał wiadomość od Williama Hawka.

*Przewodniczący:*

*Twoi ludzie przylecą o 11.00 dwoma samolotami czarterowymi na lotnisko w Grand Forks. Wysyłam eskortę.*

Max podniósł wzrok na Adama.

- O co tu chodzi? Wezwaliście posiłki?

- To ludzie, którzy chcą pomóc przewodniczącemu. Być może uda im się to powstrzymać.

Max westchnął.

- Chciałbym się mylić, ale moim zdaniem przewodniczący niepotrzebnie się ludzi.

- Może - wzruszył ramionami Adam. - Ale to wszystko, co mamy. Do Grand Forks przyleci dwanaście albo trzynaście osób.

- Problem w tym, że nawet jeśli rzeczywiście mogliby wam pomóc, to i tak nie dostaną się tutaj - stwierdził Max.

- To prawda. Drogi są zablokowane.

- Więc co mam zrobić?

- Porozmawiaj ze swoimi przyjaciółmi w Blue Jay. Wynajmij dwa helikoptery i przywieź ich tutaj drogą powietrzną.

- Zwariowałeś. Blue Jay nikogo tutaj nie przywiezie. Przecież ci faceci o mało nie zestrzelili Toma.

- To twoi przyjaciele - nie ustępował Adam. - Daj im dużo pieniędzy. Powiedz, że ubiją świetny interes.

Max wpatrywał się w ciemną ścianę lasu, za którą niknęła droga dojazdowa. Jeden z samochodów policyjnych włączył migacz. Poza tym nic się nie działo.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział.

Policjanci czekali na niego tuż za wjazdem na drogę. Zatrzymali go, a wtedy podjechał doń jeden z samochodów zaparkowanych na skarpie. Elizabeth Silvera.

- Dobry wieczór, panie Collingwood. Czy mógłby pan wysiąść z samochodu?

Max wykonał jej polecenie.

- Czy ktoś jeszcze stąd wyjedzie?

- Nie wiem - odparł. - Nie sądzę.

- A co z doktor Cannon?

- Myśli, że chcecie zniszczyć Rotundę.

- Mam rozumieć, że to oznacza „nie”?

- Tak właśnie. - Max skrzyżował ręce na piersiach w geście obrony, bo przed chwilą opuścił przecież grupę ludzi, którzy stawiali opór legalnym organom władzy. Jednocześnie gest ten wyrażał poczucie winy, bo porzucił swych przyjaciół.

- Co oni tam mają? - Silvera zniżyła głos do kordialnego szeptu, jakby chciała zaznaczyć w ten sposób, że oboje stoją po tej samej stronie barykady.

- Słucham?

- Pytam o broń. Co oni tam mają?

- Nie wiem. Pistolety. Karabiny. Mają karabiny. Nie wiem co poza tym. - Max nie usiłował nawet kłamać. Rzeczywiście nie wiedział, jaką bronią dysponują Indianie.

Silvera skinęła głową.

- Co zrzucił samolot? - spytała. Max był przygotowany na to pytanie.

- Wiadomość od szczepu. Znak poparcia od wszystkich członków plemienia.

- Tylko tyle? - Spojrzała nań z niedowierzaniem.

- Tak. To taki zwyczaj. Znak aprobaty dla wojowników. Indianie robią to od stuleci.

Silvera nawet nie mrugnęła okiem.

- Panie Collingwood, czy ma pan nam do powiedzenia coś, co pozwoliłoby zakończyć ten spór w sposób pokojowy?

- Tak. - Max wyprostował się dumnie. - Odejdźcie stąd. Zostawcie ich w spokoju.

- Przykro mi, że tak pan widzi tę sprawę. - Najwyraźniej była zdegustowana jego postawą. - Gdzie się pan zatrzyma?

- W motelu „Gwiazda Północy”, w Fort Moxie.
- Dobrze. Proszę nigdzie nie wyjeżdżać. Może będziemy chcieli z panem jeszcze porozmawiać.
- Jasne - odrzekł Max.

Co kilka sekund zerkał w tylne lusterko, by sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Droga była pusta. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Jake'a Thoraldsona i poprosić go, by przygotował „Grom” do lotu. Podejrzewał jednak, że wszystkie jego rozmowy są podsłuchiwane. Dlatego też stracił pół godziny na lotnisku w Fort Moxie, czekając aż samolot zostanie wyciągnięty z hangaru i rozgrzany.

Kilka minut po dziesiątej wkołował na pas startowy, ustawił się pod wiatr i wypróbował silniki. Chłodzone cieczą „Allisony” dudniły uspokajająco w równym rytmie. Jake oświadczył, że powietrze nad lotniskiem jest wolne i może startować, która to informacja wydawała się nieco absurdalna w przypadku Fort Moxie, gdzie pilot zawsze patrzył na puste niebo. Max zwiększył obroty i stary samolot ruszył gwałtownie do przodu.

Może był to ryk silników, szum powietrza opływającego kabinę, wyważone kształty „Gromu”. Może odezwały się w nim geny pilota myśliwskiego. Cokolwiek było tego przyczyną, wszystkie lęki opuściły Maksa gdy tylko zostawił za sobą płachtę lotniska. Ten samolot odmienił kiedyś losy wojny nad Pacyfikiem. Max zerknął w celownik. Całe uzbrojenie samolotu skoncentrowane było na dziobie; dwudziestomilimetrowe działko i cztery karabiny kaliber 0,5. Siła ognia połączona ze zwrotnością i prędkością „Gromu”, który osiągał nawet czterysta mil na godzinę, czyniły zeń straszliwą broń. Niemcy nazywali go *der Gabelschwanz Teufel* - Diabeł o podwójnym ogonie.

Karabiny oczywiście były unieszkodliwione, choć przez jedną dziką chwilę Max żałował, że nie może z nich skorzystać.

Leciał na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, kiedy zobaczył inny samolot. Ten kierował się na północ, na stałym pułapie około czternastu tysięcy stóp. Max nie mógł go zidentyfikować z takiej odległości, pomyślał jednak, że powinien zakładać, iż federalni obserwują całą okolicę z powietrza.

Kusiło go, by polecieć nad Rotundę, pomachać skrzydłami, dać Adamowi jakiś znak, że może mu ufać. Wiedział jednak, że nie powinien zwracać na siebie uwagi.

Tajemniczy samolot miał tylko jeden silnik, więc Max bez trudu mógłby go prześcignąć. Nie prześcignąłby jednak jego radaru. Jeśli nawet zobaczą, że poleciał do Grand Forks, a zobaczą to na pewno, cóż mogą mu zrobić? Zapomną o nim, gdy tylko znajdzie się na ziemi.

Zrobił duży spokojny nawrót na południe i poderwał „Grom” do szybszego lotu.

Dwadzieścia minut później wylądował na Casper Field i podkołował pod budynki lotniska. Centralne miejsce zajmowały tu hangary dla kilku samolotów transportowych, hala remontowa i szkoła latania. I siedziba firmy Blue Jay Air Transport.

Max wyskoczył z samolotu, gdy tylko ten zatrzymał się przed hangarami, i wbiegł do małego, żółtego budynku, w którym mieściły się biura Blue Jay.

Przed lądowaniem słuchał rozmów prowadzonych z wieży kontrolnej w Grand Forks i wiedział, że jeden z samolotów czarterowych zbliża się już do lotniska, a drugi będzie tam za pół godziny. Siuksowie wysłali kogoś na spotkanie, ale Max wiedział, że to właśnie on będzie musiał zająć się wszystkim, jeśli tajemniczy goście Walkera mieli w ogóle znaleźć się na Johnson's Ridge o jakiejś rozsądnej porze. Znalazł aparat telefoniczny i wrzucił do niego monetę.

Bili Davis mówił zaspanym głosem.

- Powtórz to wszystko Max, dobrze?

- Mam robotę dla dwóch helikopterów; około dwunastu pasażerów i dwóch ludzi z telewizji.

Razem czternastu, góra piętnastu.

- Kiedy?

- Za chwilę.

- Nie mogę załatwić tego od ręki, Max. Nie wiem nawet, co mam do dyspozycji.

- To bardzo pilna sprawa - nalegał Max. - Zapłacę podwójne stawki. I bonusy dla pilotów.

-Ile?

- Tysiąc. Dla każdego.

Davis zastanawiał się przez chwilę.

- Powiem ci, co zrobię. Mówisz, że potrzebujesz dwóch helikopterów?

-Tak.

- Dobra. Posłuchaj, w tej chwili mogę ściągnąć tylko jednego chłopaka. Ale drugim śmigłowcem polecę sam.

Max podziękował mu i wybrał inny numer.

- KLMR-TV. Jeśli chcą państwo rozmawiać z działem reklamy, proszę wybrać jedynekę. Jeśli...

Max spojrział na zegarek. Była dziesiąta czterdzieści. Wysłuchał całej litanii instrukcji, a gdy miła pani po drugiej stronie wymieniła wreszcie numer działu wiadomości, nacisnął odpowiedni guziczek.

- Dział wiadomości.

- Mówi Max Collingwood. Jeden z ludzi Rotundy. Chciałbym rozmawiać z dyrektorem działu.

- Proszę chwileczkę poczekać.

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili odezwał się w niej znajomy baryton.

- Halo, tu Ben Markey. Collingwood, to naprawdę ty?

- Tak, to ja.

- Podobno jesteś na Johnson's Ridge. Dzwonisz stamtąd?

- Nie. Posłuchaj, nie mam czasu na długie rozmowy, ale masz szansę zrobić niesamowity program.

- Dobra. - Max słyszał podekscytowanie w głosie swego rozmówcy. - Gdzie możemy się spotkać?

Max podał mu wszystkie informacje, nacisnął widełki i od razu zadzwonił do wieży kontroli lotu.

- Kontrola lotu, słucham - odezwał się męski głos.

- Proszę z oficerem dyżurnym. - Max ucieszył się w duchu, że nie musi wysłuchiwać kolejnego automatu telefonicznego.

- Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

- Max Collingwood. Sundown Aviation.

- Proszę poczekać, panie Collingwood.

Długie oczekiwanie, podczas którego zapewniono go dwukrotnie, że lada moment połączy się z nim oficer dyżurny. Wreszcie znajomy głos:

- Cześć, Max.

Znał prawie wszystkich pracowników lotniska w Grand Forks. Teraz rozmawiał z Mary Hopkins, była wiceprzewodniczącą Dakota Aviation Association. Była to wysoka, skromna i cicha kobieta, której mąż, dyrektor działu księgowości w firmie brokerskiej, zawsze ogromnie irytował Maksa.

- Dziękuję Mary - odparł Max. - Wiem, że jesteś zajęta.

- W porządku. Co mogę dla ciebie zrobić?



- Za chwilę przyjmiesz dwa samoloty czarterowe. Jeden powinien już podchodzić do lądowania. Drugi będzie za kilka minut.

- Tak - odparła Mary. - Widzę oba.

- Blue Jay przyśle dwa helikoptery po pasażerów. Byłbym ci naprawdę ogromnie wdzięczny, gdybyś ustawiła je wszystkie obok siebie i pozwoliła na bezpośredni transfer.

- Chcesz przetrzymać pasażerów w samolotach, dopóki nie przylecą śmigłowce?

- Tak. Jeśli możesz, postaw je gdzieś na boku, żeby nikomu nie przeszkadzały, a my posadzimy śmigłowce tuż obok. Dobrze?

- Max...

Max wiedział, że jest to postępowanie niezgodne z przepisami, i że Mary ma zastrzeżenia do jego pomysłu.

- Wiem, Mary. Nie prosiłbym o to, gdybym nie musiał. Ale to bardzo ważne. Chodzi o ludzkie życie.

- Czy to ma coś wspólnego z tą historią na granicy?

- Tak, można tak powiedzieć.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Mary. - Jak się z tobą kontaktować?

Bill Davis miał wielkie, trzystufuntowe ciało, równie wielki apetyt na pieniądze, cyniczne poczucie humoru i cztery rozwody za sobą. Niedawno przeszedł lekki zawał i teraz zachowywał się tak, jakby żył już tylko przeszłością. Mówił, że jego dni są policzone.

Ściany w biurze Davisa obwieszane były zdjęciami sławnych pilotów i ich cudownych maszyn. Poczesne miejsce nad komodą zajmowała fotografia Johna Wayne'a z autografem.

- Miło cię widzieć - przywitał go Davis. - Zaraz przyjedzie tu George. Gdzie lecimy?

Napełnił filiżankę kawą i podał ją Maksowi.

- Na Johnson's Ridge - odparł Max, przyjmując poczęstunek. Davis zmarszczył brwi.

- Tam, gdzie są ci Indianie? Gwardia Narodowa chce ich stamtąd wygonić, tak?

- Nie Gwardia - pokręcił głową Max. - US Marshals. Chcą przejąć Rotundę, a Siuksowie się na to nie zgadzają.

- Do diabła, Max. Nie mogę tam nikogo wysłać.

- Płacę dwa tysiące, Bili.

- Więc jednak spodziewasz się kłopotów?

- Nie. Tylko nie mam czasu na kłótnie.

Horace wykonał ostatni rekonesans kilka minut po jedenastej i powrócił na stanowisko dowodzenia. Zaraz potem zadzwonił do Carla.

- To nie ma sensu - powiedział.

- W czym problem, Horace?

- Wiatr. Zaczekajmy jedną noc, Carl. Użyjemy zasłony dymnej. Bez tego zrobimy tam prawdziwą rzeźnię. Wszystko jest odsłonięte.

- Nie mogę - odparł Rossini.

- Do jasnej cholery, Carl. Nie możemy poczekać jedną noc?

Posłuchaj! - Wystawił słuchawkę tak, by Rossini usłyszał wycie wiatru. - Skąd ten pośpiech?

- Przykro mi, Horace - padła odpowiedź. - Załatw to przed świtem. Nieważne, jakimi środkami.

- Więc muszę najpierw zrównać z ziemią te wszystkie hałdy. Rano będziesz miał tu tylko stos martwych Indian. Czy tego właśnie chcesz?

- Bez względu na środki, Horace.

Horace ze złością rzucił słuchawką. Nie trafiła jednak na widełki i spadła w śnieg.

- Strzelajcie tak, żeby nie zabijać - mówił przewodniczący. - Chyba że nie ma już innego wyjścia.

- Dlaczego? - protestował Mały Duch. - Przecież będziemy toczyć wojnę.

Walker skinął głową.

- Wiem. Ale czas jest po naszej stronie. Im dłużej będziemy zwlekać z ostateczną decyzją, tym lepiej.

Stali zgromadzeni w ciasnym kręgu, na brzegu wykopu. Wiatr kołysał płachtami, które osłaniały ich przed blaskiem Rotundy.

- Proszę to wyjaśnić - domagała się Andrea.

- Nadchodzi pomoc. Jeśli będziemy tu jeszcze, kiedy przybędzie, i jeśli sytuacja nie wymknie się nam spod kontroli, niewykluczone, że uda nam się przetrwać noc. I może zatrzymamy dziki świat.

- Ale oni będą próbowali nas zabić. Dlaczego nie mielibyśmy...

- Bo jeśli dojdzie do rozlewu krwi, nic nas już nie uratuje - powiedział z naciskiem przewodniczący. - Kryjcie się dobrze. Strzelajcie. Ale nie zabijajcie nikogo. Chyba że naprawdę będziecie musieli.

Adam odciągnął Andree i George'a Wolna Woda na bok.

- Chcę, żebyście zajęli pozycje na flankach. George, ty zostaniesz przy parkingu. Musisz być bardzo ostrożny, będą mieli cię na oku. Pokażemy im, że nie mogą bezkarnie używać helikopterów. Nie mogą też zaatakować nas bezpośrednio z przodu. Więc będą próbowali różnych sztuczek. Może spróbują nas obejść i zająć Rotundę.

- Przecież to im nic nie da - zdziwił się George. - Będą w dołku.

- Jeśli zajmą Rotundę, reszta i tak nie będzie ich obchodziła. Mogą też spróbować ściągnąć całą naszą uwagę na jedną stronę i zaatakować jednocześnie z drugiej. - Spojrzał na Andree. - Prawdopodobnie wspinaliby się wtedy na klif. Próbowałem obejrzeć skałę z góry, ale nic nie widziałem. Na ich miejscu spróbowałbym to zrobić.

- Czy będzie jakiś sygnał do otwarcia ognia? - spytała Andrea.

Adam stał kilka kroków dalej. Jego twarz ginęła w cieniu.

- Nie. Musicie rozstrzygnąć sami. Wolałbym jednak, żeby to z ich strony padł pierwszy strzał.

\*\*\*

Międzynarodowy Port Lotniczy w Grand Forks z pewnością nie może być porównywany z takimi lotniskami jak O'Hare czy Hartsfield, niemniej obsługuje kilka dużych linii lotniczych i utrzymuje stały ruch.

Dwa wycarterowane odrzutowce stały zaparkowane na bocznym pasie, naprzeciwko biur przy głównym terminalu. Max krążył nad lotniskiem, podczas gdy wieża kontrolna kierowała helikoptery Blue Jay na właściwy pas.

Max rozmawiał z pilotami odrzutowców. Poinformował ich, że on kieruje całą akcją, i chce, by pasażerowie jak najszybciej przesiedli się bezpośrednio do helikopterów.

Piloci przyjęli jego instrukcje, a on sam otrzymał polecenie z wieży kontrolnej. Wylądował po zachodniej stronie, a potem na własną prośbę został skierowany do hangaru obsługi technicznej. Oddał „Grom” mechanikom i podjechał wózkiem bagażowym do miejsca przesiadki. Kiedy tam

dojechał, kilku pasażerów wsiadło już do pierwszego helikoptera. Inni czekali na swoją kolejkę. Pracownik lotniska pomagał załadować na pokład wózek inwalidzki. Był tam też Ben Markey z kamerzystą. Max rozpoznał Waltera Asquitha, który odwiedził już kiedyś Rotundę i chciał napisać o niej książkę. Twarze kilku innych osób też wydawały mu się znajome i już miał zapytać o nazwiska, kiedy usłyszał za plecami swoje imię. Odwrócił się i zobaczył Williama Hawka.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś - powiedział Indianin.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Max. - Mam nadzieję, że wam się uda.

Hawk był wysoki i barczysty. W jego ciemnych oczach płonął gniew. Max bez trudu potrafił wyobrazić go sobie pędzącego na wspaniałym mustangu, prowadzącego szarżę na Siódmy Pułk Kawalerii.

Bili Davis pomachał do niego z fotela pilota.

- Panie Hawk - przystawił dłonie do ust, starając się przekrzyczeć ryk silnika. - Musimy już lecieć, jeśli chce pan tam być przed północą.

Hawk spojrzał na Maksa.

- Lecisz z nami, Max?

- Nie - odrzekł. A potem dodał: - Będziecie potrzebowali miejsca.

Hawk podał mu rękę.

- Powodzenia, Max.

W tych okolicznościach była to dosyć dziwna uwaga.

- Powodzenia, William.

Ben Markey rozmawiał z pasażerami, jednak Hawk wsiadł już do helikoptera i ryk silników zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Pierwszy śmigłowiec oderwał się od ziemi. Ktoś położył dłoń na ramieniu Hawka, by upewnić się, że ten nie wypadnie na zewnątrz. Potem w powietrze wzbił się też helikopter Davisa, oświetlony złotym księżycowym blaskiem.

Zakręcili nad terminalem i polecili na północ. Max obserwował ich przez chwilę. To szaleństwo. Będą mieli dużo szczęścia, jeśli w ogóle ujdą z życiem.

Max uważał, że zrobił, co do niego należało. Przygotował wszystko, wysłał ludzi Walkera na miejsce, a teraz mógł pojechać do domu i obejrzeć resztę w telewizji.

Rytmiczny pomruk helikopterów ginał w oddali, wreszcie zagłuszył go całkiem huk nadlatującego odrzutowca.

Pomyślał, że powinien chyba napić się piwa przed odlotem do domu. Co prawda nigdy nie pił, kiedy miał lecieć samolotem, jednak tego dnia mógł zrobić wyjątek. Stał, wpatrując się w niebo, nie mogąc podjąć decyzji. I znów usłyszał helikoptery.

Wracały.

Wyteżył wzrok, ponownie zobaczył ich światła.

Cholera. Co znowu? Pobiegł do terminalu, odszukał telefon i połączył się z wieżą. Już po minucie rozmawiał z Mary.

- Federalni - oświadczyła krótko.

*Wierny przyjaciel jest jak skalna opoka.*

Księga Koheleta

MAX SPIERAŁ SIĘ PRZEZ chwilę z Billem Davisem. Oferował mu więcej pieniędzy, znacznie więcej, ale Davis był nieugięty. Max wcale mu się nie dziwił. Gdyby nie podporządkował się poleceniom wieży, straciłby licencję i prawdopodobnie trafiłby do więzienia.

- Czy nie ma tu jakiegoś innego środka transportu? - pytał William Hawk, nerwowo przenosząc spojrzenie z Maksa na pasażerów, jakby obawiał się, że ci zrezygnują i powrócą do domów.

- Nic o tym nie wiem.

- A co z tobą, Max? - spytał Ben Markey. Markey, który potrafił łączyć wesołe szyderstwo z bezkompromisową uczciwością i zdobywać w ten sposób zaufanie wszystkich widzów, oneśmielał Maksa. - Przecież ty masz linię lotniczą, prawda?

- Nie. Sundown odnawia i sprzedaje stare samoloty. Nie mamy transportowców.

Hawk patrzył na zegarek.

- Max, musi być jakiś sposób.

Max żałował teraz, że nie wzbił się szybciej w powietrze. Mógł być już w drodze do Fargo.

Ale może rzeczywiście było jeszcze inne wyjście. Podniósł telefon komórkowy i wystukał numer Ceil. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka. Przedstawił się i czekał, aż Ceil podniesie słuchawkę. Nie podniosła. Wybrał więc numer jej firmy. Telefon odebrał Boomer.

- Thor Air Cargo, słucham - powiedział.

- Boomer, tu Max. Jest tam Ceil?

- Jak leci, Max? Mogę dać ci jej numer. Jest na Florydzie.

Na Florydzie.

- Kiedy wróci?

- Może w środę. Otwierają tam jakieś muzeum w Tampa. Max milczał.

- Poczekaj, dam ci jej numer.

- Nie, nie trzeba. I tak do niczego mi się nie przyda. - Wpatrywał się przez chwilę w telefon, potem spojrzał na zgromadzonych wokół ludzi. Wyglądali całkiem zwyczajnie. Dwunastu mężczyzn i jedna kobieta. Większość w średnim wieku. Mogliby równie dobrze znaleźć się w samolocie lecącym na Miami i wcale nie wyróżnialiby się z tłumu.

Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Max odłożył słuchawkę.

- Nic nie mogę zrobić - powiedział.

Wysoki, siwowłosy mężczyzna zaproponował, by wynajęli samochody.

- Nie przepuszczą nas - pokręcił głową Hawk. - Możemy się tam dostać tylko drogą powietrzną.

Jedyna kobieta w tym gronie spojrzała na Maksa.

- Kim jest Ceil?

- Pilotem. Właścicielką C-47.

- Co to jest C-47? - spytał z kolei Hawk.

- Samolot transportowy. Myślałem, że może zechce wylądować na skarpie. Zrobiła to już kiedyś.

Jeden z gości poruszał się na elektrycznym wózku inwalidzkim.

- A czy pan potrafi latać tym C-47?

- Ja? Nie.

- Próbował pan już kiedyś? - dociekał szczupły, brodaty mężczyzna, ukryty za plecami innych.

- Tak - przyznał się Max. - Ale nie potrafiłbym wylądować na szczycie Johnson's Ridge.

Inny spośród gości wyglądał jak emerytowany atleta albo piłkarz. Miał rude włosy, a w jego oczach kryła się jakaś niesamowita żywotność i intensywność, która niepokoiła Maksa. Teraz oczy te wpatrywały się właśnie w niego.

- Dlaczego nie?

- Bo tam ciągle leży śnieg, to po pierwsze. A po drugie, jest ciemno.

- Max... Ma pan na imię Max, prawda? - upewnił się atleta. - Tak.

- Pan jest wszystkim, co teraz mamy, Max. Gotów jestem spróbować, jeśli i pan spróbuje. - Rudowłosy rozejrzał się dokoła. Wszyscy kiwali głowami.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Max.

- Niech pan zadzwoni jeszcze raz do tego Boomera - poleciła kobieta. - I bierzmy się wreszcie do roboty.

Jakiś głos z boku grupy dodał:

- Proszę mu powiedzieć, żeby zamienił koła na płozy. Max, jeśli będzie pan potrzebował pomocy, mamy tu jeszcze kilku pilotów.

Max podziękował mu mrukliwie. Uznał, że i tak nie ma innego wyjścia, więc przeszedł szybkim krokiem przez terminal i wypadł na ulicę, gdzie zamówił pięć taksówek. Podał wszystkim kierowcom instrukcje, obiecał po pięćdziesiąt dolarów napiwku za szybką jazdę i sam wsiadł do ostatniej taksówki wraz z rudowłosym i kobietą. Ruszyli z piskiem opon.

- Wiecie co - westchnęła kobieta. - Nie powiem, żebyście byli dobrze zorganizowani.

Max spojrzał na nią, oczekując uśmiechu. Nie zobaczył go jednak.

Kilka minut później byli na drodze 1-29 i zmierzali na południe.

Wiatr bezustannie smagał szczyt urwiska. April kryła się wraz z Willem Pipeę za wielką hałdą ziemi. Pipeę mówił jej, że na pierwszy ogień pójdzie ogrodzenie, którym otoczyli kiedyś wykopy. Adam szczerze ją podziwiał; składała ofiarę z własnej krwi i nie prosiła o nic w zamian. Jej obecność dawała im poczucie, że nie są całkiem osamotnieni. Był jej wdzięczny i miał nadzieję, że przeżyje tę noc.

Uformował linię obrony pomiędzy hałdami ziemi, o jakieś trzydzieści stóp od ogrodzenia. Za ich plecami znajdowały się wykopy. Niestety, nie mogli się wycofać. Gdyby znaleźli się w wykopie, nie mieliby już żadnych szans na skuteczną obronę.

Zakładał, że żołnierze US Marshals przystąpią do ataku zaraz po północy i spróbują wyprzeć ich z zajmowanych pozycji. Być może ludzie przewodniczącego przybędą wcześniej. Może rzeczywiście uda im się coś zrobić.

April drżała z zimna. Wciąż nie chciała uwierzyć, że naprawdę dojdzie do rozlewu krwi. W pewnym sensie mogła uważać się za uprzywilejowaną, bo w jej świecie nigdy nie było miejsca na strzelaninę. Karabiny, wystrzały i krew należały do świata mediów, do ponurych filmów, nie do rzeczywistości. Nie do jej rzeczywistości.

- Spójrz - powiedział Pipeę.

Trzy spośród samochodów, które stały dotąd zaparkowane przy drodze dojazdowej, ruszyły z miejsca. Nie włączały świateł, ale i tak były doskonale widoczne w świetle księżyca. Trzymały się w bezpiecznej odległości od wykopu. Pipeę mówił coś do swojej krótkofalówki.

April czuła się bezsilna. Chciała być kimś więcej, niż tylko beczynnym gapiem. Jednak nie

potrafiła się zdobyć na walkę z bronią w rękę.

Do pewnego stopnia czuła się odpowiedzialna za tę sytuację. Źle to rozegrali, ona i Max. Byli tak bardzo zajęci samym odkryciem, że stracili z oczu jego polityczne implikacje. Mogli ukrywać wszystko przed światem, zachować milczenie. Zapewne staliby się obiektem kpin mediów, ale April pozwalałaby na to, by mieć czas na przemyślenie politycznych konsekwencji. Jednak była zbyt zajęta odgrywaniem roli gwiazdy. Zwoływaniem konferencji prasowych. Ple, ple, ple.

Cholera.

Jeden z trzech samochodów, czarny nowiutki chevrolet, przyspieszył i wysforował się przed pozostałe dwa wozy. Potem zakreślił na południe, zatoczył wielkie koło i podjechał pod bramę. Otworzyły się tylne drzwiczki i z samochodu wysiadła kobieta w mundurze. Trzymała w dłoni pomarańczową tubę z głośnikiem.

- Panie przewodniczący - powiedziała.

Jej głos, wzmocniony przez głośnik, dudnił nad urwiskiem. Walker wyszedł na otwartą przestrzeń po drugiej stronie bramy.

- Czego chcecie?

April spojrzała na zegarek. Północ. Silvera opuściła tubę.

- Przewodniczący, już czas opuścić to miejsce. Wiatr bawił się siwymi włosami Walkera.

- Nie - odparł.

- Dostaliście nakaz sądowy. - Kobieta w mundurze podeszła bliżej, niemal dotykając twarzą ogrodzenia. - Nie róbcie tego.

- Nie dajecie nam innego wyboru.

April poczuła na ramieniu dłoń Pipe'a.

- Pochyl się nisko, kiedy zaczną strzelać, a najlepiej zejź do wykopu i trzymaj się blisko ściany. Po jakimś czasie może wstrzymają ogień i zaproponują nam kapitulację. Wtedy pokaż im to i poddaj się. Ale będziesz musiała zrobić to szybko.

Podał jej dużą lnianą chustę.

Białą flagę.

- Dalej zajmują pozycje wokół Rotundy. - Radiooperator przycisnął mocniej słuchawkę i spojrzał na swego dowódcę. - Horace, jesteśmy gotowi.

Gibson skinął głową.

- Dobrze. Jak sobie radzi grupa na urwisku?

- Są już na miejscu, gotowi do akcji.

Plan był prosty. Słabym punktem pozycji obrońców był fakt, że za nimi znajdował się głęboki wykop. Jeśli uda mu się zepchnąć ich do wykopu, będzie już po wszystkim.

Pocisk dwa miał zbombardować ogrodzenie, które osłaniało cały teren. Kiedy ogrodzenie już zniknie, zasypią pozycje Indian granatami wstrząsowymi, a potem rozpoczną ostrzał z ciężkiej broni. Pocisk jeden i trzy wesprą atak od strony płaskowyzu, podczas gdy grupa wspinaczkowa (która kryła się na skalnej półce dwadzieścia stóp pod krawędzią urwiska) wejdzie na szczyt i zaatakuje ich od tyłu. Jeśli dopisze im szczęście, zamkną całą akcję po kilkudziesięciu sekundach.

Stracili kolejnych kilkanaście minut, kiedy Max, Boomer i dwaj spośród pasażerów (przedstawili się jako Wally i Scott) mocowali płozy do C-47. Leżały w rzadko odwiedzanej części magazynu za zbrojownią Gwardii Narodowej. Kiedy samolot był już gotowy, pasażerowie wyszli z biura Sundown i pospiesznie wsiedli. W ładowni znajdowały się ławki, nie były jednak zbyt

wygodne.

Max z ciężkim sercem patrzył na znikających w drzwiach gości. Hawk podszedł bliżej i stanął obok niego.

- Dziękuję ci - powiedział. - Wiem, że nie chcesz tego robić.

- Chyba nikt tego nie chce - odparł Max. Poinformował wieżę, że leci do Fort Moxie. Dali mu wolny

pas, a Max sprawdził jeszcze raz gotowość maszyny do lotu.

Scott usiadł na miejscu drugiego pilota.

- Mogę?

- Proszę - zgodził się Max. - Umie pan tym latać?

- Przyszedłem tylko popatrzeć, jak pracuje profesjonalista - odparł z uśmiechem.

Max zastanawiał się, czy kiedy przybędą na miejsce, będzie już po wszystkim. Podkręcił obroty silników i poderwał stary transportowiec do lotu.

Kiedy wzbił się w powietrze, próbował przypomnieć sobie dokładnie, jak wygląda szczyt urwiska. Prawdopodobnie będzie musiał podejść od południowo-zachodniej strony. Nie będzie miał zbyt wiele miejsca do lądowania, a jeśli nie zdąży wyhamować, przejedzie na drugą stronę klifu. Mógłby zakręcić na północ, w stronę drzew, a nie przepaści, Tyle że wtedy będzie miał jakieś sześćdziesiąt jardów mniej.

Żałował, że nie ma z nim Ceil.

W samolocie panowała nerwowa cisza.

- Może to oni - powiedziała April, wskazując na samotny helikopter.

- Nie sądzę. - Pipe obejrzał śmigłowiec przez lornetkę. - Wystaje z niego za dużo karabinów. - Spojrzał na April. - Pochyl się niżej.

April nagle ogarnął strach.

Helikopter utrzymywał się w stałej odległości od wykopu. Przelatywał równoległe do ogrodzenia i znów zawracał, zataczając koło o średnicy jakichś trzystu jardów. Za plecami Pipe'a pojawił się Adam. Ukłękął obok przenośnej wyrzutni raketowej.

- W porządku, Will. Jesteś pewien, że będziesz umiał się tym posługiwać?

- Tak - odparł cicho Pipe. - Ale nadal uważam, że powinniśmy go po prostu zestrzelić.

- Nie. Trzymamy się planu.

Pipe mruknął coś z dezaprobatą, załadował broń i ułożył ją sobie na ramieniu.

- W ten sposób mamy im tylko znać, że mamy wyrzutnię - narzekał.

- Zgadza się, Will. Właśnie o to chodzi. - Adam położył mu dłoń na ramieniu. - Wszystko będzie dobrze - powiedział.

- Gotów - oznajmił Pipe.

Helikopter, najwyraźniej kierowany rozkazem, zawrócił nagle i ruszył w stronę Rotundy. April dojrzała czerwone błyski pod jego kadłubem. Adam gwałtownie przycisnął ją do ziemi.

- Ognia - rozkazał.

Wyrzutnia szarpnęła do tyłu, a rakietę przemknęła w sporej odległości od śmigłowca, ciągnąc za sobą pióropusz ognia. Jednocześnie seria eksplozji rozorała ziemię kilkanaście stóp przed umocnieniami. Po chwili opadła na nich chmura dymu i deszcz metalowych odłamków. Śmigłowiec przemknął z rykiem nad ich głowami. Z dala dobiegł terkot karabinu maszynowego.

Znaczna część ogrodzenia została całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi. W miejscu metalowych elementów znajdowały się teraz dymiące kraterki.

- Wszyscy cali? - zapytał Adam. Indianie meldowali się jeden po drugim.
- Dobrze - odetchnął z ulgą. - Teraz na pewno już wiedzą, że mamy wyrzutnię. Zobaczymy, czy to ich powstrzyma.

### Wiadomości NBC.

Gdy tylko komedia „Angie” dobiegła końca, na ekranie pojawił się Tom Brokaw. Stał przed planszą, na której zaznaczono położenie Johnson's Ridge.

- W pobliżu Rotundy doszło przed chwilą do wymiany ognia. Prawdopodobnie rozpoczęła się operacja wojskowa jednostek US Marshals, co oznacza, że chcą zająć ten teren siłą. Jak wiemy, Siuksowie nie podporządkowali się orzeczeniu sądu federalnego i nadal okupują Johnson's Ridge. Niestety, nie znamy żadnych szczegółów, gdyż całe przedsięwzięcie objęte jest tajemnicą wojskową. Za dwadzieścia minut rozpocznie się jednak konferencja prasowa dotycząca tej właśnie sprawy. Teraz przypomnimy państwu jak doszło do tego konfliktu...

- Cholera. - Gibson, który zajmował miejsce w jednym z helikopterów, ze złością uderzył w przełącznik radiotelefonu. - Grupa wspinaczkowa, nie ruszajcie się z miejsca, dopóki nie dam wam znać.

Charlie Evans i jego dwaj koledzy alpiniści czekali na wąskiej półce skalnej dwadzieścia stóp pod krawędzią urwiska.

- Jeszcze tylko kilka minut - pocieszył ich Gibson i zmienił częstotliwość. - Pocisk trzy.
- Pocisk trzy, melduję się.
- Leć za nami.

Gibson nie mógł pozwolić, by ci dranie rozwalili jeden z jego ukochanych śmigłowców. Wylądował na polance w południowej części płaskowyżu i zwołał swoich ludzi. Miał do dyspozycji dziewięciu komandosów i grupę skalną.

- W porządku, panie i panowie - powiedział. - Będziemy musieli zrobić to trudniejszą metodą.

- Nadchodzą - powiedział Mały Duch. - Podaj dalej.

Z lasu wychyły cienie, które sunęły bezszelestnie w ich stronę.

- Siedzimy spokojnie - napominał swych podwładnych Adam.

Komandosi podeszli o kilka jardów. Przemieszczali się nierówną tyralierą. Wszyscy ubrani byli na czarno. Adam z trudem dostrzegał ich na tle ciemnego lasu. Poczekał, aż znaleźli się jakieś sto pięćdziesiąt jardów od wykopu. Wtedy postukał Małego Ducha w ramię.

- Teraz, John - wyszeptał. - Strzelaj do góry.

Mały Duch puścił kilka serii do księżycy. Cienie zamarły w bezruchu, po czym znów ruszyły naprzód.

- Adam - pokręcił głową Mały Duch. - To nic nie da. Jeśli chcemy ich zatrzymać, musimy to zrobić skuteczniej.

Max dojrzał czerwone rozbłyski w odległości około dziesięciu mil.

- Spóźniliśmy się - powiedział do Scotta. Nagle odezwało się radio:
- C-47, jesteś w przestrzeni zamkniętej dla ruchu powietrznego.
- Aha - mruknął Max. - Mają nas.
- Proponuję nawrót na dwa-siedem-zero.
- Nie zbaczaj z kursu - powiedział Scott. Max zmarszczył brwi.



- Tam jest wojna. Już nie zdążymy jej powstrzymać.

- Może jednak zdążymy.

Dobra, pomyślał Max. Raz kozie śmierć...

Na ekranie radaru pokazała się mała kropka. Ktoś nadlatywał z północy.

- Idą po nas - mruknął Scott.

Max skinął głową i zrobił taką minę, jakby co dzień brał udział w podobnie szalonych przedsięwzięciach. Włączył wewnętrzny głośnik.

- Dobra, kochani, za kilka minut lądujemy - oświadczył. - Zapnijcie pasy.

Przed dziobem samolotu wyrastał łańcuch górskich grzbietów i urwisk. Max odszukał Johnson's Ridge i lekko poprawił kurs, skręcając bardziej na południe. Widoczność była dobra. Wiatr wiał prosto z północnego wschodu, z prędkością około czterdziestu węzłów.

- Nie najlepsza pogoda - powiedział. Jego towarzysz skinął głową.

- Na pewno świetnie sobie poradzisz.

Głos z radia oświadczył lodowatym tonem, że Max podlega karze aresztu.

Max obniżył lot do dwóch tysięcy stóp, zmniejszył prędkość i na pięć mil przed szczytem wypuścił klapy. Prowizoryczne lądowisko było mniejsze, niż mu się przedtem wydawało. Zobaczył Rotundę i błyski wystrzałów.

Tuż obok przeleciał uzbrojony helikopter. Max spojrzął za okno. Jakiś mężczyzna ubrany w czarny wojskowy kombinezon siedział w otwartych drzwiach. W dłoniach trzymał automatyczny karabin.

Radio znów przemówiło.

- C-47, zawróć. Wleciałeś w zamkniętą przestrzeń. Płaskowyz zbliżał się coraz szybciej. Max przyciągnął wolant do siebie.

Huk wystrzałów karabinowych. Tuż przed dziobem samolotu przemknęła wiązka świetlnych pocisków.

- Zestrzelimy cię, jeśli to będzie konieczne.

- Błefują - uspokajał go Scott.

Max przeleciał nad wierzchołkami drzew, zmniejszył dopływ paliwa. Poczł, jak główne podwozie dotyka ziemi.

Samolot podniósł się na moment i znów opadł.

Krzyki w słuchawkach. Tylne podwozie, na które także założyli płożę, przywarło na dobre do ziemi.

Odciał paliwo. Największy problem związany z lądowaniem na płozach polegał na tym, że pilot nie mógł skorzystać z hamulców. Nie mógł nawet odwrócić silników. Po prostu musiał czekać, aż samolot sam się zatrzyma.

Rotunda znajdowała się po jego prawej stronie. Słyszał już terkot broni automatycznej.

- Co jest na końcu tego pola? - spytał Scott.

- Jeszcze jeden króciutki lot.

Przejechali obok Rotundy. W kabinie pasażerskiej panowała absolutna cisza. Śnieg syczał delikatnie pod płozami.

Minęli parking i kilka samochodów policyjnych, które wycofywały się w pośpiechu. Ich koła wyrzucały do góry fontanny śniegu.

Przed nimi, kilkadziesiąt jardów dalej, otwierała się przepaść.

Przez moment zastanawiał się, czy nie włączyć ponownie silników i poderwać samolotu w powietrze albo czy nie zakręcić gwałtownie i wjechać między drzewa. Było już jednak za późno na

jakikolwiek manewry. Musiał cierpliwie czekać.

Hałas w słuchawkach nareszcie ustał.

Czekał.

Samolot podskoczył na jakiejś nierówności ukrytej pod śniegiem.

Przepaść była coraz bliżej. Ciągnęła się po horyzont.

Samolot zwolnił.

I zatrzymał się.

luz nad nimi przemknął Blackhawk.

Max nie widział przed sobą zbyt wiele wolnego terenu.

- Na razie nie ruszamy się z miejsc - powiedział swoim pasażerom.

- Ładne lądowanie, Max - pochwalił go Scott.

Max wyjrzał przez swoje okienko, rozpiął pas i wyjrzał na drugą stronę.

- Sporo miejsca - oświadczył, siadając na fotelu. Włączył lewy silnik i podkręcił obroty.

- Hej, ostrożnie - zaniepokoił się jego towarzysz.

- Spoko - mruknął Max. - Ta ślicznotka potrafi kręcić piruety.

Niewiele mijał się z prawdą. Z tyłu dobiegły go głośne protesty, w słuchawkach znów odezwał się jakiś głos, on jednak zawrócił i ruszył w stronę Rotundy.

\*\*\*

Kiedy Max zawracał ku Rotundzie, Gibson postanowił wykorzystać nadarżającą się okazję.

Kilka chwil później obrońcy przypadli do ziemi, zasypani zmasowanym ogniem karabinów. Andrea, zajmująca pozycję na lewej flance, zobaczyła jak ktoś wysuwa nad krawędź urwiska żelazny hak i wbija go w ziemię.

- Samolot jedzie w naszą stronę - powiedział zastępca Gibso-na. Reflektory C-47 oświetliły parking na szczycie wzgórza i przesuwają się dalej, w stronę pozycji Gibsona.

- Chyba tak. Do jasnej cholery, co ci idioci chcą zrobić? Radiooperator przycisnął mocniej słuchawki do uszu.

- Pocisk dwa prosi o pozwolenie.

- O jakie pozwolenie?

- Na otwarcie ognia, Horace.

- Do diabła, nie. Oni wszyscy chyba powariowali. Radiowiec znowu słuchał.

- Grupa skalna jest już na szczycie.

Max sunął w stronę Rotundy. Noc przepełniona był hukami wystrzałów.

Z tyłu dobiegł go głos Asquitha:

- Nie możemy poruszać się szybciej?

- Nie czas teraz na półśrodki, Max - przyłączył się do niego rudowłosy atleta.

Jeszcze kilka innych głosów poparło Asquitha. Max podkręcił obroty i wjechał prosto w dziurę po ogrodzeniu, zmiernając w największy gąszcz pocisków. Kule uderzały w kadłub samolotu. Max wyobrażał już sobie, jaka wściekła będzie Ceil, kiedy zobaczy swoją ukochaną „Betsy”. W jednym z okien pękła szyba.

Zatrzymał się na hałdzie ziemi. Nie mógł jechać dalej.

- No dobra, wysiadka - oznajmił, dławiąc silniki. Pasażerowie otwierali już drzwi ładowni. Kamerzysta Bena Markeya, wysoki dwudziestolatek o blond włosach, klęczał w przejściu i

przygotowywał swój sprzęt. Kiedy był już gotów, włączył światło.

- Dobra, możemy iść - oświadczył.

Ben Markey, który mówił już coś do mikrofonu, skinął na Waltera Asquitha. Ten wyskoczył z samolotu prosto w deszcz pocisków. Jeden z nich trafił go w nogę, drugi w pierś. Asquith upadł ciężko na śnieg.

Gibson z przerażeniem obserwował przebieg wypadków. Widział, jak postrzelony mężczyzna pada na ziemię, jak dwie następne osoby skaczą w ślad za nim i osłaniają go własnymi ciałami, widział ładownię samolotu, w której tłoczyło się jeszcze kilkunastu ludzi. Nigdy nie był świadkiem czegoś równie idiotycznego. Co za durnie. Odwrócił się do radiooperatora.

- Wstrzymać ogień - polecił. Potem spojrzał na swego zastępcę. - Nie mogę w to uwierzyć.

Nagle zdał sobie sprawę, że pokazuje go ogólnokrajowa telewizja. Zobaczył Bena Markeya, który choć przyklejony do ziemi, bez przerwy mówił do mikrofonu i zdawał relację z przebiegu wydarzeń. Widział kamerzystę, który pokazywał przez chwilę rannego człowieka, a potem ogień, hałdy ziemi i uzbrojonych ludzi po obu stronach.

Obok stanowiska Gibsona zatrzymała się czarna limuzyna. Elizabeth wypadła z samochodu i pobięła do samolotu.

- Co tu się dzieje, do diabła? - Zobaczyła rannego Asquitha i wstrzymała oddech. - Co się stało?

Pasażerowie wciąż wychodzili z samolotu, jeden po drugim, niektórzy sprawnie i zręcznie, inni z cudzą pomocą. Z wyciem syren nadjeżdżały policyjne samochody. Z C-47 wytoczył się wózek inwalidzki.

- Kim jesteście? - usiłowała się dowiedzieć Elizabeth.

Kilka osób podało swe nazwiska, Gibson był jednak zbyt daleko, by je dosłyszeć. Silvera spojrzała w jego stronę. Horace zastanawiał się, jak najlepiej rozegrać tę sytuację. Otoczyć tych ludzi i korzystając z chwili spokoju odciąć Indian od Rotundy. Mógł to zrobić. Wiedział, że może.

- Widzicie państwo, co się tutaj dzieje - mówił Markey do mikrofonu. - Walter Asquith, laureat Nagrody Pulitzera, został postrzelony.

Asquith? - pomyślał Gibson. O Boże, będą się musieli gęsto tłumaczyć.

Rudowłosy uklęknął obok Asquitha, próbował zatamować krew. Brodaty mężczyzna starał się go pocieszyć.

- Macie tu jakiegoś lekarza? - krzyczała kobieta, kiedy na miejsce podjechał ambulans.

Oczy Asquitha zaszły mgłą. Umarł, ściskając dłoń rudowłosego.

Ciało pisarza zostało złożone w karetkę. Kiedy samochód odjechał, Gibson podszedł do grupy intruzów i przedstawił się.

- Przykro mi, ale musicie pójść ze mną.

- Dlaczego? - spytał brodac. Był średniego wzrostu, miał łagodne oczy i wyglądał na wyjątkowo spokojnego człowieka. Jednak, gdy zwracał się do dowódcy komandosów, w jego głosie słychać było z trudem tłumioną wściekłość. - Żebyście mogli dalej prowadzić swoją wojnę?

Gibson obdarzył go chmurnym spojrzeniem. Nic już nie było łatwe.

- Po prostu aresztuj ich wszystkich - powiedziała Elizabeth, zniżając głos.

- Kim jesteście? - spytał Gibson brodatego mężczyznę. Rozpoznał dwóch mężczyzn, ale ta twarz była mu obca.

- Stephen Jay Gould - przedstawił się pytany, przekrzykując wiatr. Kamerzysta odwrócił się w jego stronę. Reflektor oświetlił twarz mężczyzny, ukazując ją całemu narodowi. - Obawiam się, że nie będziemy ze sobą współpracować. Jeśli ten rząd chce jeszcze kogoś zabić, musi zacząć od nas.

Wszyscy zaczęli się ustawiać w szeregu, tworząc ludzki bufor między walczącymi stronami.

- Gould jest paleontologiem - wyjaśnił Ben telewidzom. Kamera pokazywała teraz wysokiego mężczyznę o manierach arystokraty.

- Charles Curran - powiedział Ben, podsuwając mu mikrofon. - Teolog.

Curran wyglądał tak, jakby zamierzał właśnie skarcić niegrzeczne dzieci.

- To coś więcej niż spór o prawa własności - powiedział. - Johnson's Ridge nie należy do jednego rządu, czy nawet do wszystkich rządów. Należy do całej ludzkości. - Spojrzał prosto w kamerę. - Dzisiaj jej obrońcy są obłączeni. Lecz w istocie my wszyscy znaleźliśmy się w tej sytuacji.

- Arthur M. Schlesinger junior. Historyk.

Brązowe oczy Schlesingera błyszczały jasno za okularami w rogowej oprawce. Gibson poczuł nagle jak bezużyteczna jest siła ognia jego jednostki.

- Scott Carpenter. Astronauta.

Drugi pilot C-47. Na pewno jeszcze dzisiaj bez trudu wyprowadziłby statek na orbitę. Scott uklonił się lekko niewidzialnej publiczności.

- Gregory Benford. Astrofizyk i powieściopisarz.

Benford był średniego wzrostu, nosił brodę i miał na sobie za dużą kurtkę myśliwską, zapewne pożyczoną w ostatniej chwili. Nawet nie spojrzał na Gibsona. Gestem przywołał przewodniczącego. Walker z wahaniem zajął miejsce w szeregu.

- James Walker. Przywódca Mini Wakan Oyate. Ludu Jeziora Ducha. Dziękuję wam - dodał Walker, patrząc na prawo i na lewo.

- Harry Markowitz. Ekonomista.

Markowitz splótł ręce na piersiach w geście nieprzejednanego oporu.

- Richard Wilbur. Poeta.

Wilbur skinął głową, ale jego oczy patrzyły gdzie indziej, ogarniały Rotundę i okoliczne wzgórza, jakby poeta widział już to miejsce, rozpoznawał znajome kształty.

- David Schramm. Astrofizyk.

Rudowłosa atleta. Jego ubranie pokryte było krwią Asquitha.

- Stephen Hawking. Fizyk.

Podobnie jak inni, Hawking ubrany był dosyć lekko; jego strój zupełnie nie pasował do surowego klimatu Północnej Dakoty. Wyglądało to tak, jakby opuścił swój dom w pośpiechu, oderwany nagle od codziennych czynności.

- Walter Schirra. Astronauta.

Brązowe oczy, kwadratowa szczęka, średni wzrost. Gibson znał Schirrę, czytał gdzieś, że to jeden z najsympatyczniejszych astronautów, wesoły i towarzyski. Jednak w tej chwili na jego twarzy gościł jedynie wyraz oburzenia i determinacji.

- Ursula K. Le Guin. Powieściopisarka.

Stała nieruchomo, wpatrując się w miejsce, gdzie umarł Asquith. Jej ubranie też poplamione było krwią pisarza.

- I Carl Sagan. Astronom.

Sagan całą swą postawą wyrażał gniew i frustrację, podobnie jak wszyscy jego towarzysze.

- Walter Asquith także wyruszył z nami w tę podróż - powiedział Sagan, ogromnie poruszony. - Walter był poetą.

- Wiecie chyba - mówił Gibson zniżonym głosem, w którym dźwięczały nutki wściekłości - że nie stoicie ponad prawem.

- Czasami prawo jest głupie - odparł Markowitz. Do szeregu dołączyła April Cannon. Zajęła

miejsce między Hawkingiem i Schirra.

Gibson myślał już o tym, co powie swoim przełożonym.

*Nasza pieśń popłynie  
W odległą krainę...*

Wiersz południowych Pajutów

WIECZÓR SPĘDZILI po drugiej stronie portu, na brzegu nienazwanego jeszcze morza. Sagan i Schramm leżeli na piasku, z głowami opartymi o plecaki, i oglądali dziwne konstelacje. Carpenter, Wilbur, Hawking, Benford i Schirra siedzieli przy ognisku, rozmawiając, słuchając szumu fal, oddając się rozmyśleniom, które zawsze chyba towarzyszyły ludziom wyrzuconym na nieznaną brzeg. Le Guin, Curran oraz Walker zdjęli buty i spacerowali w wodzie, zastanawiając się głośno, co może leżeć po drugiej stronie. Schlesinger, Gould, Markowitz i April porównywali swoje notatki na temat międzyplanetarnego systemu transportu. Rozmawiali o tym, jaki wpływ może mieć jego zastosowanie w lokalnych warunkach na rozwój ziemskich społeczeństw.

- Koniec miasta - wyrokował Markowitz. Gould nie był aż tak pewien.

- Miasta są społecznie użyteczne, chociażby jako miejsca, od których można uciec - zauważył.

Max stał z boku, onieśmielony, dopóki nie zauważyła go April. Podała mu puszkę coli i wciągnęła do kręgu przyjaciół.

- Nie wiem, czy już ci podziękowaliśmy - powiedziała. - Gdyby nie ty, już nigdy nie zobaczylibyśmy tego miejsca.

Markowitz roześmiał się i położył mu dłoń na ramieniu.

- Tak, Max. Czy ci się to podoba, czy nie, właśnie ty nas tutaj przywiozłeś. W pewnym sensie to ty jesteś odpowiedzialny za wszystko, co się teraz wydarzy.

- Musimy sobie zadać jedno istotne pytanie - mówił Sagan jakiś czas później, kiedy zrobiło się już chłodno i wszyscy usiedli przy ognisku. - Co dalej?

- Co masz na myśli? - spytała April.

- Myślę, że Carl chce powiedzieć - wtrącił się Wilbur - że rząd ma trochę racji. I ja się z nim zgadzam.

- Ja też - przyłączył się Schirra. - Jeśli wykorzystamy technologie Rotundy, wyjdziemy całkowicie poza obręb dotychczasowych doświadczeń ludzkości. Po pierwsze, będziemy mieli całkiem inną gospodarkę. Czy nie tak, Harry?

Markowitz skinął głową.

- Zdecydowanie. Ale możemy się do tego przygotować. Zaadaptować. - Uśmiechnął się i wskazał na morze. - Przyszłość leży tutaj.

- Wzięliśmy na siebie ogromną odpowiedzialność - przemówił Hawking przez swój elektroniczny syntezator. - Właśnie my podjęliśmy decyzję w imieniu całej ludzkości. Uważam, że po prostu nie możemy się teraz wycofać.

Lekki wiatr poruszał wierzchołkami drzew. Fale z szumem uderzały o piasek plaży.

- Ale czeka nas wiele zagrożeń - zauważył Walker. Curran skinął głową.

- Zagrożenia są rzeczywiście ogromne, podobnie jak obawy. - Uśmiechnął się szeroko. - Będziemy się mieli z czego tłumaczyć.

- Wcale nie mamy się czego bać - zaprotestował Schramm.

- Stephen ma rację - oświadczył Schlesinger. - Patrzymy na nowy świat. Nowe światy zawsze odrzucają stare idee i systemy.

Benford otworzył pudełko truflí, nabił jeden napatek i wystawił go nad ogień.

- Chcecie powiedzieć, że to my będziemy teraz zajmować się tym wszystkim?

- Myślę, że nie macie innego wyjścia - powiedział Max. Kilka osób spojrzeło na niego ze zdumieniem. Pomyślał, że wcale nie wyglądają na zmartwionych tą perspektywą. Le Guin poprawiała ognisko patykami. Jakaś sucha gałąź pękła z trzaskiem, wyrzucając do góry fontannę iskieł.

- Wydaje mi się, że to trochę aroganckie - mruknęła. Schramm otworzył dwa piwa i podał jedno Benfordowi.

- Oczywiście, że to jest aroganckie. Ale chyba będziemy potrzebowali trochę arogancji.

- Może wcale nie będziemy mieli takich możliwości - zauważył Curran. - Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że popełniliśmy wczoraj poważne przestępstwo. Sprzeciwiliśmy się prawu federalnemu.

Sagan uśmiechnął się lekko.

- Chyba nie musimy się tym martwić. Matt Taylor będzie bardzo potrzebował naszej pomocy.

- Tak - uśmiechnęła się sarkastycznie April. - Naprawdę chciałabym pomóc prezydentowi. Omal nas wszystkich nie zabił.

- Był w potrzasku - usprawiedliwiał go Schlesinger. - Teraz być może cały świat znajduje się w potrzasku, i to my go tam wsadziliśmy.

- Zgadza się - przytaknęła Hawking. - Myślę, że powinniśmy się zastanowić, jak go stamtąd wydostać.

Benford skinął głową.

- Na początek potrzebujemy kogoś, kto będzie umiał prezentować nas w mediach.

- Właśnie - poparł go Walker, który kilka godzin wcześniej przekonał się sam, jaką władzą dysponują media we współczesnym świecie.

- Może powinniśmy zrobić show telewizyjny - zaproponowała April. - Musimy przecież uświadomić ludziom, czym naprawdę jest to miejsce. Jakie jest jego znaczenie.

- I jakie zagrożenia niesie ze sobą - dodał Carpenter. - Musimy być uczciwi. No właśnie, skoro mowa o uczciwości... - Spojrzeł na Walkera. - Co na to Siuksowie? Zechcecie nam pomóc?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na przewodniczącego.

- Nie dopuścimy do tego, by ten świat został zamieniony w drugą Amerykę Północną - odparł poważnie Walker. - I dlatego postaramy się dobrze pilnować portu. Ale poza tym nie mamy nic przeciwko. Będziemy dumni, mogąc służyć wam pomocą.

W północnej części nieba, nad powierzchnią morza pojawiła się Mgławica Koński Łeb. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że to nadciągająca chmura burzowa.

- Przed nami ogrom pracy - westchnął Schirra.

Patrzyli na gwiazdy, wsłuchiwali się w szum wiatru, sycili się ciepłem bijącym od ognia.

- Tak bardzo chciałabym, żeby nam się udało - powiedziała Le Guin.

Wilbur skinął głową. Jego oczy ginęły w cieniu.

- Mam notatki Asquitha.

- Myślisz, że można je opublikować? - spytał Hawking.

- O tak. - Wilbur sięgnął do tyłu po swoją kurtkę i narzucił ją na ramiona. - Jest ich całkiem sporo. To naprawdę dobry materiał. Może w końcu okaże się, że Asquith przeżył nas wszystkich.

## Epilog

APRIL CANNON patrzyła na swój plecak, który niknął właśnie w kuli złotego światła. Siedmiu towarzyszy April (wśród których znalazł się także jej były szef, Hanrey Keck) po raz ostatni sprawdzało ekwipunek.

- Jesteś pewien, że nie chcesz z nami iść? - spytała Maksa. Wyglądała prześlicznie w zielonym świetle Rotundy.

- Nie - odparł. - Nie lubię być zaskakiwany, a na pewno czeka was tam sporo niespodzianek.

Dotknęła jego ramienia.

- Będziemy ostrożni.

Zamierzali zbadać światy dostępne z portu na Edenie. Ekspedycja zabierała ze sobą duże zapasy wody i pożywienia. Wszyscy ubrani byli w skafandry próżniowe i maski tlenowe, mieli ze sobą także liczne testy wykrywające obecność szkodliwych substancji, części zapasowe i mnóstwo przeróżnych czujników. Zamierzali powrócić za dwa tygodnie z ogromną ilością informacji o światach połączonych z Edenem. (Jedyny wyjątek stanowił Labirynt, który postanowili zbadać przy innej okazji).

- Max - spytała April - a co ty będziesz robił? Kupisz sobie wyspę na Bahamach i będziesz leżał do góry brzuchem?

Max wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Spróbuję odnaleźć naszego gościa. April wzdrygnęła się.

- Zdaje się, że już nas opuścił - powiedziała. - Ja zostawiłabym go w spokoju.

- Myślę, że naszym obowiązkiem jest go odszukać.

- Obowiązkiem? Względem kogo?

- Nie jestem pewien. Może właśnie względem tego stworzenia. Muszę przyznać, że czuję do niego sympatię.

- Może być niebezpieczne.

- Może. Ale wiemy, że ma poczucie humoru. I że ratuje dzieci. Bardzo chciałbym z nim porozmawiać.

Harvey dał jej sygnał. Gotowi.

- Uważaj na siebie, Max - wyszeptła.

- Jasne. - Miał drobne kłopoty z opanowaniem głosu, -Ty też. Wróc tutaj, dobrze?

- Możesz na mnie liczyć. - Nagle zupełnie nieoczekiwanie wpadła mu w ramiona. Przytuliła się do niego, ciepła i uległa, podniosła ku niemu twarz. Całował ją długo i czule.

## Od Autora

Jeziro Agassiz naprawdę istniało. Pozwoliłem sobie zmienić w kilku szczegółach przebieg linii brzegowej, ale poza tym trzymałem się faktów. Każdy, kto zechce, może wybrać się na krótki lot nad zachodnią częścią doliny Czerwonej Rzeki Północy, w pobliżu granicy z Kanadą. Z pewnością



zauważy brzegi nieistniejącego morza.

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 4](#)

[2. 14](#)

[3. 23](#)

[4. 27](#)

[5. 36](#)

[6. 44](#)

[7. 50](#)

[8. 61](#)

[9. 72](#)

[10. 80](#)

[11. 91](#)

[12. 100](#)

[13. 107](#)

[14. 117](#)

[15. 124](#)

[16. 138](#)

[17. 149](#)

[18. 155](#)

[19. 167](#)

[20. 177](#)

[21. 183](#)

[22. 196](#)

[23. 206](#)

[24. 217](#)

[25. 225](#)

[26. 233](#)

[27. 244](#)

[28. 252](#)

[29. 261](#)

[30. 270](#)

[31. 278](#)

[32. 292](#)

[33. 305](#)